

ZDOBYWCZYNI NAGRODY NEBULA

N.K. JEMISIN

ZABÓJCZY KSIĘŻYC

Pierwsza część cyklu SEN O KRWI

ZDOBYWCZYNI NAGRODY NÉBULA

N.K.JEMISIN

ZABÓJCZY KSIĘZYC

Pierwsza część cyklu SEN O KRWI

N.K. JEMISIN

ZABÓJCZY
KSIĘŻYC

Tytuł oryginału: *The Killing Moon*

Projekt okładki: *Krzysztof Krawiec*

Redakcja: *Julia Celer*

Redakcja techniczna: *Zbigniew Katafiasz*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Mariola Hajnus, Justyna Żebrowska*

Copyright © 2012 by N.K. Jemisin

By arrangement with the author. All rights reserved.

For the cover illustration © Krzysztof Krawiec

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Maciejka Mazan

ISBN 978-83-7758-642-6

Wydawnictwo Akurat

Warszawa 2014

Wydanie I

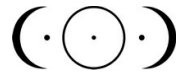
Od autorki

Jak większość pisarzy literatury fantazy fascynuje mnie tworzenie tekstów inspirowanych autentycznymi (choć przeminionymi) cywilizacjami. Pod pewnym względem łatwiej byłoby mi napisać zwyczajną powieść historyczną, wtedy bowiem mogłabym wykorzystać wszystkie informacje naukowe. Ponieważ jednak jest to powieść fantazy, a nie historyczna, znalazłam się w dość osobliwej sytuacji – musiałam jak najbardziej „odhistorycznić” te opowieści, pozbawiając je soczystej realności i zostawiając tylko najrzadszą zawieszinę dla smaku. Moim celem było oddanie hołdu, nie naśladowanie rzeczywistości. Egiptolodzy amatorzy, uważajcie się za ostrzeżonych.

Szczególnie zmagalam się z imionami bohaterów, bo w wielu z tych cywilizacji imiona składały się ze słów, które w miejscowych językach miały znaczenie... ale nie opisywałam Ziemi, więc nie mogłam ich użyć. W zamian za to skupiałam się na uchwyceniu właściwej budowy i atmosfery, unikając słów, które oznaczałyby coś w tych językach. Ponieważ w żadnym razie nie jestem ekspertem, istnieje duże prawdopodobieństwo, że któraś z moich postaci nosi imię oznaczające „Ukochana Sera” czy coś w tym stylu. Jeśli tak, przepraszam.

Wszyscy ludzie marzą, ale nie w takim samym stopniu. Ci, którzy snują marzenia nocą, w zakurzonych zakątkach swojego umysłu, budzą się za dnia z przekonaniem, że była to fanaberia, lecz ci, co marzą we dnie, są niebezpieczni, bo mogą odgrywać swoje marzenia z otwartymi oczami, aby je urzeczywistnić.

T.E. Lawrence
Siedem filarów mądrości



*W mroku snu dusza może umrzeć. Lęki,
z którymi spotykamy się w ciemnościach,
są jak odbicie w lustrze. To normalne, że
uderzamy w obraz, który nas drażni, ale
wtedy szkło nas rani; dusza krwawi.
Zadaniem zbieracza jest ratować duszę
za wszelką cenę.*

(Mądrość)

W mroku czuwania pewna dusza umarła. Jednak jej ciało jest nadal dziko, łapczywie żywe.

Zadaniem Kosiarza jest go nie ratować.

Barbarzyńcy z północy uczą swoje dzieci strachu przed Śniącą Luną, twierdząc, że sprowadza ona szaleństwo. To bluźnierstwo można wybaczyć. Czasami dziwny blask Luny spowijał cały Gujaareh oleistymi wirami ametystu i akwamaryny. W jego świetle chaty niższej kasty wydawały się solidne i piękne; ścieżki wykładane zwykłymi glinianymi cegłami lśniły jak posrebrzone. W dziwnych cieniach na gzymsie budynku mógłby przycupnąć mężczyzna, a wydawałby się tylko niewyraźnym rysunkiem na tle ziarnistej szarości. W tym kraju taki mężczyzna mógłby być kapłanem, skupionym na najświętszej ze swoich powinności.

Temu kapłanowi sprzyjały nie tylko cienie. Długie szkolenie wyciszyło odgłos jego kroków na kamieniach; zresztą był boso. W ogóle nie miał wiele na sobie; ufał, że ciemny kolor skóry pomoże mu się wtopić w noc podczas cichej wędrówki, gdy kierował się

tylko odgłosami miasta. W domu naprzeciwko ulicy zapłakało niemowlę – a on zrobił krok. Parę piętér poniżej występu ktoś się roześmiał – a on się wyprostował, dotarłszy do okna, do którego zmierzał. Z zaułka nieopodal dobiegł zdławiony krzyk i odgłosy bójkí – a on zatrzymał się, nasłuchując z niepokojem. Ale zamieszanie ucichło, tupot sandałów o bruk zamarł w oddali, a on odetchnął. Gdy miłosne krzyki młodej pary w sąsiedztwie odpłynęły z wietrzykiem, mężczyzna wślizgnął się przez zasłonięte okno do pokoju.

Sypialnia – studium przebrzmiałej elegancji. Kapłan wyłowił z mroku zarysy wdzięcznych foteli o przetartej tapicerce, drewniane, zmatowiałe z zaniedbania meble. Podeszedł do łóżka, uważając, by jego cień nie padł na twarz spoczywającej na nim osoby... ale starzec, którego nazywano Yeyezu, i tak otworzył oczy i zamrugał.

– Tak myślałem – powiedział ochrypłym głosem, który zadrapał ciszę swoją szorstkością. – Który to?

– Ehiru – odrzekł kapłan. Jego głos był miękki i głęboki jak cienie w sypialni. – W snach nazywany Nsha.

Oczy starca rozszerzyły się z miłego zaskoczenia.

– Więc tak brzmi imię duszy róży. Komu zawdzięczam ten zaszczyt?

Ehiru powoli odetchnął. Zawsze trudniej było przynieść spokój, gdy nosiciel daniny był przebudzony i przerażony – dlatego prawo nakazywało zbieraczom potajemnie wchodzić do domostw. Ale Yeyezu nie czuł strachu. Ehiru zobaczył to od razu, dlatego postanowił odpowiedzieć na pytanie, choć wolał wykonywać swoje zadanie bez słów.

– Twój najstarszy syn zgłosił zlecenie na twoje imię – powiedział. Zza przepaski na biodrach wyjął jungisę: długi jak kciuk, lśniący jak czarne szkło kamień z wyrytą podobizną cykady. Yeyezu powiódł za nią wzrokiem. Te kamienie były legendą z powodu swojej wyjątkowości i mocy; niewielu wiernych Hananji je widziało. – Zostało rozważone i przyjęte przez Radę Ścieżek, a mnie polecono

je wykonać.

Starzec skinął głową i wyciągnął drżącą rękę do jungissy. Ehiru podał mu kamień, nie wypuszczając go z ręki. Jungissa była zbyt świętym przedmiotem, by traktować ją lekkomyślnie.

Zdumienie odjęło starcowi lat. Ehiru mimo woli uśmiechnął się na ten widok.

– Zna smak wielu twoich snów, starcze Yeyezu – powiedział, bardzo delikatnie wyjmując jungissę z ręki starca, aby ten usłyszał jego słowa. Yeyezu westchnął, ale opuścił rękę. – Piła twoje nadzieje i lęki. Teraz wzywa cię, byś dołączył do niej w Ina-Karekh. Czy złożysz jej tę ostateczną ofiarę?

– Z radością – odparł Yeyezu i zamknął oczy. Ehiru pocałował go w czoło. Rozpalona skóra, delikatna jak papirus, rozprostowała się pod naciskiem jego warg. Ehiru wyprężył się i umieścił jungissę w miejscu, którego przed chwilą dotykały jego usta. Trącony palcem kamień zadrżał, a potem zaczął ledwie zauważalnie wibrować. Yeyezu zapadł w sen. Ehiru położył mu palce na powiekach.

We względnej ciszy miejskiego wieczoru w pokoju słychać było tylko oddechy Ehiru i Yeyezu. Potem już tylko Ehiru. W tej nowej ciszy – bo jungissa przestała wibrować wraz z końcem snu – Ehiru stał przez parę chwil, czekając, aż rozleje się w nim leniwie nowa senna krew. Gdy uznał, że nadszedł odpowiedni moment, wyjął zza przepaski kolejny przedmiot – tym razem małą obsydianową półkulę, na której płaskiej podstawie wyryto różę oazy, a szczeliny wypełniono sproszkowanym tuszem. Przycisnął starannie pieczęć do kościstej, nieruchomej piersi Yeyezu, zostawiając swój podpis na arcydziele ciała. Uśmiech, który pozostał na stygnących ustach starca, był jeszcze piękniejszy.

– Wiecznie radosnych snów, mój przyjacielu – szepnął Ehiru, po czym podniósł kołdrę i ułożył kończyny Yeyezu w spokojnej, godnej pozycji. W końcu wyszedł równie cicho, jak wszedł. A teraz ucieczka: po dachach, bezszelestnie i zwinnie. Parę ulic od domu Yeyezu zatrzymał się i padł na ziemię pod starym zburzonym murem. Ukląkł wśród chwastów, dygocząc. Niegdyś, gdy był

młodszy, po takim zadaniu wracał do Hetawy przepelniony radością prowadzenia tak bujnego, bogatego życia. Dopiero godziny modlitw w Sali Błogosławieństw przywracały mu zdolność funkcjonowania. Teraz nie był już młodzieńcem. Stał się silniejszy, nauczył się dyscypliny. Przeważnie potrafił odbyć nocą drugi zbiór, a czasem i trzeci, jeśli tego wymagały okoliczności... choć trzy zbiory sprawiały, że stawał się roztrzęsiony, półprzytomny i tracił świadomość, w którym świecie się znajduje. Nawet senna krew jednej osoby potrafiła mu zamącić w głowie, bo jak mógł się nie radować, czując tak mocno buzującą w nim radość Yeyezu?

A jednak musiał się starać ze względu na innych cierpiących obywateli Gujaarehu. Dwa razy usiłował liczyć, dodając cztery do kolejnych liczb – ćwiczenie na koncentrację – lecz dwukrotnie zatrzymał się przy zaledwie czterech tysiącach dziewięćdziesięciu sześciu.

Żałosne. Ale przynajmniej opanował myśli, a drzenie ustąpiło.

Z pewną troską zauważył, że Śniąca Luna osiągnęła zenit, a jej wielki krąg jaśnieje na środku nieba jak wielkie prążkowane oko; minęła połowa nocy. Tę część miasta można było szybciej przejść po ziemi niż po dachach. Po krótkim postoju, kiedy odwrócił przepaskę biodrową na lewą stronę i włożył kilka złotych zausznic – bo nawet najbiedniejszy mieszkaniec stolicy Gujaarehu nie wychodził bez ozdób – wyłonił się z cienia muru i ruszył ulicą jak człowiek z niewiadomej kasty, nierzucający się w oczy, zgarbiony, by robić wrażenie bardziej pokornego. O tak późnej godzinie widział tylko woźniców przygotowujących się do porannej podróży i ziewających strażników, niewątpliwie idących na nocną zmianę w bramach miasta. Żaden z nich go nie zauważył.

W dzielnicy zamieszkaney przez wyższą kastę domy stały dalej od siebie. Ehiru skręcił w boczną uliczkę, kiepsko oświetloną na pół wypalonymi latarniami, i wyszedł prosto na grupę młodych shunhów śmierdzących timbaliniarnią i zwietrzałymi kobiecymi perfumami. Śmiali się i zataczali, otumanieni narkotykiem. Szedł za nimi przez parę ulic, zanim w ogóle zauważyli jego obecność,

a wtedy skręcił w kolejną boczną uliczkę. Prowadziła do magazynu w stodole gospody, której szukał. Drzwi stodoły były otwarte, stojące pod ścianą beczki z winem i przewiązane sznurkiem paczki – odsłonięte i nienaruszone. Nieliczni gujaareńscy złodzieje byli zbyt mądrzy, aby je tknąć.

Ehiru zanurzył się w mrok, zdjął biżuterię-rekwizyt i znowu inaczej zawiązał przepaskę, zwijając ją i supłając tak, by materiał nie łopotał. Z jednej strony płachtę zdobił dyskretny wzorek, druga jej strona – ta, którą teraz odsłonił – była zupełnie czarna.

Poprzedniego dnia Ehiru zrobił rozeznanie w gospodzie. Jej właściciel, chytry jak każdy z kasty kupieckiej, przyjmował gości przez cały rok, licząc na bogatych przyjezdnych, z których wielu nie lubiło zmiany miejsca zamieszkania podczas wiosennych powodzi. Następny nosiciel daniny – handlarz z północy – miał prywatny pokój w wieży, oddzielonej od reszty budynku stromymi schodami. Bardzo wygodne. Kiedy Hananja czegoś chce, prostuje wszystkie drogi.

W kuchni gospody było ciemno, podobnie jak w służbówce obok niej. Ehiru minął stół z leżącymi nisko poduszkami i ogród w atrium, zwalniając, by odsunąć liście palm i zwisających paproci. Za ogrodem znajdowały się komnaty sypialne. Tu stąpał najciszej, bo nawet o tak późnej porze jacyś goście mogli nie spać; ale latarnie we wszystkich pomieszczeniach były zaciemnione, a zza zasłon w drzwiach dobiegały tylko powolne, miarowe oddechy. Dobrze.

Wchodząc po schodach wieży, słyszał niespokojne chrapanie handlarza, dobiegające nawet przez grube drewniane drzwi. Otwarcie drzwi tak, żeby nie skrzypnęły, wymagało trochę wysiłku, ale udało mu się, choć po cichu przeklinał zagraniczny zwyczaj wstawiania drzwi do wewnętrznych pokoi. W komnacie chrapanie brzmiało tak głośno, że gazowe zasłony wokół łóżka drżały. Nic dziwnego, że właściciel zaproponował gościowi wieżę, pewnie w dodatku ze zniżką. Mimo to Ehiru zachowywał się ostrożnie; odczekał, aż szczególnie głośne chrapanie rozchyliło zasłony, i spojrzał na swoje nowe zlecenie. Z bliska dobiegał

go zapach męczyzny zmieszany z cuchnącym potem, ze zjełczałym łożem i z innymi woniami, tak mocnymi, że zakreśliło mu się w głowie. Zapomniał, że Nordowie nie mają zwyczaju często się kąpać. Chociaż noc była chłodna i wietrzna, człowiek z północy – handlarz z ludu Bromarte, jak uściślało zlecenie, choć Ehiru nigdy nie potrafił rozróżnić tych północnych plemion – obficie się pocił, a jego blada skóra była rozpalona i zaczerwieniona, jakby zasnął w samo południe na prażącym słońcu. Ehiru przez chwilę przyglądał się jego twarzy, zastanawiając się, czy w snach takiego człowieka można odnaleźć odrobinę spokoju.

W końcu uznał, że można, bo Hananja inaczej by go nie wybrała. Ten człowiek miał szczęście. Hananja nieczęsto obdarzała swoim błogosławieństwem cudzoziemców. Oczy mężczyzny poruszały się pod zamkniętymi powiekami, a zatem Ehiru nie potrzebował jungissy przenoszącej na właściwy etap snu. Kładąc palce na jego powieki, zmusił swoją duszę do oddzielenia się od ciała, nie zrywając z nią więzi – umblikeh – żeby w odpowiedniej chwili móc za nią podążyć. Gdy otworzył oczy duszy, sypialnia stała się bezbarwna i nierealna. Nieistotne odbicie prawdziwego świata. W tym miejscu, w połowie drogi między jawą a snem, była tylko jedna ważna rzecz: delikatna, migocząca czerwona lina, która wyłaniała się z miejsca w okolicach obojczyka mężczyzny i ciągnęła się w nicość. Była to ścieżka, którą jego dusza podążyła w podróż do Ina-Karekh, krainy snów. Ehiru bez trudu mógł podążyć tą samą ścieżką i znowu nią wrócić. Gdy tym razem otworzył oczy duszy, otoczyły go kolory i wielka przedziwność, gdyż znalazł się w Ina-Karekh, krainie snów. I tutaj ukazał mu się sen człowieka z plemienia Bromarte. Charleron z Wenkinsklanu – to imię pojawiło się w świadomości Ehiru, który wchłonął jego osobliwość, a także tyle śpiącego człowieka, ile tylko mógł. Nie było to imię duszy, ale tego należało się spodziewać. Rodzice z plemienia Bromarte dawali swoim dzieciom imiona zawierające nadzieje i pragnienia świata na jawie, nie ochronę we śnie. W rozumieniu plemienia Charlerona jego imię było imieniem ambicji. Imieniem głodu. I głód wypełniał duszę mężczyzny: głód bogactwa, szacunku, rzeczy, których nawet

nie potrafił nazwać. Ten głód, odbity w sennych krajobrazach Ina-Karekh, przybrał kształt wielkiej ziejącej jamy w ziemi, której ściany roiły się od niezliczonych, wyciągniętych, odłączonych od ciała dłoni. Ehiru przybrał postać, jaką zwykle miał we śnie, i spłynął w dół pomiędzy dłońmi, nie zwracając uwagi na ich bezgłośnie ślepe błaganie.

Na dnie studni dłoni, płaczące ze strachu i bezradności, klęczało wcielenie niefortunnie nazwanego człowieka z Bromarte. Charleron kulił się, szlochając, na próżno usiłując się ratować przed własnym dziełem – rękami, które nieustannie go szarpały. Nie krzywdziły go i dla każdego odpowiednio wykształconego śniącego byłyby tylko umiarkowanie straszne, lecz – jak uznał Ehiru – pełniły w snach funkcję zółci: gorzkie i przykre, niezbędne dla zdrowia, ale nieprzyjemne dla zmysłów. Wchłonał ich, ile mógł, dla dawców, bo nawet zółć była przydatna, choć Charleron mógłby się z tym nie zgodzić. Ale zostawił w sobie miejsce na najważniejszy humor, po który tu przybył. Jak zawsze – zgodnie z rozkazem Bogini – nosiciel daniny Hananji podniósł wzrok i ujrzał Ehiru w jego prawdziwej, nieosłoniętej postaci.

– Kim jesteś? – spytał, na chwilę zapomniawszy o przerażeniu. Dłoń chwyciła go za ramię, a on odskoczył z krzykiem.

– Ehiru – odrzekł kapłan. Przez chwilę zastanawiał się nad wyjawieniem imienia swojej duszy, ale postanowił tego nie robić. Imiona duszy nie miały znaczenia dla pogan. Jednak ku jego zaskoczeniu w oczach człowieka z plemienia Bromarte błysnęło rozpoznanie.

– Gualoh – powiedział, a przez filtr wspólnego snu do Ehiru dotarła fala zrozumienia. Jakieś straszne stworzenie z opowieści przy ognisku? Zlekceważył to. Barbarzyńskie przesady.

– Sługa Bogini Snów – poprawił go, kucając przy nim. Dłonie, reagując na strach Bromartena, nerwowo szarpały ciało kapłana, jego przepaskę biodrową i dwa warkocze na karku. Nie zwracał na nie uwagi. – Zostałeś dla niej wybrany. Pójdź, a ja zawiadę cię do lepszego miejsca, gdzie przez wieczność będziesz żyć w spokoju. –

Wyciągnął rękę.

Bromarten skoczył na niego.

Zaskoczył Ehiru, niemal nie dając mu czasu na reakcję, ale żaden zwykły człowiek nie mógł zatryumfować nad zbieraczem we śnie. Szybkim ruchem woli Ehiru rozproszył studnię rąk i zastąpił ją anonimową pustynią pełną pofałdowanych przez wiatr diun. Tu miał mnóstwo miejsca na unikanie ataków Bromartena. Mężczyzna znowu rzucił się na niego, rycząc obelgi. Ehiru otworzył i zamknął ziemię pod jego nogami, zakopując go po pas w piasku.

Nawet w tej pułapce Bromarten klął, szarpał się i płakał, rzucając w Ehiru garściami piasku – który Ehiru po prostu rozpraszał siłą woli.

Potem kapłan kucnął przed Bromartenem, spoglądając mu ze zdziwieniem w oczy.

– Walka jest bezcelowa – powiedział, a mężczyzna znieruchomiał, słysząc ton jego głosu, choć Ehiru starał się mówić łagodnie. – Uspokój się, a podróż odbędzie się bezboleśnie. – Czyżby Bromarteni o tym wiedzieli? Handlowali z Gujaarehem od stuleci. Na wypadek, gdyby to właśnie było przyczyną paniki mężczyzny, Ehiru dodał: – Nie będzie bólu.

– Odejdź ode mnie, gualoh! Nie jestem twoim glinoryjcem, nie pozwolę ci się żywić moimi snami!

– To prawda, nie jesteś Gujaareńczykiem. – Nie odwracając uwagi od mężczyzny, Ehiru zaczął zmieniać senny krajobraz tak, by ten tchnął spokojem. Chmury zmieniły się w białe subtelne smużki, piasek, w którym tkwiła senna postać Bromartena, stał się bardziej sypki, miłszy w dotyku. – Ale cudzoziemcy bywali już poddawani zbiorom. Wszyscy, którzy postanawiają żyć i robić interesy w murach naszej stolicy, zostali ostrzeżeni: miasto Hananji jest posłuszne jej Prawu.

Słowa Ehiru wreszcie zdołały się przebić przez panikę Bromartena. Wargi mężczyzny zadrżały.

– Ale... ale ja nie chcę umierać... – Zaczął płakać tak bardzo, że

ramiona mu dygotały, a Ehiru mimo woli poczuł litość. Straszne, że ludzie z północy nie znają się na narkomancji. Byli bezradni wobec snów, na łasce swoich koszmarów, i żaden nie miał doświadczenia w sublimacji strachu. Ilu z tego powodu zginęło w krainach cienia? Nie mieli także zbieraczy, którzy ułatwiali im drogę.

– Niewiele osób pragnie śmierci – zgodził się Ehiru. Pogłaskał mężczyznę po czole i odgarnął mu rzadkie włosy, aby go uspokoić. – Nawet moi rodacy, którzy twierdzą, że kochają Hananję, czasami walczą z przeznaczeniem. Ale tak to już jest, że jedni muszą umrzeć, by inni mogli żyć. I tak umrzesz – przedwcześnie i nieprzyjemnie – jeśli ta choroba ladacznica, którą przywlokłeś do Gujaarehu, zdoła się rozwinąć. Dlaczego nie umrzesz w pokoju, szerząc życie?

– Kłamiesz! – Nagle twarz Bromartena stała się podobna do świńskiego ryja. W jego małych oczkach zamigotała nienawiść. Ta zmiana zaszła tak gwałtownie, że Ehiru zamilkł zaskoczony. – Mówisz, że to błogosławieństwo twojej bogini, ale ja wiem, o co naprawdę chodzi. – Mężczyzna pochylił się; jego oddech stał się cuchnący. – To ci sprawia przyjemność.

Ehiru cofnął się przed tym oddechem i jeszcze bardziej odrażającymi słowami.

– Żaden zbieracz nie zabija dla przyjemności.

– Żaden zbieracz nie zabija dla przyjemności – przedrzeźniał go Bromarten. – A co z tymi, którym się to zdarza? – Uśmiechnął się, a jego zęby błysnęły drapieźnie. – Czy przestają być zbieraczami? Jest dla nich inna nazwa, tak? Tak opowiadasz te kłamstwa?

Ehiru poczuł przejmujący chłód; zaraz po tym oblał go żar gniewu.

– To obelga – warknął. – Dość tego.

– To wasza pociecha dla umierających, tak?

– Zbieracze pocieszają tych, którzy wierzą w spokój i chętnie przyjmują błogosławieństwo Hananji – syknął kapłan. – Nie mogą wiele zrobić dla niewierzących, którzy z niej szydzą. – Wstał i skrzywił się z rozdrażnieniem. Gadanie tego dzikusy rozproszyło

jego uwagę; piasek wokół nich falował i unosił się jak pierś żywego stworzenia. Ale zanim Ehiru zdołał odzyskać panowanie nad snem i zmusić umysł Bromartena do spokoju, poczuł na kostce zaciskające się palce. Zaskoczony spojrzął w dół.

– Oni cię wykorzystują – powiedział Bromarten.

W głowie Ehiru rozległ się alarm.

– Co?

Mężczyzna pokiwał głową. Jego spojrzenie stało się łagodniejsze, niemal życzliwe. Pełne litości – tak jak przed chwilą spojrzenie Ehiru.

– Dowiesz się. Wkrótce. Zużyją cię do końca, aż nic z ciebie nie zostanie, a wtedy nie znajdziesz nikogo, kto by cię pocieszył, zbieraczu. – Bromarten roześmiał się, a krajobraz wokół nich zafalował, śmiejąc się razem z nim. – Wielka szkoda, Nsha Ehiru. Wielka szkoda!

Ehiru poczuł, że na rękach występuje mu gęsia skórka, choć przecież te ręce nie były prawdziwe. W takich chwilach umysł robił, co mógł, by ochronić duszę, a Ehiru nagle poczuł wielką potrzebę ochrony – bo ten Bromarten znał jego imię duszy, choć nie dowiedział się tego od niego. Kapłan wyszarpnął się z rąk i ze snu mężczyzny jednym instynktownym ruchem. Ale ku jego przerażeniu ta niezdarna ucieczka zerwała więź Bromartena z jego ciałem. Za szybko! Nie przeniósł Bromartena do bezpieczniejszego miejsca w królestwie snów. A teraz dusza ciągnęła się za nim jak kilwater za statkiem, skręcając się i rozpraszając, choć starał się ją zepchnąć w stronę Ina-Karekh.

Z rozpaczy pobrał senną krew, ale wzdrygnął się, gdy powoli do niego napłynęła, skrzepnięta przez strach i złość. W mroku między światami ostatni śmiech Bromartena rozwiął się w ciszy. Ehiru wrócił do siebie, zachłysławszy się powietrzem, i spojrzął w dół. Zrobiło mu się tak niedobrze, że chwiejnie odszedł od łóżka, oparł się o parapet i zaczął oddychać szybko i płytko, żeby nie wymiotować.

– Najświętsza pani spokoju i ulgi... – wyszeptał odruchowo modlitwę w języku sua. Zamknął oczy, ale nadal widział martwą twarz Bromartena: wytrzeszczone, wychodzące z orbit oczy, otwarte usta, zęby odsłonięte w ohydny pośmiertnym grymasie. Co on uczynił? O, Hananjo, wybac mi profanację Twojego rytuału...

Tym razem nie zostawił po sobie pieczęci róży. Ten ostatni sen nie powinien był aż tak wymknąć się spod kontroli – na pewno nie w przypadku zbieracza tak doświadczonego jak on. Wzdrygnął się na wspomnienie oddechu Bromartena – tak cuchnącego, jakby coś w nim już gniło. Ale to Bromarten cierpiał o wiele bardziej, rzucony z powodu niedbałości Ehiru w koszarne czeluści Ina-Karekh na całą wieczność – a i to pod warunkiem, że jego dusza była nietknięta i mogła powrócić.

Lecz gdy niesmak ustąpił miejsca żalowi, a Ehiru ugiął się pod ciężarem obu tych uczuć, intuicja obudziła w nim cichy alarm.

Podniósł głowę. Za oknem rozciągały się dachy miasta, a za nimi ku horyzontowi spływał łagodnie lśniący skłon Śniącej. Zza jej większej krzywizny wyglądała Czuwająca Luna. Miasto ucichło podczas tych ostatnich chwil lunarnej światła – sen zmorzył nawet złodziei i kochanków. Wszystkich z wyjątkiem jego...

I jakiejś postaci skulonej przy cysternie na pobliskim dachu.

Ehiru zmarszczył brwi i stanął prosto. Sylwetka na dachu zrobiła to samo. Widać było tylko jej zarysy: był to mężczyzna, nagi lub prawie nagi, wysoki, a jednak dziwnie zgarbiony. Niewidoczne rysy, nierozpoznawalna kasta, nieznane zamiary.

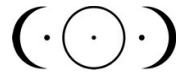
Nie. Przynajmniej jedno było jasne. Nieruchoma postać niewiele zdradzała, ale wiało od niej grozą.

Chwila szybko minęła. Postać odwróciła się, wspięła się po linie cysterny na dach, przeskoczyła na drugi budynek i zniknęła w mroku. Noc znowu stała się cicha. Ale nie spokojna.

Gualoh, rozległo się echo głosu Bromartena. To nie była obelga, uświadomił sobie Ehiru, patrząc w miejsce, w którym przed chwilą znajdował się nieznajomy. To ostrzeżenie.

Demon.

INTERLUDIUM PIERWSZE



Czy wiedziałaś, że spisywanie zabija opowieści?

Naprawdę. Słowa nie powinny być sztywne i niezmiennie. Niegdyś moi krewni byli powiernikami historii, teraz wytwarzają urny i słoje. Wiele, wiele pokoleń temu, przed pojawieniem się pisma obrazkowego, hieroglifów liczbowych i pisma hieratycznego, słowa były przechowywane tak, jak należy – w ustach. Moi przodkowie byli tymi, którzy dbali, aby słowa zostały przekazane dalej. Zapisane słowa nie unicestwiły celu istnienia mojej rodziny, choć nie ma już tłumów i bogactw, którymi niegdyś rozporządzaliśmy. Mimo to wciąż opowiadamy historie, bo wiemy: kamień nie trwa wiecznie. Słowo – może. A więc...

W początkach czasu...

Tak, tak, muszę zacząć od tej wielkiej opowieści. Opowiem to na sposób suański, najpierw większe historie, potem mniej ważne, bo tak należy to robić. Taka była umowa, prawda? Będę przemawiać i przekazywać ci moje opowieści, bo nie mam dzieci, które by je przechowały. Kiedy skończę mówić, możesz wezwać moich braci, a ja chętnie odejdę do Hananji. A więc...

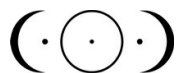
Na początku czasu Słońce był pyszniącym się prostakiem. Paradował po niebie, ogłaszając swoją wspaniałość dniem i nocą, nie zważając na to, jak krzywdzi świat w dole: rzeki wysychały, powstawały pustynie, szczyty gór stawały się wypalone, brzydkie i jałowe. Świecił tak jasno, żeby dwie Siostry Luny podziwiałały go i obdarzały swoimi łaskami. Czuwająca Luna była mała i niepozorna. Na ogół przebywała w cieniu siostry, bojąc się samotności. Obdarzała Słońce swymi łaskami, a on puszył się, bardziej niż

kiedykolwiek pewien swojej wspaniałości.

Ale Śniąca Luna była pełna i piękna. Kochała mrok i chłodne noce i czasami spoglądała w ocean, by ubarwić swą twarz czterema pasmami koloru: czerwienią krwi, bielą nasienia, żółcienią ichoru i brunatnością żółci. Nie pragnęła mieć kochanka, a zaloty Słońca wydawały się jej odrażające, więc szydziła z niego, gdy starał się ją uwieść.

Żądza odebrała Słońcu rozum i nawet Czuwająca Luna nie potrafiła dać mu zapomnienia. Szukał pocieszenia u mniejszych, młodszych Gwiazd, które czasem skłaniały się ku niemu, ale w końcu jego pożądanie stało się zbyt wielkie, by mu to wystarczało. Spadł na ziemię i zaczął się masturbować, a kiedy osiągnął szczyt, ziemia pękła, niebo się rozdarło, a wielka biała włócznia jego nasienia wytrysnęła w górę i trafiła w Śniącą Lunę. Z pękniętej ziemi wyszły rośliny i zwierzęta, które wzięły ją we władanie. Gdy Śniąca otrzymała cios, zjawili się bogowie i zapanowali na niebie.

Tak znieważona Śniąca Luna wpadła w furję. Oznajmiła, że skoro Słońce nie potrafi nad sobą zapanować, ona zapanuje nad nim. Zażądała, by przyniósł jej dary na przebłaganie i jedzenie dla dzieci, które tak bezrozumnie spłodził. Związała go z dniem, żeby mógł się puszyć, ile chciał, żeby nie irytował jej swoją głupotą. Zakazała mu wstępu na ziemię, by jego żądze nie powodowały już chaosu. Słońce pokornie poddał się tym rozkazom, gdyż Luna władała potężną magią, a on nadal jej pożądał. Jeśli był to jedyny sposób, aby się go nie wyrzekła, tak musiało się stać. Teraz żyją osobno jako mąż i żona – ona w nocy, a on za dnia. On zawsze jej pragnie, a dni stają się to krótsze, to dłuższe, gdyż Słońce stara się wstać wcześniej, zajść później, by choć na chwilę ujrzeć swoją ukochaną. Z czasem Luna polubiła go, gdyż stał się pokorny i dobrze wychowany. Od czasu do czasu wstaje wcześniej, żeby móc ją zobaczyć. Luna bardzo rzadko pozwala mu przy sobie stanąć, a wtedy on gasi swoją twarz, by sprawić jej przyjemność, i łączą się w ostrożnym miłosnym akcie. A czasami w nocy, kiedy on jej nie widzi, Luna tęskni za jego szaleństwami i sama mrocznieje. Rozjaśnia się, gdy Słońce powraca.



*Ofiaruj Hananji spokój, a Ona będzie
go śnić i odda go śpiącemu. Ofiaruj Jej
strach lub cierpienie, a wyśni je i odda to,
co dostała. Dlatego spokój jest prawem. To,
co zagraża spokojowi, jest zepsuciem.
Wojna jest największym złem.*

(Prawo)

W Gujaarehu istniała magia.

Dlatego Protektorzy ostrzegli wszystkich Kisuan. A jednak mistrz Sunandi, Kinja Seh Kalabsha, kazał jej w czasach praktyki uczyć się magii Gujaareńczyków, choć starsi kręcili głowami, a dostojni sonhowie wzdychali. Kinja nie dał się odwieść od tej decyzji. Magia była dla ludu Gujaarehu mlekiem matki. Gujaareńczycy pławili się w niej, dumni z jej dobrodziejstw, ślepi na jej konsekwencje. Nie sposób zrozumieć Gujaarehu bez zrozumienia źródła jego mocy. A zatem Sunandi uczyła się magii. Skupiała się ona na mocy uzdrawiającej, nad którą kontrolę miała Hetawa – świątynia wyznania hananjańskiego. Ale choć hananjańscy kapłani pełnili funkcję odźwiernych u wrót magii, nie stanowili jej źródła. To lud Gujaarehu tworzył magię w dzikich wybuchach wyobraźni i emocji zwanych snami; hananjanie po prostu zbierali tę dzikość i destylowali ją, by uzyskać jej czystsza, nadającą się do użycia postać. I tak Gujaareńczycy przynosili swoje koszmary i bezsensowne majaki do świątyń, gdzie kapłani zwani dawcami za ich pomocą usuwali guzy lub przyspieszali zabliznianie się ran. Czasami potrzebne było inne leczenie – na przykład żeby odrosła ucięta kończyna lub by wytrzebić chorobę, przekazywaną

z pokolenia na pokolenie. Wtedy zjawiały się hananjańskie dziwki... Nie, przerwała sobie Sunandi. Myślenie z typową dla Kisuan ironią w granicach Gujaarehu jest niebezpieczne. Tu nazywano je siostrami Hananji, choć wśród nich znajdowali się także mężczyźni w kobiecych strojach – kolejna gujaareńska osobliwość. Podczas poważnych obrządków siostry wywabiały z suplikantów Hananji najbardziej zmysłowe sny, które także przekazywano dawcom dla ogólnego pożytku.

Jeśli zaś chodzi o tych obywateli Gujaarehu, którzy byli zbyt starzy, chorzy lub samolubni, aby przynieść ofiary do Hetawy – istnieli kapłani zwani zbieraczami.

O tak, w Gujaarehu istniała magia. Tyle że kręciło się od niej w głowie.

– Boisz się – zauważył książę.

Sunandi drgnęła, wyrwana z zamyślenia. Książę uśmiechał się do niej bez śladu skruchy. Bardzo gujaareńskie zachowanie, mówić głośno o takich sprawach – pragnieniach, które powinny pozostać tajemnicą, skrywanych lękach. Książę wiedział, że Kisuanie nie mają takiego zwyczaju.

– Dobrze to ukrywasz – dodał – ale można to dostrzec. Głównie w twoim milczeniu. Aż do tej chwili byłaś tak bardzo ożywiona, że ta zmiana jest uderzająca. A może rozmowa ze mną cię nudzi?

„Gdybyż Kinja nie umarł” – pomyślała Sunandi pod maską uśmiechu. On rozumiał osobliwości i sprzeczności Gujaarehu lepiej niż ktokolwiek w Kisui. W tym kraju kwiaty kwitły nocą, a rzeki tworzyły żyzne ziemie uprawne w sercu pustyni. Tu polityka była w połowie religią, a w połowie zagadką, gdyż Prawo Hananji nawet cień korupcji karało śmiercią. I tu Sunandi odkryła, że sam Kinja także popełniał błędy, bo choć nauczył ją języka, magii i obyczajów, nie był kobietą. Nigdy nie musiał walczyć z najbardziej eleganckimi, najbardziej niebezpiecznymi urokami księcia Zachodu Słońca.

– Jestem silna, gdy potrzeba siły – odpowiedziała Sunandi. Machnęła ręką: nieco beztroski, cień kokieterii. – Zdecydowanie

potrzeba jej podczas rozmów handlowych z zhinhami. Jednak miałam wrażenie, że to spotkanie jest... – Udała, że szuka odpowiedniego gujaareńskiego słowa, choć podejrzewała, że książę w przeciwieństwie do większości swoich rodaków nie da się łatwo zwieść jej akcentowi i udawanej ignorancji. – Jak to mówicie? Mniej oficjalne. Bardziej... intymne.

– O, w rzeczy samej. – Jego wzrok śledził każdy jej ruch, uśmiech nie opuszczał jego twarzy.

Spuściła głowę.

– Zatem mogę być tu bardziej sobą. Jeśli zauważyłeś w moim milczeniu strach, zapewniam cię, że nie ma on nic wspólnego z tobą. – Uśmiechnęła się, by złagodzić ten afront. W oczach księcia błysnęło rozbawienie i zainteresowanie, jak zawsze podczas ich słownych potyczek. Nic dziwnego, że tak go pociągała; według Sunandi gujaareńskie kobiety były przesadnie skromne.

Książę wstał gwałtownie z sofy i podszedł do balustrady tarasu. Sunandi zapomniała na chwilę o subtelności, aby dyskretnie nasycić się widokiem – choć nie musiała ukrywać swojego zainteresowania. Książę poruszał się z wystudiowanym wdziękiem, jak wcielenie gracji; doskonale wiedział, że Sunandi na niego patrzy. Czarne pukle jego włosów były przeplecione złotymi walcami i sznurami drobnych pereł, a ta wspaniała grzywa otaczała twarz o nieskazitelnych subtelnych rysach, idealną, jeśli pominąć niefortunną karnację. Pozbawioną wieku, jak jego szczupłe ciało wojownika. Tu, w prywatnych komnatach, książę pozbył się bardziej dekoracyjnych kołnierzy i ozdób związanych z jego tytułem. Pozostał w prostej przepasce na biodrach i zawiązanej na biodrach opończy z piór. Te pióra szeleściły, muskając podłogę.

Książę zatrzymał się przy postumencie z tacą, przez chwilę przyglądał się jej, by się upewnić, że nie zawiera niczego niestosownego, po czym podszedł z nią do Sunandi. Ukląkł przed nią z beztruską łatwością i podał jej tacę, pochylając głowę jak służący z niskiej kasty. Na tacy leżały najróżniejsze przysmaki: chrupkie warzywa, obsypane ziarnami hekeh i morską solą, kulki z ziarna

sklejonego miodem i pachnącym olejem, paski świeżej ryby, którymi owinięto nasączone winem rodzynki. Te i inne przysmaki ułożono w równych rzędach po cztery – w sumie czterdzieści. Dla Gujaareńczyków była to szczęśliwa liczba.

Sunandi uśmiechnęła się, rozbawiona tą pełną nadziei aluzją. Po chwili zastanowienia wybrała słodką łądygę z nadzianym na nią pieczonym rzeczonym skorupiakiem. Książę pozwolił jej rozkoszować się w skupieniu słodko-słonym smakiem – był to odpowiedni sposób okazania wdzięczności, zarówno według Gujaareńczyków, jak i Kisuan. Potem Sunandi skłoniła głowę w podziękowaniu. Książę położył tacę na kolanie i zaczął podawać jej kolejne przysmaki, nie okazując ani gorliwości, ani pośpiechu.

– Kisuanie często mówią o zalotach Gujaareńczyków – powiedziała Sunandi, gdy książę wybierał kolejny kąsek. – Moich rodaków bawi, że tutejsi mężczyźni nakłaniają kobiety jedzeniem do rozkoszy. W naszym kraju jest odwrotnie.

– Jedzenie to tylko symbol – odpowiedział książę niskim aksamitnym głosem. Mówił cicho, jakby uspokajał dzikie zwierzę. – To akt ofiarowania kusi kobietę – jeśli ma się szczęście. Niektórzy ofiarowują klejnoty; shunhowie i zhinhowie wolą takie rzeczy, gdyż świadczą one o statusie. Ludzie z niższych kast dają wiersze lub piosenki. – Książę wzruszył ramionami. – Obawiałem się, że, zważywszy nasze odmienne pozycje, klejnoty wydadzą ci się łąpówką. A poezja to tak umowna sprawa... Ofiary mogą też obrazić. – Podał jej coś pachnącego gałką muskatołową. I przepyszne. – Natomiast smakołyki zaostrzają apetyt.

Sunandi oblizwała wargi, rozbawiona.

– Ciekawe, jaki apetyt?

– Oczywiście kobiety. Mężczyźni nie potrzebują wielkiej podniety. – Książę uśmiechnął się skromnie. Sunandi z trudem powstrzymała się od przewrócenia oczami ze zniecierpliwieniem. – A my, Gujaareńczycy, czcimy nasze kobiety.

– Tak jak swoją Boginię?

To pytanie trąciło bluźnierstwem, ale książę tylko się roześmiał.

– Kobiety są boginiami – odpowiedział. Sunandi otworzyła usta, a on położył jej na języku kolejny kąsek, który rozpułynał się w rozkosznej mieszance smaków. Zamknęła oczy i westchnęła, mimo woli zachwycona. Kiedy je otworzyła, uśmiech księcia był szerszy.

– Rodzą i wychowują śniących tego świata. Czy istnieje lepsza metoda uwodzenia niż uwielbienie?

– Dopóki nie dopniecie swego. Wtedy wasze boginie wracają do rodzenia dzieci i prac domowych.

– Otóż to. Honorowi mężczyźni nadal składają im ofiary, choć teraz są to nocne rozkosze i pomocne narzędzia, a nie zbytki. – W jego oczach skrzyło się rozbawienie, jakby wiedział, jak bardzo ją drażni. – Dlatego musisz wybaczyć moim dworzanom i doradcom, jeśli zachowują się niezręcznie, konferując z tobą jako Głosem Kisui. Według nich powinnaś przebywać w bezpiecznym schronieniu kuchni jakiegoś mężczyzny, obdarzona uwielbieniem, które ci się po prostu należy.

Roześmiała się, lecz nie tak subtelnie jak on.

– Byliby niezadowoleni, gdyby zastali mnie tu z tobą?

– Wątpię. Miłosne spotkanie mężczyzny i kobiety ma dla nich o wiele więcej sensu niż ich spotkanie w interesach.

Gdy Sunandi uprzejmie podziękowała za kolejny poczęstunek, książę odstawił półmisek i wziął ją za rękę, zmuszając do wstania. Pozwoliła się podnieść, ciekawa, jak daleko się posunie.

– A nawet – dodał książę – byliby zadowoleni, gdybym uwiódł Głos Kisui. Niewątpliwie spodziewają się, że stałabyś się bardziej uległa po dniu i nocy składania ekstatycznych snów ofiarnych Hananji. – Wzruszył jednym ramieniem. – Nie rozumieją cudzoziemek.

Dzień i noc. Na Ręce Mnedzy, ależ on się wysoko cenił!

– Rozumiem – powiedziała z niewzruszoną miną. Książę nie zrobił

żadnego ruchu, by ją do siebie przyciągnąć, tylko trzymał ją za rękę i patrzył jej w oczy. Odwzajemniła jego spojrzenie bez drżenia, zastanawiając się, co w takiej sytuacji zrobiłaby Gujaarenka. Książę miał dziwne oczy: przejrzyste, jasnobrązowe, jak polerowany bursztyń z wysokich lasów za morzem. Jego skóra miała niemal taki sam odcień – nie szpetny, lecz z całą pewnością niestosowny dla kogoś szlachetnie urodzonego. Zdumiewające, że Gujaareńczycy pozwalali, by królewską krew skaziła krew Nordów.

Postanowiła się z nim podroczyć.

– A ty rozumiesz kobiety z obcych krajów?

– Mam dwieście pięćdziesiąt sześć żon – odparł głosem drżącym z rozbawienia. – Potrafię zrozumieć każdą kobietę.

Znowu się roześmiała i po chwili zastanowienia podeszła bliżej. Natychmiast wzmocnił uścisk, przyciągnął ją jeszcze bliżej, aż musnęła piersiami jego pierś. Pochylił się, przytulił policzek do jej policzka. Pachniał drewnem sandałowym i kwitnącą łąką luny.

– Bawię cię, Sunandi Jeh Kalawe? – W jego głosie pobrzmiwała ledwie słyszalna ostra nutka; żądza nie dawała mu o sobie zapomnieć, ale nad nią panował.

– Jestem kobietą, panie – odparła tym samym tonem co on. – Wszyscy mężczyźni mnie bawią.

Książę zaśmiał się cicho – jego oddech połaskotał jej ucho – i pociągnął ją w stronę sofy, nie pozwalając jej się oddalić.

– Przekonasz się, że nie przypominam żadnego ze znanych ci mężczyzn.

– Z powodu twojego wielkiego doświadczenia? – Starannie sformułowała to pytanie. Wiedziała, że książę wyczuje, o co jej chodzi, ale zostawiła mu wyjście bezpieczeństwa. Miał dwieście pięćdziesiąt sześć żon i wymagano od niego, żeby je wszystkie zadowolili. Był też o wiele starszy, niż na to wyglądał. Nikt nie znał jego dokładnego wieku, lecz jego panowanie w Gujaarehu trwało ponad trzydzieści powodzi, a on nie wyglądał na starszego nawet o dzień. Jego ród słynął z długowieczności, która podobno była

darem potomków Słońca.

Ale księżę tylko usiadł na sofie i pociągnął Sunandi za sobą. Puścił jej ręce dopiero, kiedy zajęła miejsce obok niego, a wtedy chwycił ją za biodra.

– Dlatego że jestem inkarnacją Hananji – powiedział, a jego złote oczy stały się drapieżne jak oczy lwa – i dam ci piękne sny.

Gdy zakończyli swoje sprawy i księżę zasnął, Sunandi wstała z sofy, by zająć się sobą w pokoju kąpielowym. Uważała, żeby poznawanie apartamentu księcia ograniczyć do tego, co znajdowało się na widoku, nie mogła bowiem przewidzieć, kiedy księżę się zbudzi i przyjdzie jej szukać – a mógł już ją podejrzewać. Choć nie spodziewała się znaleźć niczego ciekawego, jej uwagę przykuł gabinet, w którym trafiła na przyśrubowaną do stolika żelazną, najeżoną skomplikowanymi wschodnimi zamkami kasetę. To tu, uświadomiła sobie z dreszczem. Tajemnica, dla której przyjechała do Gujaarehu, była tutaj.

Ale Sunandi nie podeszła do kasety. Jeszcze nie. Najprawdopodobniej otaczały ją niebezpieczne pułapki: Gujaareńczycy je uwielbiali. Wróciła zatem na taras, gdzie z pewnym niepokojem przekonała się, że księżę już się obudził. Był przytomny, jakby wcale nie spał. Czekał na nią.

– Znalazłaś coś interesującego? – Uśmiechał się jak sfinks. Odpowiedziała tym samym.

– Tylko ciebie – oznajmiła i znowu położyła się przy nim.

Do swojego mieszkania wróciła późno – gdy Śniąca minęła zenit. Księżę nie dotrzymał obietnicy o dniu i nocy rozkoszy, ale i tak sprawdził się budząca szacunek liczbę razy. Wystarczającą, o czym świadczył przyjemny dyskomfort, który już odczuwała. Wyszła z wprawy; rano ból pewnie stanie się dokuczliwy.

Ale ledwie przekroczyła próg swojego domu, gdzie czekała na nią

Lin, skupiła się na ważniejszych sprawach.

Niewielu Gujaareńczyków zwracało uwagę na to chude płowowłose dziecko pomiędzy paziami w świetle Sunandi. W Gujaarehu często spotykało się młodych, w których żyłach płynęła krew Nordów, a w każdym razie wielmożowie z obu krajów lubili trzymać na dworze paru cudaków dla swojej rozrywki. Bawiło ją, że ludzie sądzą, iż ona także to robi.

– Długa audyencja, pani – odezwała się dziewczynka. Mówiła w sua, ponieważ były same. Leżała w fotelu w kącie; jej figlarna buzia nie śmiała rozjaśnić się w uśmiechu.

– Książę był tak uprzejmy, że nauczył mnie paru gujaareńskich obyczajów, o których zapomniał mistrz Kinja.

– Ach... zatem to cenna lekcja. Czy wiele się nauczyłaś?

Sunandi westchnęła, padając na obitą zamszem ławę, która przypomniła jej o sofie księcia. Nie była jednak tak wygodna – obolałe miejsca dały jej o sobie znać.

– Nie tak wiele, jak chciałam. Ale przyszłe spotkania mogą się okazać bardziej wartościowe.

– Ma aż taką wiedzę? Mam sugestię, pani: spytaj go *przed* rozpoczęciem lekcji.

Sunandi spojrzała przeciągle na Lin.

– Bezcelne stworzenie. Pewnie coś znalazłaś, skoro jesteś tak nieznośnie zadowolona z siebie.

W odpowiedzi Lin uniosła rękę. Na jej dłoni leżał maleńki zwój, nie dłuższy od jej palca wskazującego. Sunandi wyprostowała się z zainteresowaniem; Lin podeszła – nie wychodząc z cienia i omijając otwarte okno, jak zauważyła Sunandi. Zapamiętała, żeby później zastanowić się nad tą osobliwością, i chwyciła zwój.

– Znalazłaś!

– Tak, 'Nandi. To charakter pisma mistrza Kinji, przysięgam, i... – Dziewczynka zawahała się, znowu spojrzała na okno. – Opisuje sprawy, których żaden Gujaareńczyk nie powierzyłby zwojom.

Sunandi spojrzała na nią ostro. Minę miała wyjątkowo ponurą.

– Jeśli sprawa jest aż tak poważna, prześlę ten zwój do Kisui. Ale jeszcze nie jestem pewna, na ile można ufać dawnym informatorom Kinji... zwłaszcza Gujaareńczykom. – Westchnęła z rozdrażnieniem.
– Może będziesz musiała wyjechać.

Lin wzruszyła ramionami.

– I tak już mi się tu nudzi. Za sucho tutaj, a od słońca robię się czerwona. Ciągłe mnie wszystko swędzi.

– Narzekasz jak dama z wysokiej kasty – powiedziała Sunandi. Otworzyła zwój i przebiegła wzrokiem pierwsze nagryzmołone symbole, tłumacząc szyfr w myślach. – Zaraz zaczniesz żądać, żeby służące natarły ci oliwą ten twój rozpuszczony zadek – bezczelne słońce!

Lin drgnęła.

– Nie tak głośno! Zapomniałaś, że tu nie ma drzwi?

– Gdzie to znalazłaś?

– Tu, w pałacu. W gabinecie generała Niyesa. Tak, wiem. Ale chyba nic się nie stało. Generał chciał mieć parę przedmiotów należących do mistrza Kinji, bo byli przyjaciółmi. Jedną z ozdobnych masek. Chyba nie zauważył podwójnego dna.

Sunandi czytała dalej. Ręce zaczęły jej drżeć. Zwój nie był długi; Kinja zmieścił wiele informacji na niedużej przestrzeni.

Skończyła i usiadła, oparta plecami o ścianę. W głowie jej się kręciło, serce ścisnęła spóźniona rozpacz. Kinja został zamordowany. Podejrzewała to, ale potwierdzenie przyniosło jej gorycz. Gujaareńczycy nazywali to konwulsjami serca – coś tak szybkiego i gwałtownego, że nawet ich magia nie potrafiła tego uleczyć. Ale Sunandi wiedziała, że istnieją również trucizny, które potrafią spowodować taki stan, a także inne sposoby, by śmierć wyglądała na naturalną. Tu, w Gujaarehu, gdzie sypialni broniły tylko dobre obyczaje i zasłony, zabójstwo byłoby proste. I dlaczego nie – skoro Kinja odkrył to, co odkrył? Potwory w mroku. Magia tak ohydna, że nawet skorzy do zabójstw kapłani wyrzekliby się jej...

gdyby kiedykolwiek się o niej dowiedzieli. Najwyraźniej ktoś dopilnował, aby tak się nie stało. A teraz Sunandi poznała te tajemnice. Nie wszystkie, na pewno nie, lecz wystarczająco wiele, żeby narazić swoje życie tak jak Kinja.

Lin podeszła bliżej z zatroskaną miną. Sunandi uśmiechnęła się do niej ze smutkiem, wyciągnęła rękę, by pogłaskać rzadkie przylizane włosy dziewczynki. Jej siostry z wyboru, jeśli nie prawem krwi. Kinja nie adoptował Lin tak jak Sunandi – cudzoziemcy nie mieli statusu prawnego w Kisui – ale Lin przez lata udowodniła swoją wartość. Teraz wyglądało na to, że będzie musiała to zrobić jeszcze raz. Miała zaledwie trzynaście lat... i tylko ona z całej delegacji mogła uciec z pałacu i miasta, nie alarmując Gujaareńczyków. Dlatego Sunandi zabrała ją ze sobą, wiedząc, że nikomu nie przyjdzie do głowy, iż Kisuancka powierzyła bezcenne informacje dziecku z północy. A Lin nie była niedoświadczoną nowicjuską; od lat walczyła samotnie o życie na ulicach stolicy Kisui. Z pomocą ich kontaktów mogła przetrwać tę podróż.

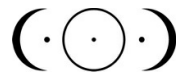
Pod warunkiem że wrogowie Sunandi nie wiedzieli, po co została przysłana. Ani że Kinja lubił znajdować i kształcić utalentowane dzieci. Pod warunkiem że zwój nie był przynętą.

Pod warunkiem że nie wysłali Kosiarza.

Zadrzała. Lin odczytała jej minę i skinęła głową. Wyjęła zwój ze zdrtwiałych palców Sunandi, zwinęła go na powrót i schowała w fałdach lnianej spódnicy.

– Mam wyruszyć dziś czy zaczekać do święta Hamyan? – spytała.
– To oznacza dwudniową zwłokę, ale może wtedy łatwiej będzie mi się wymknąć z miasta.

Sunandi miała ochotę się rozpłakać. Przygarnęła Lin i przytuliła ją mocno, a w myślach wypowiedziała modlitwę w nadziei, że ta obłąkana suka Hananja jej nie usłyszy.



*Dziecko kobiety może mieć czworo lub
ośmioro rodzeństwa.*

Dziecko Hetawy ma ich tysiąc.

(Mądrość)

Istnieje wiele uczuć, których można doznać, gdy otoczy cię czterech najlepszych wartowników Hetawy, doszedł do wniosku Nijiri. Przede wszystkim zdecydowanie strach – o, to czuł w dużym natężeniu, włącznie z kwaśnym smakiem w ustach i ze spoconymi dłońmi. Ale oprócz strachu i paniki na myśl o biciu, jakie ci ludzie niemal z całą pewnością mu wymierzą, zanim z nim skończą, poczuł coś nowego i zaskakującego: radosne oczekiwanie.

Brak uczuć nie jest ideałem. Nijiri oblizał usta, niemal słysząc cichy jak noc głos zbieracza Ehiru. On zawsze wiedział, co powiedzieć, kiedy Nijiri przychodził do niego z chłopięcymi żałami. Doskonałością jest panowanie nad uczuciami. Nawet my, zbieracze, czujemy i rozkoszujemy się tymi doznaniem, kiedy nas spotykają, gdyż są nieczęstymi błogosławieństwami.

Czy pragnienie, by wgnieść twarze przeciwników w piasek, naprawdę jest błogosławieństwem? Nijiri wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zastanowi się nad tym później.

Wartownik Mehki zerknął na wartownika Andata. W jego obwiedzionych kohlem oczach błysnęło rozbawienie.

– Akolita Nijiri chce chyba zawrzeć pokój, bracie ścieżki.

– Hmm... – Andat także się uśmiechał. Wdzięcznie i bez wysiłku obrócił w palcach jednej ręki kij do fechtunku. – Zdaje się, że akolita Nijiri pragnie bólu. Pewnie jest w tym jakiś spokój.

– Podzielcie się nim ze mną, bracia. – Nijiri westchnął, kucając w niskim przysiadzie, gotowy. Po tych słowach rzucili się na niego.

Nie czekał na ich kije. Nikt nie potrafił odparować ani znieść ciosów czterech uzbrojonych wartowników. Przypadł do ziemi, by stać się mniejszym celem i umknąć poza strefę ich najszybszej reakcji. Jednak i oni mieli sprawne nogi; ledwie umknął przed kopniakiem wartownika Harakhy, przetaczając się nad jego stopą. Dzięki temu znalazł się poza kręgiem strażników i zmusił ich, by się odwrócili. To dało mu bezcenny ułamek sekundy na opracowanie strategii.

Harakha. Jako najmłodszy z czwórki jeszcze nie zdążył nauczyć się spokoju, jaki przystoi wartownikowi. Był niebezpieczny; każdy wartownik, który przetrwał okres nauki, musiał być niebezpieczny. Ale Nijiri parę razy przyglądał mu się w walce i zauważył, że kiedy przeciwnik uskakiwał przed jego ciosem, Harakha na sekundę tracił równowagę, jakby wstrząśnięty swoim niepowodzeniem. Dlatego Nijiri podciął mu nogi najpierw jedną, potem drugą stopą, raz po raz obracając się na przedramionach. Zmusił Harakhę do odskoczenia. Pozostali przeciwnicy szybko się przegrupowali, żeby uniknąć wirujących nóg Nijiriego i nie wpadać na siebie. Dokładnie o to mu chodziło. Wówczas gdy Harakha wystarczająco się rozgniewał i dźgnął kijem w głowę Nijiriego, ten złączył nogi i potoczył się... w stronę Harakhi. Przeturlał się pod jego kijem, którego czubek uderzył w ziemię i na ułamek chwili ugrzązł w piasku. Nijiri kopnął, celując w dłoń Harakhi. Nie trafił, gdyż jego przeciwnik w ostatniej chwili zorientował się, co się dzieje, i odskoczył, odpłacając mu wściekłym kopniakiem, który Nijiri zniósł ze stęknieniem, przetaczając się dalej. Ból był małą ceną, bowiem udało mu się osiągnąć cel: Harakha zatoczył się do tyłu o krok za dużo, jak zwykle zbyt gwałtownie reagując na to, że niemal stracił broń. Przez to trzej pozostali wartownicy musieli się poruszać gwałtowniej, bez gracji, by uniknąć niezdarnego młodszego brata.

Odwrócenie uwagi to najlepszy przyjaciel zbieracza. Nijiri

przetoczył się na czworaki, rzucił się naprzód i uderzył dłonią w łydkę Mekhiego. Trudno znaleźć duszę w kończynie, a jeszcze trudniej na tyle uspokoić myśli, by przystąpić do narkomancji, ale może...

Mekhi zachwiał się i upadł na ziemię z jękiem. Był tylko oszołomiony, ale Nijiri nie mógł się spodziewać niczego więcej po przytomnym, czujnym mężczyźnie, którego krew rozgorzała w walce. Jednak gdy Mekhi upadł, Harakha syknął i niemal potknął się o jego kij. Nijiri wstał za nim niczym cień; Harakha zbyt późno uświadomił sobie, że grozi mu niebezpieczeństwo. Nijiri zdążył już dotknąć dwoma palcami jego karku, wysyłając wzdłuż jego kręgosłupa senną żółć niczym zimną wodę, odrętwiającą wszystko, czego dotknęła. Harakha stracił przytomność, choć jego ciało wciąż się poruszało. Obracał się, dopóki nie upadł na ziemię z takim rozpędem, że po dojściu do siebie będzie niewątpliwie przeklinał Nijiriego. Zadowolony Nijiri odwrócił się do Mekhiego, który usiłował odpełznąć na bok, dopóki jego błędzący po labiryntach snu umysł nie oprzytomnieje. Nijiri wyciągnął dwa palce i skoczył na niego, nucąc pieśń swojej jungissy... lecz zaraz skamieniał, kiedy tuż przed jego twarzą zawisł czubek kija. Kolejny kij, lekki jak dotyk kochanki, spoczął na jego krzyżu. To tylko ćwiczenia, przypomniał sobie, usiłując przywołać spokój (bez skutku). To tylko próba... ale widział już, jak wartownicy przebijają ludzi na wylot, posługując się jedynie siłą mięśni i umiejętnością uderzenia pod odpowiednim kątem, dzięki czemu tępe kije stawały się ostre jak włócznie o szklanych grotach. A Andat lubił ranić, kiedy uważał, że Nijiri nie dał z siebie wszystkiego, chcąc zachęcić go do większej pilności.

– Dobrze – powiedział Andat, który trzymał kij przed jego twarzą. Oznaczało to, że za nim stał wartownik Inefer. Nijiri pokonał dwóch przeciwników, lecz został schwytany przez dwóch najbardziej doświadczonych. Czy to wystarczy, aby zdać test? Powinienem był zostawić Mekhiego; nie stanowi zagrożenia. Należało załatwić najpierw któregoś z pozostałych, należało...

– Bardzo dobrze – przyznał Andat, a Nijiri z ulgą zrozumiał, że

mężczyzna jest naprawdę zadowolony. – Dwóch. W dodatku jesteś nieuzbrojony, a my spodziewaliśmy się ataku. Ucieszyłbym się, gdybyś pokonał choćby jednego.

– Ale to i tak byłby Harakha – odezwał się z niesmakiem Inefer za plecami Nijiriego. – Niezdarny, niespokojny głupiec.

– Poddamy go musztrze i się nauczy – powiedział Andat od niechcienia, a Nijiri wbrew samemu sobie skrzywił się ze współczuciem.

Kij Inefera uniósł się z jego pleców.

– Teraz ważniejsze są inne sprawy – oznajmił Andat, spoglądając na balkon nad ringiem. Nijiri podążył za jego spojrzeniem i na nowo stężał ze strachu, gdyż na balkonie stał ironicznie uśmiechnięty zwierzchnik Hetawy. Towarzyszyli mu dwaj mężczyźni w luźnych szatach bez rękawów i z kapturami z szarawobiałego płótna – nie widział ich twarzy, a z tego miejsca nie mógł dostrzec tatuaży na ich ramionach, ale znał ich sylwetki na tyle, by ich rozpoznać – a także trzeciego mężczyznę, który powinien się znaleźć wśród nich, lecz nigdzie nie było go widać. Nijiri powstrzymał zmarszczenie brwi i wstał, aby odpowiednio pozdrowić swoich braci.

– To powinno wystarczyć – oznajmił zwierzchnik. – Wartowniku Andat, jesteś zadowolony?

– Tak – odpowiedział Andat. – Mówię również w imieniu moich braci ścieżki. Każdy, kto potrafi pobić dwóch z czterech wartowników, ma w zupełności wystarczające umiejętności, by wykonywać wolę Bogini poza murami Hetawy. – Spojrzał z uśmiechem na Nijiriego. – Nawet jeśli wybierze złą ścieżkę. Niestety.

– Rozumiem. Dziękuję. – Ciemne oczy zwierzchnika przeszyły Nijiriego, który z trudem powstrzymał chęć, żeby zasłonić twarz lub przeprosić za swój niespokojny wygląd. Nadal był zdyszany, zlany potem i ubrany tylko w przepaskę na biodrach. Miał wrażenie, że jego serce zrobiło sobie z jego mostka bęben. Ale dobrze się spisał; nie miał powodu się wstydić.

– Zatem pójdź, akolito Nijiri – przemówił zwierzchnik... i zamilkł, a jego ciemne oczy zwięzło rozbawienie. – Czy raczej dotychczasowy akolito.

Nijiri usiłował się nie uśmiechnąć. Nie udało mu się.

– Idź się umyć – dodał zwierzchnik, na tyle podkreślając ostatnie słowo, że radość Nijiriego zmieniła się w zażenowanie. – O zachodzie przyjdź do Sali Błogosławieństw. – Nie dodał „by złożyć przysięgę zbieracza”, jednak Nijiri i tak to usłyszał i na nowo się rozradował. Potem zwierzchnik odwrócił się i skierował do swoich komnat. Dwaj zakapturzeni mężczyźni bez słowa podążyli za nim.

– Szybko poszło – mruknął Mekhi, który stanął obok niego, rozcierając z grymasem kark. Nadal poruszał się sztywno i potrząsał ręką, jakby mu zdrętwiała. Nijiri uniósł dłoń wnętrzem do dołu i skłonił się nad nią ze skruchą; Mekhi machnął lekceważąco ręką.

– Obie strony spisały się doskonale – orzekł Andat, choć on także zrobił przeproszający gest, aby nikt go nie podejrzewał o urazę. – Zatem idź, chłopcze. Gratulacje.

To słowo sprawiło, że wszystko stało się prawdziwe. Nijiri uśmiechnął się rozradowany, złożył pospieszny ukłon trzem mężczyznom i odszedł tak szybko, że prawie biegł, w cichy mrok Hetawy.

Kąpiel dodała mu nowego wigoru, a chłodna woda podziałała jak balsam po starciu w popołudniowym dusznym żarze. W komnacie kąpielowej nie było nikogo oprócz niego, choć gdy wrócił do małej celi, którą dzielił z trzema innymi akolitami, przekonał się, że wieści już się rozeszły. Na jego leżance zostawiono cztery podarunki na drogę. Pierwszym było małe, ładnie zdobione emalią lusterko, które prawdopodobnie dał mu przyjaciel z pokoju... Tak, te kwiaty były roboty Talipy, wszędzie by je rozpoznał. Talipa został zabrany z rodziny garncarzy. Drugim podarkiem był mały komplet obrączek z grawerowanymi oficjalnymi symbolami modlitewnymi. Piękna

robota, prawdopodobnie autorstwa Moramala, starszego akolity. Ten prezent Nijiri odłożył na bok.

Jako zbieracz potrzebował biżuterii, gdyż zbieracze poruszali się wśród wiernych incognito – lecz i tak nie był to przydatny podarunek. Niestety.

Trzecim prezentem był słoiczek pachnącego olejku. Nijiri powąchał go i omal nie upuścił ze zdziwienia. Mirra. Czy to możliwe? Ale tego zapachu nie można było z niczym pomylić. Tak kosztowny dar mógł pochodzić jedynie od któregoś z przyszłych braci ścieżki. I bez wątpienia chyba w ten sposób akolici dowiedzieli się o jego szczęściu; ten, któremu zlecono przynieść dar do celi Nijiriego, natychmiast rozplotkował o tym na prawo i lewo. Nijiri uśmiechnął się do siebie.

Czwartym podarunkiem była maleńka statuetka Słońca w jego ludzkiej postaci, wyrzeźbiona w czarnodrzewie i wypolerowana do połysku – włącznie z okazałym sterczącym penisem, nieodzownym w każdej podobiznie Słońca. Był to podarunek popularny wśród kochanków.

Wściekły Nijiri rzucił posążkiem tak mocno, że roztrzaskał go na cztery kawałki.

Cała radość ze zdania ostatniego egzaminu została skażona tym ordynarnym nieprzemyślanym podarunkiem. „Co powiedzą o tym inni akolici?” – pomyślał z goryczą. Ale zbliżał się zachód słońca. Nijiri musiał się spieszyć, żeby nie spóźnić się na własne zaprzysiężenie. Dlatego stłumiwszy furję, chociaż się jej nie pozbywszy, pospiesznie ubrał się w zwykłą przepaskę biodrową i sandały i poświęcił nieco czasu na naniesienie kropli mirry i podkreślenie oczu kohlem. Nie wypadało wyglądać na zanedbanego czy też niezadowolonego z darów nowych braci.

Sala Błogosławieństw – potężne piękne pomieszczenie z piaskowca i granitu ze srebrnymi żyłkami, stanowiące wejście do kompleksu zabudowań Hetawy – zwykle była otwarta dla społeczeństwa. Jako główna świątynia Hananji w Gujaarehu i jedyna znajdująca się w obrębie murów stolicy, Hetawa wyróżniała

się tym, że mieszkali w niej jedynie kapłani, akolici i dzieci oddane pod opiekę Bogini. Świeccy służący Hananji mogli gościć w murach świątyni, lecz nie przebywali w niej na stałe. Mniej ważnym aspektem działalności Hetawy służyły inne części miasta: szkoły do uczenia dzieci snu, Prawa i Mądrości, pisanie i hieroglifów, magazyny do przechowywania danin płaconych pieniędzmi i towarami i inne. I tak w wyznaczonych godzinach, za dnia i o świcie, sala otwierała się dla licznych wiernych, którzy pracowali nocą i przychodzili tu, by wykonać ważną hananjańską pracę. Oddawali Bogini swoje modlitwy i sny, składali zlecenia na uzdrowienie lub zbiór krewnych bądź też uzyskiwali leczenie dla siebie. W ten sposób cały Gujaareh znajdował spokój. Lecz o zachodzie słońca sala zamykała się przed wszystkimi – z wyjątkiem tych w wielkiej potrzebie – by ścieżki sług Hananji mogły się połączyć w komunii z Boginią Snów.

Nijiri zastał zwierzchnika czekającego na kilkupiętrowym podniesieniu na środku sali. Po jego obu stronach stali ci sami dwaj zbieracze... a za nimi, wyżej, wznosił się gigantyczny posąg z nocnego kamienia – statua Hananji we własnej osobie. Nijiri wbił w nią wzrok, chcąc, by jej widok napełnił go uniesieniem: Jej wyciągnięte ręce, Jej czerń usiana białymi plamkami, Jej nieustannie zamknięte oczy, gdy Bogini śniła niekończące się królestwo Ina-Karekh.

Królestwo, które wkrótce będzie należeć do niego.

Takie myśli w końcu uspokoiły jego ducha i kiedy dotarł do podniesienia i skłonił się nad dłońmi, skierowanymi spodem do ziemi, poczuł się znowu pewny siebie i spokojny.

(Ale gdzie, zastanowił się ponownie, jest zbieracz Ehiru? Może wyjechał w sprawach Hetawy? Nijiri z trudem opanował rozczarowanie).

Zapadła cisza, wyważona i głucha. Gdy minął stosowny czas, zwierzchnik odezwał się tymi słowami:

– Unieś głowę, akolito. Musimy o czymś porozmawiać.

Nijiri spojrział na niego z zaskoczeniem. Czy to część rytuału zaprzysiężenia? Dwaj mężczyźni stojący po obu stronach zwierzchnika także podnieśli głowy i zdjęli kaptury.

– Twój związek z nauczycielem Ominem – powiedział wyższy, Sonta-i, o martwych oczach i szarej jak popiół skórze, najstarszy na ścieżce zbieraczy. – Wyjaśnij to.

Nijiri skamieniał. Stał zapatrzony w Sonta-i, zbyt osłupiały, żeby poczuć przerażenie.

– Proszę, wyjaśnij – odezwał się drugi mężczyzna z uśmiechem, jakby to mogło złagodzić cios. Był tęższy, młodszy i bardziej rumiany niż Sonta-i. Z koka na czubku jego głowy wymykały się miedziane kędziorki, oczy miały odcień brązu, który w popołudniowym słońcu mienił się czerwienią. Nawet tatuaż na jego ramieniu – mak o czterech płatkach – miał barwę krwi, podczas gdy nocny mrocznik Sonta-i był w kolorze indygo. Zbieracz Rabbaneh, którego Nijiri zawsze uważał za bardziej życzliwego niż Sonta-i. Aż do dziś. Ominie, ty beznadziejny, pożądlivy głupcze. Nijiri zamknął oczy, a przez głowę przebiegły mu najbardziej niespokojne myśli. Gniew zawsze stanowił jego słabość, z którą walczył najbardziej. Ale teraz nie potrafił go opanować, bo jeśli za szaleństwo Omina będzie musiał zapłacić rezygnacją z celu, do którego dążył przez dziesięć lat...

– Nie ma żadnego związku – warknął, spoglądając mężczyznom w oczy. Twarz Sonta-i pozostała niewzruszona, Rabbaneh uniósł brwi, zdziwiony tonem Nijiriego. Zwierzchnik wyglądał na pogrążonego w żalu – z czego Nijiri wywnioskował, że mu nie wierzy. A to go jeszcze bardziej rozgniewało. – Choć nie przez brak starań nauczyciela.

– Tak? – odezwał się zwierzchnik bardzo cicho.

Nijiri zmusił się do wzruszenia ramionami, choć daleko mu było do nonszalancji.

– Nauczyciel zaproponował mi przysługę w zamian za przysługę. Odmówiłem.

– Wyjaśnij to dokładnie, akolito. Kiedy się to zaczęło? Jakie przysługi zostały zaproponowane i czego w zamian oczekiwał nauczyciel?

– Zaczęło się, gdy opuściłem Dom Dzieci. W dniu, kiedy zgłosiłem się do niego jako akolita, miał mnie przepytwać z liczbowych hieroglifów. Uznał, że moja wiedza jest dostateczna, lecz miał wiele uwag odnośnie do mojej twarzy, oczu, ruchów. Powiedział, że jestem bardzo ładny, choć wyglądam na kogoś z niskiej kasty. – Nijiri opanował chęć, by skrzywić się na wspomnienie tamtego dnia i tego, jak się wtedy czuł: poniżony, słaby, przejęty obrzydzeniem i strachem. Ale ten strach się zmniejszał, im dłużej Omin na niego naciskał. Nijiri zaczął odczuwać gniew, a gniew zawsze dodawał mu sił. Odetchnął głęboko i powiedział:

– Zwierzchniku, teraz muszę powiedzieć o tym, o czym się nie rozmawia.

Zwierzchnik drgnął. Uśmiech Rabbaneha nie zniknął, lecz stał się twardszy, jak wykuty w kamieniu. Sonta-i nie zareagował, ale gdy się odezwał, w jego głosie słyhać było wyraźnie nowy chłód.

– Sugerujesz, że Omin składał ci obietnice związane z ceremonią pranje.

– Niczego nie sugeruję, zbieraczu. – Nijiri widział, jak trzech mężczyzn powoli przyjmuje ten fakt do wiadomości. Zobaczył też w zmarszczeniu ich brwi i zaciśnięciu ust decyzję o śmierci Omina. Przez chwilę poczuł wyrzuty sumienia. Ale Omin sam ściągnął na siebie ten los – a Nijiri musiał dbać o własną przyszłość.

– Mów dalej – rozkazał Sonta-i.

– Nauczyciel zaproponował mi ochronę przed doroczną selekcją asystentów pranje. W zamian stwierdził jasno, że mam asystować jemu – o świcie w jakimś opuszczonym korytarzu w Sali Nauczycieli. Nie znam tego miejsca, bo mu odmówiłem, ale powiedział, że chodził tam z innymi akolitami i że nikt nam tam nie będzie przeszkadzać.

Zwierzchnik wymamrotał coś pod nosem w sua; Nijiri, który

z trudem porozumiewał się w tym języku, nie zrozumiał. Rabbaneh wydał przeciągłe westchnienie. W jego przypadku był to odpowiednik wrzasku furii pustynnego niebnika.

– A dlaczego nie przyjąłeś tej oferty?

– Nie boję się pr... tego, o czym nie rozmawiamy. – Nijiri przeklął się w duchu za tę pomyłkę. Chciał się prezentować jako chłodny i opanowany sługa Hananji, a nie trwożne dziecko. – Dlaczego miałbym szukać ochrony przed czymś, czego się nie boję?

Zbieracze spojrzeli na siebie. Nie zamienili ani słowa – w każdym razie Nijiri niczego nie zauważył. Krążyła plotka, że zbieracze potrafią jakoś rozmawiać przez sny na jawie. Nagle, jakby w jakiejś niemej kłótni, Sonta-i odwrócił się od swojego brata ścieżki i zwierzchnika i zszedł z podniesienia. Powoli, miarowym złowieszczym krokiem okrążył Nijiriego, który musiał zebrać całą siłę woli, żeby nadal czuć gniew i nie zdradzać skrepowania.

– Nie boisz się? – spytał Sonta-i.

Do tej pory się nie bałem.

– Nie, zbieraczu.

– W zeszłym roku umarł pewien akolita. Podczas asystowania zbieraczowi w pranje. Wiedziałaś o tym? – Sonta-i nie patrzył na Nijiriego, i to było najgorsze. Jego wzrok musnął kolumny oplątane pnączami łyzy luny, kobierce, gwiazdziste kolana Hananji. Nijiri nie zasłużył nawet na tyle uwagi.

Nijiri nie odwrócił się do Sonta-i, choć włosy jeżyły mu się na karku, gdy zbieracz zniknął mu z oczu.

– Słyszałem plotki. Nie twierdzę, że nie znam strachu. Boję się wielu rzeczy. Ale śmierć do nich nie należy.

– Okaleczenie. Gwałt. Udręka. Rozpacz. Wszystko to może nastąpić, kiedy akolita asystuje zbieraczowi podczas pranje.

Sonta-i urwał niespodziewanie, z wielką uwagą przyglądając się kwiatu łyzy luny. Nijiri nie widział, co przyciągnęło jego uwagę. Pewnie nic.

– Jestem tego świadomy. Dwa razy uczestniczyłem w pranje...

Ale nic się nie wydarzyło, godziny nudy. Siedział wśród dawców, niemal równie znudzonych jak on. Dawcy przechodzili próbę pranje tylko raz na cztery powodzie i nikt nie pamiętał, kiedy ostatnio któryś nie zdał. Nijiri nie kształcił się po to, żeby służyć dawcom!

Nagle Nijiri skamieniał, bo Sonta-i odwrócił się i przeszył go tak samo przenikliwym wzrokiem jak przed chwilą kwiat.

– Nie odmówiłeś nauczycielowi z poczucia przyzwoitości. Odmówiłeś mu z powodu dumy.

To nie było pytanie. Nijiri nie czuł potrzeby, żeby zaprzeczać. Wiedział, że nigdy nie był pokorny.

– Tak, pragnąłem być zbieraczem.

– Akolito – przemówił zwierzchnik zza pleców Sonta-i. Miał zmęczony głos. Nijiri nie ośmielił się oderwać spojrzenia od jego szarych oczu. Nie bał się śmierci, lecz Sonta-i wydawał mu się jakoś gorszy od niej. – Właśnie powiedziałaś, że nie przejmujesz się przyzwoitością.

– Tak, zwierzchniku. – Chłopak oblizał usta; oczywiście tylko po to, żeby mówić wyraźniej, wyłącznie dlatego. – Uważałem, że jeśli chodzi o potajemne romanse, akolita, który chce zostać zbieraczem, zasługuje na kogoś lepszego niż jakiś pożądlivy, niezdiscyplinowany nauczyciel.

Z ogromną ulgą usłyszał śmiech zaskoczonego Rabbaneha i jęk zwierzchnika. Jednak Sonta-i pochylił się tak blisko, że Nijiri poczuł wyziewy jego ciała. Małeńkie włókienka tęczy Sonta-i, jak szprychy koła rydwanu, z wolna się skurczyły.

– Coś ukrywasz.

– Nic wstydliwego, zbieraczu.

Był to błąd; zorientował się w chwili, kiedy to powiedział. Skłamał. Oczy Sonta-i zwęziły się gwałtownie. Wiedział.

– Pomijając twoje nadmiernie wysokie mniemanie o sobie, akolito – wycedził Rabbaneh; jego głos dobiegał z jakiegoś miejsca

za plecami Sonta-i – dlaczego nie zgłosiłeś nam tego zajścia? Człowiek, który wykorzystuje swoją władzę, powinien być sędzony co najmniej za zepsucie. Każdy zbieracz – to ostatnie słowo wymówił z lekkim naciskiem, poważnie – pomyślałby w ten sposób.

Nijiri zrozumiał: Sonta-i chce go zabić. Zbieracz znieruchomiał jak jeszcze nigdy, choć z jakiegoś powodu wydało się to Nijiriemu zupełnie zrozumiałe. Sonta-i był dziwny nawet jak na zbieracza: rozpraszały go nieistotne rzeczy, emocje go nie obchodziły. A jednak był zbieraczem, a to oznaczało, że te dziwactwa dawały mu przenikliwość ostrą jak grot strzały, kiedy postanawiał zadziałać w sprawie Bogini.

Dlatego Nijiri przemówił właśnie do tego. Nie żeby się usprawiedliwić, bo żaden zbieracz, który już dokonał osądu, nie dałby się przekonać usprawiedliwieniom. Przemówił jedynie po to, żeby zaspokoić własną dumę. Jeśli miał umrzeć, umrze jak sługa Hananji.

– Ponieważ Omin nie uczynił mi żadnej szkody. Chciał, ale mu się to nie udało. A ta porażka go ujarzmiła – kiedy bowiem go powiadomiłem, że wystarczy, abym tylko szepnął słowo zbieraczom, nie starał się już uwodzić innych akolitów. – Rzeczywiście, od tamtej pory Omin stał się przykładnym nauczycielem – jeśli nie liczyć nieustannych podarunków i tęsknych spojrzeń za plecami Nijiriego. Oraz faktu, że Nijiri mógł utracić przyszłość, na którą tak ciężko pracował.

Sonta-i lekko pokręcił głową. Nijiri zrozumiał, że jego wyjaśnienie nie zmieniło zdania zbieracza.

– A teraz, gdy nie jesteś już akolitą, ten zepsuty nauczyciel może narzucać się innym chłopcom – powiedział głośno Sonta-i.

– Poświęciłem się Hetawie. Mam wśród akolitów przyjaciół, którzy powiedzą mi...

Ale Nijiri urwał, nagle zdjęty zwątpieniem. Co się z nim stanie, jeżeli zbieracze go nie przyjmą, a Sonta-i go nie zabije? Mógłby wybrać inną ścieżkę, jeśli by mu na to pozwolili, ale nie chciał

zostać wartownikiem, nauczycielem, laikiem ani nikim z wyjątkiem tego, kim chciał być od dnia, w którym poznał Ehiru...

– W tym roku ujrzysz szesnastą powódź – powiedział zwierzchnik.
– Zgodnie z prawem jesteś mężczyzną. Wkrótce otrzymasz też jego obowiązki. Nie możesz chronić swoich braci, jeśli nie żyjesz między nimi, nie widzisz ich codziennych zmagania. I nie możesz się spodziewać, że chłopcy będą ci się zwierzać z lęków, bo nie mają powodu ufać dorosłym mężczyznom, skoro jeden z nich ich skrzywdził. – Westchnął; Nijiri kątem oka dostrzegł potrząśnięcie jego głowy. – Nadal za wiele w nim kasty służących.

Nijiri drgnął, w końcu na tyle rozdrażniony, że oderwał spojrzenie od Sonta-i.

– Jestem dzieckiem Hetawy, zwierzchniku!

Ale ku jego konsternacji to Rabbaneh skinął głową.

– Żaden z nas nie urodził się na ścieżce Bogini, akolito. Każdy skądś przybył, a przeszłość zostawia ślad. Rozważ własną.

Nijiri zmarszczył brwi.

– Nie rozumiem.

– Powiadają, że dobry służący nigdy nie narzeka. Dziecko z kasty służebnej spodziewa się, że jest zależne od innych i że któryś z jego panów będzie zepsuty. Stara się jedynie złagodzić najgorsze skutki tego zepsucia, żeby przeżyć. Ale zbieracz unicestwia zepsucie... oraz siły, które na nie pozwalają, jeśli to konieczne. W ten sposób zaprowadza spokój. O to mi chodzi, akolito Nijiri. Przystosowałeś się tam, gdzie powinieneś był się zbuntować.

Znękany Nijiri zrozumiał ze spóźnioną skruchą, że Rabbaneh i zwierzchnik mają rację. Zbieracz nie szuka pomocy, powiedział sobie wtedy... Dlatego jej nie szukał, uważając, że wystarczy mu siła, by załatwić tę sprawę na własną rękę. Myślał o sobie, podczas gdy na sercu powinien mu leżeć spokój innych akolitów. Oczywiście, Omin znowu będzie krzywdzić. Omin był zepsuty. Nie można złagodzić czegoś takiego. Lepiej było zgłosić tę sprawę zwierzchnikowi i zbieraczom, bez względu na dumę. Jeszcze lepiej

zabić Omina, nawet gołymi rękami, jeśli nie narkomancją, a potem oddać się pod osąd zbieraczy. Każde działanie było lepsze niż bierność, gdy tymczasem zepsucie rozszerzało się i jątrzyło.

Nijiri ukląkł, opierając czoło i dłonie o podłogę, aby okazać głębię swojej skruchy.

– Proszę o wybaczenie – wymamrotał w kamień. Teraz cieszył się, że Ehiru tego nie widzi.

Sonta-i nadal nad nim stał, ale tak być powinno. Jak to możliwe, że uważał się za gotowego, by zostać zbieraczem?

– Pomyliłem się. Nie powinienem... powinienem był zrobić więcej... Niech Jej spokój ukoji moją duszę... powinienem był pomyśleć...

Minęła odpowiednio długa chwila ciszy.

– Cóż – odezwał się Rabbaneh z westchnieniem. – To pewnie wystarczy. Sonta-i?

Sonta-i wziął Nijiriego za ramię i pomógł mu wstać. Nijiri zamrugał z zaskoczenia; Sonta-i znowu zmrużył oczy.

– Nadal coś ukrywa.

– Chłopcy w jego wieku mają swoje sekrety, bracie ścieżki. Nawet nam wolno je posiadać.

Sonta-i westchnął cicho – nie całkiem, jak pomyślał Nijiri, z rozczarowaniem – i puścił go.

– Bardzo dobrze. Zgadza się.

– Znamy też zdanie Ehiru. – Rabbaneh zaplótł ręce z tyłu i spojrzał na zwierzchnika, unosząc pytająco brwi.

– Przypuszczam, że miał dobre intencje – powiedział zwierzchnik, kiwając głową, choć Nijiri usłyszał w jego głosie nutkę ociągania. – A wśród akolitów zapanował spokój, choć zaprowadzony nietypowymi metodami i tylko czasowo.

– Jest jeszcze młody. – Rabbaneh wzruszył ramionami, a na jego twarz wreszcie powrócił uśmiech. – Jeśli nie mamy go czego uczyć, na co moglibyśmy się mu przydać?

– Co? – Nijiri poczuł się bardzo głupio.

Wówczas nawet zwierzchnik spojrział na niego z rozbawieniem.

– To niezbędny ostatni test, Nijiri. W poddaniu się jest spokój, lecz czasem większy – bo trwały – znajdziesz w oporze. Musieliśmy się upewnić, że to rozumiesz. – Wzruszył ramionami. – Istnieje wiele dróg do spokoju.

– Musimy po prostu nauczyć cię dalej sięgać wzrokiem na tej ścieżce, praktykancie – dodał Rabbaneh, znowu z uśmiechem.

Praktykancie. Praktykancie. Nijiri stał, dygocząc; ledwie zauważył, że Sonta-i wzruszył ramionami, jakby stracił nim zainteresowanie, i odszedł, żeby stanąć u boku zwierzchnika. Praktykant! Ze wszystkich sił chciał skoczyć w górę i krzyknąć z radości, co by było nie tylko błędem, ale obrazą Hananji w Jej własnej sali. Dlatego drząc przez chwilę z wysiłku, by opanować radość, wyjąkał:

– Zaszczycacie mnie, zbieracze, tym przyjęciem... uznaniem... – Nie potrafił myśleć na tyle przytomnie, żeby sformułować odpowiednie zdanie.

– Tak, tak. – Zwierzchnik spojrział w wąskie okna z pryzmatycznymi szybkami, za którymi światło słońca nadal znaczyło niebo na zachodzie. Śniąca jeszcze nie wstała. Kiedy to uczyni, sala wypełni się jej srebrzonym światłem, które szybki w oknach rozszczępi na drżące tęcze kolory. Sprzyjały one pnączom łzy luno, które tylko dzięki nim kwitły w zamkniętym pomieszczeniu.

– Proszę, wstań. Musimy zakończyć ceremonię zaprzysiężenia, a potem poświęcenia zbieracza. Jest też dodatkowa sprawa, o której musimy porozmawiać.

Nijiri przełknął ślinę i skinął głową. Czuł, że teraz może stawić czoła wszystkiemu. Z trudem się powstrzymywał, żeby nie uśmiechać się jak idiota.

– T-tak. Co to za sprawa?

– Ehiru – powiedział zwierzchnik. – Zapewne zauważyłeś jego

nieobecność.

Ponura mina zwierzchnika – i jej nagłe poważne echo na twarzy Rabbaneha – uświadomiły Nijiriemu, że Ehiru nie wyjechał po prostu w sprawach Hetawy.

– Jest niedysponowany – powiedział Sonta-i – ponieważ dwie noce temu źle przeprowadził zbiór. Umblikeh została zerwana, zanim wydobyto dawcę daniny z krain cienia; dusza zginęła między jawą a snem. Zebrana senna krew także została zanadto skażona strachem i bólem, żeby mogli ją otrzymać dawcy.

Nijiri słuchał, wstrzymując oddech, wstrząśnięty. Odkąd pamiętał, żaden zbieracz nie popełnił błędu. Wszyscy wiedzieli, że to się zdarza; zbieracze byli omylnymi śmiertelnikami, nie bogami. Ale żeby Ehiru, który zawsze bezbłędnie prowadził dusze w spokój, tym razem się pomylił... Nijiri oblizał wargi.

– A zbieracz?

Nie może zakończyć swojej służby – jeszcze nie. Gdyby to uczynił, całe miasto pogrążyłoby się w żałobie. A oni nie rozmawialiby ze mną o nim.

Sonta-i pokręcił głową. Nijiri poczuł, że zaciska mu się żołądek. Ale potem zbieracz dodał:

– Ehiru postanowił zamknąć się przed światem, by modlić się i szukać spokoju. Uważamy, że zdecyduje się pozostać między nami, ale... – Westchnął, nagle zmęczony. – No tak. Co sądzisz o tej sprawie?

Nijiri drgnął.

– Co sądzę?

– Miał być twoim mentorem – powiedział Rabbaneh. – W końcu od odejścia Una-une'a w sen to najbardziej doświadczony z nas. Praktykant powinien się uczyć od najlepszych. Ale po jego potknięciu... – Skrzywił się lekko, jakby przepraszając za niedelikatne słowa. – Tak. Kogo wybierzesz na jego miejsce? Sonta-i czy mnie?

Nijiriego ogarnęła ulga, a wraz z nią dziwna żarliwość, dość podobna do tej, którą czuł na ringu, stojąc przed czterema strażnikami. Tego jednego był pewien – jak niewielu rzeczy.

– Jeśli miałem należeć do Ehiru, będę do niego należał.

Rabbaneh uniósł brwi.

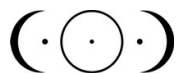
– Zbieracz może się podnosić z takiego upadku całymi miesiącami, jeśli nie latami. O ile w ogóle się podniesie. Ten incydent zwłaszcza dla niego jest ciosem. Ehiru uważa, że nie jest już godny być zbieraczem. – Rabbaneh westchnął lekko. – Wszyscy mamy skłonności do dumy. Ale może powinieneś przemyśleć swoją decyzję.

Rabbaneh i Sonta-i chcieli dla niego dobrze, chcieli postąpić, jak należy. Nie rozumieli, że Nijiri dokonał wyboru przed dziesięciu laty, w pewne parne popołudnie, gęste od smrodu cierpienia. Tego dnia Ehiru pokazał mu drogę do prawdziwego spokoju. Nauczył go piękna bólu i że miłość oznacza robienie tego, co dla innych jest najlepsze. Czy tego chcą, czy nie.

Jak mógłby mu nie odpłacić za to objawienie teraz, kiedy w końcu miał szansę?

– Będę należał do Ehiru – powtórzył, tym razem cicho. – Będę wszystkim, czego potrzebuje, aż do dnia, gdy przestanę być mu potrzebny.

I jeśli to konieczne, będzie walczyć nawet z Hananją we własnej osobie, żeby ten dzień nigdy nie nadszedł.



Obowiązkiem shunhy jest podtrzymywać tradycję. Obowiązkiem zhinhy jest ją podważać.

(Prawo)

Dom generała Niyesa stał w dzielnicy korzennej, gdzie wieczorny wietrzyk przynosił zapach cynamonu i ziarna inimteh. Dom był zbudowany w stylu kisuańskim, z zadaszonym tarasem na zapleczu i misternymi wzorami na podłodze przy drzwiach wejściowych... choć ściany od zewnątrz pokryto wszechobecną w Gujaarehu rzeczną gliną, wypaloną na słońcu niemal do białości. Glina ta – nieodzowna w kraju corocznych powodzi – nie pozwalała wodzie przemoczyć belek, na których opierała się konstrukcja budynku. Jednak jego wygląd i przeznaczenie były na tyle znajome, że Sunandi poczuła się jak w domu, ledwie wysiadła z powozu.

To złudzenie wzmocnił jeszcze widok rodziny generała, stojącej w komplecie na schodach domu. Sam generał uśmiechał się szeroko, zupełnie nie jak powściągliwy Gujaareńczyk. Jego dwoje dzieci miało na sobie jaskrawe kisuańskie draperie, choć chłopiec zawiązał swoją na biodrze, nie z przodu, jak wymagała przyzwoitość. Sunandi uznała, że stojąca obok generała tęga kobieta o starannie ułożonych, przeplecionych paciorkami włosach jest jego żoną. Najprawdopodobniej jedyną, ponieważ wysoko urodzeni shunhowie z Gujaarehu szczylicili się kultywowaniem tradycji kisuańskiej ojczyzny.

– Witaj, mówczyni, w naszym domu. – Kobieta mówiła bezbłędnym oficjalnym sua; Sunandi pochlebiło, kiedy usłyszała

należny jej tytuł. – Jestem Lumanthe. Tego wieczoru będziesz moją córką, a moja rodzina – twoją.

– Dziękuję za ciepłe powitanie, matko Lumanthe. Mając tak piękny dom i wyznając taką gościnność, mogłabyś mnie nawet skusić do pozostania! – Sunandi uśmiechnęła się, zbyt uszczęśliwiona, żeby trzymać się tradycji. Lumanthe uniosła brwi w zaskoczeniu, a potem roześmiała się, równie łatwo odrzucając oficjalne zachowanie.

– Życie wśród tych półbarbarzyńców musi być dla ciebie trudne, córko 'Nandi. – Lumanthe stanęła koło Sunandi i wzięła ją pod rękę. – Nawet my, którzy przestrzegamy starych obyczajów, napotykamy trudności, ale przynajmniej mamy tu dom.

– Nie jest tak źle. Po nauce u mistrza Seh Kalabsha spędziłam trzy lata jako Głos Protektoratu w Charadinh. Przynajmniej w Gujaarehu są przyzwoite łaźnie – dodała z uśmiechem. – W Charadinh musiałam się kąpać w miejscowym wodospadzie, bardzo pięknym, ale nadzwyczaj zimnym!

Lumanthe roześmiała się serdecznie.

– Jako panna spędziłam rok w Kisui. Pamiętam, jak mnie zaskoczyły różnice między tymi dwoma krajami. Wciąż się dziwiłam, że nasze ludy mogły się połączyć.

– I pozostaną złączone, dopóki istnieją shunhowie. – Niyes podszedł i ujął wolną rękę Sunandi w krótkim geście powitania. Jego sua także był płynny i bez akcentu, choć nieco bardziej sztuczny. Shunha czy nie, Niyes był Gujaareńczykiem, a żaden Gujaareńczyk nigdy nie czuł się zupełnie swobodnie w towarzystwie kobiet. – Dziękuję, że przyjąłeś moje zaproszenie, mówczyni.

W jego głosie brzmiała ulga, jakby spodziewał się odmowy. Sunandi zachowała tę drobną informację, by później się nad nią zastanowić, i ucisnęła jego rękę.

– Przyznaję, że miałam nadzieję na wieczór spędzony w samotności, ale o twojej gościnności krążą legendy. Nie mogłam się im oprzeć. – Uśmiechnęła się z największą szczerością, na jaką

mogła się zdobyć, a on nieco odetchnął.

– Będziemy się bardzo starać, żeby cię nie rozczarować. Moje dzieci, Tisanti i Ohorome.

Dzieci wystąpiły naprzód i uściśniły jej rękę, mamrocząc powitanie. Ohorome był młodszy, ale jego sylwetka już stanowiła zapowiedź przyszłej muskularnej budowy; dorastający wojownik. Tisanti miała jakieś piętnaście lat i była równie umięśniona; może była tancerką. Miała nieskazitelną cerę matki – nieskazitelną, lecz pokrytą cienką warstewką jakiegoś pudru, jak zauważyła Sunandi, a usta podkreśliła barwnikiem w kolorze jagód. Sunandi powstrzymała grymas niesmaku. Dziewczyna była piękna, nie potrzebowała tych mazideł i pudrów. To barbarzyńskie obyczaje – Gujaareńczycy przyswoili sobie zbyt wiele barbarzyńskich upodobań. Mimo to Sunandi uśmiechnęła się do dziewczyny, która nieśmiało odwzajemniła uśmiech. Chłopiec tego nie zrobił, ale Sunandi nie uznała tego za obrazę.

– Wspaniała rodzina – powiedziała do Niyesa. – Jestem zaszczycona, że zechciałeś mnie do niej zaprosić, mimo że tylko na jeden wieczór.

Niyes rozpromienił się w uśmiechu, lecz Sunandi znowu wychwyciła nutkę zdenerwowania w jego zachowaniu. To było coś więcej niż zwykła gujaareńska osobliwość; tego człowieka coś dręczyło.

– Zapraszam do środka – powiedział. Na chwilę musiała porzucić obserwację.

W domu powitały ją kolejne znajome widoki. Posągi dzieci Luny – oczywiście Hananji, ale także kilku bóstw czczonych w Kisui – stały na postumentach w kątach pomieszczeń. Z wiszących latarni z brązu rozchodziła się woń pszczelego wosku, choć ledwie przebijała się przez mocniejsze zapachy korzeni i świeżych owoców. Sunandi odetchnęła głęboko i westchnęła z przyjemnością. Lumanthe roześmiała się cicho.

– Czy aż tak tęsknisz za domem, mówczyni? Przyjechałeś

do Gujaarehu zaledwie dwa miesiãce temu.

– Pierwsze miesiãce sã najgorsze, matko Manthe.

Niyes dał znak dwóm słu¿ącym, którzy otworzyli podwoje pięknych drewnianych drzwi. Za nimi znajdowała siê jadalnia z jednym jedynym meblem – ogromnym stołem otoczonym poduszkami do siedzenia i uginajãcym siê pod niezliczonymi daniami.

Obok jednej z poduszek przykucnêła słu¿ãca. Sunandi zrozumiała wskazówkê i zajêła to miejsce, pozdrawiajãc dziewczynê skłonieniem głowy. Ku jej zaskoczeniu słu¿ãca drgnêła i rozejrzała siê w panice, jakby nie mogła uwierzyç w to, co siê stało.

Sunandi odwróciła siê w stronê stołu, ukrywajãc niesmak. Niyes zaprezentował wielkã wierność kiswańskiej tradycji. Nie spodziewała siê tego. Ta dziewczyna była niemal z całą pewnoścã wolnã obywatelkã z kasty słu¿ących, poniewa¿ w Gujaarehu przestêpców zabijano lub zamykano w wiêzieniu, nie sprzedawano w niewolê. Dlatego okazywanie jej choçby symbolicznej uprzejmości wydawało siê na miejscu – najwyraźniej jednak dziewczyna nie przywykła do tego.

Kisuanin z wierzchu, Gujaareńczyk pod spodem. Wa¿na informacja, o której nie wolno jej było zapomnieç, gdyby w porywie szaleństwa chciała zaufaç Niyesowi.

Na razie musiała skupiç siê na uczcie. Rodzina, choç pod innymi wzglêdami mogła nie przestrzegaç tradycji, pozostała jej wierna, jeœli chodzi o kuchniê. Na stole nie było ani jednego dania z ryb czy wolnych warzyw, i ju¿ za to Sunandi była gotowa podziêkowaç pięćdziesięciu bóstwom ogniska domowego. Słu¿ãca podała jej krojony w paski drób w ziołach, pieczony z kminem i orzechami jify, puszyste jęczmienne ciastka nadziewane słodkimi ziemniakami, porzeczeki i nasiona hekeh, jagnięcinê w imbirze i paszteciki tamban w gęstym sosie, a tak¿e wiele wiêcej. Ponad tuzin dań, bez wyjątku doskonałych. Sunandi skosztowała, ile tylko mogła, wiedzãc, że Lumanthe niespokojnie czeka na jej pochwałę. W tych okolicznoœciach okazanie aprobaty nie wymagało wielkiego wysiłku.

Dzieci uśmiechnęły się, kiedy Sunandi odchyliła się, żeby beknać.

Gdy wszyscy się najedli, służący zabrali talerze i postawili na ich miejscu karafki z winem z miętowego melona. Dwoje innych służących usiadło w głębi komnaty i zaczęło cicho grać na flecie i dwunastotonowym bębnie.

Niyes uniósł swój kielich i ulał nieco wina na stół jako ofiarę dla bogów; Sunandi i reszta rodziny zrobili to samo, oficjalnie kończąc posiłek.

Sunandi wyczuła wcześniejsze napięcie Niyesa i domyśliła się, że generał zaczeka z powiedzeniem jej tego, co mu leżało na sercu, przynajmniej do końca posiłku. I rzeczywiście, parę minut po podaniu wina skinął głową Lumanthe, która wstała, przywoławszy dzieci krótkim gestem. Sunandi udała zaskoczenie.

– Czy coś się wydarzyło? Miałam nadzieję na wieczór pełen ploteczek, matko Manthe.

– To nic ważnego, córko 'Nandi, ale ploteczki musimy odłożyć na inny czas. Niyes chce porozmawiać o interesach, to takie męskie plotki. – Lumanthe wzniosła z uśmiechem oczy ku niebu. – Ty jesteś przyzwyczajona, by je znosić, lecz ja nie mam upodobania do takich spraw. Zostawimy was, żebyście mogli się nimi zająć. – Kobieta wyprowadziła dzieci, zatrzymując się w progu, by ukłonić się na pożegnanie. – Ale nie za dużo tych interesów, Niyes. Zjadła dobry posiłek; niech się nie nabawi niestrawności.

Niyes obdarował Lumanthe bladym uśmiechem i nie odpowiedział, co nie uszło uwadze Sunandi. Przyglądała się generałowi znad krawędzi kielicha. Zauważyła, że gdy drzwi zamknęły się za rodziną, jego napięcie wzrosło. Nalał sobie nowy kielich wina, przy okazji roniąc parę kropel.

– Czy zechcesz się ze mną przespacerować, mówczyni? – spytał w końcu. – Chciałbym cię oprowadzić po moim domostwie.

Sunandi zauważyła jego ukradkowe spojrzenie: służący. Uśmiechnęła się i wstała.

– Ruch dobrze robi na trawienie. Dziękuję.

Wyszli z jadalni i ruszyli niespiesznie korytarzami rozległego domu, od niechcenia gawędząc o tym i owym. Sunandi pozwoliła Niyesowi prowadzić rozmowę, ponieważ wiedziała, że to go uspokoi, i miała nadzieję, że będzie wiedział, kiedy mogą bezpiecznie zacząć rozmawiać na poważnie. Ku jej zaskoczeniu generał wziął latarnię i zaprowadził ją do atrium, gdzie podobna dżungli płatanina roślin – przeważnie importowanych z Kisui, jak zauważyła – ochładzała nocny wietrzyk wpadający do domu. Niyes umilkł, choć z pewnością nikt ich nie słyszał; liście szeleszczące pod nogami na pewno zdradziłyby obecność niepożądanych świadków. Kiedy Niyes nagle skręcił ze ścieżki w zarośla, Sunandi zaczęła tracić cierpliwość. Jednak poszła za nim i ujrzała małe drzwi, ukryte za najgęstszymi krzakami.

Zawahała się. Niyes nie był głupi. Pół Gujaarehu wiedziało, że zaprosił dziś Sunandi. Gdyby zniknęła, Protektorat Kisuański zażądałby co najmniej jego śmierci.

– Proszę – szepnął; jego napięcie stało się niemal namacalne. – Nigdy nie pogwałciłbym zasad gościnności, a muszę ci pokazać coś ważnego dla obu naszych krajów.

Sunandi przyjrzała mu się uważnie. Zauważyła lśnienie warstewki potu na jego czole i drżenie latarni. Coś go najwyraźniej przerażało, i nie była to tylko perspektywa obrażenia szacownego gościa.

To zdecydowało. Skinęła głową.

Niyes odetchnął z ulgą i otworzył drzwi. Za nimi znajdowały się mroczne ciasne schody, zbiegające ukośnie w stronę piwnic domu. Generał otworzył szerzej żaluzje latarni. Sunandi zajrzała w ciemność, marszcząc nos, gdy dobiegł ją słaby powiew pleśni. Pleśni... i czegoś jeszcze. Czegoś wstrętniejszego.

Mimo to przekroczyła próg, a Niyes zamknął drzwi. Mała latarnia stała się jedynym źródłem światła.

Najprawdopodobniej szli w stronę rodzinnej krypty. Wbrew tradycji nieliczne rodziny shunhów budowały takie krypty w mieście, które co roku cierpiało z racji powodzi, gdyż tylko

najbogatsi mogli sobie pozwolić na specjalne boczne komory i bramy, które sprzyjały szybkiemu osuszeniu krypt. Pleśń, której zapach czuła Sunandi, prawdopodobnie stanowiła pozostałość po powodzi sprzed paru miesięcy. Ten drugi zapach był świeższy. I coraz silniejszy. Zbliżali się do jego źródła.

– Dowodzę legionami jedynie podczas wojny – wyjaśnił generał, idąc przez mrok ledwie rozpraszany światłem. – W czasach pokoju zarządzam obozami treningowymi dla naszych żołnierzy. Również więzieniem. – To ostatnie zaskoczyło Sunandi. W Gujaarehu niemal nie znano przestępstw. W królestwie znajdowało się tylko jedno małe więzienie, w którym trzymano ludzi winnych najmniej poważnych przestępstw – złodziei jedzenia i tym podobnych. Resztę zabijali zbieracze. Zarządzanie takim miejscem nie wydawało się najlepszym wykorzystywaniem talentu generała.

– Protektorat uważa, że rekruci sprawiają więcej kłopotów, niż są warci – powiedziała ostrożnie.

Niyes pokręcił głową.

– W Gujaarehu przestępcy mogą zasłużyć na wolność, udowadniając, że są wolni od zepsucia. Mogą zostać wypróbowani przez zbieracza lub w bitwie; większość wybiera to drugie, choć mogą na to czekać latami. Dlatego ich trenujemy. Jednak – dodał poważnie – kilka czwórdni temu więźniowie zaczęli umierać.

Odór stał się mocniejszy, gęstszy i nagle Sunandi go rozpoznała: wczesny etap rozkładu zmieszany z ziołami i kadzidłem, wykorzystywanymi przez Kisuan do balsamowania zwłok. Przed nimi znajdował się grób, do którego niedawno kogoś złożono.

Czy w więzieniu znajdowali się krewni Niyesa? Nie, gdyby jakiś shunha okazał się na tyle głupi, żeby wylądować za kratkami, rodzina by się go wyrzekła, a jego zwłoki wrzucono by do rowu z nieczystościami.

Schody doprowadziły ich do krótkiego tunelu, zamkniętego masywnymi kamiennymi drzwiami. Choć grube, nie stanowiły żadnej przeszkody dla smrodu. Sunandi zasłoniła nos i usta, starając

się skupić na słabym zapachu cytrynowej wody, którą umyła ręce po posiłku.

Niyes zerknął na nią z troską.

– Kobieta na twoim stanowisku nie powinna często widywać śmierci.

– Nie jest mi nieznana – odparła Sunandi krótko. Jako sierota żyjąca na ulicach Kisui była świadkiem najróżniejszej brzydoty i nauczyła się po prostu dziękować bogom, że nie dotyczy ona nikogo jej znanego.

Niyes nie odpowiedział. Pociągnął za zwisający nieopodał sznur. Rozległ się zgrzyt niewidocznych bloczków i kółek i drzwi powoli się otworzyły, tworząc szczelinę, w której mógł się zmieścić mężczyzna.

Z krypty buchnął smród; Sunandi zakrztusiła się, ale udało jej się opanować żołądek.

Niyes zablokował dźwignię, puścił sznur i znowu ujął latarnię.

– Przepraszam, że cię na to narażam, lecz zrozumiesz, kiedy to zobaczysz.

Sunandi skinęła głową, nie odważywszy się odezwać, i poszła za nim do środka.

Pomimo odoru trudno było nie zauważyć, że komnata jest piękna. Ród Niyesa musiał być wystarczająco bogaty, żeby utrzymywać ją przez tyle lat. Jej środek otaczały eleganckie kolumny z surowymi ornamentami, a na półkach pod ścianami stały rzędy urn intarsjowanych złotem i emalią. Na środku widział potężny kamienny sarkofag o bokach ozdobionych modlitewnymi symbolami w języku sua. Zgodnie z tradycją powinien się w niej znajdować przedostatni zmarły. Ostatni miał zaszczyt spoczywać na kamiennej tablicy na sarkofagu, gdzie miał pozostać do czasu śmierci kolejnego członka rodziny. Z kremacją zwlekano jak najdłużej na wypadek, gdyby dusza nie zdołała znaleźć drogi do Ina-Karekh. Chyba że ciało nosiło piętno zbieracza.

Niyes podszedł do sarkofagu i uniósł latarnię. Sunandi zebrała wszystkie siły i podeszła, by przyjrzeć się zwłokom.

Nie był to nikt z krewnych Niyesa. Choć skóra zmarłego poczerniała po śmierci, Sunandi i tak widziała, że ten człowiek za życia miał znacznie jaśniejszą cerę niż jakikolwiek wysoko urodzony shunha. Może nawet pochodził z północy – choć włosy miał kędzierzawe i czarne, a zniekształcone rysy wskazywały niezbitcie na związki z południem. A zatem zwyczajny Gujaareńczyk. Ale tym, co prawdziwie wstrząsnęło Sunandi, był wyraz jego twarzy. Oczy zmarłego się zapadły, lecz wokół oczu i na czole nadal dawało się zauważyć bolesny grymas. Ten człowiek umarł, zaciskając powieki. Usta miał otwarte, wargi odsłaniały zęby – być może z powodu wysychania i kurczenia się ciała, jednak Sunandi w to wątpiła. Żaden balsamista nie zdołałby zatuszować śmiertelnego krzyku cierpienia.

– W takim stanie znaleziono dwunastu – odezwał się Niyes cicho w milczeniu krypty. – Sami młodzi, zdrowi mężczyźni. Zmarli nocą, bez ostrzeżenia, jednego dźwięku, żadnego śladu. Ten dzielił celę z innym więźniem, który powiedział, że przed śmiercią się rzucał, usiłował krzyknąć, lecz nie mógł wydać żadnego dźwięku. We śnie.

– We śnie?

Niyes przytaknął.

– We śnie. Śnił o czymś tak strasznym, że go to zabiło. – Generał spojrział na Sunandi. W świetle lampy jego twarz wyglądała na zapadniętą i wynędzniałą. – Sprowadziłem tu te zwłoki jako dowód. Inne zostały spalone. Rozumiesz, co to znaczy?

Przełknęła ślinę, znowu czując, że burzy jej się żołądek.

– Potworność. Ale jeśli twoja Hetawa zawiodła w czujności, powinieneś pokazać te zwłoki księciu Gujaarehu, nie mnie. Jestem Kisuanką, mogę tylko powiedzieć: „A nie mówiliśmy?”.

– To nie wszystko. Ostatnio – szczególnie w ubiegłych latach – miały miejsce dziwne wydarzenia. Książę... – Generał skrzywił się niechętnie. – Książę po cichu inwestował w stocznie na brzegu Morza Chwały. Teraz zwolniły, ale jeszcze dwa lata temu dniem i nocą budowano w nich statki. W zamówieniach czytamy „statki

handlowe”, lecz mają dziwną konstrukcję i zrobiono je z grubszego niż zwykle drewna.

– Morze Chwały nie ma połączenia z Oceanem Wschodnim – zauważyła Sunandi, zbita z tropu. – Statki, które zostaną nad nim zbudowane, nie zagrażą Kisui.

– Te statki wypłynęły wiele miesięcy temu i odtąd słuch o nich zaginął. Jak myślisz, mówczyni, dokąd popłynęły?

– Na północ? Południe? Dopóki nie skierują się na zachód, w stronę Nieskończonego i nie opłyną całego świata, by stanąć u wrót Kisui, nadal nie stanowią zagrożenia – a czegoś takiego nie udało się dokonać nikomu, nawet w legendach. – Sunandi pokręciła głową. – Pomijając fakt, że naprawdę mogą być statkami handlowymi.

Niyes westchnął i przesunął dłonią po łysiejącej głowie.

– Księżę zawarł ostatnio przymierze z kilkoma północnymi plemionami. Nie są to nasi zwykli partnerzy handlowi, lecz żądni krwi barbarzyńcy z krainy lodu, przy których nasi Bromarteni wydają się uprzejmi i łagodni.

– Może znalazł nowych partnerów w interesach. A wówczas naturalnie potrzebowałby nowych statków handlowych.

– Ale kiedy doda się do tego resztę – w tym śmierć Kinji – musisz przyznać, że uzyskuje się niepokojący obraz.

Rzeczywiście tak było, lecz ten obraz był zbyt mglisty, żeby mógł się na coś przydać. Sunandi westchnęła.

– Generale, nie mogę przedstawić tej sprawy Protektorom. Nawet gdyby mi uwierzyli... a tego na razie nie mogę zagwarantować... zadaliby mi te same pytania, na które nie znalazłeś odpowiedzi. Pewnie to rozumiesz. Muszę więc spytać: co naprawdę chciałeś osiągnąć tym spotkaniem?

– Chciałem przekonać ciebie, jeśli nie Protektorów. A wiadomość od Kinji... odszyfrowałaś ją?

Sunandi znieruchomiała.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Generał skrzywił się niecierpliwie.

– Nie czas na udawanie. Nie możemy zostać tu długo, bo służący – wśród których niewątpliwie znajdują się szpiedzy – mogą zauważyć naszą nieobecność. Wystarczy powiedzieć, że Kinja wysłał mi wiadomość przed śmiercią, choć nie mówił o jej treści. Powiedział, że i tak za dużo wiem. Poprosił, bym dopilnował, aby jego spadkobiercy otrzymali wiadomość, jeśli coś się z nim stanie. Talent twojej dziewczyny mi to ułatwił, bogom niech będą dzięki. – Mocno chwycił ją za rękę. – Uwierz w wiadomość, mówczyni. Przekonaj Protektorów. Kosiarz to dopiero początek.

– Nie mogę zmusić Protektorów, żeby coś zrozumieli, generale...

– Możesz. Musisz. Przekonaj ich – i tak będziesz musiała wyjechać, jeśli chcesz żyć. Wiesz o tym, prawda? Zrób to jak najszybciej. Książę dowiedział się, że Kinja coś odkrył, i proszę, Kinja nie żyje. A książę już cię podejrzewa. To zbyt jasne, że jesteś spadkobierczynią Kinji.

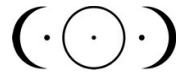
– A ty?

Niyes uśmiechnął się blado, bez śladu rozbawienia.

– Niewątpliwie wkrótce zajmę to miejsce. – Skinął głową w stronę kamiennej tablicy. – Ale przedtem chcę zapobiec wielkiemu złu. Moi ludzie są lojalni i z całego serca pragną umrzeć za Gujaareh – lecz nie pozwolę im umrzeć za coś takiego.

Twarz miał zaciętą, spojrzenie twarde i zrezygnowane. Albo był najlepszym kłamcą świata, albo mówił szczerze. Po długim i ostrożnym zastanowieniu Sunandi wreszcie westchnęła.

– Zatem wyprowadź mnie stąd, generale, zanim pozbędę się kolacji. Muszę zachować wszystkie siły, jeśli mam powstrzymać wybuch wojny.



Król Gujaarehu zostaje ukoronowany, gdy wstępuje na tron snów, by zasiąść po prawicy Hananji. W królestwie jawy obowiązkiem księcia jest występować w Jej imieniu.

(Prawo)

Śniąca wzeszła – czterobarwna twarz w obramowaniu smużek letnich chmur. Na ulicy te same kolory – czerwony jak krew, biały jak nasienie, żółty jak ichor i brunatny jak żółć – na sztandarach, na wszystkich masztach i parapetach, gzymsach i sznurach z praniem. Światło lśniło na spoconych twarzach i wachlarzach z liści, jaskrawych ubraniach i zębach odsłoniętych w uśmiechu pełnym nadziei. Słońce zaszło już jakiś czas temu; jego ostatnie smętne błyski gasły niechętnie za rzeką. Miasto Hananji wiło się w spazmach pobożności; cieszyło się nocą, w której Bogini umierała z głodu.

Na dziedzińcu pałacu Yanya-iyana najdostojniejsi z Jej wiernych zebrali się, by oddawać bogini cześć z dala od dzikich ulicznych celebracji pospolitych kast. Tu Hamyan toczyła się w bardziej dystyngowany sposób, podczas gdy szanowani wielmoże shunha i zhinha zadawali się z bracią z sali rzemieślników i wojowników, królewskiej rodziny i zamorskich krajów. Co jakiś czas któryś z gości podnosił ręce, nazywał jakieś świecidełko czy narzędzie ofiarą i prosił Hananję, by przyjęła ją jako wynagrodzenie za skromne sny, jakie otrzymała tej najkrótszej nocy roku. Zwykle rytuał ten budził rozbawienie innych gości, choć dyżurujący Słudzy Hananji zachowywali milczenie.

Gdyby Nijiri lepiej znał życie za murami Hetawy, mógłby poczuć się onieśmielony obecnością tylu notabli. Tymczasem stał niewzruszony wśród ich tłumów, rezerwując swój podziw dla samego Yanya-iyana. Główny masyw wielkiego pałacu wznosił się na dziedzińcu mającym kształt otwartego owalu. Nijiri i inni goście tłoczyli się w korytarzu wśród marmurowych kondygnacji, ozdobionych złoceniami i donicami z kwiatami, które piętrzyły się, zdawałoby się, aż do nieba. U wylotu korytarza znajdowała się brama z brązowego ażuru, dwukrotnie przewyższająca człowieka, przez którą prostaczkowie mogli zajrzeć, jeśli się odważyli. Strażnicy pozwalali im na to, o ile nie dostrzegli niczego niepokojącego. Nijiri zauważył, jak dwie stojące przy bramie kobiety wskazują coś za jego plecami. Odwrócił się i drgnął, znów zachwycony.

Po drugiej stronie dziedzińca wznosił się stojący na podmurówce pawilon w kształcie piramidy. Pod jego szklanym dachem, na szczycie niebosiężnych schodów, stało zwodniczo skromne krzesło o półkolistym siedzisku, wyrzeźbione z bloku jasnego, lśniącego drewna nhefti. Na nim zasiadł książę Gujaarehu, pan Zachodu Słońca, inkarnacja Hananji, wyprostowany i tak nieruchomy, że Nijiri przez chwilę zastanawiał się, czy to nie malowany posąg. Odpowiedź nadeszła, gdy po lewej stronie księcia przykląkł mały służący ze złotym kielichem na tacy. Książę wyciągnął rękę – tylko tyle, na ile to było konieczne – i ujął kielich, nie patrząc na niego. Inne dziecko przykucnęło niemal całkiem ukryte za księciem. Trzymało tyczkę z Aureolą Zachodzącego Słońca – szerokim półokręgiem z polerowanej czerwonej i złotobursztynowej blachy w kształcie promieni słonecznych – która miała się nieustannie znajdować za głową księcia.

Wokół księcia siedziało dwadzieścioro jego młodszych dzieci, usadzonych tu jako żywa ozdoba i odbicie jego chwały.

– Rzadki to widok – odezwał się ktoś obok Nijiriego, doprowadzając go do przyspieszonego bicia serca.

Chłopak odwrócił się i ujrzał kobietę w sukni z bladozielonego przezroczystego włókna hekeh. Uśmiechnęła się na widok jego

spłoszenia; delikatny wzór blizn na jej gładkich brązowych kościach policzkowych napiął się lekko.

Kobiety są boginiami, pomyślał Nijiri, przypominając sobie stare przysłowie. Przełknął ślinę i pochylił się nad swoimi dłońmi.

– Siostró... – zaryzykował.

– Zbieraczu. – Ona także skłoniła głowę i rozłożyła ręce. Każdy jej ruch był wcieleniem wdzięku. Nijiri zagapił się na nią, zafascynowany błyskiem światła na jej czarnych włosach. – Właściwie praktykancie, zważywszy, że cię nie znam i że patrzysz na mnie, jakbyś nie widział nigdy kobiety powyżej dwunastego roku życia. A to znaczy, że nazywasz się Nijiri.

Szybko spuścił oczy.

– Tak.

– Mam na imię Meliatua. – Kobieta znowu wskazała głową pawilon księcia. – Nawiasem mówiąc, chodziło mi o dzieci księcia. Na ogół tylko najstarsze mają prawo pokazywać się publicznie.

– Ach, tak. – Nijiri usiłował znaleźć jakiś uprzejmy tytuł, którym mógłby ją nazywać. Samo „siostró” wydawało się niegrzeczne, jakby nazwał któregoś ze swoich braci „sługą”. Ale jej zakon działał niezależnie od Hetawy i Nijiri nie znał się na ich hierarchii. Potem dotarło do niego, że to jest rozmowa i że powinien odpowiedzieć, a nie tylko stać z otwartymi ustami jak idiota.

– Myślałem... myślałem tylko, że te dzieci muszą się strasznie nudzić – powiedział, krzywiąc się w duchu na to swoje jąkanie – skoro muszą tu siedzieć tak długo.

– Księżę wkrótce je odeśle. Na razie je prezentuje jako symbol swojego oddania Hananji i reprimendy dla reszty tych głupców. – Rozejrzała się z westchnieniem, nie zauważając zgrozy Nijiriego albo ją ignorując. – Składają jej ofiarę z błyskotek; księżę pokazuje własną krew i ciało. Gdyby Hetawa zażądała teraz któregoś z tych dzieci, księżę musiałby się zgodzić.

Nijiri drgnął zaskoczony. Wiedział, że Hetawa może adoptować każde dziecko – osierocone lub nie – które dobrze rokuje. Za czasów

swojego pobytu w Domu Dzieci poznał kilkoro mających żyjących rodziców. Ale wszystkie, jak on, pochodziły z niskich i ze średnich klas. Nie potrafił sobie wyobrazić, żeby dziecko shunhów czy zhinhów, nie mówiąc już o spadkobiercy Zachodu Słońca, miało żyć jako skromny sługa Hananji, choć kasta i pozycja rodziny gwarantowały mu dużo więcej.

Kobieta zauważyła wyraz jego twarzy i uniosła brew.

– Twój mentor jest bratem księcia, praktykancie. Nikt nie wie, jak to się stało – Ehiru zawsze zachowywał w tych sprawach dyskrecję – ale był on ostatnim dzieckiem Zachodu Słońca, jakiego zażądała Hetawa. Nie wiedziałeś?

Przez pamięć Nijiriego przemknęły podsłuchane plotki, ale i tak słowa kobiety nim wstrząsnęły. Podejrzewał, że Ehiru pochodzi z wysokiej kasty – kto by mógł pomyśleć inaczej, widząc tę piękną czarną skórę, te ostre rysy, eleganckie maniery i wymowę? – nigdy jednak nie sądził, że z aż tak wysokiej. Ośmielił się znowu spojrzeć na księcia i wyobraził sobie na jego miejscu Ehiru, pięknego, dostojnego i idealnego jak bóg. Ten obraz pasował tu tak dobrze, że po plecach Nijiriego przepelzł potajemny wstydlivy dreszcz.

Chłopak widział kątem oka, że Meliatua go obserwuje. Uświadomił sobie, że pewnie uczucia malują się wyraźnie na jego twarzy, zarumienił się więc i naciągnął głębiej kaptur.

– Wszyscy należymy do Hananji, siostró.

– W rzeczy samej. – Wzięła go pod ramię, czym go prawdziwie przeraziła. Nie miał wyjścia; musiał pójść za nią, gdy pociągnęła go za sobą spacerowym krokiem.

– Gdzie jest twój mentor, praktykancie? Powinien trwać przy twoim boku, chroniąc cię przed takimi jak ja. – Jej zęby błysnęły w świetle ognia.

– Chciał, żebym spędził nieco czasu w samotności, siostró. – Nijiri poczuł miękkość jej piersi, napierającej na jego łokieć, i z trudem pohamował chęć, aby ją odtrącić i przekonać się, co się stanie. Miał dziwne wrażenie, że kobieta by się obraziła.

– Zbieracze muszą się wtapiać w najróżniejszy tłum. Zatem moim obowiązkiem jest obserwować i pobierać wiedzę. – Zerknął na nią i ośmielił się zażartować. – Może moją dzisiejszą ofiarą jest wygoda.

Ku jego uldze roześmiała się, a ozdobne blizny na jej policzkach zatańczyły w czerwonej poświacie. Podziwiał to, jak podkreślają jej urodę, a jednocześnie z pewnym zaskoczeniem poczuł, że wcale jej nie pragnie. Była jak posąg: należało na nią patrzeć, może nawet ją dotykać, ale nie wolno było jej zabrać do domu.

– Powinieneś zostać siostrą, skoro odczuwasz brak takiego drobiazgu – powiedziała. – W końcu to my zajmujemy się wygodą. Choć szczerze mówiąc, dziś niewiele możemy uczynić.

Zaskoczony Nijiri podążył za jej wzrokiem i przyjrzał się bliżej świętującym ludziom. Nie od razu zrozumiał, o co chodzi siostrze, lecz po chwili wszystko stało się aż nadto oczywiste. Mężczyzna w drogich szatach naukowca zerknął przelotnie na niego... na jego ramię ze świeżym, ledwie zagojonym tatuażem zbieracza... i odwrócił wzrok. Młoda zhinha, śmiejąca się z jakiegoś żartu jej towarzysza, zamilkła na chwilę, gdy mijali ją Nijiri i Meliatua. Kiedy znowu się odezwała, jej śmiech brzmiał już nieco sztucznie. Wysoki żołnierz o twarzy jak piaszczyste wertepy skinął poważnie głową Nijiriemu; w jego oczach stężał straszliwy smutek. Meliatua pokręciła głową.

– A kolejna część wygody jest ofiarą dla Hananji. Składają stosowne ofiary mimowolnie.

– Nikt jeszcze nie patrzył na mnie ze strachem – wyznał Nijiri zaniepokojony. – Ale w końcu jestem zbieraczem.

– Tylko ignoranci boją się widoku zbieraczy – powiedziała siostra. – Pozostali wiedzą, kiedy się bać. W Nocy Hamyan nie ma zbiorów.

Tak rzeczywiście było i właśnie dlatego Ehiru zgodził się po wielu dniach bezczynności wyjść z domu. Zgodził się uczyć Nijiriego, modlić się z nim i walczyć, robić wszystko, czego potrzebuje praktykant... z wyjątkiem zbioru. To jednak stanowiło inny problem.

– Zatem dlaczego się mnie boją? – spytał.

– Obserwuj, jak kazał ci twój mentor. Ucz się. Słuchaj.

Tak więc uczynił, w milczeniu wymijając grupy ludzi na zatłoczonym dziedzińcu. Początkowo przez gwar docierały do niego tylko urywki słów. Stopniowo nauczył się odsiewać całe zdania, a w końcu – strzępy rozmowy.

– ...w zeznaniach nie uwzględniono dodatkowego ładunku...

– ...zamordowany w celi. Żadnych śladów, ale te oczy...

– ...Bromarten. Na ogół zatrudniają Feenów, którzy za nich walczą, ale tym razem...

– ...zapewniam cię, to nic naturalnego. Kiedy go wyciągnęli, bełkotał...

– ...te wojskowe kasty. Zasadnicze bydlaki...

– Plotki – orzekł w końcu Nijiri. Nad nimi czerwony pas Śniącej wpłynął na owalny wycinek nieba nad dziedzińcem Yanyaiyan. Krążyli po nim niemal od godziny. – I pogłoski. Ale nie tak bezmyślne, jak się spodziewałem. Mówią o zepsuciu, szaleństwie i wojnie.

Kobieta skinęła głową.

– Otóż to. Nie przynosi to ulgi.

– To nie wyjaśnia, dlaczego boją się mnie.

– Czyżby? Zepsucie, szaleństwo i wojna. Zbieracze zabierają tych ludzi dotkniętych zepsuciem i szaleństwem, których nie da się wyleczyć. Wojna jest przekleństwem dla Hananji, a przez to – dla Jej sług. – Meliatua odwróciła się do niego, niespodziewanie stanęła i dodała ciszej: – Może dziś nie zdołasz znaleźć wyjaśnienia. Na razie wystarczy, że to zauważyliśmy. Jeśli bogini zechce nam dać wyjaśnienie, pozwoli nam znaleźć na to sposób.

Nijiri zmarszczył brwi, przypominając sobie plotki krążące wśród akolitów w Hetawie.

– Czy nie wiesz tego już teraz, siostrze? Nie znam się na twojej ścieżce, ale słyszałem o twoich... hm... mocach...

Słowa ugrzęzły mu w gardle, kiedy się uśmiechnęła.

– Ostrożnie, praktykancie. Założyciel Inunru nie brał udziału w tworzeniu naszego zakonu. Hetawa toleruje nas – niechętnie – ponieważ zaopatrujemy miasto w sennie nasienie, ale nigdy nie nazywaj nas „ścieżką” w obecności swojego zwierzchnika – chyba że chcesz go rozdrażnić. – Skinęła głową w lewo. Nijiri spojrzał w tłum, gdzie zwierzchnik właśnie przyjmował kielich od przechodzącego służącego. Nijiri szybko odwrócił głowę, zanim ich spojrzenia się spotkały.

– Poza tym posiadam jedynie zewnętrzne widzenie. – Dotknęła blizn na swojej twarzy: dwóch równoległych szeregów nabrzmiąłych kropek biegnących przez kości policzkowe i garbek na nosie. – Moją specjalnością jest odczytywanie świata jawy, nie sennych omenów. Potrafię dostrzec w tych ludziach strach i odgadnąć jego powody. Potrafię prowadzić dochodzenie, rozwikływać splątania i zawikłania, tak powszechne w świecie jawy. Ale całkowita pewność? Ta będzie mi niedostępna, dopóki nie skończą się moje płodne lata.

Nijiri usiłował znaleźć właściwą odpowiedź. Kobieta znowu go zaskoczyła, puszczając jego ramię.

– Siostro?

– Twój mentor rozkazał ci obserwować i zdobywać wiedzę – odparła. – Nie spędzać wieczór z kobietą wątpliwej wiary. A i ja mam własne obowiązki.

Nijiri zaczerwienił się gwałtownie, uświadomiwszy sobie, na czym mogą polegać owe obowiązki. Meliatua była młoda, najwyżej dziesięć lat starsza od niego, wciąż powabna. Siostry Hananji służyły Bogini na wiele sposobów, lecz nigdy nie zapomniały o swojej podstawowej misji. W taką noc wiele sennego nasienia czeka na zebranie.

Nijiri skłonił głowę jak przed kimś równym sobie – milczące uznanie jej pozycji.

– Oby wyśniła ci szczęście, siostro.

– I tobie, praktykancie.

Meliatua skłoniła się mu – głęboko, rozprostowując obie dłonie – a potem odeszła w kłębiący się tłum. Patrzył za nią jak zaklęty.

– Gdyby nie twoje śluby, może zostałąby z tobą na noc – odezwał się jakiś głos za plecami Nijiriego, który po raz drugi odwrócił się, by stanąć twarzą w twarz z obcym. Mężczyzna był jego wzrostu, z oczami w uderzającym odcieniu niemal złotego brązu. Nie sposób było odgadnąć jego wiek. Skórę miał gładką i młodzieńczą, gąszcz gęstych, skręconych spiralnie warkoczy upleciono z prawdziwych, nie ze sztucznych włosów, co Nijiri zauważył z pewnym zaskoczeniem – czarnych i wolnych od siwizny. Ale mężczyzna wydawał się starszy, niż wskazywałyby na to jego wygląd. Przyglądał się Nijiriemu z cierpliwością i pewnością siebie czekającego lwa. I było w nim coś nieuchwytnie znajomego...

– Powiadają, że młodzieńcy w twoim wieku są szczególnie bogaci w senne nasienie – podjął nieznajomy. – Ta kobieta mogła pobrać swój nocny przydział od ciebie jednego.

Nijiri skłonił głowę ze stosownym szacunkiem, jednocześnie usiłując odgadnąć rangę mężczyzny i rozwikłać tajemnicę tego niepokojąco znajomego wyglądu.

– Niewątpliwie znajdzie innych, którzy potrzebują jej umiejętności.

– A ty nie masz potrzeb? Ile widziałeś powodzi?

– Szesnaście.

Mężczyzna uśmiechnął się lekko.

– Zatem masz potrzeby, młody zbieraczu! Czy nie męczy cię, że mógłbyś dać im upust, gdybyś nie złożył przysięg? A może masz nadzieję, że to zrobisz, jeśli zdybiesz ją w jakimś dyskretnym miejscu w drodze do domu?

Obrażał go, i to świadomie. Nijiri widział to w jego uśmiechu. Przez chwilę nie wiedział, co odpowiedzieć. Jako ten, który przysięgał Hananji, powinien przypomnieć mężczyźnie o swoich ślubach – ale ktoś z wysokiej kasty mógłby to uznać za sugestię

swojej ignorancji lub głupoty. Z kolei milcząc, mógłby się wydać niewierny bogini... Wahał się ze ściśniętym żołądkiem.

– Wszyscy mamy takie potrzeby, panie. Jednak poświęcanie ich dla służby Hananji jest ofiarą, którą my z Hetawy składamy z wielką radością każdego dnia.

Zbieracz Rabbaneh wyłonił się z falującego jak morze tłumu. Na twarzy miał zwykły uśmiech, w dłoni trzymał kielich. Zanim Nijiri zdołał poczuć ulgę, Rabbaneh podał mu kielich i płynnym ruchem ukląkł na jedno kolano, krzyżując ramiona przed twarzą i odwracając dłonie spodem do góry, jakby osłaniał się przed oślepiającym blaskiem. Klęczenie krzyżem; Nijiri słyszał od nauczycieli o tym obyczaju, ale nigdy nie widział, żeby ktoś go stosował poza szkolną klasą. Był to gest najwyższego szacunku, którym witano tylko tych wyjątkowo wyróżnionych przez bogów...

Na sen Inunru!

Nieznajomy – ksiązę Gujaarehu – roześmiał się dobrodusznie na widok przerażenia Nijiriego, po czym skinął ręką Rabbanehowi.

– Przestań. Odłożyłem Aureolę, żeby móc przechadzać się wśród ludzi bez tych nonsensów.

Rabbaneh wstał i skłonił się w bardziej tradycyjny sposób. Nadal się uśmiechał.

– Musisz mi wybaczyć, panie. Chciałem jedynie wskazać Nijiriemu właściwe zachowanie. Jego postawa świadczy o całej Hetawie, a zwłaszcza o mojej ścieżce.

– O, był jak najbardziej uprzejmy. Przynosi chlubę swoim nauczycielom.

– Dziękuję, panie – powiedział Nijiri. Ku swojej wielkiej uldze nie zająknął się, choć nie ręczyłby za donośność czy wysokość swojego głosu. Szybko skłonił się nad wolną ręką; nie sądził, żeby zdołał klęknąć krzyżem, nie przewróciwszy się. Ręce trzęsły mu się tak bardzo, że napój drżał w kielichu. Rabbaneh zręcznie odebrał mu go, zanim Nijiri ochlapał sobie szatę.

– Nijiri. – Ksiązę jakby zadumał się nad jego imieniem. – Zbyt

blady na shunhę, za pokorny na zhinhę. Pochodzisz z ludu?

– Panie... – zaczął Rabbaneh z uśmiechem, lecz nie bez lekkiej nagany, gdy Nijiri otwierał już usta, by powiedzieć „tak”. Dziwne, lecz księżę roześmiał się cicho.

– Dobrze już, dobrze. Ach, wy, kapłani! – Podszedł bliżej, a Nijiriomal nie odskoczył, gdy księżę wziął go dwoma palcami za brodę. – Ładny z ciebie chłopiec. Dobrze, że kasta już cię nie obowiązuje, jakakolwiek była. Mógłbyś zostać sprzedany jako mąż jakiejś bogatej, wpływowej wdowie – albo, jeśli pochodziłeś z niskiej kasty, ktoś mógł zrobić z ciebie sługę zmysłów. – Przesunął kciukiem po wargach Nijiriego i tym razem chłopak drgnął wbrew samemu sobie, choć opanował odruch, aby się odsunąć. Księżę uśmiechnął się, mrużąc oczy z rozbawienia. Potem – ku ogromnej uldze Nijiriego – cofnął rękę.

– Twoim mentorem jest Sonta-i?

– Ehiru, panie.

– Ehiru? – Brwi księcia uniosły się niczym imponujące łuki, choć Nijiri z jakiegoś powodu odniósł wrażenie, że nie jest to dla niego zaskoczenie. – Nie on jest najstarszy.

Rabbaneh odkaszlnął, zasłaniając usta ręką.

– Panie, sprawy Hetawy...

– A, tak. Znowu złe maniery. Nie bierz mnie za przykład właściwego zachowania, Nijiri. Starzy mężczyźni pozwalają sobie na więcej, młodym to nie uchodzi. – Pochylił głowę w przesadnym ukłonie. – Do zobaczenia, praktykancie.

Odwrócił się i odszedł w tłum, który rozstał się przed nim i zamknął się jak woda. Nijiri odetchnął i przymknął oczy, odmawiając krótką modlitwę dziękczynną. Rabbaneh uprzejmie dał mu skończyć.

– Bracie, okryłem Hetawę hańbą – powiedział chłopak. – Nie rozpoznałem...

– Wiem. – Starszy zbieracz stracił swój zwykły uśmiech. Żołądek

Nijiriego skurczył się jeszcze boleśniej. Ale Rabbaneh patrzył za księciem. – A on wiedział o tobie.

Zbity z tropu Nijiri zamilkł. Rabbaneh po chwili westchnął i uśmiechnął się z lekkim przymusem.

– Nie okryłeś Hetawy hańbą, chłopcze. Ehiru, Sonta-i i ja na zmianę chodziliśmy za tobą przez cały wieczór. Dobrze poradziłeś sobie z księciem i Meliatuą. – Obrzucił Nijiriego przeciągłym spojrzeniem. – Wyglądasz na zmęczonego.

– Ale...

Nijiri urwał, rozdarty między prawdomównością a dumą. Praktykant powinien przynajmniej próbować wypełnić wszystkie obowiązki zbieracza, a upłynęła dopiero połowa Nocy Hamyan. Połączony stres tego wieczoru: procesja przez ulice Gujaarehu, tłum, siostra, księżę, wyczerpał jego siły. Nijiri niczego bardziej nie pragnął niż powrotu do cichej celi w Hetawie i zaśnięcia przy kołysance nocnego wiatru.

Rabbaneh położył mu rękę na ramieniu i uściśnął je krzepiąco.

– Nie masz się czego wstydzić, Nijiri. Jeszcze osiem dni temu byłeś akolitą, żyłeś w zamkniętym świecie. Wracaj do Hetawy. Wypełniłeś przepisy protokołu.

Nijiri nie mógł zaprzeczyć, że ogarnęła go ulga – lecz czuł też wyrzuty sumienia.

– Brat Ehiru będzie się spodziewać...

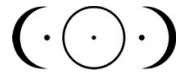
– Odnajdę go i powiem, jak dobrze sobie poradziłeś. – Uśmiech zbieracza napełnił chłopca ciepłym uczuciem dumy. Nijiri uśmiechnął się nieśmiało.

– Dziękuję, bracie Rabbaneh. Dziś będę mieć dobre sny.

Odwrócił się, by odejść, ale przystanął, szukając najkrótszej drogi przez tłum do bramy pałacu. Tylko dlatego usłyszał odpowiedź Rabbaneha.

– Śnij, dopóki możesz, braciszku.

Kiedy się obejrzał, Rabbaneha już nie było.



W snach Hananja przekazała wiedzę Inunru, mężczyźnie z sonhów. „W snach jest moc”, powiedziała mu. „Okiełznaj ją, a znajdziesz magię. Ale tylko cnotliwi ludzie mogą nią władać”.

W ten sposób Inunru stworzył narkomancję i przez jakiś czas wszyscy się radowali.

(Mądrość)

Ehiru przyglądał się dzieciom księcia niemal przez godzinę, zanim Rabbaneh go znalazł. Większość malców nie zauważyła go, stojącego tuż za nakładającymi się na siebie kręgami światła pochodni ustawionych wokół pawilonu tronowego. Ale jedno z nich – ładny chłopczyk, liczący może siedem powodzi – od czasu do czasu spoglądał w cień kryjący Ehiru, mrużąc oczy i marszcząc brwi, jakby wyczuwał coś niewidocznego dla siebie.

– Wysłałem Nijiriego do domu – odezwał się Rabbaneh. Mówił cicho; obaj mieli taki zwyczaj, gdy znajdowali się w ciemnościach. – Zaczynał mieć spojrzenie zaszczutego taffura.

– Hm. I tak wytrzymał dłużej niż ja podczas mojego pierwszego publicznego wystąpienia.

– Ty nawet nie nauczyłeś się tekstu. Twój praktykant jest przynajmniej rozważny. Aż za bardzo – pomimo dumy nadal zanadto pamięta o kaście służących. – Rabbaneh westchnął. – Mam nadzieję, że wkrótce z tego wyrośnie.

– Przecież jesteśmy sługami. Może powinniśmy się uczyć od Nijiriego.

Rabbaneh spojrział dziwnie na Ehiru, który zauważył to kątem oka.

– Nadal martwi cię ten Bromarten, bracie? To już ósmdzień.

– Unicestwiłem duszę człowieka.

– Wiem. Ale nawet bogowie nie są doskonali.

Ehiru westchnął.

– Ten chłopiec ma dar snu.

– Co?

Ehiru wskazał na dziecko na schodach pawilonu. Chłopczyk na chwilę przestał go wypatrywać.

– Tamten. Zauważyłem to od pierwszej chwili.

Rabbaneh poruszył się niecierpliwie.

– Zatem powiadom zwierzchnika, który zażąda tego dziecka. Ehiru...

– Zwierzchnik wie. Widziałem, jak wita księcia tuż po przybyciu procesji. Dziecko przyglądało się ćmie, zapomniawszy o całym świecie. Nawet najbardziej ślepy laik widział, że znajdowało się w połowie drogi do Ina-Karekh.

Rabbaneh westchnął i potarł kark ręką.

– Zwierzchnik musi rozważyć, co jest najlepsze dla Gujaarehu, nie tylko dla Hetawy. Księżę nie może przez niego stracić twarzy, kiedy kisukańscy partnerzy handlowi grożą mu embargiem.

– Bardzo dobrze to rozumiem. Ale przez to ta sytuacja nie staje się mniej obraźliwa. – Ehiru założył ręce na piersi; chłopiec na schodach pawilonu znowu spojrział w mrok, być może dostrzegając jego ruch. – Dziecko posiadające prawdziwy potencjał zostanie zaniedbane i pozbawione nauki. Wyrośnie na kolejnego służącego wysokiej kasty, zdanego na kaprysy następnego księcia. O ile będzie mu dane dorosnąć.

– Czy tak mogło stać się z tobą? – Rabbaneh zerknął na niego z ukosa, nieco wyzywająco. Wszyscy nauczyli się, by nie zadawać

Ehiru zbyt wielu pytań o przeszłość. – Gdyby Hetawa cię nie zażądała?

Ehiru westchnął, nagle zmęczony.

– Tak, umarłbym młodo. I może tak by było najlepiej.

Rabbaneh nie odzywał się przez chwilę, choć Ehiru czuł na sobie jego spojrzenie. Ale kiedy młodszy zbieracz dotknął jego ramienia, odtrącił jego dłoń.

– Zostaw mnie.

– Rozpacz cię pożera...

– Więc niechaj mnie pożre.

Ehiru odwrócił się, nie mogąc znieść spojrzenia swojego brata ścieżki. Czy to właśnie widzieli nosiciele daniny, gdy otwierali oczy, by ujrzeć przed sobą zbieracza? Współczucie dla zbyt wielkiej straty, zbyt nieznośnego bólu? Jak znosili taką bezwartościową litość?

– Wracam do Hetawy – rzucił. – Pozostań w spokoju, bracie.

Odszedł, nim Rabbaneh zdołał coś powiedzieć. Wybrał dłuższą drogę pod ścianą dziedzińca, zamiast w linii prostej przez światła i tłum. W mroku obok niego znalazło się parę osób – niektórzy odpoczywali od towarzystwa, inni szukali bardziej zacisznego miejsca na intymne rozmowy. Nie odzywali się do niego, a on z ulgą nie zwracał na nich uwagi. Gdyby nie rozpoznał głosu zwierzchnika, zignorowałby i jego wołanie. Ale zatrzymał się, tłumiąc westchnienie, kiedy przełożony opuścił światło pochodni i wszedł w cień, potykając się przy tym. Ehiru podtrzymał go za łokieć.

– Mrok jest królestwem zbieraczy i snów, zwierzchniku, nie najjaśniejszego światła Hetawy.

Zwierzchnik roześmiał się cicho i podziękował mu skinieniem głowy.

– Światłem Hetawy wkrótce będziesz ty, Ehiru. Ja jestem tylko obdarzonym zaszczytami urzędnikiem, a czasami graczem. – Westchnął, a kiedy spojrzał na Ehiru, jego uśmiech zbladł. – Coś cię wzburzyło.

– Nic ważnego.

– Ludzie pobożni źle kłamią. – Zwierzchnik złagodniał. – Ale w twoim przypadku prawda jest na tyle bolesna, że chyba można ci wybaczyć. A przez to jeszcze bardziej żałuję, że muszę to zrobić.

– Co?

Zwierzchnik odwrócił się i spojrzał na tłum, który nie zamierzał się rozejść pomimo późnej pory. Największy tłok panował wokół pawilonu, gdzie na schodach księżę przykucnął przy swoich dzieciach, którym życzył właśnie dobrej nocy. Nieopodal stała grupka obcych, czarnych jak shunhowie, ale ubranych w cudzoziemskie stroje w odcieniach indygo: Kisuanie. Czuły gest księcia mógł być pokazem przeznaczonym dla przybyszy, którzy przyglądali się mu uważnie, wymieniając między sobą uwagi. Ehiru skrzywił się na wspomnienie gorzkich chwil. Następne słowa zwierzchnika brutalnie przypomniały mu o rzeczywistości.

– Dostałeś zlecenie. Wybacz mi.

Przez chwilę Ehiru był zbyt zdumiony i wściekły, żeby odpowiedzieć. Spojrzał z pretensją na zwierzchnika.

– Parę dni temu zbecześciłem daninę.

– Pamiętam. A jednak jako zwierzchnik muszę ci przypomnieć o praktycznej stronie twojej dobrowolnej pokuty. Trzy miesiące temu Una-une oddał swoją Ostatnią Daninę. Nijiri będzie gotowy dopiero w przyszłym sezonie. Prosiłem Rabbaneha i Sonta-i, by przejęli niektóre z twoich obowiązków ze względu na niedawne wydarzenia, a także dlatego, że szkolisz Nijiriego, lecz wymaganie od nich czegoś więcej byłoby po prostu niesprawiedliwością. Dwaj zbieracze nie mogą pracować za czterech.

Ehiru wzdrygnął się; jego gniew zniknął, zastąpiony wyrzutami sumienia. Spojrzał na tłum.

– Nie chcę obarczać moich braci ciężarem ponad miarę. Ale musisz zrozumieć... zwątpiłem. Nie czuję już w sercu glejtu Hananji. Nie wiem, czy... – urwał, lecz zmusił się, by wyrazić ten strach, który drażył jego umysł od śmierci kupca z Bromarte. – Nie wiem

już, czy potrafię... czy jestem godzien wykonywać moje obowiązki.

– Rabbaneh i Sonta-i także popełnili błąd przy zbiorze... Sonta-i pomylił się nawet dwa razy. Czy twój grzech jest większy, czy ich mniejszy? Czy wymagasz od siebie więcej niż od nich?

Tak. Ale nie powiedział tego na głos, by zwierzchnik nie zarzucił mu arogancji.

Starszy mężczyzna patrzył na niego wyczekująco. Stało się jasne, że odmowa nie wchodzi w grę.

– Jak sobie życzysz – ustąpił w końcu Ehiru z westchnieniem. – Mogę jedynie się modlić, żeby było to także życzeniem Hananji. Przynajmniej Nijiri się ucieszy; od czwórnia dręczył mnie, żebym wyszedł.

Zwierzchnik skinął głową i odwrócił się w stronę tłumu. Przez chwilę omiatał go wzrokiem. Potem jego spojrzenie dotarło do schodów pawilonu i znieruchomiało.

– Ci obcy są w żałobie. To Kisuanie. Obchodzą Hamyan zgodnie z zasadami. Widzisz ich?

Trudno było ich nie zauważyć. Teraz, gdy żony i strażnicy księcia zabrali dzieci, obcy rzucali się w oczy. Księżę wrócił na swoje miejsce, przybrał oficjalną postawę, a Aureola znowu wróciła za jego głowę. Kilku przybyszy skłoniło się przed nim, ale była wśród nich jedna kobieta, wyprostowana i nieruchoma. Pozostali gięli się jak trzciny na wietrze, ona trwała niczym drzewo.

– Ta kobieta.

Ehiru zmarszczył brwi.

– Kobiety nie potrzebują pomocy zbieracza, by dotrzeć do Ina-Karekh...

– W tym przypadku zlecenie jest gestem życzliwości – wobec niej i miasta. Petent twierdzi, że jej duszę toczy zepsucie.

– Czy wykonano Próbę Prawdy?

– Nie jest konieczna. Petent pozostaje poza wszelką wątpliwością.

Ehiru odwrócił się i spojrzał na profil zwierzchnika. Ten

uśmiechnął się na widok jego podejrzliwości, choć ten uśmiech nie dotarł do oczu.

– Jednak poprosiłem o dowody na zarzut zepsucia. Otrzymałem je. Oficjalne badanie zabrałoby czas i wymagałoby nagłośnienia. W tym przypadku spowodowałyby to szkody.

Ehiru zmarszczył brwi bardziej; podejrzenie zakiełkowało w jego umyśle.

– Kto to jest?

– Nazywa się Sunandi. W ich nomenklaturze to Jeh Kalawe, córka z rodu Kalawe – według nas sonha. Jest Głosem Protektoratu Kisuańskiego, niedawno przydzielono ją do Gujaarehu. Zarzuca się jej, że wykorzystwała swoją pozycję, by szpiegować, kraść i siać zepsucie wśród tutejszych urzędników. Jej postęпки zaprowadziły niepokój między Gujaareńczykami a Kisuanami.

– Zajmujemy się duchowością, nie polityką. – Ehiru założył ręce na piersi. – Jeśli Zachód Słońca chce jej śmierci, ma swoich zabójców.

– A jeśli Protektorat wypowie nam wojnę? Zabójstwo ambasadora to pogwałcenie traktatu między naszymi krajami. Całe miasto ucierpi, jeśli w odwecie zjawią się tu wojska. Gdzie jest w tym spokój, sługo Hananji?

„Od dawna zniknął z mojego życia” – pomyślał Ehiru z goryczą.

– Czy nie wypowie nam wojny, jeśli znajdą ją martwą z moją pieczęcią? – spytał głośno. – Nie pochwalają zbiorów.

– Szanują nasze obyczaje. Kisua także oddaje cześć Hananji, nawet jeśli czczą innych bogów oprócz niej. Jeżeli ta kobieta zostanie poddana zbiorowi, Kisuanie niewątpliwie się rozgniewają – ale nie na tyle, aby wypowiedzieć wojnę. Wówczas odezwałyby się miejscowa społeczność hananjańska i zaczęłyby się długotrwałe kłopoty. – Zwierzchnik spojrział na Ehiru. – Nie będę udawać, że nie chodzi tu o politykę. Lecz ta sprawa ma też i duchową stronę. Kobieta, o której mówimy, naprawdę dopuszczała się kradzieży, oszustwa i działania w złej woli. Jak byś to nazwał, gdyby nie była

ambasadorką?

– Zepsuciem.

Zwierzchnik skinął głową, jakby nadal był nauczycielem, a Ehiru – szczególnie zdolnym uczniem.

– Jak powiedziałaś: musimy się przede wszystkim skupić na duchowości.

Ehiru westchnął.

– Gdzie mieszka?

– Tu, w Yanya-iyon, oczywiście. W największym apartamencie skrzydła ambasadorskiego. Potrzebujesz mapy?

– Nie. Zapamiętam drogę.

– Zabierzesz Nijiriego? Strażnicy pałacowi najpierw sięgają po miecze, potem zadają pytania.

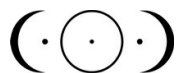
– Lepiej, żeby dowiedział się o niebezpieczeństwach naszej ścieżki. – Ehiru odwrócił się, by odejść, lecz jeszcze się zatrzymał. – Wykonam zlecenie jutro w nocy.

– Tak szybko?

– Jeśli jest tak zepsuta, jak twierdzisz, to z każdym dniem zwłoki jej dusza ulega większemu zepsuciu. Mam jej pozwolić cierpieć?

– Nie, skąd. Zatem pozostań w spokoju, zbieraczu.

Ehiru odszedł w milczeniu.



*W mroku snów dusza krzyczy o pomoc.
Wzywa przyjaciół, ukochanych, nawet
wrogów w nadziei, że uwolnią ją od męki.
Ale nadal pozostaje w ciemnościach. Ci,
którzy wydają się jej sprzymierzeńcami, nic
nie działają.*

(Mądrość)

W mroku jawy dusza Kosiarza już nie krzyczy. Nie ma potrzeby wzywać innych: inni i tak zawsze przychodzą, a jeśli nie, zawsze może ich sprowadzić. Dusza Kosiarza nie pamięta słowa „przyjaciel”.

Kite-iyam – Słońce nad Wodą – był wiosennym pałacem księcia. Yanya-iyam – Słońce nad Ziemią – nie chronił przed powodziami, a w porze deszczowej większość jego mieszkańców cierpiała na równi z innymi obywatelami miasta. Z wyjątkiem księcia. On przenosił się do Kite-iyam, gdzie przez cały rok mieszkały jego żony – cała czterokrotna poczwórność.

Tam spędzał płodną porę roku w jakże symbolicznym wysiłku, sprowadzając na świat dzieci, które miały przedłużyć jego dynastię.

– Nieczęsto przyjeżdżam tu w suchych miesiącach – powiedział księżę do Niyesa, jadąc w karawanie. – Moje żony są szczęśliwsze, kiedy dbam o porządek, a nagłe niezapowiedziane wizyty powodują chaos. Zaczyna się bieganina, by ozdobić pałac na moje przybycie, doprowadzić dzieci do porządku i tak dalej. Te, które pragną zdobyć moje względy, biegną, aby się upiększyć, te, które chcą mnie ukarać,

nie pokazują się. To niezwykle niszczy spokój.

Niyes, baczący na otaczających ich żołnierzy, roześmiał się cicho.

– Książę, mówisz, jakbyś wyjątkowo lubił składać niezapowiedziane wizyty.

– Tak to zabrzmiało? Jakież jestem niedelikatny. Pewnie słońce zaszkodziło mi na głowę.

Rzeczywiście, upał mógł odebrać siły. Książęca karawana jechała po drodze na nasypie, nazywanej Ścieżką Luny i biegnącej z miasta aż do bram Kite-iyana. Po obu jej stronach ciągnęły się kanały irygacyjne, zasilające pobliskie uprawy. Nie rosło tu ani jedno drzewo, w którego cieniu można by się schronić. Niyes uprzejmie nie zauważył, że w środku karawany, gdzie jechał książę, jest o wiele chłodniej ze względu na baldachim trzymany nad księciem przez czterech służących.

– Ale tak, dość lubię je zaskakiwać – dodał książę. – Pamiętam jeszcze moje dzieciństwo w Kite-iyana. Podczas wizyt księcia moja matka na zmianę trzęsła się nade mną i mnie przeganiała; inne kobiety zachowywały się równie gorączkowo. Strażnicy, eunuchowie, guwernerzy, kucharze, moje rodzeństwo... wszyscy byli na skraju wybuchu. Ale jednocześnie przepępniało nas uniesienie. Słońce naszego małego ziemskiego królestwa przybywało, by nas opromienić. Przecież pomimo tej liczebności byliśmy rodziną. – Spojrzenie księcia stwardniało. – Mój ojciec – oby żył w Jej spokoju na wieki – czasem o tym zapominał. Ja nigdy.

Kite-iyana został zbudowany na jednym z rozłożystych niskich wzgórz otaczających dolinę rzeki Krew Bogini. Pałac górował nad precyzyjnie wytyczonymi polami i sadami, a także labiryntem dróg, łączących ze sobą różne części Gujaarehu. Na wiosnę, gdy książę zwykle wyruszał w tę podróż, większość ziem stała jeszcze pod wodą; teraz, w środku lata, uprawy kipiały bujną zielenią. Podczas powolnego przejazdu Ścieżką Luny Niyes widział, jak ludzie pracujący na polach w dole prostują się i pozerają wzrokiem przejeżdżającą karawanę. Niektórzy klękali krzyżem; reszta osłaniała oczy, jakby rzeczywiście ujrzeli Słońce we własnej osobie.

Bramy Kite-iyana otworzyły się przed nimi, gdy pałac znalazł się w zasięgu ich wzroku. Karawana zatrzymała się; na ich powitanie wyszedł jakiś tuzin dzieci. Najmniejsze musiało biec, żeby nadążyć za innymi. Książę roześmiał się i spiął konia, gestem ręki każąc żołnierzom zostać. Zeskoczył na ziemię; dzieci natychmiast obstały go ze wszystkich stron, bez żadnej nieśmiałości ciągnąc go za koszulę, spódnice czy nawet warkocze, by zwrócić na siebie jego uwagę.

Książę obdarzał je nią hojnie, jednemu mierzwiąc włosy, drugiego mocno ściskając. Najmniejsze dziecko wziął na ręce i ruszył do pałacu, gawędząc z pozostałymi. Niyes dał znak żołnierzom, aby zsiadli z koni i cicho stanęli po obu stronach Ścieżki Luny i pałacowego wejścia. Nie spodziewał się kłopotów; książę spontanicznie postanowił odwiedzić Kite-iyana, a w Gujaarehu nie było wrogów – jawnych – którzy mogliby bez przygotowania zorganizować jakąś nieprzyjemną niespodziankę. Ale ostrożności nigdy dosyć.

Za grupką otaczającą księcia w okolicach bramy czekała spokojniejsza garstka dorosłych i innych dzieci. Wśród nich Niyes zauważył pierwszą żonę księcia Hendet, ich syna Wanahomena i Charrisa, kapitana pałacowej gwardii.

Książę pogłaskał kilkoro dzieci, każąc im wracać do pałacu, oddał najmłodsze jego starszemu rodzeństwu i zatrzymał się, by wymienić kilka czułych słów ze swoją żoną i z ulubionym synem. Pocałował go i żartobliwie chwycił jego ramię w niby-zaczepnym geście.

„Wkrótce zaczepność Wanahomena przestanie być zabawą” – pomyślał Niyes, przyglądając się ramionom młodzieńca; pod doskonale skrojoną płócienną koszulą grały mięśnie. Książę nadal był wyższy i lepiej zbudowany, lecz to przebiegłość, a nie sprawność fizyczna zwykle decydowała o wygranej w wyścigu do Aureoli. Wanahomen już do niego dojrzał. A jednak w jego oczach Niyes nie widział przebiegłości – nic z wyjątkiem uwielbienia dla ojca.

– Naprawdę zabrałeś całą czterdziestkę żołnierzy? – odezwał się znajomy głos.

Niyes drgnął, wyrwany z zamyślenia, i przekonał się, że Charris stoi tuż obok niego. Kapitan gwardii uśmiechał się, choć w jego oczach wyraźnie było widać pogardę.

– Spodziewałeś się kłopotów czy na starość dostałeś paranoi?

Niyes uśmiechnął się z zaciśniętymi zębami.

– Kiedy gra idzie o bezpieczeństwo księcia i jego rodziny, niczego nie pozostawiam przypadkowi.

– Oczywiście – odezwał się książę, odwracając się od Wanahomena, by spojrzeć na nich obu. Jego mina wyrażała cień nagany; Niyes wiedział, że książę nie znosi utarczek między swoimi żołnierzami. Skłonił się w milczącym geście skruchy. Charris uczynił to samo. Książę skinął głową, przyjmując przeprosiny. Potem dodał: – Ponieważ kapitan Charris również niczego nie pozostawia przypadkowi, także tutaj, w murach Kite-yan, powierzamy jemu i jego żołnierzom dbałość o bezpieczeństwo. Powiedz swoim ludziom, żeby odpoczęli i korzystali z gościnności moich żon aż do wyjazdu.

Niyes skinął posłusznie głową. Kątem oka widział, że Charris robi to samo. Odwrócił się i wydał szybki rozkaz żołnierzom, by odprowadzili konie do stajni, zanim oddadzą się niespodziewanym wakacjom. Potem poszedł za księciem i jego rodziną do pałacu.

Na dziedzińcu czekało wiele innych osób – pozostałe żony i dzieci księcia, służba i zarządcy. Książę szedł między nimi bez wahania, rozdając uśmiechy i powitania. Niyes stężał, jak zawsze czując się nieswojo na widok władcy pozbawionego ochrony w tak wielkim tłumie... ale potem zauważył rozproszone między sukniami mundury i zmusił się do spokoju.

– Pójdź, generale – odezwał się książę, zatrzymując się w zwieńczonym łukiem wejściu do wewnętrznych komnat pałacu. – Nigdy tu nie byłeś, prawda? Choć znasz Charrisa...

– Razem odbywaliśmy trening, panie – powiedział Niyes, podchodząc.

– Rozumiem, że nie jesteście przyjaciółmi.

Tu tłum był mniej gęsty. Charris nadal stał na dziedzińcu, wydając rozkazy swoim ludziom. Niyes odkaszlnął.

– Nie, panie. On jest zhiną.

Książę roześmiał się i ruszył przestronnymi, przewiewnymi salami o wysokich sufitach i oknach o wykwintnym łukowatym kształcie.

– Wybacz mi ten śmiech, stary przyjacielu, ale musisz wiedzieć, że rywalizacja shunhów i zhinów zawsze bawiła osoby z mojego rodu. Patrz. – Wziął dłoń Niyesa, uniósł swoją i jego, by zaprezentować, jak się różnią: jedna czarna jak rzeczny szlam, druga brązowa jak piasek pustyni.

– W moich żyłach płynie tyle samo krwi bogów, ile w żyłach każdego shunhy, zhinhy, a nawet kisuańskiego sonhy... pomijając fakt, że jako inkarnacja Hananji sam jestem bogiem. A jednak ponieważ moja skóra jest jaśniejsza o parę odcieni...

– Nie chodzi tylko o to, panie – odezwał się Niyes chłodno.

– Tak, tak. – Książę puścił jego rękę z uśmiechem. – Zawsze jesteś taki poważny. Przyjechaliśmy tutaj, żeby odpocząć, chociaż najpierw musimy porozmawiać o interesach. Chodź, pozwól, że cię oprowadzę.

Kite-iyam był pałacem dla kobiet; jego ściany wyłożono różowym marmurem, przetykanym gdzieniegdzie złotymi żyłkami. W korytarzach stały w równych odstępach donice z kwitnącymi roślinami. Wśród dekoracji dominowały piktogramy Śniącej Luni i jej dzieci, opisujące co przyjemniejsze opowieści z życia niebiańskiej rodziny. Mijali obszerne komnaty poświęcone kobiecym zainteresowaniom: biblioteki, sale rzeźb, sale do ćwiczeń walki na kije i tańca. W niewielu z nich odbywały się zajęcia, gdyż wszystkie żony księcia postanowiły na czas wizyty zmienić swój rytm dnia.

– Inaczej tu niż w czasach mojej młodości – odezwał się książę w zamyśleniu, wskazując głową mijane kobiety i dzieci. – W czasach mojego ojca było to ukwiecone więzienie. Ojciec zenił się z każdą

kobietą, która wpadła mu w oko, nie zważając na jej uczucia. Przywożono je tutaj, nie pozwalano im na przyjmowanie gości ani obchodzenie świąt, całkowicie odcinano je od świata za bramami. Dla nas, dzieci, było to równie przykre, choć nam przynajmniej wolno było od czasu do czasu wybrać się do miasta. Naszą jedyną rozrywką oprócz nauki było rywalizowanie o status i łaski ojca – co robiliśmy z ochotą. Wszystko to szkodziło nam jak trucizna.

Odkąd zacząłem wybierać sobie żony, starałem się postępować lepiej. Pozwalałem moim dzieciom poznać krewnych ze strony matki. Moje żony mogą nadal prowadzić swoje oddzielne domy i interesy, mają też swobodę ruchów. I jak widzisz, nie bronię tu dostępu mężczyznom. Widziałem, że kilka moich młodszych żon zwróciło uwagę na tego twojego sarniookiego łuczniaka. Mam nadzieję, że jest na tyle młody, żeby dać radę im wszystkim.

Książę wzruszył ramionami i błysnął zębami w uśmiechu na widok zdumienia Niyesa.

– Trzeba wiele sił, żeby uszczęśliwić dwieście pięćdziesiąt sześć kobiet. Twoi żołnierze wyświadczają mi wielką przysługę, wierz mi! Dzieci, które się z tego urodzą, pomnożą tylko moją chwałę.

Niyes pokiwał powoli głową, bardziej wytrącony z równowagi niż rozbawiony tym przypomnieniem, że książę zauważa wszystko.

– Wysokie kasty dyskutują o twoich reformach prawa małżeńskiego, książę. Wiele osób uważa te zmiany za... niepokojące. Ale my, shunhowie, zawsze czciliśmy kobiety w stary sposób.

– Może mi nie uwierzysz, lecz zgadzam się z poglądami shunhów.
– Zaczęli wchodzić po schodach wspinających się ku górze łagodną spiralą; promienie słońca, wpadające przez wąskie okna, wyglądały jak ukośne szprychy kół. – Ci źle wychowani barbarzyńcy, którzy wiercą sobie dziury w czaszkach, żeby uleczyć ból głowy, zmienili Gujaareh bardziej, niż by należało. To straszne. Nie mogę ograniczyć liczby żon, ale mogę pamiętać, że to istoty ludzkie, nie klacze rozplodowe. Traktuję moje dzieci jak skarby, bo nimi są. Przyglądałeś się mojemu synowi Wanie. Zdziwiło cię, że mnie

kocha?

Zaskoczony Niyes drgnął.

– Tak, książę.

– Spodziewałeś się buntu. Młody lew, czyhający na przywódcę stada. Ale nie jesteśmy zwierzętami. Naszym przeznaczeniem nie jest walka o strzępy władzy, ściąganie się w dół, jak to robią kraby w beczce. Temu modelowi posłuszny był mój ojciec. Ja też tak zrobiłem – żeby stać się jego spadkobiercą. Zabiłem większość mojego rodzeństwa i ich matki. Skoro o tym mowa, zabiłem też ojca... własnymi rękami wysłałem go na Tron Snów. Zasłużył na taki zaszczyt.

Niyes się wzdrygnął. Tylko nawyk – i to, że książę nie był tępy – pozwolił mu dalej iść. Nie zdziwiło go, że książę uatorował sobie drogę do Aureoli morderstwem; połowa miasta to podejrzewała. Ale fakt, że się do tego przyznał, to była całkiem inna rzecz.

Opowiada mi o zdradzie. Dlaczego?

– Chcę to wszystko zmienić, generale.

Minęli podest i ruszyli w stronę wyższych kondygnacji. Najwyraźniej znajdowali się w jednej z pałacowych wież. Schody były tu puste, na stopniach osiadła cienka warstewka kurzu.

– Chcę, aby moje dzieci nie musiały mordować swoich krewnych. Chcę, aby moje żony mnie kochały – jeśli tego chcą – i nie bały się mnie. Chcę, żeby Gujaareh miał mądrego, silnego przywódcę aż do końca swoich dni. Koniec szaleństwa. Nie trzeba polegać na Hetawie, by osiągnąć spokój i szczęście.

Niyes zmarszczył brwi, na chwilę zapomniawszy o narastającym niepokoju.

– To godne podziwu cele, książę, ale choć niezaprzeczalnie jesteś mądrym władcą, nie możesz ręczyć za swoich spadkobierców. Dopóki w grę wchodzi władza, będą o nią walczyć, a wygra najbardziej okrutny.

– Tak. Wiem. Jakże to nas osłabia... te wewnętrzne walki. Jak

ty i Charris, shunhowie i zhinhowie, Gujaareh i Kisua. Kiedy tak się osłabiamy, innym łatwiej jest nas podbić.

Zatrzymali się na innym podeście, dość wysoko na wieży. Popołudniowe słońce rzucało na podłogę nakładające się na siebie złotoczerwone prostokąty. Na końcu podestu znajdowały się masywne drewniane drzwi, wzmocnione i ozdobione okuciami w północnym stylu. W jednym z żelaznych pasów, biegnących przez drewniane skrzydło, był wielki ozdobny zamek.

Drzwi? W Kite-iyam?

– Książę... – Niyes przełknął ślinę; w gardle nagle mu zaschło. – Jeśli mogę spytać... gdzie jesteśmy? Co mamy przedyskutować w tej wieży?

Książę podszedł do drzwi, sięgnął pod koszulę i wyjął spod niej długi ciężki klucz na cienkim złotym łańcuszku.

– Jest tu jedna z moich żon.

– Jedna z twoich...

Generał spojrział na księcia, zbity z tropu. Książę patrzył na drzwi. Trzymał klucz, ale nie wykonał żadnego ruchu.

– Daję moim żonom wiele wolności, lecz w zamian spodziewam się lojalności. Ta szpiegowała mnie na zlecenie Hetawy. – Zerknął na Niyesa; spojrzenie miał odległe i twarde. – Zdrada to jedyna rzecz, której nie potrafię wybaczyć.

Po plecach Niyesa prześlizgnął się chłód. „Umrę dzisiaj” – pomyślał.

Książę uśmiechnął się blado i smutno, jak gdyby usłyszał te słowa. Potem odwrócił się, by otworzyć drzwi. Jego głos – kiedy znowu się odezwał – brzmiał lekko, gawędziarsko, jakby nadal zwiedzali pałac. Ale była w nim ostra nutka, której Niyes nie mógł nie usłyszeć.

– Musisz mnie zrozumieć, Niyesie: wiem, dlaczego to zrobiła. Wychowała się w Domu Dzieci; uważała Hetawę za swoją rodzinę. Działała zgodnie ze swoim sumieniem i nie winię jej za to. Podziwiam wręcz jej prawość... ale zdrada to zdrada i nie może ująć

płazem.

Książę otworzył drzwi i przekroczył ich próg. Odwrócił się, by spojrzeć na Niyesa. Po chwili generał poszedł za nim z ociąganiem.

Za drzwiami znajdowała się wąska komnata z rzędem okien po jednej stronie – zapewne kiedyś był tu korytarz, który zamknięto drzwiami, żeby utworzyć magazyn. Jednak okna te zamurowano – wszystkie z wyjątkiem jednego małego na końcu. Pokój tonął w cieniu; tylko jeden prostokąt krwawego światła kładł się na podłodze. W powietrzu unosił się zapach trocin, żywicy i czegoś mniej przyjemnego. Skisły pot, niemyte ciało, nieopróżniony nocnik. Niyes zmrużył oczy, czekając, aż wzrok przyzwyczai się do zmroku. Początkowo widział tylko bosc stopy kobiety leżącej bez ruchu na podłodze. Reszta ciała nikła w mroku. W pokoju słycać było nierówny, chrapliwy oddech.

– Prostym faktem – ciągnął książę – jest to, że Hetawa nie stanowi zagrożenia. Nie może mi nic zrobić, nie krzywdząc siebie. Ale Kisua to co innego. Wykręciliście mi rękę, angażując śliczną, mądrą Sunandi. Z tego powodu muszę przyspieszyć moje plany o kilka miesięcy – gdy ją zabiję. A tego także szczerze żałuję. Bardzo ją polubiłem.

– Panie...

Niyes urwał; serce zaczęło mu łomotać z nieprzyjemną prędkością. Za późno. Stało się za późno na wszystko, kiedy wyniósł zwłoki z więzienia. Wiedział o tym od początku. Ale przecież był shunhą, potomkiem jednego z najstarszych rodów Gujaarehu. Umrze z godnością.

– Zrobiłem to dla Gujaarehu, panie.

Książę spojrzał na niego łagodniej. Uścisnął przelotnie jego ramię.

– Wiem, stary przyjacielu. Nie mam do ciebie pretensji, choć chyba źle mnie oceniłeś. Ja także robię, co muszę, dla Gujaarehu.

Chrapliwy oddech dobiegający z głębi pokoju przyspieszył.

Rozległ się męski głos, niski jak mgła nad bagnem.

– Czuję Luny, bracie... Nadchodzi noc. – A potem ciszej, łapczywie: – Jestem pusty. Cierpię.

Książę zerknął w tę stronę. Wyjął coś zza przepaski na biodrach i zastukał tym w pobliską ścianę. Odpowiedział mu słaby piskliwy dźwięk, drażniąco znajomy – a potem Niyes przypomniał go sobie. Hetawa. Kiedy składał comiesięczną daninę ze snów, jungissa – kamień – zaczynała wibrować, jakby wstępowało w nią życie, niezbędne dla magii.

Książę uniósł kamień przed sobą, jak gdyby osłaniał się nim przed tym, co czaiło się w cieniu.

– Mam coś dla ciebie, bracie – powiedział cicho. – Ten także jest zepsuty. Ale musisz z nim skończyć szybko, bo dziś czeka cię nowe zadanie. Rozumiesz?

– Zepsuty... – W mroku coś zaszeleściło, cicho szurnęła stopa. Niyes ujrzał postać przykucniętego mężczyzny, powoli podnoszącego się z podłogi.

Ucieczka była niemożliwa. Nawet gdyby wy dostał się z tego pokoju, żołnierze Charrisa zabiliby go na jedno słowo księcia. Z łomoczącym sercem Niyes dobył sztyletu.

– Lepiej, żebyś się nie opierał – powiedział książę. Mówił łagodnie, kojąco, chociaż nie odrywał wzroku od sztyletu. – Jeśli go nie rozdrażnisz, zostało mu dość opanowania, by zrobić to jak należy.

Niyes uśmiechnął się ponuro.

– Pochodzę również z kasty wojskowych, panie.

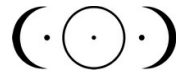
– To prawda. – Książę westchnął i ruszył do drzwi. – Powiem twojej rodzinie, że zginąłeś śmiercią bohatera, broniąc mnie przed zamachowcem. Nikt nie zrobi im krzywdy.

– Dziękuję, panie.

– Żegnaj. Żałuję, że tak musi być.

– Ja też, panie.

Książę opuścił pokój. Po chwili zjawił się Kosiarz.



*Zbieraczowi przystoi szukać czystości
w Hetawie, ukrywać się wśród wiernych
i ukazywać się w prawdziwej postaci tylko
tym, którzy otrzymali błogosławieństwo
Hananji.*

(Mądrość)

Do fontanny wpadł listek. Krople bębniące o powierzchnię wody brzmiały jak deszcz. Siedzący na brzegu cembrowiny Ehiru zamknął oczy, zasłuchany.

W Gujaarehu deszcz padał tylko raz w roku – na wiosnę. Gdy nadchodził, Krew Bogini występowała z brzegów i zalewała całą dolinę rzeki, od Morza Chwały aż po najdalej wysunięte na północ rejony Kisui. Gujaareńczycy na ogół nie znosili pory powodziowej i tych drobnych niedogodności, które się z nią wiązały – wszechobecnego błota, szalejących owadów, konieczności przeprowadzenia się na najwyższe piętro lub dach domu, dopóki wody nie opadną. Ehiru zawsze uwielbiał tę porę. Niosła ze sobą oczyszczenie, pomimo początkowego bałaganu: spieczone przez słońce ściany budynków znowu lśniły, pozbawione warstwy kurzu suchej pory. Niosła też odrodzenie; bez corocznych powodzi pustynia szybko pożarłaby skąpe skrawki żyznych ziem kraju.

„Chłopiec stanie się godnym zastępcą, gdy skończę go uczyć” – pomyślał.

Ale Nijiri miał zastąpić Una-une’a; Ehiru skrzywił się na tę myśl. Wśród akolitów było paru obiecujących młodzieńców, którzy mogliby zastąpić samego Ehiru – co prawda żaden nie miał tak

wyraźnego powołania jak Nijiri, lecz spełniali wymogi. Sonta-i i Rabbaneh nie zaznają odpoczynku, dopóki nowi zbieracze nie dojrzeją do swojego zadania. Jednak wkrótce młodszy bracia będą gotowi, by kroczyć po najtrudniejszej ścieżce Bogini. Wówczas grupa zbieraczy Hananji się odrodzi. Zostanie w końcu oczyszczona ze słabości i skażenia.

– Bracie Ehiru...

Bębienie kropel wody mogło zagłuszyć kroki chłopca, ale nie szelest palmowych liści. Rosły tak gęsto w Wodnym Ogrodzie, że trudno było ich nie musnąć, przechodząc. Mimo to Nijiri zdołał zbliżyć się niezauważalnie. Ehiru uśmiechnął się z aprobatą.

– Hananja oddała nas sobie nawzajem, Nijiri – powiedział, podnosząc głos tylko na tyle, żeby był słyszalny przez szum fontanny. W zapadłej ciszy usłyszał cichy oddech chłopca. – Mnie tobie w chwili potrzeby. Teraz ciebie mnie. Będę tu, aż przestaniesz mnie potrzebować. Zrozum to.

Znowu cisza – przez chwilę.

– Mogę cię potrzebować jeszcze przez wiele lat, bracie Ehiru.

– Nie tak wiele. Tylko do końca praktyki.

– I dłużej!

Ehiru odwrócił się od fontanny i spojrzał na chłopca, zdziwiony żarliwością jego głosu. Nijiri stał parę kroków od niego, na wpół ukryty w cieniu palm. W dopasowanej koszuli i przepasce biodrowej z delikatnego materiału wyglądał na przystojnego młodzieńca z wysokiej kasty. Ani jego uroda, ani zachowanie nie zdradzały pochodzenia z kasty służących. Cały jego wygląd był zwodniczy: cienkie kości nie zdradzały siły, zbudowanej przez lata fizycznego treningu, gładka, ładna twarz odwracała uwagę od oczu – które w odpowiednich okolicznościach potrafiły się stać bardzo zimne. Nijiri zawsze miał oczy zbieracza, nawet jako dziecko.

Ale nie teraz. Teraz jego twarz wydawała się spokojna, lecz napięte ciało zdradzało uczucia, które może jeszcze nie całkiem rozumiał.

Nigdy nie powinienem pozwolić, żebyś wybrał mnie na swojego mentora. Mój egoizm, twoje zagubienie. Biedne dziecko.

– Zbieracz musi być na tyle silny, aby żyć samotnie, Nijiri – powiedział Ehiru. Przez twarz chłopca przebiegł lekki skurcz. Ehiru nie potrafił zgadnąć, co się dzieje w głowie Nijiriego. – Twoje najważniejsze lekcje nastąpią długo po zakończeniu praktyki. Da ci je świat. Nie mogę stać między nim a tobą.

– Wiem o tym, bracie. – W głosie Nijiriego nagle zabrzmiała ostra nutka, której Ehiru się nie spodziewał. – Wiele lat temu poszedłem z tobą, bo już dorosłem na tyle, żeby to zrozumieć. Ty dałeś mi pierwszą lekcję: miłość oznacza poświęcenie. Decyzje podejmowane dla dobra innych, nawet własnym kosztem. – Nagle uciekł wzrokiem w bok, bardzo nieszczęśliwy. – To potrafię. Ale nie widzę powodu, żeby robić to bez potrzeby.

Ehiru zapragnął go uścisnąć. Nie powinien – to zbyt serdeczny, zbyt ojcowski gest. Nijiri był jego bratem ścieżki, nie synem; pewnego dnia, już niedługo, jego zdanie będzie tak samo ważne jak zdanie Ehiru. Relacja mentora i praktykanta wymaga ostrożnego wyważenia uczucia po obu stronach. Ale po porażce z duszą Bromartena i rozpaczliwych wyrzutach sumienia, z którymi zmagał się od tego czasu, świadomość, że Nijiri nadal tak go ceni, upokorzyła go i unaoczniała mu własną małość. Upokorzyła – bo nie zasługiwał na podziw chłopca. Unaoczniała mu własną małość – bo zrozumiał, że nie może tak łatwo porzucić swoich obowiązków. Ten chłopiec mu ufał, potrzebował go. Ehiru musiał się okazać godny tego zaufania – stać się go godnym, choć nie wiedział jak, i pozostać nim do końca szkolenia.

Wielkie brzemie; niechciany powód, żeby żyć. A jednak w głębi serca nie mógł się okłamywać – była to też ulga. Zwierzchnik słusznie tego od niego wymagał.

– Mamy obowiązki – powiedział w końcu Ehiru i po chwili chłopiec odetchnął głęboko, żeby się opanować, po czym skinął głową. W rzeczy samej, doskonały zastępca – w duchu, jeśli nie w prawdzie.

Ehiru odwrócił się i wyprowadził chłopca z Wodnego Ogrodu. Zatrzymali się w cichej, mrocznej Sali Błogosławieństw, by uklęknąć u stóp Hananji i poprosić Ją o chwilowe odwrócenie uwagi od Wiecznego Snu i pokierowanie nimi. Potem opuścili Hetawę przez Bramę Zbieraczy i wyszli w noc.

Tym razem Ehiru nie chciał poruszać się ulicami ani po dachach; było za wcześnie. Zbyt wielu mieszkańców miasta szukało rozrywek albo pracowało, wykorzystując fakt, że upał w końcu zelżał. Ehiru i Nijiri przebrali się za bogatych ludzi z wysokiej kasty, poruszali się więc jak na takie osoby przystało – wynajętym małym powozem, ciągniętym przez silnego młodzieńca z kasty służących. Ehiru zapłacił mu z funduszy Hetawy, rozkazując wieźć się pod same brązowe wrota Yanya-iyana.

Przed pałacem stały inne powozy, z których wysiadali pasażerowie. Wokół bram i na dziedzińcu czekali liczni goście. Większość z nich nosiła intensywne kolory i jedwabie cudzoziemskich strojów – stacjonujący w mieście dygnitarze, przybyli na Noc Hamyan – i wszyscy rozmawiali głośno o widokach, które ujrzeli, i przyjemnościach, których posmakowali, a także rozwodzili się nad wspaniałą gościnnością księcia. Ehiru przebrał się za bogatego shunhę, co pozwoliło mu przepływać przez tłum w wyniosłym milczeniu. Shunhowie słynęli z pogardy dla cudzoziemców; żaden z gości nawet nie próbował go zagadnąć. Ehiru ciągnął za sobą Nijiriego jak służącego lub faworyta – z zadowoleniem ujrzał, że chłopiec idealnie wszedł w swoją rolę, milcząc ze spuszczonej głową. Ich przebrania były na tyle przekonujące, że strażnicy przy bramie przepuścili ich, nie zwracając na nich uwagi. Dopiero gdy Ehiru zatrzymał się, by błysnąć symbolem Hetawy, ukrytym w stulonej dłoni, jeden ze strażników znieruchomiał, zapatrzony na nich, a potem znowu poruszył głową, dając im znak, aby przeszli.

Ehiru wiedział, że plotka o nich wkrótce się rozejdzie: najpierw wśród strażników, potem między służącymi i ludźmi niskich kast. Do świtu nawet osoby królewskiej krwi będą wiedzieć, że jakiś

zbieracz zjawił się w pałacu w sprawach Hetawy. Dlatego gdy rano znajdą zwłoki, nikt nie będzie podejrzewać rywali czy przestępców, a strażnicy nie zostaną oskarżeni o zaniedbanie obowiązków. Prawo Hananji stanowiło najwyższą wartość, lecz nie zakazywało swoim sługom okazania profesjonalnej uprzejmości.

Znalazłszy się za murami pałacu, Ehiru poprowadził Nijiriego po schodach i labiryntem krętych korytarzy, szukając sal przeznaczonych dla gości. Nie spieszył się, gdyż shunhowie nigdy się nie spieszyli. Strażnicy przyglądali się im, ale żaden ich nie zatrzymał, a Ehiru nie tracił czasu na powiadamianie ich o swojej tożsamości. Zrobił już, co należało; teraz najważniejszy stał się obowiązek.

Sale gościnne były ustawione w amfiladzie; drzwi zasłonięte grubymi kotarami prowadziły do kolejnych, identycznie urządzonych apartamentów. Na wyższych kondygnacjach znajdowały się jeszcze wspanialsze komnaty – oraz ich cel – ale by tam dotrzeć, musieli się dostać na to piętro. Mieściło się tu osiem apartamentów, z których dwa stały mroczne i ciche. Ehiru wybrał pierwszy z nich, odsunął kotarę, nie poruszywszy ani jednym dzwoneczkiem przyszytym do jej krawędzi, i wszedł.

Nie tracił czujności na wypadek, gdyby komnata okazała się zajęta, ale robiła wrażenie nieużywanej i anonimowej. Luna, świecąca przez cienkie firanki, obrysowywała swoim blaskiem krawędzie brokatowych poduszek i pluszowych sof i pozwalała im bez trudu poruszać się w ciemnościach. Ehiru zapalił świeczkę. Nijiri rozejrzał się dokoła z nieprzeniknioną twarzą, choć rzadko spotykał się z takim dostatkim.

– Piętra nad nami są przeznaczone dla najmniej ważnych członków rodziny królewskiej i najdostojniejszych gości – wyjaśnił Ehiru. – Kiedy w pałacu jest tak wielu obcych jak dziś, gwardia skupia się na chronieniu księcia, gdziekolwiek się on znajduje. To oznacza, że inne rejony, tak jak to piętro, pozostają bez ochrony. – Zaczął się rozbierać, odkładając na bok bogate stroje i klejnoty. – Nosicielka daniny powinna się znajdować w jednym

z apartamentów na wyższym piętrze.

Nijiri także zaczął zdejmować przebranie. Ehiru zauważył z aprobatą, że chłopiec nałożył na skórę balsam kosmetyczny. Brązowy barwnik zamaskował podejrzenie bladą skórę.

– Wiemy, w którym apartamencie? – spytał chłopiec bardzo oficjalnie.

– Apartament kisiańskich ambasadorów znajduje się bezpośrednio nad tą komnatą.

– Rozumiem... bracie Ehiru... – Podczas zdejmowania ozdób Nijiri wypuścił z dłoni jungisę – niedawno mu przydzieloną, nową, z grawerunkiem ważki. Ehiru skrzywił się, ale chłopiec zdążył złapać bezcenny kamień, zanim ten upadł na podłogę. Wyprostował się i tym razem umocował go jak należy, kuląc się ze wstydu.

Ehiru przyglądał mu się. Pewien stopień zdenerwowania był zrozumiały, lecz jeśli Nijiri nie zdoła się uspokoić, będzie musiał zostać, podczas gdy Ehiru przeprowadzi zbiór. Praktykant albo wyczuł spojrzenie Ehiru, albo sam uświadomił sobie problem, bo wyprostował się i usiadł na pobliskiej sofie. Zamknął oczy; poruszył ustami w modlitwie. Napięcie zniknęło z jego ciała.

Zadowolony Ehiru wyszedł na balkon. Poniżej rozciągał się dziedziniec Yanya-iyana, był pusty. Piasek przysypał jego ozdobne wzory i pawilon Słońca. Żaden ślad wczorajszych uroczystości nie zakłócał tego obrazu idealnego spokoju. Był to widok tak znajomy, że na chwilę myśli Ehiru oderwały się od czekającego go obowiązku i nawiedziło go wspomnienie innego życia z czasów dzieciństwa. Odwiedził Yanya-iyana tylko parę razy, a jednak każda wizyta pozostała w jego wspomnieniach wyraźna jak kryształ. W tamtych czasach zbieracze byli tylko mrocznymi postaciami z opowieści matki, a ówczesny książę był dla niego bogiem bardziej niż Hananja.

Kątem oka zauważył jakiś ruch. Spojrzał w górę, na mroczny kształt na tle pasów Śniącej Luny. Niebnik, jeden z nocnych drapieżnych ptaków pustynnych. Rzadko polowały w dolinie rzeki,

przedkładając nad nią obfitujące w myszy i jaszczurki tereny w pobliżu pustyni. Ludzie z kasty rolników uważali za zły omen widok niebika nad niezamieszkanym terenem poza porą deszczową – znak, że gdzieś zabrakło równowagi.

Czarna sylwetka drapieżnika na tle osrebrzonego światłem Luny dachu...

Nijiri skończył się modlić.

– Bracie, wybacz mi tę zwłokę.

Ehiru zamknął oczy, nasłuchując. Śniąca wspięła się już na najwyższy punkt nieba – ogromne czterobarwne oko na nocnym niebie. Czuł subtelną zmianę smaku powietrza, gdy ludzie wracali do łóżek, a zwierzęta do zagród. Ciche odgłosy z apartamentów gościnnych także umilkły. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy szepty niesione wiatrem: wizja. Zrozumiałe, zważywszy odstęp czasu od ostatniego zbioru – i nieistotne. Natężył wolę i iluzja zbladła. Wszędzie panował spokój.

– Czas – szepnął, a Nijiri dołączył do niego.

Stanięcie na balustradzie i sięgnięcie do występu powyżej nie stanowiło dla niego żadnego problemu, ale zachował najwyższą ostrożność. Parę pięter wyżej z pewnością stali gwardziści strzegący apartamentów księcia. Podciągnął się i przykucnął na występie, wpatrując się w zasłonę na balkonie i czekając, aż Nijiri pójdzie w jego ślady. Komnata z balkonem tonęła w mroku. Gdy wietrzyk poruszył jedwabiem, przyplłynął do niego ulotny zapach – kobiece perfumy.

Nijiri wylądował na balkonie z plaśnięciem bosych stóp. Ehiru zerknął na niego; twarz chłopca była spokojna, skupiona. Doskonale.

Musnął go kolejny powiew; zasłona wydeła się delikatnie ku balkonowi. Ehiru odsunął ją i wślizgnął się do komnaty, zatrzymując się pod najbliższą ścianą, żeby oczy przywykły mu do ciemności. Nijiri zrobił to samo. Obaj zastygli w półprzysiadzie.

Oderwali się od ściany i ruszyli, wymijając meble. Za główną

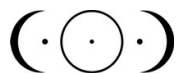
komnatą znajdowała się sypialnia. Drewniane wietrzne dzwonki kołysały się w oknie, od czasu do czasu sucho klekocząc. Od strony łóżka dobiegł go szelest i pomruk – kobieta spała niespokojnie. Tylko jeden oddech; a więc była tu sama.

Ehiru skinął głową do Nijiriego i razem podeszli do łóżka.

Zbyt późno usłyszał szmer, który zagłuszały jej niespokojne ruchy – szelest materiału, ostrożne stąpienie. Jednocześnie dobiegł go gwałtowny wydech, którego ciepło połąskotało włoski na jego prawym ramieniu. Zareagował bez namysłu – rzucił się naprzód w chwili, gdy coś zimnego i ostrego musnęło jego plecy, zostawiając cienką nitkę ognia na jego skórze.

– Bracie! – wybuchnął Nijiri, przerywając milczenie. Ehiru zapomniał o zachowywaniu ciszy; wyczuł, że napastnik się zbliża. Stracił równowagę, zatrzymał się przy łóżku i kopnął. Jego stopa napotkała czyjeś ciało. Usłyszał stłumione przekleństwo, a obok jego twarzy przepłynął cuchnący czosnkiem oddech. Kobieta usiadła gwałtownie na łóżku, zachłystując się ze strachu. Potem Nijiri skoczył, mijając go – cień sylwetki zadający ciosy innej sylwetce, dwa razy mniejszej od niego. Coś załśniło w mroku – nóż, wycelowany w bok Nijiriego. Ehiru uderzył pierwszy, aż do kości. Nóż upadł ze szczękiem na podłogę. W tej samej chwili Nijiri zrobił jakiś gwałtowny ruch i mniejsza sylwetka wpadła na zasłonę, rozdzierając materiał z głośnym trzaskiem. Nijiri podbiegł – rozbłysło światło latarni, boleśnie rażąc przywykłe do mroku oczy i zmuszając ich do bezruchu.

– Co tu się dzieje, na tysiąc bękartów Słońca? – spytała kobieta.



*Zbieracz wejdzie w przebraniu do budynku
i potajemnie zbliży się do dawcy daniny
Bogini.
W ten oto sposób utrzymuje się spokój
we śnie.*

(Prawo)

Przez parę sekund po wyrwaniu ze snu Sunandi nie pojmowała, co widzi. Lin leżała na podłodze, kaszląc i trzymając się za gardło. Obok niej zastygł w bojowej postawie szczupły jasnoskóry Gujaareńczyk, ledwie dorosły. Gapił się na Sunandi z niemal komicznym zaskoczeniem. Inny mężczyzna – większy, starszy, ciemnoskóry jak Kisuanin i jakby znajomy – stał w tle, obrócony bokiem w jej stronę, z oczami rozszerzonymi szokiem i gniewem. Potem mgła snu się uniosła i dotarły do niej szczegóły: nóż Lin na podłodze. Czarny strój intruzów. Emblemat z symbolem łzy luny na biodrze mężczyzny – herb Hetawy.

O, Śniąca. Niyes miał rację.

– 'Nandi...

Ochryply głos Lin wyrwał ją z osłupienia. Odrzuciła kołdrę, nie zważając na to, że jest prawie naga – miała na sobie tylko cienką koszulkę – i sięgnęła pod poduszkę po sztylet. Wyszarpnęła go z pochwy i zerwała się z pośłania.

– Zostaw ją!

Mężczyzna stęzał, jakby chciał rzucić się do walki – i raptem przez jego twarz przemknął jakiś nieokreślony cień, który zmienił jego gniew w dziwny, jakby nieobecny spokój. Mężczyzna wyprostował

się, a potem – doprowadzając Sunandi niemal do zawału – przykląkł na jedno kolano w oficjalnej, pełnej czci pozie.

– Proszę o wybaczenie. To powinno się odbyć spokojnie. – Jego głos był niski i tak cichy, że musiała wyteżać słuch, żeby go usłyszeć. Nieznajomy dał jakiś znak młodzieńcowi, który wziął Lin za ramię i pomógł jej wstać. Lin wyszarpnęła się i odskoczyła, łypiąc na obu intruzów spode łba. Jej oddech nadal niepokojąco świszczął, lecz chyba dochodziła już do siebie.

Sunandi zbliżyła się ostrożnie do niej, nie wypuszczając noża. Wolną ręką odsunęła dłoń Lin, osłaniającą gardło. Na krtani dziewczynki rozpościerała się rozjątrzona czerwona plama.

– Nie uderzyłem tak, żeby zabić – odezwał się chłopak niemal przepaszająco. On także mówił cicho, choć głos miał wyższy. – Chciałem ją tylko uciszyć.

– Nijiri – rzucił mężczyzna i młodzik zamilkł.

Teraz, gdy strach ustąpił – chociaż w jego miejsce pojawił się gniew – Sunandi zaczęła reagować na to, co się wydarzyło. Rozdygotana obesza łóżko, ciągnąc za sobą Lin, żeby trochę oddalić się od obcych. Od zabójców.

– Czy tak wygląda gujaareńska pobożność? – spytała. Jej głos zabrzmiał ostro i głośno w kontraście z ich głosami. – Mówiono mi, że zbieracze Hananji mają honor. Nigdy bym nie sądziła, że dacie się tak wykorzystać.

Mężczyzna drgnął nagle, jakby jej słowa dotknęły go jak fizyczny cios.

– Wykorzystać?

– Tak, przekłeci! Wykorzystać! Dlaczego w ogóle udajecie, że służycie Prawu Hananji? Na co czekacie? Zabijcie mnie i niech już będzie po wszystkim. Chyba że zamierzacie zagadać mnie na śmierć?

– 'Nandi! – wychrypiała Lin.

Fakt, nie była to najmądrzejsza rzecz, jaką mogła powiedzieć, ale

coś w jej słowach poruszyło tego starszego; musiała mówić dalej. To on stanowił większe niebezpieczeństwo, dostrzegła to od razu. Nie tylko fizycznie – było w nim coś, co napięło jej nerwy i szarpało je za każdym razem, gdy ich spojrzenia się spotykały.

Może to przez ten drobny szczegół, że chce mnie zabić.

Zbieracz znieruchomiał. Jego ręka uniosła się w bok, palce zrobiły dziwny gest – pierwszy i środkowy palec rozstawione, reszta zgrabnie zwinięta. Z jakiegoś powodu Sunandi poczuła mrowienie na skórze.

– Chciałem cię uspokoić – powiedział. – Ale jeśli wolisz, mogę to zrobić, kiedy zaśniesz.

– Bogowie! Nie! – Odruchowo cofnęła się o krok. Mężczyzna nie opuścił ręki.

– Zatem wyjaśnij, co powiedziałaś – dodał. Młodzik spojrzał na niego z nagłym zaskoczeniem. – Że nas wykorzystano.

– Oszalałeś? Uciekaj stąd, zanim zawołam strażników. Jesteście najgorszymi zabójcami świata!

– Nie jesteśmy zabójcami.

– Jesteście. Fakt, że robicie to w imieniu swojej krwiożerczej bogini, niczego nie zmienia. Czy to ty zabijałeś więźniów? Czy Kinję także zabiłeś?

Twarz mężczyzny przeszła subtelną zmianę – nadal była spokojna, ale już nie obojętna. Sunandi dostrzegła chyba w jego oczach gniew.

– Nie zebrałem nikogo imieniem Kinja – oznajmił. Ruszył ku niej bezszelestnie, nie odrywając od niej oczu. Młodzieniec poszedł za nim – z mniejszą gracją, ale równie bezgłośnie i złowieszczo. – Nikt, kogo zebrałem, nie przebywał w więzieniu, chyba że w więzieniu własnego cierpiącego ciała lub zaślepionego umysłu. Ofiarowuję Jej spokój w zamian za ból... strach... nienawiść... samotność. Śmierć to dar dla tych, którzy cierpią za życia. – Przystanął, zdejmując z niej czar swojego głosu i ruchu, a Sunandi uświadomiła sobie z nagłym dreszczem przerażenia, że zbieracz stoi

o parę kroków od niej. Jego dłoń nadal była uniesiona w tym dziwnym geście; tym razem zamierzał zaatakować. A kiedy to zrobi, nie powstrzyma go ani nóż, ani niedorośla strażniczka.

Strach przerodził się w trwogę – a potem ustąpił, gdy przypomniała sobie o naukach Kinji.

– Dwa dni temu widziałam zwłoki – powiedziała. Zbieracz przystanął. – Zwłoki mężczyzny, który jakiś czas temu umarł we śnie. Miał taką twarz... Nigdy nie widziałam takiego cierpienia. W Kisui opowiadamy legendy o tobie podobnych, waszych kapłanach, którzy sprowadzają śmiertelne sny. Podobno te sny nie zawsze są przyjemne. Podobno czasami, kiedy któryś z was straci panowanie nad sytuacją, ofiara umiera irusham – w masce przerażenia. Dalej chcesz mi powiedzieć, że nic o tym nie wiesz?

Zbieracz znieruchomiał; śmiertelnie groźne skupienie w jego oczach ustąpiło miejsca czemuś nieprzeniknionemu.

– Wiem o tym – powiedział głosem brzmiącym niemal jak szept.

– Wiem o tym – powiedział głosem brzmiącym niemal jak szept.

– Czy zatem szczerze się spodziewasz, że kiedy niecały czwórdzień później zjawisz się, by mnie zabić, uwierzę, że to nie ma nic wspólnego z wojennymi planami księcia?

Zbieracz zmarszczył brwi; Sunandi uświadomiła sobie, że gdzieś popełniła błąd w rozumowaniu. Na twarzy mężczyzny malowało się autentyczne zagubienie. W tej samej chwili młodzik zrobił krok do przodu, najwyraźniej nie potrafiąc dłużej wytrzymać w milczeniu. Nie stanął bezpośrednio przed mężczyzną, lecz wyglądał, jakby chciał go osłonić.

– Księżę nie ma nic wspólnego z osobami, które się zbiera, ani z przyczynami, dla których się to robi – oznajmił. – A błąd mojego brata nie ma nic wspólnego z żadną wojną.

Brata? A, tak. Chłopiec wyglądał jak fizyczne przeciwieństwo mężczyzny; ich pokrewieństwo wydawało się nieprawdopodobne. Musiał być praktykantem. Urywki plotek podsłuchanych podczas Hamyan scaliły się z drażniącym poczuciem, że zna tego mężczyznę,

i nagle Sunandi zrozumiała, kogo ma przed sobą.

– Jesteś Ehiru – powiedziała. – Ostatni żyjący brat księcia.

Zbieracz zmrużył oczy. A więc zgadła. Obaj mężczyźni byli podobni raczej do matek, ale w ich oczach widniało piętno ojca. Oczy Ehiru były onyksową wersją oczu księcia, równie piękną, choć o wiele zimniejszą.

– Moją rodziną jest Hetawa – warknął zbieracz.

– Ale przedtem był nią Zachód Słońca. Twoją matką była Kisuanka z rodu sonhów, zapewne spokrewniona ze mną. Oddała cię Hetawie, żeby ratować twoje życie.

Zbieracz spojrział na nią spode łba.

– To nieistotne. Odkąd Hetawa mnie przyjęła, należę do niej. Książę nie ma braci. Ja mam ich tysiąc.

Jeśli naprawdę tak myślał, być może mogła mu zaufać. Ale rozumiała, że bez względu na to od zabicia jej odwiedzie go jedynie prawda.

Odetchnęła głęboko, wyprostowała się i ostentacyjnie odłożyła nóż na łóżko.

– Lin.

Dziewczyna spojrzała na nią z niedowierzaniem, ale już dawno nauczyła się nie kwestionować jej decyzji przy ludziach. Z wyraźną niechęcią również odłożyła broń. Młodzieniec nieco się uspokoił; zbieracz pozostał czujny. Opuścił jednak rękę, co Sunandi uznała za dobry znak.

– Wyjaśnij to – rozkazał zbieracz.

– Zdajesz sobie sprawę, że to nie najlepsze miejsce na takie rozmowy? Bezpośrednio nad nami znajdują się apartamenty rodziny królewskiej.

– W tej komnacie nie ma otworów do podsłuchiwania. Umieszczenie ich tu byłoby głupotą, bo mogłabyś je znaleźć i sama wykorzystać.

Poza tym jej wrogowie o wiele bardziej interesują się tym,

co Sunandi robi poza gościnnym apartamentem.

– Dobrze. Być może nie jesteście zabójcami... a w każdym razie o tym nie wiecie. W tej sprawie liczy się efekt końcowy, nie intencje.

– Nie dla nas.

Z trudem powstrzymała się przed nerwowym przełknięciem śliny, słysząc złowrogi ton jego głosu. Nadal zamierzał... nie. Nadal bezwarunkowo wierzył, że ma prawo odebrać jej życie.

– Powiedziałeś, że ktoś zarzucił mi zepsucie. Kto?

– Nie wiem.

– A wiesz dlaczego? Jakie dowody podałeś?

– Oskarżono cię o szpiegostwo, nakłanianie do zepsucia wpływowych obywateli Gujaarehu i podżeganie do wojny. Nie wiem, jakie dowody przedstawiono. Oceniał je i zaakceptował zwierzchnik Hetawy.

– Na parszywe oczy Hananji! – Przez chwilę kusilo ją, żeby się roześmiać. Potem zobaczyła urażone miny intruzów i uświadomiła sobie, że popełniła bluźnierstwo. Zbeształa się w duchu: nie pora na amatorskie błędy. – Wybaczcie. Nie powinnam się dziwić. Oczywiście że szpiegowałam.

– Zatem przyznajesz się do zepsucia?

– Szpiegowałam tak, jak książę szpiegował mnie, a ambasadorzy Bromarte, Jijun, Khanditty i wszystkich innych krajów w zasięgu Wąskiego Morza szpiegowali sobie nawzajem. Szpiegowanie to zadanie ambasadora. Jeśli jest w tym zepsucie, to lepiej zbierz dziś więcej mieszkańców pałacu.

– Odpierasz inne oskarżenia? – Ehiru patrzył na nią nieprzeniknionym wzrokiem.

– Nakłanianie do zepsucia ludzi z wysokich kast i podżeganie do wojny? Niech się zastanowię. Spotkałam się z pewnym wielmożą, który wyjawiał mi jedną z najmroczniejszych tajemnic Gujaarehu. Zrobił to nieproszony, z własnej woli, a jego intencją było

zapobieżenie wojnie. Jak to osądzisz, kapłanie Hananji?

– Ja nie osądzam.

– Więc może lepiej zacznij. – Napięcie tej chwili i upór zbieracza zaczęły ją drażnić. – W tym kraju jest Kosiarz, kapłanie, i widziałam na to dowody. Uważam, że ty i twoi bracia wiecie o tej obrzydliwości i że ją ukrywacie.

Młodzik zmarszczył brwi z zaskoczeniem. Zbieracz skamieniał.

– W Gujaarehu nie ma Kosiarza. Nie było go od stuleci.

– Powiedziałaś ci, że widziałam zwłoki.

Kapłan zacisnął szczęki, a oburzenie malujące się na jego twarzy nagle ustąpiło miejsca czemuś niespodziewanemu: wstydomi.

– Czasem zbieracze się mylą – powiedział. Młodzik spochmurniał jeszcze bardziej, choć w spojrzeniu, które skierował na swojego mentora, malowała się tylko powaga. Zbieracz wbił oczy w podłogę.

– Kiedy tak się dzieje, odbywamy karę. Ale nie jestem bestią. Ani ja, ani żaden z moich braci.

– W więzieniu dwadzieścia osób umarło w taki sposób jak ten, którego ciało widziałam. Czy zbieracze mylą się tak często?

Mężczyzna pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Dwudziestu? Nie, to niemożliwe. Ktoś by to zgłosił. Lud zaakceptowałby jedną czy dwie pomyłki, ale nigdy tak wiele w tak niewielkim odstępie czasu...

– Oni nie wiedzą – odezwała się niespodziewanie Lin. Sunandi spojrzała na nią zaskoczona. Dziewczynka nie odwracała jasnych oczu od zbieracza, chociaż przemówiła do niej: – Ktoś z Hetawy pewnie wie, ale nie ci dwaj. Może wszyscy zbieracze tkwią w nieświadomości.

Kapłan spojrzał na nie, wyraźnie zbity z tropu. Jego głos zdrzął z niepewności i napięcia.

– Nie ma tu o czym wiedzieć. To, co sugerujesz, jest... jest... – urwał i zamilkł.

Sunandi prychnęła.

– Wie o tym przynajmniej jeden zbieracz. Tylko oni stają się Kosiarzami.

– W Gujaarehu nie ma żadnych Kosiarzy! – Spokój zbieracza prysnął tak nagle, że wszyscy się przestraszyli. Kapłan patrzył na nich z rozdętymi nozdrzami, zaciśniętymi pięściami, dygocząc z wściekłości. Panował już tylko nad głosem; nie uniósł go, choć wypowiadał słowa z taką zaciekłością, że brzmiały jak wykrzywane. – Byłaby to ohyda ponad wszelkie wyobrażenie. Regularnie przechodzimy próby. Kiedy zaczynają się pojawiać oznaki, oddajemy się Bogini. Wszyscy znamy swoje obowiązki. Sugerowanie czego innego jest atakiem na samą Hetawę!

Młodzieniec wyraźnie się przestraszył. Sunandi także. Poczucie niepokoju, które towarzyszyło jej od samego początku, stało się dwa razy silniejsze, poparte instynktowną pewnością. Z nim się coś dzieje.

– Nie chciałam cię obrazić – powiedziała neutralnym tonem. – Może pojawiła się nowa trucizna, której działanie naśladuje śmierć z ręki Kosiarza. Albo to zaraza. Nie można tego stwierdzić z całą pewnością. – Rozłożyła ręce powoli i ostrożnie, żeby kapłan widział, iż z jej strony nic mu nie zagraża. – Ale nawet jeśli w mieście nie ma Kosiarza, to ktoś z pewnością chce, byśmy wierzyli w jego obecność. Czy to także atak na twoją organizację?

Zbieracz trochę ochłonął, choć nadal stał sztywno.

– Tak, gdyby to była prawda. Ale oskarżono cię o zepsucie. Możesz kłamać.

Sunandi nie znalazła kontrargumentu. Westchnęła i potarła oczy, nagle zmęczona tą sytuacją.

– Mogę. Z tego, co wiem, pewnie nawet kłamię – bo opowiedziano mi kłamstwa, które teraz powtarzam tobie. Gdybym znała odpowiedzi na wszystkie pytania, moje zadanie byłoby zakończone. Tymczasem muszę je przerwać; muszę wrócić do Kisui, by powiedzieć mojemu ludowi, czego się dowiedziałam. – Zamilkła i spojrzała na niego. Uświadomiła sobie, że na razie nie

może być pewna niczego. – Jeśli mi na to pozwolisz.

Znowu to szybkie zaciśnięcie zębów i ścięgnięta napięta jak struny. Po długim milczeniu zbieracz skinął krótko głową.

– Oznajmiam, że twoja danina zostaje zawieszona. Dopóki nie potwierdzę... lub nie udowodnię fałszu twoich słów. – Zmrużył oczy.
– Jeżeli skłamałaś, nie myśl, że ucieczka do Kisui cię ocali. Zbieracze wykonują zlecenia na całym świecie. Prawo Hananji jest dla nas ważniejsze od prawa jakiegokolwiek kraju.

– Co do tego nie mam wątpliwości. Ale jak zamierzasz odkryć prawdę?

– Wrócę do Hetawy i spytam moich braci.

Ta naiwność wprowadziła ją w osłupienie. To miał być brat księcia?

– Nie radziłabym ci wracać do Hetawy. Rano, gdy nie znajdą moich zwłok, spiskowcy zrozumieją, że wyjawiałam ci tajemnicę. Hetawa – całe to miasto – przestanie być dla ciebie bezpieczna.

Rzucił jej spojrzenie pełne bezmiernej pogardy.

– To nie jest jakiś barbarzyński, tonący w zepsuciu kraj, kobieto.
– Odwrócił się, by odejść. Chłopiec ruszył za nim.

– Zaczekaj.

Kapłan odwrócił się znowu i spojrzał na nią nieufnie. Podeszła do komody – nadal powoli i ostrożnie – i przez chwilę w niej grzebała.

– Jeśli będziesz musiał opuścić miasto, daj to strażnikowi przy południowej bramie. Ale przed zachodem słońca, pamiętaj. O zmroku przychodzi inna zmiana.

Podeszła i podała mu ciężką srebrną kisuańską monetę. Jedna jej strona była otarta i nacięta, jakby przypadkiem. Zbieracz spojrzał na nią z niesmakiem.

– Łapówka.

Sunandi stłumiła rozdrażnienie.

– Znak rozpoznawczy. Dzienny strażnik z tej bramy jest jednym

z moich pracowników. Pokaż mu to, a ci pomoże. Nawet zdradzi ci, gdzie mnie szukać. Przed świtem zamierzam znaleźć się za murami miasta.

Zbieracz patrzył na nią ponuro, nie dotykając monety.

Sunandi przewróciła oczami ze zniecierpliwieniem.

– Jeśli później uznasz, że skłamałam, połóż ją na mojej piersi, gdy już mnie zabijesz.

– Nie waż się kpić... – Przez twarz zbieracza przemknął wyraz desperacji. Po chwili wahania kapłan westchnął i wyjął monetę z ręki Sunandi. – Niech będzie.

Odwrócił się i wyszedł z sypialni w mroku głównej komnaty. Jego sylwetka zniknęła za zasłoną balkonu; młodzieniec podążył za nim jak mniejszy cień. Przeskoczyli przez balustradę i się ulotnili.

Sunandi wreszcie odetchnęła swobodnie.

Po równie długiej chwili ciszy Lin nabrała tchu.

– Pójdę już – powiedziała w sua. Wstała, podeszła do otwartego, ukrytego za wielką paprocią plecaka w kącie pokoju i zaczęła w nim grzebać, sprawdzając, czy wszystko spakowała. – Załatwię sprawy z naszymi kontaktami. Powinnam była wyruszyć wczorajszej nocy, ale chciałam poczekać do jutra, kiedy większość cudzoziemców zacznie wyjeżdżać po Hamyan... – Zamilkła, a jej ręce na chwilę znieruchomiały. – Dzięki bogom, że zostałam. Gdyby mnie tu nie było...

Sunandi skinęła głową, choć trochę nieprzytomnie. Prawie nie potrafiła myśleć, tym bardziej logicznie mówić. Jako spadkobierczyni Kinji stanęła przed wieloma wyzwaniem, ale nigdy nie znalazła się w bezpośrednim zagrożeniu życia. Przypomniła sobie oczy zbieracza – bardzo ciemne i zimne, lecz także pełne współczucia. Prawdziwie przerażające. Zabójca pozbawiony złych uczuć – coś nienaturalnego. Właściwie zupełnie pozbawiony uczuć – z wyjątkiem tego niezłomnego przekonania, że morderstwo to coś właściwego, dobrego i świętego.

Lin wzięła ją za ramię. Sunandi drgnęła.

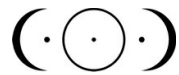
– Musisz stąd odejść, 'Nandi.

– Tak... tak... – Kinja przyjął Lin ze względu na jej inteligencję i rozsądek. Sunandi podziękowała bogom za obie te cechy. – Do zobaczenia w Kisui.

Lin skinęła głową i rzuciła jej łobuzerski uśmiech. Potem wymknęła się za kotarę drzwi apartamentu, zarzuciwszy na siebie zbyt wielką męską szatę, by ukryć pod nią plecak. Strażnicy na korytarzu zobaczą ją i pomyślą, że wraca ze schadzki z którymś z dostojników. Nie zatrzymają jej, o ile będzie zmierzać w stronę kwater służących. Potem opuści pałac i miasto, nim wstanie nowy dzień.

„To ją Kinja powinien był mianować ambasadorką” – pomyślała Sunandi z nagłą zazdrością. Lin była bardziej od niej bezwzględna i zdecydowanie lepiej przygotowana. Na razie Sunandi mogła tylko dziękować Kinji za dobry gust. Westchnęła i podeszła do skrzyni, by również się spakować.

Za oknem za jej plecami na tle zachodzącej Luny przemknęła ciemna sylwetka.



*– Ta magia jest potwornością – powiedzieli
Protektorzy do Inunru, gdy bestia została
powalona. – Nie pozwolimy na nią
w granicach naszego kraju.
I tak Inunru poszedł na północ wzdłuż
rzeki, a wraz z nim ruszyli najbardziej
mu oddani wyznawcy.*

(Mądrość)

Kosiarz wie, że jest potworem. Gdyby miał jeszcze duszę, płakałby z tego powodu.

Wyjście z Yanya-iyán nie było trudne. Gwardziści pałacowi na ogół bardziej interesowali się niechcianymi intruzami niż wychodzącymi gośćmi – nawet tymi, którzy wychodzili przed świtem. Ehiru wezwał kolejny powóz, który zawiózł go na ciche nadrzeczne uliczki. Teraz Nijiri siedział ze swoim mentorem na dachu nad rzeką, patrząc na przepływającą nieopodal Krew Bogini. Śniąca Luna jeszcze nie zakończyła swojej powolnej, wdzięcznej drogi przez niebo, lecz horyzont już jaśniał, zapowiadając nadchodzący świt. Po przesileniu przez jakiś czas noce były bardzo krótkie.

Zepsucie, obłąd i wojna...

Hamyán i rozmowa Nijiriego z siostrą Meliatuą miały miejsce zaledwie poprzedniej nocy.

Ehiru siedział cicho u boku chłopca; spoglądał na rzekę, lecz widział pewnie coś innego. Choć od rozmowy z tą Kisuanką minęła

godzina, Ehiru nie spieszył się z powrotem do Hetawy. Nie zdradzał też tego zdenerwowania, które ogarnęło go w sypialni kobiety – choć Nijiri wiedział, że ten spokój nie potrwa długo. Skoro Ehiru raz stracił panowanie nad sobą, straci je znowu. Na tym polegała próba.

Uniósł rękę wnętrzem do góry.

– Bracie Ehiru?

Dotyk przywoływał zbieracza do rzeczywistości, gdy inne zmysły zaczynały go zawodzić; była to sztuczka, której uczyli się wszyscy asystenci pranje.

Spojrzenie Ehiru oderwało się od tamtego dalekiego widoku, przeniosło się najpierw na twarz Nijiriego, potem na wyciągniętą dłoń. Zmarszczył brwi ze smutkiem, ale westchnął i niechętnie przyjął rękę.

– Tak bardzo cię przeraziłem, mój praktykancie?

– Określenie tego to sprawa zwierzchnika. – Nijiri wstał zdecydowanie i otrzepał przepaskę. Mentor zerknął na niego z łagodnym zaskoczeniem. – Musimy wrócić do Hetawy i to zgłosić. A ty musisz iść do dawców i poprosić o infuzję.

Ehiru uniósł brew.

– Jeden wybuch nie oznacza, że straciłem panowanie nad sobą.

– Sam wybuch nie. Ale były inne oznaki, prawda?

Mówienie takich rzeczy było nie do pomyślenia – chyba że należało je powiedzieć. Ehiru wyprostował się, wyraźnie zbuntowany. Nijiri nie ustępował.

– Przeszedłem trening, bracie, choć nigdy nie miałem okazji, aby prawdziwie służyć. Czy masz więcej wizji niż zwykle? Czy trzęsą ci się czasem dłonie?

Ehiru uniósł rękę i spojrzał na nią.

– W ranek Hamyan.

Pozwolił sobie cierpieć przez całe dwa dni? Nijiri spochmurniał.

– Zatem należy to zrobić. Nie zebrałeś dziś daniny. Do jutra

możesz zacząć słyszeć głosy, widzieć wrogów na każdym rogu...

Ehiru wstał i stanął przed nim.

– Sądzę, że znam swój schemat, skoro przeżywam go co roku od dwudziestu lat.

Nagana była łagodna, lecz uciszyła Nijiriego. Chłopak spuścił głowę i zacisnął pięści ze wstydu i gniewu. Po chwili Ehiru westchnął i położył mu rękę na ramieniu.

– Pójdę do dawców, jeśli to uspokoi twoje lęki – powiedział. – A potem obaj udamy się do zwierchnika...

Urwał, przechyliwszy głowę. Nijiri zmarszczył brwi i otworzył usta, żeby spytać, co się dzieje, ale zanim zdążył przemówić, mentor uniósł rękę, żeby go uciszyć. Obrócił się powoli na północ, spoglądając zmrużonymi oczami w górę rzeki. Na dachach zapanowała cisza, gdy wielki glob Śniącej w końcu znikł z oczu, zostawiając tylko głęboką jednobarwną ciemność i blade światło Czuwającej Luny. Nie śpiewał żaden ptak; ani jeden podmuch wiatru nie poruszył praniem suszącym się na sznurach. W mieście panowała cisza.

Nie. Nieprawda. Parę ulic dalej rozległo się zwielokrotnione echem tupanie sandałów o kamień. Ktoś biegł.

– Lekkie – szepnął Ehiru. – Może kobieta. Albo dziecko.

Nijiri odwrócił się w stronę, z której dobiegał odgłos. Przez myśl przebiegł mu tysiąc domysłów – w większości ponurych. Posłaniec. Służący wysłany z poleceniem. Gwałciciel. Morderca.

Znowu zamilkli, nasłuchując. Tupot zmienił rytm. Biegący od czasu do czasu ślizgał się, tracił równowagę i znowu biegł. Nijiri zmarszczył brwi; ten tupot miał w sobie coś niezaprzeczalnie gorączkowego. Coś panicznego. Ehiru uniósł rękę w szybkim sygnale „idź za mną w milczeniu”. Chłopak natychmiast usłuchał. Ehiru skoczył z dachu, na którym się znajdowali, na dach domu obok, a potem na kolejny. Nijiri, biegnący za swoim mentorem, zrozumiał, że za jakieś pół przecznicy przetną trasę tego kogoś uciekającego.

Ehiru zatrzymał się na skraju dachu przysadzistego magazynu.

Tupot ustał. Z zaułka po drugiej stronie budynku – od strony, gdzie po raz ostatni słyszeli biegacza – dobiegł ostry krzyk przerażenia.

Ehiru skoczył, zanim przebrzmiało echo krzyku; ruszył biegiem, nie starając się już zachowywać ciszy. Nijiri usiłował za nim nadążyć. Nawet po dziesięciu latach ćwiczeń akrobatycznych z zapartym tchem patrzył, jak Ehiru dobiega na skraj dachu i skacze, nie zatrzymując się ani na ułamek chwili. Zrobił salto w powietrzu, wpił palce w występy ściany; zaparł się stopami o mur, aby złagodzić zderzenie. Po chwili puścił krawędź i spadł kolejny odcinek w dół, by wylądować na ulicy, wsparty na czubkach palców u nóg i rąk, ze wzrokiem wbitym w mrok zaułka.

Z tego mroku dobiegł cichy syk.

Nijiri zatrzymał się z poślizgiem na dachu. Serce mu załomotało.

Nie było łatwiejszej drogi w dół. Przełknął ślinę, nabrał powietrza, by się skupić, tak jak nauczycieli go wartownicy, i wbił wzrok w przeciwległy mur, powtarzając manewr Ehiru. Ostatni skok mu się nie udał; chłopak wylądował bez kontuzji, ale stracił równowagę.

Zanim zdołał ją odzyskać, z mroku wyfrunęło coś, co uderzyło Ehiru. Wyglądało jak nierówno wypchany worek z ubraniami i miało jasne włosy. Służąca tej Kisuanki. Miej litość, Hananjo!

Ehiru stęknął przygnieciony ciężarem zwłok. Usiłował się wyzwolić spod bezwładnych kończyn, opadającej głowy i okropnych, przeokropnych niewidzących oczu. Nijiri podbiegł, by mu pomóc – i prawie krzyknął, gdy z mroku śmignęło coś jeszcze i uderzyło go tak mocno, że w oczach mu pobieleało. Uderzył boleśnie o bruk, padając, zbyt oszołomiony, żeby zrobić coś poza słabym szarpaniem się z tym, co się z nim zderzyło. To coś nie było trupem.

– Ładne dziecko – wycharczał mu do ucha jakiś głos. Nijiri skamieniał ze strachu; głos, niski i chrapliwy, wydawał się prawie nieludzki. – Będziesz mi smakować.

Jakieś dłonie chwyciły go za ramiona w żelaznym uścisku. Jedna unieruchomiła mu ręce nad głową. Druga – cuchnąca ziemią, żółcią

i czterema innymi ohydnyimi substancjami, przesunęła się po jego twarzy. Nijiri odruchowo zamknął oczy, kiedy czubki palców nacisnęły na jego powieki. Zaraz, to...

Ale ledwie zrozumiał...

Obudził się z krzykiem, jakby wyzwolony. Przerazenie tętniło mu w żyłach tak gwałtownie, że przetoczył się na bok i zwymiotował kwaśną rzadką strużką. Potem nie mógł znaleźć sił, żeby odczołgać się od wymiocin. Odruchowo zwinął się w kłębek, modląc się, żeby strach minął, a ten pulsujący ból głowy albo zniknął, albo go zabił, żeby już raz było po wszystkim.

Dobiegło go plaśnięcie ciała o ciało, tupot sandałów na kamieniach. Drapieżne warknięcie, jakby szakala.

– Potworze! – Krzyk Ehiru przedarł się przez cierpienie chłopca i jego strach trochę zbladł. Ehiru go ochroni. – Nie dostaniesz go!

Stworzenie odpowiedziało chrapliwym śmiechem. Nijiri jęknął, bo znał ten śmiech ze swoich koszmarów, ale nie potrafił ich sobie przypomnieć. Bruk zawibrował od tupotu stóp uciekających w zaułek. Potem czyjeś ręce podniosły Nijiriego, przytuliły do ciepła, mięśni i mocno bijącego serca.

– Nijiri? Otwórz oczy.

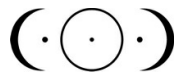
Do tej pory nie przyszło mu do głowy, że ma zamknięte oczy. Potem poczuł dotyk palców na powiekach. Szarpnął się i otworzył usta, żeby krzyknąć z przerażenia. Ale coś słodkiego, ciepłego i delikatnego musnęło jego umysł, miękko jak płatki kwiatu, kojąc przerażenie.

Nijiri otworzył oczy. Na widok zmartwionej miny Ehiru rzeczywistość do niego wróciła, choć nie cała.

– Dzięki niech będą Śniącej. Myślałem, że twoja dusza całkiem się oderwała. – Świat zakołysał się, gdy Ehiru uniósł go w ramionach. – Dawcy zdołają cię w pełni uleczyć.

Potem, kiedy Ehiru pobiegł, unosząc go, świat zaczął

podskakiwać i obracać się w szalonym tańcu. Ostatnim widokiem, jaki zobaczył Nijiri przed utratą przytomności, był skrzący się barwami klejnotów blask świtu.



Rzadko się zdarzało, żeby Ehiru otrzymał wezwanie do wykonania obowiązków. O tak, zlecenia były w pewnym sensie wezwaniami przedstawionymi przez rzeczników, ocenionymi przez komitet i usankcjonowanymi modlitwą, zanim trafiły do zbieracza. W ten sposób powstawał dystans. Bezpośrednie wezwania były lepsze. Wówczas zbiór można było wykonać za dnia, pieczołowicie, uroczyście. Nosiciel daniny miał przejść w stan wiecznej radości w otoczeniu rodziny i przyjaciół, zebranych, by pożegnać się i podziwiać to odejście.

Ale tak niewielu szczerze wierzyło w błogostawieństwo Hananji i przyjmowało je tak chętnie jak należało... Wszystkie procedury, całe to potajemne zachowanie zostało opracowane z myślą o nich – o ludziach słabej wiary lub w ogóle niewierzących. Nawet w tej chwili Ehiru zauważył takich, którzy cofali się, gdy przechodził ulicami w oficjalnej szacie zbieracza, w kapturze naciągniętym na twarz i czarną różą oazy na ramieniu. Zasmucało go, że tak wielu obywateli Hananji bało się jej największego daru... lecz może to także było Jej wola. Największe tajemnice życia – albo śmierci – zawsze były przerażające, jednak mimo to wspaniałe.

W dzielnicy kupieckiej otaczały go śliczne okazałe domy. Dotarł do tego, którego szukał. Jego mieszkańcy czekali na niego, odświętnie ubrani i poważni, stojąc w dwuszeregu przed otwartymi drzwiami, by dać znać, że witają go z otwartymi ramionami. Wysoki jasnowłosy starzec był panem domu. Skłonił się głęboko przechodzącemu Ehiru, ale dopiero wtedy, gdy ten spojrzał mu w oczy i ujrzał w nich wiarę. Przynajmniej jeden nieskapiący Bogini Jej należności.

Ale teraz Ehiru musiał spełnić swą powinność wobec kogoś innego.

Przeszedł w milczeniu obok starca i przekroczył próg domostwa. Kobieta powinna być w pokojach służby. Odsunął zastonę i ujrzał przestronny dziedziniec, gdzie powinno się znajdować atrium mniej ważnego domu. Stało tu kilka malutkich chatek. Niektóre usiłowano upiększyć – to kwiatowym ogrodem, to wzorami skreślonymi niewprawną ręką. Ehiru przyjrzał się każdemu domowi, zastanawiając się nad tym, co wiedział o nosicielce dziesięciny z jej listu. Był zwięzły, napisany wielkimi symbolami obrazkowymi półanalfabetki, nie eleganckim pismem hieratycznym wyższych kast. Prosty język, prosta prośba, skreślona niewprawnie, lecz z uwagą... Jego oczy spoczęły na najbliższej chacie. Tradycyjnie ozdobiona, wyglądająca na wygodną, połączona z głównym domem schludną ścieżką z rzecznych kamieni. Tak, to ta.

Gdy Ehiru odchylił zastonę, jego nozdrza podrażnił zapach: zakrzepłej krwi, fekaliiów, zakażenia. Ani ziołowe kadzidło, ani zwisające z sufitu saszetki suszonych kwiatów nie mogły zagłuszyć tego smrodu. Istnieje niewiele chorób, z którymi magia nie może sobie poradzić, ale te zawsze były najgorsze. Chatka była nie większa niż pokój. W kącie stał malutki ołtarzyk; w drugim znajdowało się palenisko. Pod przeciwległą ścianą było małe łóżko, na którym leżała mała dygocząca postać: nosicielka daniny. Lecz nie była sama. Obok klęczał chłopczyk, który mógł liczyć sześć, może siedem powodzi. Obok niego znajdowały się miednice, szmatki, talerz z jakąś ziołową pastą i kominek z kadzidłem. Tak małe dziecko opiekuje się umierającą matką?

Potem dziecko odwróciło się i spojrzało na niego takimi oczami jak zmatowiały ze starości pustynny jaspis i Ehiru zrozumiał: tych roztrzęsionych, niezdarnych ideogramów listu nie napisał dorosły.

– Jesteś zbieraczem? – spytał chłopiec. Głos miał bardzo cichy.

– Tak.

Chłopiec skinął głową.

– Dziś rano przestała mówić. – Odwrócił się do kobiety i przykrył jej drżącą ręką małą rączką.

Po chwili namysłu Ehiru podszedł i ukląkł przy chłopcu. Kobieta była świadoma – ale tak udręczona bólem, że Ehiru zdziwił się jej

milczeniem. Ta choroba należała do okrutnych; powodowała infekcję jelit, tak że ciało ofiary zatrutowało samo siebie, usiłując zwalczyć intruza. Kiedy pojawiały się pierwsze objawy, było już za późno. Pewnie od wielu dni krwawi, nie czerpie składników odżywczych z jedzenia, płonie gorączką, choć jednocześnie trzęsie się z zimna. Ehiru słyszał, jak opisywano ból jako zwierzę, zaczajone w brzuchu ofiary i wygryzające się na zewnątrz.

Kobieta patrzyła w sufit. Ehiru przesunął dłonią przed jej twarzą, ale jej powieki ledwie drgnęły. Westchnął i zaczął zdejmować kaptur – nagle znieruchomiał, przypomniawszy sobie o obecności chłopca. To dziecko po niego poszło, lecz prawdopodobnie na życzenie matki. Czy zdoła zrozumieć błogosławieństwo, które przynosi zbieracz?

Jednak gdy spojrzął w stare, zmęczone oczy dziecka, zrozumiał, że niepotrzebnie się martwił. Dlatego zdjął kaptur i położył rękę na ramieniu chłopca, lekko je przez chwilę ściskając, po czym zajął się kobietą.

– Jestem Ehiru, we śnie zwany Nsha. Przybywam wezwany, by uwolnić cię od cierpień jawy i zaprowadzić w spokój snu. Czy przyjmiesz błogosławieństwo Hananji?

Kobieta nie zareagowała; wzdrygnęła się tylko gwałtownie.

– Przyjmie – szepnął chłopiec. Po chwili Ehiru skinął głową. Zamknął powieki kobiety i ukołysał ją, stworzywszy sen, który dał jej przyjemność zamiast udręki. Kiedy otworzył oczy, aby ujrzeć jej ostatni oddech, na jej policzkach lśniły łzy, a twarz była przepiękna radością. Uniósł okrycie, by ułożyć ciało chorej i zostawić swój znak na jej piersi. Wyglądał pięknie na jej nieskalanej czerwono-brązowej skórze. Tak rzadko dokonywał zbioru kobiet, a ta była w dodatku młoda.

– Dziękuję – szepnął chłopiec.

Ehiru spojrzął na niego w zamyśleniu.

– Gdzie jest twój ojciec?

Chłopiec tylko pokręcił głową. Pochodził z kasty służących; mógł go spłodzić każdy mężczyzna, który poczuł przelotne pożądanie do jego matki. Krewni nie zgodziliby się ani nawet nie zdołaliby go wspierać.

Pan domu mógłby go zatrzymać albo oddalić, żeby chłopak znalazł sobie nowego pana – jeśli zdoła. Czekają go lata niekończącej się, oglupiającej pracy.

Ehiru wyciągnął rękę do dziecka.

– Czy cię boli?

Chłopiec powoli uniósł spojrzenie.

– Hm?

– Serce?

– A. Tak.

Ehiru skinął głową.

– Nie jestem dawcą, ale mam w sobie spokój twojej matki. Nikt nie ma do niego większego prawa niż ty. Daj mi rękę.

Chłopiec wziął jego dłoń – bez wahania czy strachu, zauważył Ehiru z zadowoleniem. Ehiru objął chłopca, przytulił go i podzielił się z nim łańkami szczęścia, które jego matka będzie odczuwać przez wieczność. Odrobina uzdrawiania, nic więcej. Senna krew może zaleczyć rany serca, nigdy jednak nie należy całkowicie usuwać bólu.

Dziecko na wpół omdlało w jego objęciach i zaczęło płakać. Ehiru czekał z uśmiechem.

Za jego plecami rozległ się pojedynczy krok.

Ehiru wstał i odwrócił się z chłopcem w ramionach. Za progiem chaty stał pan domu. Reszta rodziny i służący wyglądali zza jego pleców.

– Zbieraczu...

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, szacowny Sijankesie, zabiorę tego malca ze sobą do Hetawy.

Starzec uniósł brwi.

– Nie mam nic przeciwko temu, ale... czy jesteś pewny? To tylko dziecko, za małe, żeby przydać się jako służący.

Tylko dziecko i tylko służący, lecz potrafił przyjąć śmierć i zrozumieć jej błogosławieństwo. Ehiru oparł chłopca o swoje ramię i uśmiechnął się, gdy poczuł chude ramionka otaczające jego szyję. Jako zbieracz

nigdy nie spodziewał się ani nie chciał synów. Mimo to pogłaskał plecy malca, przez chwilę zastanawiając się, czy tak właśnie czuje się ojciec.

– Teraz będzie służył Bogini – powiedział.

I wyszedł z chłopcem bezpiecznie utulonym w jego ramionach, z matczyną senną krwią rozgrzewającą go od środka i ze łzami miłości wysychającymi na jego policzkach.

Dawca Mni-inh, trzymający palce na zamkniętych powiekach Nijiriego, westchnął i otworzył oczy.

– Słusznie podzieliłeś się z nim spokojem. Umblikeh była o włos od zerwania. – Cofnął dłonie. – Chłopak dojdzie do siebie i nie dozna żadnej trwałej szkody – w każdym razie fizycznej.

Ehiru wysłał dziękczynną modlitwę do Bogini.

– To stworzenie dotykało go tylko przez chwilę. Zbiory nigdy nie są tak szybkie.

– Nie możesz tego nazwać zbiorem. – Mni-inh spojrzał na niego z tak zacieklą niechęcią, że jego cienkie, delikatne brwi niemal zbiegły się ze sobą. – To zbyt odrażające. Humor został pobrany z taką prędkością i siłą, że zostawił wielkie rany w umyśle chłopca. Zaleczyłem je, ale zostaną blizny.

Ehiru zastygł w milczącym żalu, spuściwszy oczy na podłogę alkowy.

– To moja wina.

– Nie waż się obwiniać siebie. Choć gdybym nie widział dowodów na własne oczy, nigdy bym w to nie uwierzył. Bogowie! Kosiarz! – Pokręcił głową i wstał, by się przeciągnąć. Kątem oka zerknął na Ehiru. – Powiedziałbym, że ogarnęło cię szaleństwo.

– Wczoraj powiedziałbym to samo – odparł Ehiru. Uniósł rękę do skroni, aby rozmasować tępy ból. – Ale wizje nie zostawiają siniaków ani zwłok.

Mni-inh zmarszczył brwi, podszedł i odsunął rękę Ehiru. Jego chłodne palce ucisnęły skronie zbieracza; potem nastąpił

subtelniejszy dotyk duszy.

– Poświęciłeś swoje ostatnie zapasy, by ofiarować spokój temu chłopcu. I nie zebrałeś dziś dziesięciny?

– Nie.

Wargi dawcy drgnęły, być może z dezaprobatą.

– Zatem potrzebujesz infuzji. Obudzę Inessta. Ma dość, by się z tobą podzielić, a i tak czas na jego zmianę.

Ehiru spojrział na niego z wahaniem.

– Chyba... wolałbym stawić czoła pranje. Teraz, nie w zwykłym czasie.

Mni-inh spochmurniał.

– Szalejesz wystarczająco długo. Ścierpiałeś karę ponad wszelką miarę.

– To oceni Hananja, nie ty. – Ehiru założył ręce na piersi i spojrział na Nijiriego, jeszcze bardziej pewien swojej decyzji. – Zeszłej nocy przystąpiłem do zbioru, lecz okoliczności wymusiły jego odwleczenie. Potem usiłowałem zapobiec zabójstwu i poniosłem klęskę. Zginęła dziewczynka, a jej dusza przepadła w wiecznej męce. Jej ciało leży w zaułku niczym śmieć – a teraz mój praktykant także ucierpiał. Czy to wygląda, jakby Hananja chciała, żebym nadal pracował?

– Zdaje się, że widzisz omeny na każdym kroku!

Ehiru wskazał palcem na leżącego Nijiriego. Chłopiec jeszcze spał, ale zaczął oddychać szybciej; proces zdrowienia się rozpoczął.

– Tu leży twój omen. Jak ci się wydaje, co oznacza? – Mni-inh wzdrygnął się na jego ostry ton. Ehiru z wysiłkiem powściągnął gniew, zanim jeszcze bardziej zaniepokoił dawcę. – Wierzysz, że to wszystko było wizją? – spytał spokojniej.

Mni-inh przewrócił oczami.

– Nie, z całą pewnością coś mu się stało. Ale nie możesz zaprzeczyć, że sił zostało ci niepokojąco niewiele.

– Nie zamierzam temu zaprzeczać, chętnie to przyznaję. Udam się w miejsce odosobnienia, jeśli uważasz, że powinienem, lecz nie będę zamykać oczu na ten zbieg okoliczności – jeśli jest to zbieg okoliczności. Uważam, że bogini wzywa mnie, bym się z Nią połączył. Jestem Jej sługą. Muszę Jej słuchać.

– A twój praktykant? – Mni-inh wskazał Nijiriego. Jego gniew także zaczął rosnąć, grożąc przekroczeniem granicy spokoju. – Jeżeli poddasz się teraz pranje, a Ona zażąda, byś złożył Ostatnią Daninę, ten chłopiec zostanie sam.

– Sonta-i może...

– Sonta-i z trudem wyciska z siebie dość współczucia, żeby pocieszyć swoich nosicieli daniny. Skąd miałyby je wziąć dla kogoś innego?

– W takim razie Rabbaneh.

Mni-inh skrzywił się z desperacją i palcem ukłuł Ehiru w pierś.

– Ty uparty głupcze. To ciebie kocha ten chłopiec.

Ehiru wzdrygnął się, zaskoczony bezceremonialnością Mni-inha – ale przecież dawca nigdy nie owijał słów w bawelnę. Zawsze mówił to, czego inni zbieracze nie potrafiliby wyrazić słowami. Inni dawcy na ogół też tego nie umieli – Mni-inh taki już był.

– To dobrze. Tylko miłość potrafi uleczyć takie rany. I twoje, jeśli kiedykolwiek postanowisz przestać się przyglądać, jak się jątrzą.

Ehiru odruchowo cofnął się o krok, wstrząśnięty bardziej, niż gdyby dawca go uderzył.

– Ja...

Na szczęście Nijiri wybrał akurat tę chwilę, żeby się poruszyć. Mni-inh po raz ostatni łypnął spode łba na Ehiru i ukląkł przy chłopcu. Uniósł mu jedną powiekę. Wydał wargi, jakby oceniał coś, co tylko dawca może zrozumieć, pochylił się i coś szepnął do ucha chłopca. Nijiri otworzył oczy, rozejrzał się nieprzytomnie, tępo – a potem szarpnął się, odepchnął Mni-inha i przetoczył się jak najdalej od niego. Przykucnął pod ścianą alkowy, rozglądając się

dziko, zanim dawca zdążył zakląć i sięgnąć po niego.

Ehiru szybko chwycił go za rękę. Zadziałał trening wartownika w połączeniu z instynktem; w tym stanie chłopiec mógł złamać dawcy rękę. Ehiru odepchnął Mni-inha i przypadł do ziemi, żeby wydawać się mniej groźnym.

– Spokój, Nijiri. Niebezpieczeństwo przeminęło.

Przytomność nie od razu pojawiła się w oczach chłopca. A wtedy Nijiri znowu je zamknął i osunął się po ścianie.

– Bracie...

Ehiru podszedł ostrożnie.

– Już dobrze. Demon odszedł. Wróciliśmy do Hetawy i jesteś bezpieczny w Sali Hananji. Widzisz?

Zbliżył się na tyle, żeby dotknąć czubkami palców policzka Nijiriego. Chłopiec otworzył na chwilę oczy i Ehiru cofnął się raptem o dziesięć lat. Pustynny jaspis. Potem wizja minęła.

– Tak – szepnął Nijiri. – Widzę cię, bracie.

Stojący za nimi Mni-inh ośmielił się zrobić krok ku nim.

– Jak się czujesz, praktykancie?

Nijiri westchnął i przysiadł na piętach. Ehiru wziął go za rękę niczym asystent pranje, żeby pomóc mu się skupić.

– Jakby czterdzieścioro dzieci tańczyło modlitwę w mojej głowie, a wszystkie w ciężkich drewniakach. Wybacz mój brak szacunku, dawco Mni-inhu.

Mni-inh wydał ni to westchnienie ulgi, ni to chichot.

– W tych okolicznościach mogę ci wybaczyć, praktykancie. Pamiętaj, co się wydarzyło?

Twarz chłopca skamieniała.

– Pamiętam... zaulek. Nie. Miejsce pogrążone w większym mroku. Były tam jakieś stworzenia. Widziałem... widziałem, jak oddychają... – Nagle pokręcił głową. – Nic więcej nie pamiętam.

Jego zmarszczone czoło i zaciśnięte zęby świadczyły o czymś

przeciwnym, ale ani Ehiru, ani Mni-inh nie naciskali.

Dawca dotknął drugiej dłoni chłopca.

– Z czasem wróci ci pamięć. Na razie musisz odpoczywać...

– Ci dawcy – przerwał mu Ehiru. – Zawsze cenią ciało bardziej od duszy. – Wstał i pociągnął za sobą chłopca; Nijiri lekko się zachwiał, lecz nie upadł. – Zagrożenie dla obywateli jest ważniejsze od naszej wygody. Obaj wypoczniemy, kiedy złożymy raport.

Chłopiec spojrzał na niego i skinął głową. Mni-inh przewrócił oczami.

– Zbieracze! Uparci poza granice zdrowych zmysłów! Proszę bardzo. Poślę akolitę, by obudził zwierzchnika...

– Nie trzeba.

Wszyscy odwrócili się w stronę drzwi. W progu stał zwierzchnik w towarzystwie Dinyeru, starszego wartownika. Zwierzchnik był pospiesznie odziany, ale spojrzenie miał przytomne... i zimne.

Ehiru zauważył z mocnym biciem serca, że za jego plecami stoją dwaj żołnierze. Obcy, noszący czerwien i złoto gwardii Zachodu Słońca.

– Zbieraczu – przemówił cicho zwierzchnik. – Staniesz przed sądem Hetawy.

Nijiri drgnął. Ehiru spojrzał pytająco na zwierzchnika.

Pierwszy doszedł do siebie Mni-inh.

– Zwierzchniku, chyba nie wierzysz, że Ehiru...

– Wierzę w wiele rzeczy.

Zwierzchnik odstąpił w bok; do alkowy wszedł Dinyeru z dwoma obcymi. Dinyeru niósł dziwne urządzenie – dwa długie, zaopatrzone w zawiasy cylindry, zespolone ze sobą na całej długości. Każdy zakończony był wypukłością. Kajdany mające otoczyć przedramiona i dłonie zaciśnięte w pięści – jarzmo bestii. Ehiru w dzieciństwie widział je wiele razy, sprzątajac w archiwum Hetawy. Za jego życia nigdy ich nie użyto.

– Wierzę w łaskawość naszej Bogini – ciągnął zwierchnik. – Wierzę w honor i zdolność osądu naszego księcia. A zatem musiałem uwierzyć, gdy jego gwardziści powiadomili mnie, że w mieście zamordowano tej nocy dziecko – towarzyszkę kisuańskiej ambasadorki Sunandi Jeh Kalawe. Miałeś na nią zlecenie, prawda?

Wstrząśnięty Ehiru poruszył parę razy ustami, zanim udało mu się przemówić.

– Tak... Ta Nordynka. Tak, jej ciało...

– Ciało dziecka nosiło oznaki straszliwego zbezczeszczenia – zarówno fizycznego, jak i duchowego. Znaleziono je w zaułku. – Zwierchnik nie podniósł głosu, ale jego słowa cięły jak noże. – Co zrobiłeś z ciałem tej Kisuanki, zbieraczu?

Ehiru patrzył na niego w odrętwieniu.

– Z ciałem? Nie było ciała. Uznałem, że zbiór zostanie odłożony, dopóki nie przedyskutuję tej sprawy z tobą...

– Nie, nie ma ciała. W jej sypialni znaleziono oznaki stoczonych walki oraz broń, lecz kobieta zniknęła. – Zwierchnik pokręcił głową, a jego gniew zniknął, zastąpiony smutkiem. – Jest jasne, że szaleństwo nie pochłonęło cię bez reszty, w przeciwnym razie nie potrafiłbyś się powstrzymać przed zabiciem swojego praktykanta. Dziękuję za to Bogini. Z tego powodu nie mogę cię wykląć; zostało w tobie jeszcze coś z naszej czarnej róży.

– Wszystko! – Mni-inh wystąpił naprzód. – Zbadałem go. Jego rezerwy sił zniknęły, to prawda. Może zdradzać początkowe objawy, lecz nie ma w nim zepsucia duszy, o które go oskarżasz. Na Śniącą, on jest pusty, zwierchniku – a nie byłby, gdyby wziął to dziecko i kobietę, a potem zaatakował Nijiriego!

– Kiedy wyszliśmy, kobieta żyła – dodał Nijiri, zbliżając się do swojego mentora. Ehiru zauważył jak przez mgłę, że jego ton brzmi niemal lekceważąco; będzie musiał zganić za to chłopca. – Powiedziała, że opuści miasto razem z dziewczynką. Bała się zabójców czyhających na nią z powodu tajemnic, które posiadała.

– To możliwe – powiedział zwierchnik, choć Ehiru nie słyszał

w jego głosie wielkiego przekonania. – Określi to Próba Prawdy. Tymczasem księżę żąda, by usunięto zagrożenie dla miasta.

Nijiri przemówił niestosownie głośno, jeszcze bardziej się pogrążając:

– To nie brat Ehiru zabił to dziecko. Widziałem to stworzenie! Dotknęło mnie i... i... – zająknął się, odetchnął drżąco. – To nie był mój mentor. Brat Ehiru odpędził ode mnie tego stwora, ocalił mnie. To był jakiś potwór, nie człowiek!

– Zeszłej nocy w miasto nie wyszedł żaden inny zbieracz. – Zwierzchnik odzyskał panowanie nad sobą; jego głos nie zdradzał żadnych uczuć. – Sonta-i i Rabbaneh mieli zasłużony odpoczynek. Dziewczynka zmarła w cierpieniu, lecz przed śmiercią nie zadano jej śmiertelnej rany.

– Bo Kosiarcz...

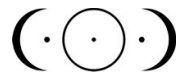
– Kosiarcz to legenda, uczniu – powiedział zwierzchnik i Nijiri zamilkł z urazą. – Bajka opowiadana przy ognisku, by pustynna noc szybciej minęła. Zbieracz, który schodzi na złą drogę, nie ma żadnych wyjątkowych mocy, nie staje się niewidzialny. To nic więcej niż żaloszny stwór, którego pokonała własna słabość i którego należy unicestwić dla ogólnego bezpieczeństwa.

– Zatem gdzie są bracia ścieżki Ehiru? – Mni-inh wskazał gwałtownie zasłonę w wejściu i kryjącą się za nią Hetawę. – Skąd się tu wzięli ci obcy, niezaprzyjęzeni, niewytrenowani? Zawsze to my zajmowaliśmy się naszymi...

– Bo księżę tego żąda! – Nijiri i Mni-inh wzdrygnęli się, wstrząśnięci wybuchem zwierzchnika. Ehiru ledwie go zauważył: za bardzo odrętwiał. Kątem oka widział, jak zwierzchnik walczy o odzyskanie spokoju. – Pewne sprawy pozostają poza zasięgiem Hetawy – powiedział w końcu. Tym razem w jego głosie zabrzmiał dziwny zduszony ton. Jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. – Ehiru zostanie zatrzymany w Yanya-yan. Musimy mieć na względzie dobro całego Gujaarehu, nie tylko Hetawy. – Dał znak ręką i Dinyeru podszedł do Ehiru.

– Wybacz mi, zbieraczu. – Uniósł jarzmo tak, żeby Ehiru mógł w nie włożyć ręce jak w rękawy. Był smutny, lecz zdeterminowany. Nawet zbieracz nie zdołałby pokonać wartownika w walce wręcz. Zapadła cisza. Ehiru zamknął oczy.

– Nadal jestem Jej sługą – szepnął i wyciągnął ręce. Otoczył je zimny metal. Zacisnął pięści i skrzywił się, gdy zaciągnięto sprzączki na rękawach, przyciągając jego ręce do siebie i unieruchamiając je w niewygodnej pozycji. Metalowa klamra zatrzęsnęła się na jego przegubach, łącząc je ze sobą. Potem inne ręce wzięły go za ramiona – ręce obcych, którzy szarpnęli go bez miłości – i wywlekły z Hetawy.



*Inunru zbudował miasto u ujścia rzeki,
którą nazwał na cześć krwi Hananji.*

(Mądrość)

– Jak to „Lin jeszcze nie przybyła?” – spytała Sunandi.

– *Seya*, Jeh Kalawe. Nie przybyła. – Etitsero przyjrzał się Sunandi z lekkim zaskoczeniem. – Nie widziałem tej małej jasnowłosej rozrabiaki od zeszłego sezonu, gdy twoja delegacja przejeżdżała po raz pierwszy przez miasto. Zapamiętałbym ją; ostatnim razem ukradła mi mieszek.

– I oddała go.

Etitsero wzruszył dobrodusznie ramionami.

– Mój lud nieustannie pozbawia głupców ich bogactw. Nasze dzieci bawią się w takie gry, żeby nauczyć się fachu. Jednak na ogół nie biorą mnie na cel i jeszcze rzadziej udaje im się mnie załatwić. – Uśmiechnął się. – Gdybyś sprzedała mi tę dziewczynę, uczyniłbym ją mistrzynią w tym fachu.

– Niestety, mój ojciec dawno temu postanowił, że Lin i ja powinniśmy się raczej nauczyć, jak pozbawiać głupców ich sekretów.

– Wielka szkoda. Na szpiegowaniu się nie dorobisz.

Sunandi pokręciła głową z rozbawieniem; wiedziała, że Etitsero chce ją w ten sposób uspokoić. Świt nastąpił niemal godzinę temu, a ona przez dwie godziny przed jego nastaniem uciekała korytarzami Yanya-iyan i ulicami Gujaarehu. Ale tu, w Dzielnicy Niewierzających, jako gość bogatego Bromartena, mogła odetchnąć,

ukryta w licznej społeczności za murami miasta. Dzielnica rozrosła się przez stulecia i stanowiła schronienie bogatych kupców i innych oportunistów, którzy chętnie ciągnęli zyski z bogactwa Gujaarehu, ale nie chcieli lub ze względu na własną wiarę nie mogli poddać się Prawu Hananji. Ulice były tu pełne ludzi chcących załatwić swoje interesy, zanim zacznie się prawdziwy upał. Sunandi przyglądała się im przez parę chwil, przelotnie zaskoczona, że ich pośpiech wydaje się jej dziwny już po dwóch miesiącach spędzonych w mieście. Gujaareńczycy rzadko się gdzieś spieszyli. No, ale wychowana w Kisui dziewczynka szpieg powinna wiedzieć, co to pośpiech, a fakt, że Lin jeszcze nie przybyła do domu Etissera, był bardzo niepokojący. Dziewczynka wyruszyła pierwsza i miała aż nadto czasu, żeby jakoś wymknąć się poza bramy miasta albo wynająć przewoźnika. No, ale...

– Z trudem wydostałam się z miasta – powiedziała Sunandi, zaciągając zasłonę. – Żaden z moich przyjaciół nie pełnił służby. W zwykłych okolicznościach nie byłoby to problemem – miałam dostatecznie wiele funduszy, żeby wystarczyło mi na myto i łapówkę, a strażnicy poznaliby po moim akcencie, że jestem cudzoziemką. Dziś jednak byli ostrożniejsi niż zwykle. Bardzo mnie wypytywali.

– O co?

– Kim jestem, dokąd zmierzam, dlaczego opuszczam miasto o świcie. Sprzedałam im zwykłą historię na niezwykle okoliczności: pani timbaliniarni spiesząca na spotkanie z dystrybutorem, by umówić się z nim na dodatkowy transport. – Musnęła suknię, którą nadal miała na sobie. Była uszyta z delikatnego fałdzistego płótna, a nie z bardziej praktycznego hekeh. Fałdy podkreślały czubki jej piersi, co do tej pory zwykle działało na jej korzyść. Mężczyźni rzadko zapamiętywali jej twarz. – Wyglądałam wiarygodnie, ale oni uwierzyli mi z wielkimi oporami. Zajrzeli mi w oczy, żeby sprawdzić, czy jestem uzależniona od timbalinu. Chcieli wiedzieć, którą timbaliniarnię stać na panią o tak ciemnej cerze.

Etissero mruknął coś w swoim języku i dodał w zrozumiałym dla

niej gujaareńskim:

– Są tak dociekliwi tylko wtedy, gdy czegoś szukają. Co powiedziałaś?

– Że pracuję w najdroższej timbaliniarni w dzielnicy wysokiej kasty. Że w Kisui byłam niegdyś rachmistrzynią, zanim nie podupałam – co wyjaśniało mój akcent. I na szczęście oczy miałam nadal przekrwione, bo w środku nocy obudził mnie ten *dekado* zbieracz ze swoim niedorośłym kandydatem na zabójcę, więc mnie przepuścili. – Westchnęła i przesunęła dłonią po krótkich kręconych włosach. – Przez te ostatnie godziny bogowie musieli chyba ofiarować mi nadprogramowy przydział szczęścia.

Przywódca klanu nie odpowiedział. Sunandi z zaskoczeniem ujrzała, że wpatruje się w nią z twarzą bardziej bladą niż zwykle.

– Widziałaś zbieracza?

– Mówiłam, że ktoś chciał mnie zabić. Choć przekonałam go, żeby z tego zrezygnował.

– Nikt nie może namówić zbieracza, żeby nie odbierał życia. Na ogół odczekują parę dni. Potem znowu po ciebie przychodzą.

Sunandi westchnęła i podeszła do ławki między dwoma rzeźbionymi cokołami. Nie była wyścielona poduszkami – bromarteński zwyczaj nakazywał dbać o przytomność umysłu kupca nawet podczas wypoczynku – a Sunandi usiadła na niej z nadmiernym rozmachem. Skrzywiła się. Zbyt wiele miesięcy życia w luksusie i staje się miękka jak książę.

Nie. Książę tylko wydawał się miękki. Z pozoru prózny paw i łowca przyjemności – ale nikt zepsuty przyjemnościami nie mógłby prowadzić tak niebezpiecznych, strasznych gier.

– Zawieszenie – powiedziała w końcu. – To przyznał mi zbieracz na czas ustalania, czy mówię prawdę.

– Zatem, moja słodka, już nie żyjesz. – Etissero spojrział na nią poważnie.

Potarła twarz, nadal zaspana.

– Być może. Ten głupiec chciał wrócić do swojej Hetawy i spytać przełożonych, jak wygląda prawda. Miejmy nadzieję, że go zabiją i rozwiążą mój problem.

– Jeśli go zabiją, wyślą następnego zbieracza. Hetawa zawsze wykonuje zlecenie, kiedy zapadnie osąd. To święty obowiązek. – Etissero złożył ręce i westchnął. – Niech będą przeklęci. Nigdy nie sądziłem, że mi kogoś odbiorą – nie mówiąc już o dwóch osobach w ciągu miesiąca.

– Ej, nie płacz jeszcze nad moją urną... – Sunandi urwała, tknięta nagłą myślą. – Dwie osoby?

– Mój kuzyn. – Etissero oparł się łokciami o biurko i westchnął. – Znasz go. Negocjator na Gujaareh w imieniu klanu żony. Na moje zlecenie nasłuchiwał, co się dzieje wśród kupców i plebsu. Mieszkał w murach miasta, i to mu się podobało, idiocie.

Powiedział, że panuje tam kojący spokój. Ale kilka dni temu znaleziono go martwego w łóżku. Karczmarz powiedział, że wyglądał, jakby go zebrano. Według mnie wyglądał raczej, jakby miał atak serca lub coś równie bolesnego, ale ci gujaareńczycy zawsze potrafią odgadnąć przyczynę śmierci.

Sunandi zmarszczyła brwi; słowa Etissera przywołały mroczne wspomnienie. Śmierć Kinji także uznano za spowodowaną atakiem serca.

– Pamiętam go. Taki duży? Ciągłe mi powtarzał, jak bardzo mu się podobają smagłe kobiety.

– Ten sam. Charleron. – Etissero pokręcił głową. – Zaledwie wczoraj otrzymałem od niego list, w którym pisał, że złoży mi wizytę. Nigdy nie rozmawialiśmy o sprawach klanu, ale dzielił się ze mną każdą interesującą plotką. Tym razem usłyszał coś tak ważnego, że chciał mi to przekazać osobiście. Coś o rozłamie między Hetawą a Zachodem Słońca.

Sunandi drgnęła.

– Tak, wiem. I nagle okazało się, że umarł. Krwiożerczy gualoh. – Etissero potarł oczy, starając się nad sobą zapanować. Bromarteni

nie płakali w obecności kobiet. – Za jego pogrzeb zapłaciła Hetawa. Wynajęła płaczkę i żałobników, ufundowała urnę wykładaną lapisem, umieściła go we własnej krypcie nad linią powodziowej wody. Najpierw go zabili, potem pochowali jak króla. Jak ja nienawidzę tego miasta!

Cisza czasem także potrafi mówić, więc Sunandi milczała. Jednak po chwili na dole rozległ się łomot otwieranych gwałtownie masywnych drewnianych drzwi wejściowych – w tej dzielnicy stanowiących konieczność. Lekkie, szybkie kroki na schodach świadczyły, że mały syn Etissera, Saladronim, wrócił z porannej zmiany przy roznoszeniu wiadomości. Chłopiec wbiegł na górę zdyszany, z zaróżowionymi policzkami i rozświetlonymi oczami. Zatrzymał się tylko na tyle, żeby szybko skłonić się Sunandi, i rzucił:

– Ojczy, żołnierze! Na rynku!

Etissero zmarszczył brwi. Sunandi wstała i podeszła do okna. Za jej plecami kupiec zaczął wypytywać syna; szczegółowa relacja chłopca na chwilę wywołała jej uśmiech. Jak się okazuje, nie tylko Kinja potrafił dostrzec zalety inteligentnych dzieci.

Na ulicy wśród zgaszonych kolorów ziemi na ubraniach zwykłych ludzi, krzątających się wokół swoich spraw, jarzyły się rozbłyśki bardziej jaskrawych barw. Przez tłum szli rozproszeni wojownicy w brązowych półpancerzach. Ich spódnice miały kolor zgaszonego oranżu, a końce żółtych zwojów na głowach kołysały się na ich skroniach. Czegoś szukali. Po plecach przeszedł jej zimny dreszcz.

Etissero stanął obok niej.

– To nie jest miejska straż. Nigdy nie widziałem takich kolorów.

– A ja tak. – Sunandi odeszła od okna i zaplotła ręce na piersi, żeby powstrzymać drżenie. – To ludzie księcia, gwardia Zachodu Słońca. Opuszcza pałac tylko na jego rozkaz.

Etissero uniósł brew.

– Gdybyś nie była Kisuaną, pewnie zbladłabyś jak płótno.

Sunandi odetchnęła głęboko, starając się uspokoić trzepoczące serce.

– Ten zbieracz miał mnie zabić. Może księżę uznał, że sam to załatwi.

Etissero powoli pokiwał głową. Jego syn siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze przy stole, pożerając ich wzrokiem.

– Musisz tu zostać – powiedział kupiec. – Nikt nie wie, że jesteś w tym domu. Zostań tu przez parę dni, a oni dojdą do wniosku, że musiałyś dotrzeć do gościńców handlowych. Odejdą, a ty z nimi.

Sunandi zmarszczyła brwi.

– Nie. Informacje Kinji...

– Czekają od jego śmierci. Dwa sezony. Mogą jeszcze poczekać kolejny czwórdzień. Jeżeli wyruszysz teraz, Protektorzy nigdy nie dostaną tych informacji, bo ci ludzie złapią cię i zabiją. Lepiej późno niż wcale, nie?

Miał rację. Sunandi zaczęła krążyć po pokoju, żeby jakoś rozładować niepokój.

– Dobrze. Ale nie czwórdzień.

– Jeśli...

– Jeśli to, czego się dowiedziałam, jest prawdą, księżę może planować zniszczenie nas wszystkich – tych z północy i południa, Gujaareńczyków, Kisuan i wszystkich, którzy handlują z tymi krajami. Lepiej w porę niż za późno, nie?

Etissero westchnął.

– Dziękuję bogom wiatru i fortuny, że nasze kobiety bardziej interesują się pieniędzmi niż polityką. Nie wiem, co bym zrobił, gdybym musiał wracać do kogoś takiego jak ty.

Sunandi pozwoliła sobie na powściągliwy uśmiezek.

– Zatem dobrze. – Etissero zaciągnął zasłony w oknie. – Jak chcesz to zrobić?

– Sprawdź, czy w mieście jest grupa Gehanu. Przybyłam z nią, a ona o tej porze roku często kursuje z Gujaarehu do Kisui. – Sunandi odetchnęła głęboko. – Wtedy zostanie mi już tylko jedna

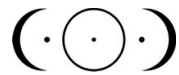
troska.

Lin. Etissero spojrział jej w oczy i zrozumiał.

Podszedł do syna i położył mu rękę na ramieniu.

– Przynieś poczęstunek dla naszego gościa – figi i migdały, jeżeli je mamy, orzechy kanpo i ser, jeśli nie. – Chłopiec poderwał się z podłogi i zbiegł na parter. Etissero przyjrzał się Sunandi. – Musisz się wzmocnić przed podróżą. Pustynia jest okrutna dla słabych.

Jego słowa także były okrutne, choć prawdziwe. Dlatego Sunandi usiadła na twardej ławie i zaczęła jeść poczęstunek przyniesiony przez Saladronima, obmyślając reprimendę, którą usłyszy Lin, gdy wreszcie się zjawi.



Zbieracz nie będzie brał małżonki ani zdobywał majątku. Nie będzie zanieczyszczał swojego ciała narkotykami, seksem lub w inny sposób działał na jego szkodę; jego dusza nie będzie znała innych więzów niż więzy wiary i braterstwa. Jest on prawą ręką Hananji i należy do niej bez reszty.

(Prawo)

Gwar późnego poranka na targu wpłynął przez wąskie okno celi; zgiełk głosów, szczeł przedmiotów, kwakanie, gdakanie, ryki zwierząt... Ta kakofonia niosła z sobą ulgę, gdyż przypominała o codziennym życiu miasta. Czy Hananja mogłaby się nie cieszyć, że jej lud żyje w porządku i dostatku? Ehiru uśmiechnął się do siebie, klęcząc w plamie światła i nasłuchując.

Za jego plecami rozległ się zgrzyt zamka, zakłócając monotony pomruk targu. Ehiru obejrzał się zaciekawiony. Do tej pory strażnicy więzienni traktowali go życzliwie. Pomimo jego haniebnego upadku nadal czuli głęboko zakorzeniony szacunek dla zbieraczy. Nie zakłócali jego spokoju od przybycia do więzienia. Ale teraz do jego celi weszło trzech mężczyzn. Zatrzymali się, czekając, aż drzwi się za nimi zamkną. Dwaj byli gwardzistami Zachodu Słońca, którzy go tu przyprowadzili. Zajęli miejsca po obu stronach drzwi, trzymając dłonie na rękojeściach sztyletów.

Trzecim przybyszem był brodaty nieznajomy w stroju człowieka ze średniej kasty – rzemieślnika, jak można było się domyślić

na podstawie luźnego fartucha i chustki na głowie. A jednak... Ehiru zmrużył oczy, przejęty dziwnym poczuciem, że w budowie i ruchach tego mężczyzny jest coś znajomego.

– Nie poznajesz mnie, Ehiru? W ten sposób oszukuję plebs, kiedy wśród niego chodzę, ale nie sądziłem, że ciebie także. – Rzemieślnik wszedł w plamę światła, uśmiechając się z leniwym i znajomym rozbawieniem.

Ehiru zachłysnął się oddechem.

– Eninket?

Książę uniósł brwi i uśmiechnął się szerzej.

– Nie słyszałem tego imienia od lat. Przypominam ci... powinienem cię zabić za jego wypowiedzenie. – Minął Ehiru, podszedł do wąskiego występu służącego jako łóżko i usiadł na nim z królewską gracją. – Jednak w tych okolicznościach chyba możemy przymknąć oczy na protokół.

Wstrząs minął. Ehiru opanował się i odwrócił do księcia. Na ile mógł, gdyż jarzmo bestii utrudniało mu ruchy, ukląkł krzyżem.

– Wybacz mi, książę, nie chciałem cię obrazić – powiedział w sua.

– Nie musisz też uciekać się do oficjalnego tonu – odpowiedział książę w tym samym języku, po czym znowu przeszedł na gujaareński, żeby mogli porozmawiać swobodnie. – Od lat pragnąłem porozmawiać z tobą na osobności, Ehiru. Przyznaję, że niesprawiedliwością jest wybranie sobie chwili, gdy jesteś uwięziony, lecz odrzucałeś wszystkie moje zaproszenia.

– Jestem skromnym sługą Hananji. Ty jesteś Dawcą Nocy, Zwiastunem Snów, Jej przyszłym małżonkiem w Ina-Karekh. Słudze nie przystoi zasiadać przy stole pana.

– Słudze nie przystoi także unikać swego pana – warknął książę i westchnął. – Nie, nie tak chciałem rozmawiać. Jesteśmy tu, Ehiru. Czy możemy znowu być braćmi, choć na parę chwil?

Ehiru nie podnosił wzroku, choć w końcu opuścił ręce i przestał mówić w sua.

– Czy ptak może wrócić do jajka? Nazywasz mnie bratem, lecz nie byliśmy braćmi od dziesiątek lat. I może...

Ugryzł się w język i zamknął oczy; wspomnienia zaatakowały go z nagłą, bolesną siłą. Metaliczny zapach krwi. Ostatni oddech jego matki. Niemal zobaczył różowy marmur Kite-iyana...

„Wizje” – pomyślał i ponuro skupił się na rzeczywistości.

– I może nigdy nie byliśmy braćmi? – spytał książę. Jego głos zabrzmiał cicho i poważnie w milczeniu celi. – Zatem miałem rację. Nie rozumiesz. I nie wybaczyłeś. – Ehiru nie odpowiedział. Książę westchnął. – Byli tacy, którzy wykorzystaliby ciebie i resztę naszego rodzeństwa, by zasiać chaos w całym Gujaarehu. Pomyśl: twoja matka była kiswańską sonhą ze starego i ustosunkowanego rodu. Czy wielmoże nie zaakceptowałaby łatwiej jej syna niż dziecka zwykłej tancerki? Zrobiłem, co było konieczne dla zachowania pokoju – choć nigdy nie pragnąłem, aby nasze matki cierpiały. Miały być uwolnione, nie zabite. – Westchnął ciężko. – To był błąd, a ludzie, którzy go popełnili, zostali ukarani.

Wizja przeminęła, ale na jej miejscu pojawił się płomyk gniewu – i zaczął się szybko rozrastać. Ehiru z wysiłkiem starał się go opanować. Nie odrywał spojrzenia od podłogi.

– Nad śmiercią zawsze jest trudno zapanować – powiedział bardzo cicho. – Ta prawda towarzyszy mi co noc.

– Zatem może wszystko poszłoby lepiej, gdybym miał dyscyplinę zbieracza. – Książę spojrział przeciągle na Ehiru. – Widzisz, ciągle czekałem, aż przyjdiesz po mnie. Gdy tylko usłyszałem, że zostałeś wybrany na następnego praktykanta zbieraczy, pomyślałem: „Teraz dosięgnie mnie sprawiedliwość za moje zbrodnie”. Ale nie przyszedłeś.

Ehiru z wysiłkiem wzruszył ramionami.

– Spadkobiercy torują sobie drogę do Aureoli od początków Gujaarehu. Nawet Hetawa godzi się z okrucieństwem koniecznym, by zyskiwać i utrzymywać władzę – dopóki książę posługuje się nim, aby zachować spokój. Z czasem moi bracia – na słowo „bracia”

położył najdelikatniejszy nacisk – pomogli mi to zrozumieć.

Księżę prychnął z obrzydzeniem, co zaskoczyło Ehiru tak bardzo, że podniósł na niego wzrok.

– Hetawa! Rzeczywiście stałeś się jednym z nich. Jakże musieli się cieszyć, że ktoś z nas wpadł w ich sidła!

Gniew rozjarzył się mocniej i Ehiru zapomniał o regułach.

– Jaśniej proszę.

– Ach, więc cię obraziłem. Ale nie poproszę cię o wybaczenie, mój bracie, bo nie mam wyrzutów sumienia, że nienawidzę twojej przybranej rodziny. Tak jak i ty powinieneś. – Księżę wskazał jarzmo bestii. Ehiru drgnął. – To oni niesprawiedliwie cię w to zakuli.

– Zwierzchnik powiedział, że z twojego rozkazu.

– Ja rozkazałem cię usunąć, nim zwierzchnik zakończy twoje życie. Nie chciałem tego upokorzenia. – Nagle księżę dał znak gwardziście. – Przynieście klucz do tej ohydy. Nie mogę dłużej na to patrzeć.

Gwardzista skłonił się energicznie, zapukał do drzwi w umówiony sposób i wyszedł.

Ehiru zacisnął pięści i tak ociekające potem i zeszywniałe po godzinach spędzonych w jarzmie.

– Wyjaśnij to.

Księżę długo na niego patrzył.

– W mieście naprawdę grasuje Kosiarz. Do niedawna zabijał po cichu: więźniów, starców, których śmierć mogła zostać uznana za naturalną, i tak dalej. Wiem o tym od miesiący.

– I nie zawiadomiłeś Hetawy?

– Już o tym wiedziała.

Ehiru zacisnął zęby.

– Nie wierzę.

– Oczywiście. A ja nie potrafię udowodnić swoich oskarżeń.

Jednak twoi bracia wyciszyli sprawę Kosiarza z przyczyn znanych tylko zwierzchnikowi i jego najbliższemu podwładnym. Usiłowałem znaleźć dowody na istnienie Kosiarza, by zmusić ich do działania... ale ostatnio zajęły mnie inne sprawy. Między innymi ta Kisuanka.

Ehiru pokiwał głową.

– Zatem to ty zgłosiłeś to zlecenie. Wysłałeś mnie, żebym ją zebrał. Z przyczyn politycznych.

– W istocie. Ona zagraża temu miastu. Dlaczego jej nie zabiłeś?

– Zbiór to nie morderstwo!

Książę przewrócił oczami.

– Nigdy dotąd nie zastanawiałeś się nad powodami swoich zleceń? Ta kobieta nie byłaby pierwsza.

Ehiru skamieniał z zapartym tchem, zbyt wstrząśnięty, żeby odpowiedzieć. W zapadłej ciszy wrócił gwardzista. Chciał uklęknąć przy Ehiru, ale książę wstał gwałtownie, odsunął go i wziął klucz. Osunął się na kolana przed bratem. Przerażony gwardzista natychmiast zdjął przepaskę biodrową, żeby książę miał na czym uklęknąć, ten jednak odprawił go ruchem ręki, nie odwracając spojrzenia od oczu więźnia.

– Pamiętaj, że cię uwolniłem – szepnął – podczas gdy twoi bracia cię uwięzili. Pamiętaj choć o tym, jeśli nie chcesz pamiętać o niczym więcej.

Ehiru otrząsnął się z szoku i spojrzał w oszołomieniu na księcia, który sprawnie otworzył zamki i sprzączki jarzma złoczyńcy. Zdjął je z rąk brata i rzucił w kąt celi. Jarzmo upadło ze szcęką na podłogę. Ehiru wzdrygnął się i z wysiłkiem znowu spojrzał na Eninketa... księcia.

– Dlaczego? – spytał. W tym słowie mieściło się wiele pytań.

Książę uśmiechnął się do niego.

– Nie mogę ci wyjawić wszystkiego. I tak nie zrozumiałbyś, skoro trzymali cię w odosobnieniu. Wystarczy powiedzieć, że Hetawa jest zepsuta, a twoi bracia stali się dla ciebie zagrożeniem. Zrobię,

co mogę, żeby oczyścić twoje imię i zdemaskować ich zbrodnie, ale w zamian musisz coś dla mnie zrobić.

Hetawa jest zepsuta? Ehiru potrzaskał głową, nie potrafiąc ogarnąć umysłem tak potwornej myśli.

– Co?

– Ta Kisuanka. Nie powinna dotrzeć do Kisui, bo wybuchnie wojna. Moi ludzie uważają, że nadal przebywa w zewnętrznym mieście – w Dzielnicy Niewierzących. Znajdź ją. Dokonaj zbioru. Zrób to, a ja dopilnuję, żebyś mógł z honorem wrócić do Hetawy. Przysięgam na naszą świętą krew.

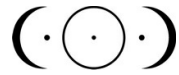
Wrócić do Hetawy... Odzyskać porządek i spokój, których brakowało w jego życiu od wieków... Ehiru przymknął oczy, przejęty bolesnym pragnieniem. Książę uśmiechnął się i ujął jego twarz w dłonie.

– Wiem, że postąpisz jak należy, mój bracie.

Pocałował Ehiru w policzki, czoło i usta. W ten sposób w czasach przed Hetawą całował go ojciec. Wspomnienia raz jeszcze zerwały się jak górski wiatr.

Książę puścił go, wstał i zapukał do drzwi celi. Gwardziści stanęli za nim. Po ich odejściu drzwi pozostały otwarte.

Ehiru powoli się wyprostował, odwiązał od pasa sakiewkę i wysypał jej zawartość na dłoń. Błysnęły na niej jego insygnia – w tym moneta Kisuanki. Ostrożnie – bo ręce znowu zaczęły mu się trząść i tym razem nie potrafił ich uspokoić – schował do sakiewki wszystko oprócz monety. Wstał i wyszedł z celi powoli jak starzec.



Osiągnąwszy wiek czterech powodzi, gujaareńskie dziecko będzie potrafiło zapisywać symbole rodowego nazwiska, liczyć czwórkami do czterdziestu i przytaczać po obudzeniu szczegóły każdego snu.

(Mądrość)

Nijiri siedział w Kamiennym Ogrodzie, usiłując nie zaciskać palców do białości. Będą na to zwracać uwagę. Nie mógł dać im powodów do zwątpienia w jego samokontrolę – o ile chciał, żeby zostawili go w spokoju, bez nadzorca. O ile chciał stąd wyjść i znaleźć Ehiru.

– Znowu coś ukrywasz – odezwał się Sonta-i. Stał naprzeciwko Nijiriego, koło kolumny z nocnego kamienia – równie nieustępliwy jak ona. – Myślisz, że nie potrafimy przewidzieć twoich planów. Myślisz, że nie czujemy zapachu furii, bijącego od ciebie jak dym.

A niech to.

– Czy mój gniew nie jest zrozumiały, bracie? – spytał Nijiri spokojnym tonem. – Mnie dziwi to, że ty go nie odczuwasz. Czy spokój Hananji ucisza poczucie przyzwoitości i sprawiedliwości?

– Czujemy gniew, młody bracie – odezwał się Rabbaneh z za jego pleców. Chłopak poczuł na ramieniu łagodny uścisk. – Senna krew niczego nie ucisza. Jedynie... łagodzi. – Przez chwilę milczał, po czym odezwał się w zamyśleniu: – Może gdybyś mógł dzielić nasz spokój...

Nijiri cofnął się, dbając o to, by ten ruch był gładki i minimalny: uprzejma odmowa, nie zaciekły protest. – Wolę znaleźć własny

spokój.

Rabbaneh westchnął i opuścił rękę.

– Wybór zawsze należy do ciebie. Ale proszę, pamiętaj, braciszku, że Ehiru odszedł z własnej woli.

– Tak. – Nijiri znowu zobaczył tę scenę: wstyd w oczach zwierzchnika, bolesny żal w oczach Ehiru. – Odszedł, bo Hetawa go zdradziła, a on nie mógł znieść dłuższego przebywania wśród zepsutych.

– Za wiele sobie pozwalasz – ostrzegł Sonta-i.

Nijiri wstał i stanął przed braćmi, zaciskając pięści.

– Mówię prawdę. Widziałem bestię, która mnie zaatakowała. Doznałem jej ohydnych dotyku. I przeżyłem tylko dlatego, że brat Ehiru ją odpędził i dał mi resztki swojej sennej krwi. Dawca Mni-inh widział tego dowody i przemawia w obronie brata Ehiru. Nawet zwierzchnik przyznał, że uwięzienie naszego brata nie jest wymierzeniem sprawiedliwości, lecz wolą Yanya-iyana. Polityka.

Ostatnie słowo rzucił, jakby wypluwał truciznę. Rabbaneh skrzywił się z niesmakiem. Jednak zwykle niewzruszony Sonta-i stał zamyślony.

Nijiri zrozumiał: kluczem będzie Sonta-i. Dar snów spadł na niego zbyt młodo – takie plotki krążyły wśród akolitów. Sonta-i nie znał prawdziwych uczuć, choć w razie konieczności wystarczająco dobrze je naśladował. Nie rozróżniał też świata jawy od manowców snu. Nie można mu było ufać; w jego oczach nic nie wydawało się prawdziwe. Podczas zbioru mogło to być minusem, ale zdarzały się chwile – jak ta – gdy spojrzenie Sonta-i na świat czyniło go najbardziej otwartym i pragmatycznym zbieraczem. Kierował nim egoizm, nie tradycja czy wiara. Jeśli Nijiri zdoła zaapelować do niego, może zyskać niespodziewanego sprzymierzeńca.

– Nie oceniamy... – zaczął Rabbaneh.

– Ale tradycyjnie mamy tu coś do powiedzenia – przerwał Sonta-i.
– Zwłaszcza w sprawie dotyczącej nas samych. Doprawdy dziwne, że nie poproszono nas o radę.

Nijiri wstrzymał oddech.

– Zwierzchnik musiał podjąć szybką decyzję. – Rabbaneh założył ręce na piersi i zaczął krążyć po pokoju. Jego napięcie także było znakiem, uświadomił sobie Nijiri. Obaj bracia ścieżki nie mogli się pogodzić z postępowaniem zwierzchnika.

– Gdyby Mni-inh stwierdził, że Ehiru jest niebezpieczny, szybka decyzja zwierzchnika byłaby uzasadniona – powiedział Sonta-i. – Lecz Mni-inh twierdzi, że umysł Ehiru jest zdrowy.

– To prawda! – wybuchnął Nijiri. – Na razie Ehiru zdradza tylko wczesne oznaki: drżenie rąk i odrobinę wybuchowości...

Uświadomił sobie swój błąd, kiedy bracia spojrzeli na niego spode łba. Twarz Sonta-i stała się jakimś cudem jeszcze zimniejsza.

– Metoda komunii zbieracza z Boginią jest sprawą prywatną – powiedział. – Sam to zrozumiesz – i bez wątpienia będziesz to szanować bardziej – gdy będziesz musiał przetrwać długą noc bez sennej krwi.

Zawstydzony Nijiri pochylił się nad dłońmi.

– Wybacz. Ja tylko... – Gardło mu się zacisnęło, ramiona zadrżały. O Bogini, tylko nie łzy. Nie teraz. – Nie mogę tego znieść.

Rabbaneh stanął. Spojrzał na chłopca ponuro.

– Ja też nie. – Odwrócił się do Sonta-i. – Rozumiesz, co to znaczy.

Sonta-i przytaknął.

– Nie mamy dość informacji, by wydać osąd. Dlatego musimy je zdobyć.

– Może powinniśmy to przedstawić Radzie Ścieżek – podsunął Rabbaneh. – Możemy nie być obiektywni, gdyż sytuacja za bardzo nas dotyczy...

Sonta-i popatrzył na niego. Rabbaneh umilkł. Nijiri spoglądał na nich, nie rozumiejąc.

– Nie – powiedział w końcu Rabbaneh. Odwrócił się, sztywno wyprostowany, i westchnął. – Nie wierzę w to.

Sonta-i przyglądał mu się przez chwilę. Potem, z zastanowieniem w oczach, odwrócił się do Nijiriego.

– Jak go odnajdziesz?

Tylko łaska Hananji pozwoliła Nijiriemu nie krzyknąć z radości. Odetchnął głęboko, żeby uspokoić nagły galop serca.

– Będzie w jednej ze strażnic – powiedział. – W Yanya-iyon nie ma lochu, a gwardia Zachodu Słońca nie ma władzy nad więzieniami.

– Mamy osiem strażnic, praktykancie. Po jednej na każdą dzielnicę miasta, wewnętrzną i zewnętrzną.

– Będę musiał sprawdzić je wszystkie, bracie Sonta-i. Sądzę, że znajdę go w jednej z wewnętrznych, ponieważ są bliżej Yanya-iyon. Przypuszczam, że gwardziści będą chcieli móc szybko wezwać posiłki, jeśli nasz brat w jakiś sposób się uwolni.

Oczy Sonta-i, szare jak kamień, przesywały Nijiriego przez kilka długich chwil – choć chłopak nie potrafił odgadnąć, czego w nim szukały.

Rabbaneh spojrzał na Sonta-i z niedowierzaniem.

– Chyba o tym nie myślisz...?

– Ani ja, ani ty nie możemy iść – odparł ten. – W mieście zostało tylko dwóch aktywnych zbieraczy. Jesteśmy potrzebni.

– Tak jak Nijiri. Musi zastąpić Una-une'a. Już i tak źle się stało, że mamy zielonego zbieracza; jeśli stracimy Ehiru, musimy zacząć uczyć następnego.

– Jeśli stracimy Ehiru niesprawiedliwie – powiedział Sonta-i z ledwie wyczuwalnym naciskiem – stracimy o wiele więcej niż doświadczonego zbieracza. Stracimy autonomię niezbędną dla naszego właściwego funkcjonowania. Pozwolimy, żeby stała się oczywista niesprawiedliwość. My, którzy musimy zachować największą czystość.

Rabbaneh pokręcił głową.

– Ale Nijiri jest zaledwie chłopcem.

– Ma szesnaście lat. Zgodnie z prawem jest mężczyzną. W wioskach w górze rzeki mógłby już mieć żonę, może dziecko. – Sonta-i patrzył na Nijiriego, choć zwracał się do Rabbaneha. – Obowiązkiem każdego, nawet najskromniejszego zbieracza, jest szukanie sprawiedliwości. Jeden z naszych braci został niesłusznie uwięziony.

– Nie tak powinniśmy go uwolnić.

– Zgadza się. Tylko prawda go uwolni. Ale w tym przypadku prawdę można odkryć, posługując się naszymi metodami.

– Chcesz, żebyśmy znaleźli Kosiarza... brat Ehiru i ja – wykrztusił Nijiri, w końcu pojmując. – Chcesz, żebyśmy go zabili.

Sonta-i przytaknął.

– Potrzebujecie dowodu, żeby oczyścić imię Ehiru. Jest nim ciało Kosiarza.

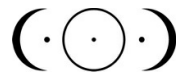
– A jeśli nie znajdziecie tego dowodu – dodał Rabbaneh zdławionym głosem – ani ty, ani Ehiru nie będziecie mogli wrócić do Hetawy. Obaj zostanieie uznani za zepsutych. Połowa wartowników ruszy za wami w pogoń. Rozumiesz? Polując na Kosiarza, podążasz ścieżką zbieracza tylko w oczach Hananji. Nikt inny – ani straż miejska, ani gwardia Zachodu Słońca, ani wartownicy – nie uzna waszej słuszności.

„I tak wybrałem ścieżkę zbieracza tylko z jednego powodu” – pomyślał Nijiri i uniósł głowę.

– Będę Jej sługą w mym sercu, jeśli jawna służba oznacza godzenie się na niesprawiedliwość.

Sonta-i uśmiechnął się, przerażając go jeszcze bardziej. Ten okropny wyraz martwych szarych oczu, wyprany z rozbawienia czy radości, szarpnął wszystkimi nerwami Nijiriego.

– Rabbaneh i ja także nie ścierpimy niesprawiedliwości – powiedział Sonta-i. – Wysyłamy cię, byś ją zabił.



*Kobiety są boginiami, tak jak sama
Hananja.*

Rodzą i wychowują śniących tego świata.

Kochaj je i bój się ich.

(Mądrość)

Była to najgorętsza pora dnia. Sunandi drzemała na kanapie w pozbawionym ścian prześwicie między pokojami na piętrze, kiedy obudził ją Saladronim, syn Etissera.

– Jeh Kalawe, mężczyzna.

Usiadła, nieprzytomna od snu i upału. Do domu wpadł suchy, niosący piasek wiatr, wydymając zasłony. Sunandi przez chwilę zateśkniła za chłodną wilgocia wiatru Kisui.

– Powiedz mu, że nie jestem zainteresowana.

– Stoi przy drzwiach. Powiedział, że jest kupcem, ale wygląda podejrzanie. Spytał o panią domu. Odpowiedziałem, że jesteśmy Bromartenami i zostawiamy nasze kobiety w domu, jak rozsądni ludzie. A on na to, że nie szkodzi, bo prosi o spotkanie z kisuańską panią domu.

Teraz oprzytomniała.

– Jak wygląda?

– Wysoki. Czarny jak ty. Z ogoloną głową, ale na karku ma dwa długie warkocze. No i nie zachowuje się jak kupiec. Wcale się nie uśmiecha.

– *Bi'inja*. – Wiedziała kto to. – Powiedziałeś mu, że jestem tutaj?

Saladronim spojrzał na nią, jakby pytał, czy uważa go za wariata.

– Powiedziałem mu, że nie ma tu żadnych kobiet, lecz jeśli potrzeba go tak nagli, naprzeciwko jest timbaliniarnia. I zamknąłem mu drzwi przed nosem.

– Wątpię...

Nie zdążyła skończyć, bo zasłony znowu się poruszyły i w drzwiach stanął zbieracz. Sunandi drgnęła. Saladronim podążył za jej spojrzeniem, zachłysnął się i odskoczył.

Zbieracz skłonił się im kolejno, powolnym, spokojnym ruchem. Nie usiłował wchodzić. To uspokoiło Sunandi na tyle, że gardło przestało jej się zaciskać, chociaż musiała przełknąć ślinę, zanim wydobyła z siebie głos.

– Kapłanie, wystraszyłeś nas prawie na śmierć. A może tak właśnie zamierzałeś?

– Zawieszenie nadal obowiązuje – odpowiedział kapłan, nie odwracając oczu od Saladronima. – Proszę, wybacz mi, że usiłowałem cię oszukać, ale muszę porozmawiać z tą kobietą.

Saladronim otworzył usta, lecz wydobył się z nich tylko pisk. Chłopiec odkaszlnął.

– Nie pozwolę ci skrzywdzić Jeh Kalawe. Jest gościem mojego ojca.

Sunandi omal się nie uśmiechnęła wobec takiej brawury. Saladronim przypominał jej Lin, choć dziewczynka nigdy nie zdobywała się na taką odwagę, jeśli nie miała gdzieś ukrytej broni. Ku jej zaskoczeniu twarz zbieracza także na chwilę złagodniała.

Pewnie myśli o swoim małym zabójcy.

– Nie skrzywdzę jej – powiedział zbieracz i Sunandi niemal odetchnęła. Dopóki nie przypomniała sobie, że dla niego pozbawienie jej życia nie jest krzywdą. – Mogę wejść?

To ją w końcu uspokoiło. Zbieracze nigdy nie prosili o pozwolenie wejścia ani wyjścia, kiedy zjawiali się w imieniu Hananji, co oznaczało, że przybył tu we własnej sprawie. Przynajmniej taką miała nadzieję. Saladronim zerknął na nią pytająco; po chwili

wahania skinęła głową. Chłopiec nabrał tchu i także skinął głową.

Zbieracz przekroczył próg, zasuważąc za sobą zasłonę. Sunandi przypomniała sobie, co powiedział Saladronim: „wygląda podejrzanie”. Rzeczywiście – przyznała, zauważywszy, że zbieracz nadal ma na biodrach tę samą przepaskę co dwa dni temu. Wyglądał na zmęczonego nie tylko upałem, był zgarbiony i poruszał się z wyraźnym trudem. W Yanya-iyam oceniła jego wiek na około czterdzieści powodzi – choć trudno było to stwierdzić, bo podobnie jak księcia cechował go dziwnie młodzieńczy, atrakcyjny wygląd. Teraz wyglądał na swój wiek – a może i starzej. Intuicja podpowiedziała jej, co się stało.

– Obrócili się przeciwko tobie, co?

Gwałtownie podniósł głowę i spojrzał na nią jakby z nienawiścią, ale to uczucie minęło po chwili, zastąpione przez ból. Zbieracz odwrócił wzrok.

To jej wystarczyło. Odetchnęła głęboko i postanowiła dla odmiany spróbować dyplomacji:

– Gdzie twój praktykant?

Kapłan pokręcił głową, patrząc w podłogę.

– Jestem sam.

– Dlaczego przyszedłeś?

– Żeby odzyskać Hetawę i swoje życie, muszę zakończyć twój zbiór.

Powiedział to łagodnie, lecz ona mimo popołudniowego skwaru poczuła zimny dreszcz. Stojący za nią Saladronim skamieniał.

– Powiedziałeś, że zawieszenie nadal obowiązuje – przypomniała.

– Tak. Nie przyjmuję łapówek, nawet kiedy jest nią spokój, którego... – Przymknął oczy i westchnął. – Którego pragnę bardziej, niż potrafisz sobie wyobrazić. Ale byłby to fałszywy spokój, gdybym po prostu dokonał zbioru i odszedł. Mam zbyt wiele pytań. – Spojrzał jej w oczy. – Potrzebuję twojej pomocy, by znaleźć na nie odpowiedzi.

Sunandi skinęła głową, żeby ukryć wstrząs. Zerknęła na Saladronima.

– Powiadom ojca, że ma kolejnego gościa.

Chłopiec spojrział na nią z niemym niedowierzaniem. Odpowiedziała mu nieustępliwym spojrzeniem. Po chwili pokręcił głową i wybiegł z pokoju. Usłyszała tupot jego nóg na kamiennych schodach i założyła się sama z sobą o trzy złote monety, że wróci po cichu, żeby podsłuchiwać.

Na chwilę jednak zyskali coś w rodzaju spokoju, odwróciła się więc do zbieracza.

– Nie mam prawa proponować ci gościny, ale znam właściciela tego domu i wiem, że jest posłuszny prawu gościnności. Nie chciałby, byś stał, kiedy tak wyraźnie widać, że powinienesz usiąść.

Kapłan zawahał się; przez chwilę myślała, że jej odmówi. Ale potem podszedł do drugiej sofy i usiadł naprzeciwko Sunandi, wyprostowany i oficjalny.

– Dziękuję. Moja ścieżka... sypiamy za dnia.

– To bardzo cywilizowane. – Uspokoila się na tyle, by się powachlować; miała nadzieję, że to go zachęci do większej swobody.

– A zatem chcesz mojej pomocy. Nie wiem, czy mogę ci dać odpowiedzi, których szukasz, kapłanie. Sama cierpię na ich żalosny brak. Mogę ci tylko dać informacje, a od zeszłej nocy nie dowiedziałam się niczego nowego. Gdy dotrę do Kisui, mogę ci wysłać więcej.

– Jakie informacje?

Uśmiechnęła się blado.

– Na pewno chcesz wiedzieć? Wszystkie zdobyłam poprzez zepsucie.

Zbieracz pokręcił głową.

– Zepsucie to choroba duszy, nie zwykłe słowa i wiadomości.

Mogłaby się z nim spierać, ale miała dość rozsądku, by tego nie robić.

– Kisua ma na tym kontynencie, na wschodzie i północy, siatkę szpiegów. Niektórzy to ludzie prości. Inni, jak ja, zajmują pewną pozycję. Wszystko, czego się dowiemy, wysyłamy do Protektorów.

– I sądzisz, że dlatego Protektorzy wiedzą coś o Kosiarzu z Gujaarehu? Dlaczego miałyby ich to obchodzić?

Sunandi spojrzała na niego z nieskrywanym zaskoczeniem.

– Każdy kraj, od lodowatych rubieży po południowe lasy, obserwuje twój kraj, kapłanie. Niektórzy robią to, by was naśladować lub z wami konkurować, lecz na ogół kieruje nimi strach. Gujaareh jest zbyt potężny, zbyt bogaty i zbyt osobliwy. Ci, którzy żyją w cieniu wulkanu, byłiby głupcami, gdyby go nie obserwowali, kiedy zacznie się z niego sączyć dym.

Zbieracz zmarszczył brwi.

– W Gujaarehu nie dzieje się nic dziwnego. Jeśli cieszymy się dobrobytem i siłą, to tylko za sprawą błogosławieństwa Hananji.

– Tak twierdzisz, kapłanie. Ci z nas, którzy urodzili się w krajach mniej błogosławionych, widzą to inaczej. I trudno nie zwracać uwagi na ten dym; armia gujaareńska powiększyła swe szeregi w stopniu dotychczas niespotykanym, ambasadorzy twojego kraju zawierają potajemne układy z krajami najbardziej wysuniętymi na północ... Zauważyliśmy, że nasi ambasadorzy umierają nagłą, tajemniczą śmiercią, gdy tylko dowiedzą się o czymś niepokojącym.

Zbieracz znowu pokręcił głową – nie przecząco, lecz bezradnie.

– Nic mi o tym nie wiadomo. – Nie dodał: „Ani mnie to nie obchodzi”, ale Sunandi zobaczyła to w jego oczach. – Co to ma wspólnego z Kosiarzem?

Nie powiedziała „Pewnie wszystko” – i miała nadzieję, że kapłan nie odczyta tego w jej spojrzeniu.

– Nie mam pewności. Ale wiem, że za tym stoi wasz książę.

Zbieracz zmrużył oczy.

– Nie Hetawa?

– Dlaczego Hetawa miałyby tolerować potwora u swego boku?

– A księżę?

Zawahała się, mimo to postanowiła zaufać mu bardziej.

– Słyszałam plotki... Ale to tylko plotki.

– Jakie?

– Takie, przez które kisuańskie dzieci nie mogą spać spokojnie, kapłanie. Widzisz, my im o was opowiadamy. „Bądź grzeczny, bo zbieracz po ciebie przyjdzie”.

Kapłan spojrzał na nią z niesmakiem.

– To wypaczenie wszystkiego, czym jesteśmy.

– Zabijacie, kapłanie. Robicie to z litości i z bardzo wielu innych przyczyn, które uważacie za słuszne, ale tak naprawdę zakradacie się w środku nocy do cudzych domów i zabijacie śpiących ludzi. Dlatego uważamy, że jesteście dziwni – robicie to, lecz nie widzicie w tym nic złego.

Twarz zbieracza skamieniała; Sunandi ugryzła się w język. Nie ośmieliła się bardziej krytykować jego przekonań. Przecież tylko ze względu na ortodoksyjne przestrzeganie reguł wiary – choć przejmowała ją ona wstrętem – pozwalał jej jeszcze żyć.

– Dlaczego księżę miałby pozwalać, by Kosiarz grasował w mieście? – spytał znowu głosem, który nie wyrażał niczego.

Powoli nabrała powietrza i równie powoli je wypuściła.

– Setki lat temu, gdy wasz Inunru ustanowił w Kisui hananjańską religię, żadne z istniejących obecnie zasad i rytuałów nie krępowały magii. Nikt nie wiedział, do czego jest zdolny zbieracz, który zejdzie na złą drogę, dopóki nie doszło do pierwszych takich wypadków. Okropności, których dopuścili się w Kisui tacy zbieracze, są przyczyną, dla której w naszym kraju zakazano narkomancji. Podobno Kosiarz potrafi tchnąć śmierć w powietrze. Podobno pożera dusze, a nie przesyła je w jakieś inne krainy. Słyszałam pogłoski, że potrafi wytoczyć życie z dziesiątków, nawet setek ofiar i ciągle czuć nienasycony głód...

Kapłan zaczął kręcić głową, zanim jeszcze skończyła.

– Niemożliwe. Potrafię pomieścić w sobie senną krew dwóch, może trzech dusz. Uczyłem się tego przez dwadzieścia lat.

– Powtarzam tylko, co słyszałam. W dawnych czasach kisuańscy hananjanie odnotowali wiele przykładów tego, co mogą uczynić Kosiarze, oraz tego, w jaki sposób korzystali ze swojej okropnej mocy. Te relacje zostały zakazane wraz z resztą magii snu, ale opowieści są powtarzane po dziś dzień. Straszymy nimi dzieci – a jeśli ktoś usłyszał te historie i w nie uwierzył? Jeśli ktoś, obdarzony mocą i pragnący zdobyć jej więcej, postanowił na własną rękę sprawdzić, czy pogłoski o Kosiarzach są prawdziwe?

Na to zbieracz nie znalazł odpowiedzi. Sunandi zauważyła większe napięcie jego ciała, zmarszczenie brwi w cichym proteście. Nagle wstał – tak gwałtownie, że się przestraszyła – i zaczął krążyć po wąskim prześwicie.

– To by było szaleństwo. Taka istota jest chodzącą zarazą, wygłodniałym stworem bez duszy. Nikt nie potrafi nad nią zapanować. – Mówił tak gwałtownie i zaciekle, że jego słowa prawie się ze sobą zlewały. – Nikt nie nakłaniał jej do ataku. Powodował nią jej własny obłąd.

Dopiero po chwili dotarło do niej, co to znaczy.

– Widziałeś Kosiarza!

Zbieracz skinął głową z roztargnieniem, nadal krążąc po prześwicie. Zauważyła z pewnym zaniepokojeniem, że ręce, które zaciskał ze wzburzenia, trzęsą się mu jak starcowi.

– Zeszłej nocy – powiedział – Kosiarz rzucił się na nas w zaułku, gdy opuściliśmy Yanya-iyana...

Urwał i spojrzał na nią z nagłym przerażeniem, jakby dopiero teraz coś sobie uświadomił.

– *Indethe etun'n ut Hananja* – szepnął. Był to język sua, ale w starożytnej postaci, którą Sunandi spotykała tylko w najstarszych poematach i legendach. „Niech spojrzenie Hananji skieruje się na ciebie”. Ich wersja błogosławieństwa, choć Sunandi wolałaby, żeby Hananja w ogóle nie zwracała na nią uwagi.

Ale najbardziej zaniepokoiła ją litość w oczach zbieracza.

– O co chodzi?

– Kosiarz... – Kapłan mówił równie łagodnie jak poprzedniej nocy, ze współczuciem, choć w jego oczach odbijała się śmierć. – Kiedy go spotkaliśmy, już zdążył zabić jedną ofiarę. Twoje dziecko z północy...

Serce Sunandi pękło.

Przez głuchy ryk w uszach dobiegła do niej reszta jego słów.

– W zaułku było ciemno, ale wyraźnie widziałem jej ciało. Proszę, wybac mi. Ofiarowałbym jej spokój, doprowadziłbym ją bezpiecznie do Ina-Karekh, gdyby...

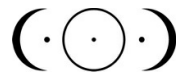
Gdyby zostało coś, co można by zebrać.

Początkowo Sunandi nie zdawała sobie sprawy z tego, że krzyczy. Dopiero gdy czyjeś ręce chwyciły ją za przeguby, uświadomiła sobie, że rani paznokciami swoją głowę. I dopiero gdy coś ją zadrapało w gardle, usłyszała te zduszone bolesne krzyki, odbijające się echem od ścian domu Etissera. Przez mgłę zobaczyła Etissera, stojącego u szczytu schodów ze sztyletem w ręku i patrzącego niepewnie na rozgrywającą się przed nim scenę. Potem zbieracz otoczył ją ramionami, a ona się w nie osunęła, zbyt przygnieciona rozpaczą, by dbać o to, że płacze w objęciach zawodowego mordercy.

Przez ryk w uszach dobiegł ją jego szept:

– Gdybym potrafił, złagodziłbym twój ból... lecz nie mam w sobie już spokoju, który mógłbym ci dać. Ale została mi miłość. Weź ją, córko Kalawe. Tyle, ile potrzebujesz.

„Nie masz jej tyle” – pomyślała z goryczą i pozwoliła, by ból zamknął się wokół niej jak pięść.



Cztery są dopływy wielkiej rzeki. Cztery są zbiory, od pory powodzi po suszę. Cztery są wielkie skarby: timbalin, mirra, lapis i jungissa. Cztery pasy koloru znaczą twarz Śniącej Luny.

Czerwony jak krew.

Biały jak nasienie.

Żółty jak ichor.

Brunatny jak żółć.

(Mądrość)

Nijiri liczył sobie sześć powodzi, kiedy przyjęto go do Domu Dzieci, ale na długo przedtem zaczął się uczyć obyczajów kasty służących, w której się urodził. Nadal pamiętał, jak matka uczyła go właściwej postawy przy chodzeniu: ze zgarbionymi plecami, krótkimi, lecz energicznymi krokami świadczącymi o pokorze i pracowitości. Nigdy nie wolno spoglądać w oczy ludziom z wyższych kast. Kiedy służysz, spoglądaj przed siebie, lecz na nic nie patrz, nie okazuj żadnego uczucia – niecierpliwości czy zmęczenia – bez względu na to, jak długo stoisz.

– Oni patrzą na ciebie, lecz cię nie widzą – powiedziała. – Przychodź, zanim cię wezwą. Wykonaj pracę, zanim ci ją zlecą. Odchodź, zanim cię odeślą. Postępuj w ten sposób, a zyskasz tyle wolności, ile może jej mieć ktoś z naszej kasty.

Te lekcje dobrze mu się przysłużyły w drodze do zostania zbieraczem. Sługa to sługa. A dziś bez trudu dostał się do pierwszej

strażnicy, udając służącego sprzedawcy wina. Tak przekonująco jąkał się i kulił, że strażnicy nie zwrócili uwagi na jego ostrzyżone włosy ani na sakiewkę u pasa. Ani razu nie spojrzeli na jego twarz, gdy opowiadał, że jego panu zostało zbyt wiele słodkiego wina zaprawionego owocowym sokiem: czy nie zechcieliby go kupić dla swoich więźniów? Jeśli się zdecydują, opuści cenę. Strażnicy byli zbyt zainteresowani tanim winem, żeby trzymać język na wodzy. Ze śmiechem powiedzieli, że nie mają więźniów, ale kupią wino dla siebie. Nijiri odszedł, obiecując, że zaraz je przyniesie, i już nie wrócił. Podstęp zadziałał także w drugiej strażnicy, choć tam akurat mieli więźnia. Kiedy Nijiri policzył strażników i określił rozmieszczenie drzwi, bez trudu przedostał się w zaułek za budynkiem, gdzie stanął na urnie na odpadki i zajrzał do środka przez wąski otwór okienny. Mężczyzna w celi był brudny i na wpół zagłodzony jak niechciany lub źle traktowany służący, który pewnie uciekł się do kradzieży, żeby przeżyć. Nie był to Ehiru.

Ale to odkrycie głęboko zaniepokoiło Nijiriego, oznaczało bowiem, że dwa razy się pomylił, szukając swojego mentora. W żadnej ze strażnic nie widział także gwardzistów Zachodu Słońca. Jeśli Ehiru znajdował się w którejś z nich, już go tam nie było.

A jeżeli go nie odnajdę? Jeśli zabrali go do więzienia... albo go zabili?

Nie. O tym nie mógł myśleć.

Gdy zatrzymał się przy publicznym zbiorniku na wodę, by się napić, najgorszy popołudniowy upał już zdążył zelżeć. Nijiri był tak przygnębiony, że początkowo nie poczuł na plecach nacisku spojrzenia. Na skwerze kręciło się sporo ludzi pijących z przymocowanych do zbiornika kubków lub pojących konie przy korycie. Dopiero kiedy żołnierz dotknął ramienia Nijiriego, ten zdał sobie sprawę z jego obecności. Podskoczył i odwrócił się, rozlewając wodę. Musiał się powstrzymać, żeby odruchowo nie przebić krtani żołnierza pięścią.

– Jaki płochliwy – powiedział mężczyzna. Był wysoki, przystojny, smagły, ze schludnie splecionymi warkoczami – pewnie z zamożnej

rodziny z kasty wojskowej. Nosił złoto i rdzawy brąz gwardii Zachodu Słońca.

Serce Nijiriego załomotało.

Potem chłopak przypomniał sobie, że jest służącym. Upuścił kubek i skłonił się nisko.

– Wybacz mi, panie. Czy opryskałem cię wodą? Błagam o wybaczenie.

– Nie opryskałeś mnie, chłopcze. A nawet gdyby, to tylko woda.

– Tak, panie. W czym mogę służyć? Czy nabrać ci wody?

Tu służący przydzielony do zbiornika rzucił mu paskudne spojrzenie. Widać liczył na napiwek.

Gwardzista parsknął śmiechem.

– Nie, nie. Czy twój pan będzie cię wkrótce potrzebować? Czy ma coś przeciwko temu, żebym cię wypożyczył?

Nijiri lekko się wyprostował, choć nadal pochylał się z uniżeniem. Myślał gorączkowo: tej szansy nie mógł przepuścić. Jeśli zdoła zainteresować tego gwardzistę, może wydobędzie z niego informacje.

– E... nie, panie – powiedział. Mgliste wspomnienie kazało mu dodać: – O ile na tym nie straci.

– Oczywiście. – Gwardzista sięgnął do sakiewki przy pasie i wyjął z niej grubą srebrną monetę. Pokazał ją chłopcu i znowu ją schował.

– To dla twojego pana. Nie zatrzymam cię długo.

Wskazał głową pobliski zaułek, wąski i mroczny.

Nijiri, na chwilę zapomniawszy o pokorze, spojrzał na niego pytająco. Potem wróciły do niego wspomnienie z Nocy Hamyan i słowa księcia: „ktoś zrobiłby z ciebie sługę zmysłów”.

Na litość Bogini i Jej boskich braci! Tutaj też? Przez chwilę musiał walczyć z furią.

Już otwierał usta, żeby wymamrotać jakiś wykręt, kiedy w pobliżu rozległ się rytmiczny brzęk dzwoneczków. Z bocznej

uliczki na plac wychodziła właśnie mała grupa: cztery postaci w przejrzystych żółtych szatach z hekeh, otaczające cztery inne w jasnej zieleni. Siostry Hananji.

Ludzie zebrani na placu cofnęli się z rewerencją, robiąc kobietom przejście. Gwardzista drgnął i skłonił się z szacunkiem, kiedy grupa podeszła do zbiornika. Służący zrobił to samo; Nijiri zbyt późno przypomniał sobie, by pójść w jego ślady.

– Zaczekaj, dziecko. – Idąca w środku grupy kobieta w bladej zieleni wskazała na niego palcem. Przez welon widać było tylko zarysy jej twarzy, ale na dźwięk jej głosu serce Nijiriego забиło mocniej. Czy to możliwe?

Wyprostował się i wskazał z niedowierzaniem na siebie, jak przystało skromnemu służącemu. Kobieta skinęła głową.

– Pójdź – powiedziała. Jej świta zawróciła, a on pobiegł za nią.

Towarzyszki kobiety otoczyły go tak, żeby mógł iść koło siostry. Nikt za nimi nie podążał, kiedy opuścili plac. Nijiri obejrzał się na gwardzistę, na którego twarzy rozdrażnienie walczyło o lepsze z podziwem; podziw wygrał i mężczyzna rzucił Nijiriemu markotny, ale dobroduszny uśmiech. Potem siostry skrzyły w inną ulicę prowadzącą do dzielnicy rzemieślników. Sklepy i kuźnie były tu zamknięte za dnia; większość rzemieślników pracowała nocą. Na dwór wyszły tylko nieliczne osoby. Niektóre szybko odwracały wzrok, widząc Nijiriego i siostry. Większość w ogóle nie zwracała na nich uwagi. Może zazdrościli chłopcu, że został wybrany jako nosiciel daniny z sennego nasienia, ale nikt nie okazywał tego otwarcie. To by sprowokowało niezadowolenie Hananji – i sióstr.

– To nie było rozważne, praktykancie – powiedziała siostra. Jej głos był cichy, stłumiony. Szła statecznie, dzwonki, którymi obszyto krawędzie jej sukni i welonu, pobrażkiwały miarowo. – Mężczyzna pragnący rozkoszy rzadko jest skłonny do udzielania informacji – przed czy po.

Nijiri poczuł płomień na policzkach.

– Siostra Meliatua?

Nie widział wyraźnie twarzy, ale wydawało mu się, że kobieta się uśmiechnęła.

– Zapamiętałeś.

Jak mógłby zapomnieć?

– To był jedyny sposób. Bo...

Zawahał się, nie wiedząc, ile może jej wyjawić.

Szła, nie patrząc na niego.

– Ehiru nie przebywa już w więzieniu. Został wypuszczony tuż po zenicie słońca. Opuścił miasto przez południową bramę. Miał jej znak rozpoznawczy, więc strażnik powiedział mu, gdzie znaleźć kisuańską ambasadorkę. Nie wiem, dlaczego go wypuszczono.

Nijiri był tak oszołomiony, że nie od razu odzyskał mowę.

– Jak... w jaki sposób zdołałaś...

Miał wrażenie, że znowu się uśmiechnęła.

– Słuchałam, praktykancie, tak jak uczyłam cię podczas Hamyan. My, siostry, mamy w Gujaarehu i poza jego granicami znajomych, którzy chętnie dostarczają nam pożytecznych informacji.

Nijiri zmarszczył brwi.

– Kisuzańskich znajomych? – zaryzykował.

– Także soreńskich i jellewickich, oraz wielu innych, nawet twoich braci. Rabbaneh prosił, żebym ci pomogła. Powiedział, że mogę cię znaleźć w pobliżu strażnic.

A więc ich spotkanie nie było przypadkiem.

– Zatem wiesz, gdzie mogę znaleźć mojego mentora?

– Nie, ale może to wiedzieć strażnik przy południowej bramie – o ile go przekonasz, żeby ci powiedział. Powinieneś jednak działać szybko. Ehiru wydobędzie informacje od Kisuanki, a następnie ją zabije. Kto wie, dokąd uda się potem?

Nijiri zmarszczył brwi.

– Zbieracze nie zabijają, siostro.

Znowu się uśmiechnęła.

– Nie dzielę się moim ciałem z nosicielami daniny, daję im tylko sny. A jednak kiedy się budzą, są wyczerpani i nasyceni, a ich ciała dygoczą po wspomnieniu ekstazy. Myślisz, że ta różnica ma dla nich jakiegokolwiek znaczenie?

Nijiri oblał się rumieńcem.

– Chyba nie.

– Musisz się nauczyć widzieć wszystko pod wieloma kątami, Nijiri. Twój mentor tego nie potrafi. On widzi tylko Prawo Hananji. – Westchnęła. Dzwoneczki jej welonu zaśpiewały. – To ograniczenie czyni go największym z twoich braci, lecz także nie pozwala mu radzić sobie z intrygami ludzi dotkniętych zepsuciem.

Nijiri znowu zobaczył w myślach bezradne spojrzenie Ehiru, kiedy wyprowadzili go gwardziści Zachodu Słońca.

– Zatem moim zadaniem jest nieść to brzemię za niego, siostró.

Kobieta zerknęła na chłopaka i odwróciła wzrok.

– Rozumiem. Sam wiesz coś na temat zepsucia. Ale jesteś tak młody...

To zabrzmiało jak pytanie. Nijiri zawahał się, lecz kobieta miała w sobie coś takiego, co zachęcało do szczerości.

– Zanim Hetawa mnie adoptowała, należałem do kasty służących. Matka nauczyła mnie, jak zaspokajać żądze dorosłych, niemal zanim zacząłem chodzić. Rodzice z kasty służących zawsze uczą tego swoje dzieci – mają nadzieję, że nigdy im się to nie przyda, ale w potrzebie może im ocalić życie. – Wzruszył ramionami i spoważniał jeszcze bardziej. – Lecz jako służący nigdy nie miałem tego kłopotu. Tylko jako akolita, w Hetawie.

Kobieta nie zareagowała, ale on urwał, bojąc się jej nagany. Jej milczenie go ośmieliło; po chwili zdołał się uspokoić i znowu zaczął mówić.

– Wszyscy akolici idą według listy... żeby służyć jako asystenci pranie, gdy zbieracz lub dawca poddaje się rytuałowi. Podobno nie

można uniknąć tego obowiązku – niektórzy jednak znajdują na to sposób. Często to, na którą listę trafiasz, zależy od przychylności nauczyciela, który prowadzi taką listę.

– Chciałeś być na liście Ehiru?

Nijiri zatrzymał się na chwilę. Zamilkł zawstydzony. Meliatua westchnęła i lekko dotknęła jego ręki.

– Ja też miałam mentorkę – powiedziała łagodnie. – Gdyby obowiązywały nas takie rytuały, chciałabym służyć jej i nikomu innemu. Choćby moje koleżanki uważały to za niesprawiedliwość czy samolubność.

Nijiri pokiwał powoli głową.

– Tak. Tak było.

– Ty go kochasz. Kochasz Ehiru.

Nijiri zatrzymał się gwałtownie. Przeszył go chłód. Meliatua także przystanąła. Jednak zanim zdołał wymamrotać jakieś usprawiedliwienie, kobieta podeszła do niego blisko jak kochanka i położyła dłonie na jego piersi.

– Ja też pochodzę z kasty służących – powiedziała łagodnie. – Pamiętam te same lekcje co ty. Ale pamiętam też, że nie zawsze dotyczyły tego, co trzeba. Wszystkie uczyły, jak ratować siebie, jak stać się tak silnym, żeby przeżyć jako służący. Nikt nam nie wyjaśnił, jak kochać w bezpieczny sposób lub co zrobić, jeśli to ci się nie udało.

Nijiri spojrzał na nią w osłupieniu. Na chwilę zapomniał, że stoją na środku ulicy, w otoczeniu asystentek Meliatuy i bogowie wiedzą, kogo jeszcze. Przypomniawszy sobie swoje pierwsze wrażenie z Nocy Hamyan: że ta kobieta jakoś czyta w jego myślach... ale nie. Być może po prostu dobrze go rozumiała.

– Nie... – wychrypiął i oblizał wargi. – Nie wiem, co robić.

Wzruszyła ramionami.

– Zrobiłeś, co mogłeś – zbliżyłeś się do niego, pomagałeś mu, pozwalając, żeby ci pomagał. Koniec końców tylko tyle możemy

zrobić dla tych, których kochamy. A on cię potrzebuje. Sam nie wie jak bardzo. Może nawet i ty tego nie wiesz.

Gładziła jego pierś; on, nie wiedząc, co robi, położył jej dłonie w talii, bo to jakoś wydawało się jedyną właściwą reakcją.

– Ale widzisz: bycie zbieraczem jest dla niego wszystkim. Czy możesz go kochać, wiedząc, że zawsze będziesz dla niego na drugim miejscu?

– Zawsze to wiedziałem. – Nijiri zamknął oczy, przypominając sobie te noce, kiedy leżał bezsennie, pragnąc. Wiedząc, że nigdy nie będzie miał tego, czego tak pożąda. – Wezmę to, co mi da, i będę się tym cieszyć. Tylko...

Nauczyciele twierdzili, że zbieracz należy bez reszty do Hananji. Tak było w przypadku wszystkich czterech ścieżek służby Hananji – ale zbieracze wyróżniali się nawet na ich tle. Nikogo nie obchodziło, gdy nauczyciel czy dawca zakradał się nocą do czyjś pokoju, o ile zachowywał dyskrecję. Nawet wartownicy mieli swoich braci i walczyli w ich obronie zacieklej niż w obronie kogoś innego. Jednak wśród zbieraczy było inaczej. Szacunek, podziw, braterska miłość – to były zachowania akceptowane, słuszne, nawet wymagane. Ale samolubne, jednostkowe pożądanie było zakazane.

– To bardzo trudne, siostrze – wyszeptał. Nie potrafił spojrzeć jej w oczy. – Zostałem zbieraczem, bo chciałem być silny. Bo wtedy nie potrzebowałbym innych, a rozpacz nie mogłaby mnie już skrzywdzić. Chciałem być z Ehiru; chciałem być Ehiru. A teraz...

Uśmiechnęła się pod welonem. A potem, bardzo, bardzo delikatnie, odsunęła go od siebie.

– Teraz nie jesteś już dzieckiem – powiedziała. – Teraz rozumiesz: zbieracze są silni, tak jak każdy inny człowiek. Teraz wiesz, że nie możesz być z Ehiru... ale możesz być go godny. I teraz wiesz: miłość nie jest niczym wstydliwym.

Mimo woli uśmiechnął się z goryczą.

– Nie. Ale jest bardziej bolesna, niż się spodziewałem. I nie wiedziałem, że trzeba tyle siły, żeby ją znieść.

Patrzyła na niego dłuższy czas, po czym skłoniła osłoniętą welonem głowę.

– Zatem wybacz mi, że zakłóciłam twój spokój.

Poszła dalej, a on po chwili zdołał zmusić swoje nogi do ruchu. Serce uspokajało mu się dłużej, lecz kobieta milczała i w końcu łomot w jego piersi złągodniał.

– W Dzielnicy Niewierzących jest poborca, którego znam – odezwała się w końcu Meliatua. – Jego budka znajduje się tuż za bramą, na trzecim rogu; spytaj o półkrwi Jellewitę Caiyerę. Powiedz mu, że jesteś moim przyjacielem, a on zdradzi ci, gdzie się znajduje ta Kisuanka. Ale spiesz się, jego zmiana kończy się tuż po zachodzie słońca.

Nijiri zerknął na czerwieniejące już niebo.

– Tak, siostrze.

Dotarli do kolejnego skrzyżowania. Na rynku roiło się od ludzi; wielu sklepikarzy wychodziło dopiero, gdy przeminął najgorszy upał. Za placem znajdowała się szeroka ulica z biegnącym nad nią łukiem, a nieco dalej Nijiri dostrzegł południową bramę prowadzącą do Dzielnicy Niewierzących.

– Nie zostawaj po zmroku, praktykancie – odezwała się Meliatua, a on spojrzał na nią z zaskoczeniem. – Bestia, która grasuje po tych ulicach, już raz skosztowała twojej duszy i może być jej głodna. Jeszcze nie potrafisz z nią walczyć.

Nijiri, w którym skrepowanie walczyło z urażoną dumą, wyprostował się.

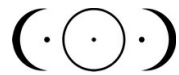
– Zaatakowała mnie z zaskoczenia.

Kobieta ponownie się uśmiechnęła, ale widział, że w tym uśmiechu nie ma kpiny.

– Oczywiście. – Znowu do niego podeszła i dotknęła jego policzka przy akompaniamencie brzęku dzwoneczków. – Idź z błogosławieństwem Hananji i pamiętaj, że w miłości także nie ma zepsucia.

Odwróciła się i odeszła ze swoimi towarzyszkami, a on dopiero po chwili zrozumiał, co powiedziała. Poczłł się... nie lepiej, za to bardziej pewnie.

Z nową energią ruszył ku bramie, by odnaleźć Ehiru.



Zbieracz medytował i modlił się, ale to było za mało. Jak zwykle. W końcu, gdy umysł zapomniał modlitwy i stracił zdolność medytacji, pozostawał tylko ten straszny, nieustanny bełkot nagiej żądz. Tylko jedno mogło go uciszyć. Przyjdą rano, przyjdą rano – to stało się celem jego życia. Do tego czasu pozostało mu tylko wytrzymać. Zająć się czymś. Chłopiec leżał pod nim z zamkniętymi oczami. Ofiara. Zbieracz wolną ręką pogładził go po policzku, zachwycając się niewinnością i pięknem młodości. Mógłby pożreć tę urodę, unurzać się w tej niewinności. Czy to wymazałoby jego grzechy? Może to sprawdzić. Nie czuł gniewu, kiedy po raz pierwszy wbił pięść w brzuch chłopca. To tylko rozrywka, nic więcej. Ale kiedy chłopiec otworzył szeroko oczy, wstrząśnięty, przejęty bólem i ohydą, mdlącą świadomością, jak może wyglądać śmierć, kiedy nadejdzie, ta pulsująca, wrząca żądza zmieniła się w coś innego: ulgę. Chłopiec jeszcze nigdy nie doświadczył takiego bólu. Był przerażony. A widok cudzego strachu i cierpienia sprawił, że zbieracz bał się i cierpiał mniej. Tylko trochę mniej, lecz nawet to mu pomogło. O, tak. A ten chłopiec miał takie piękne oczy. Jak pustynny jaspis. Dlatego zbieracz znowu się zamachnął i uderzył, raz, drugi i trzeci, wkrótce potem czerpiąc przyjemność z konwulsyjnych ruchów chłopca, jego kwilenia, ochrypłych, niezrozumiałych błagań. W końcu pojawiła się i krew, a to dało mu największą rozkosz.

Ehiru obudził się ze zduszonym krzykiem. Serce łomotało mu w chłodnym mroku domu Etissera.

To nie mógł być sen. Sennej krwi starczało mu ledwie na tyle, żeby podtrzymać życie, a nawet gdyby miał jej więcej – to nie mógł

być sen. Od dwudziestu lat nie miał ani jednego snu.

A zatem wizja – ale straszna, mdląca. Ehiru usiadł, dotknął czoła, by złagodzić ból spowodowany przez zmęczenie, sen o nietypowej porze i rosnące pragnienie duszy. Ten ból niemal przeszkadzał mu myśleć – lecz Ehiru wystarczająco dobrze znał zasady narkomancji. Większość wizji rodzi się ze wspomnień. Nijiri nigdy mu nie służył podczas pranje, a zatem Ehiru nigdy go nie pobił. Nie mógłby. Umyślnie zadawać taki ból komuś innemu to nie tylko zepsucie, ale coś kompletnie mu obcego. Chyba że pamięć nie służy mu tak dobrze, jak sądził. Albo obrazy zakłócające jego sen nie były wizją z przeszłości, lecz prawowidzeniem przyszłości.

Jęknął; zabrakło mu spokoju nawet na modlitwę.

– Bracie Ehiru...

Pięści same mu się zacisnęły, ciało poderwało się na równe nogi, gotowe do ataku. Ale postać siedząca na sofie naprzeciwko nie poruszyła się; czekała. Jej spokój oczyścił mu umysł na tyle, że w końcu mógł zacząć myśleć. Nijiri.

Żołądek mu się zacisnął. Chciał spytać: „czy cię kiedyś skrzywdziłem?”, lecz brakowało mu odwagi, aby usłyszeć odpowiedź. Nijiri poruszył się i podszedł, przykucnął koło jego posłania w plamie światła Czuwającej Luny. Na jego twarzy malowała się troska; na ten widok strach Ehiru ustąpił. Czy ktoś tak okrutnie wykorzystany mógłby go nadal kochać? To chyba wystarczający dowód.

– Nie jesteś zdrowy, bracie – powiedział Nijiri najcichszym szeptem, tak jak podczas zbioru. – Potrzebujesz infuzji.

– Potrzebuję spokoju – odparł Ehiru i skrzywił się, gdy usłyszał swój głos, bardziej ochryply i głośniejszy niż zwykle. – Ale Ona odmawia mi go nawet we śnie.

Nijiri wziął jego rękę – niezdarnie, z trudem – i uniósł ją do swojej twarzy. Rozłożył jej wskazujący i środkowy palec, usiłując je położyć na swoich zamkniętych powiekach. Ofiara...

– Nie! – Ehiru wyszarpnął dłoń. Nijiri spojrzał na niego strapiiony.

– Tracę panowanie nad sobą. Mógłbym nie poprzestać na odrobinie...

– Więc weź wszystko, bracie. – Nijiri spojrział mu w oczy. Tyle ufności! – Wiesz, że się nie boję.

Te słowa przywołały wspomnienie z ich pierwszego spotkania: dawca śmierci i dziecko, które go zaprosiło. To wspomnienie zawsze przynosiło Ehiru spokój – teraz także. Zaćmiło rozterkę i niepokój, które obudziło to łzewidzenie. Odetchnął.

– Hananja jeszcze cię nie wybrała, a ja nie narażę cię na śmierć. Mogę wytrzymać jeszcze parę dni. Znajdą się inni potrzebujący zbioru. Jak zawsze.

Chłopiec spochmurniał.

– To mi się nie podoba.

– Mnie też nie. Ale jedyną alternatywą jest powrót do Hetawy, czego na razie nie możemy uczynić. – Urwał, bo dopiero teraz dotarło do niego znaczenie obecności chłopca. – Ale ty tam powinienesz być. Dlaczego nie jesteś?

– Bracia Sonta-i i Rabbaneh wysłali mnie, żebym pomógł ci uciec.

– Co?!

Nijiri uściskał jego dłoń, by go uciszyć; wstrząśnięty Ehiru nie pomyślał o znizeniu głosu.

– Kosiarz to obraza Bogini – szepnął chłopiec. – Zwierzchnik i książę nie uczynili nic, aby go unicestwić, więc... musimy razem, ty i ja, zapolować na tego potwora. – A po chwili wahania dodał: – Czyniąc to, dowiedziesz także swojej czystości, bracie. Wtedy będziemy mogli wrócić do Hetawy.

Błogosławiona Hananjo, czy w wieku szesnastu powodzi też byłem taki głupi? Jeśli tak, to dziękuję, że pozwoliłaś mi dożyć czterdziestki.

– Rabbaneh i Sonta-i powinni mieć więcej rozumu. Nawet jeśli unicestwimy Kosiarza, nie możemy już ufać Hetawie. Ktoś musiał stworzyć to monstrum.

– A kiedy wrócimy do Hetawy, znajdziemy tę osobę... lub osoby – powiedział skruszony Nijiri. – Łatwiej zacząć od niej, niż szukać poza nią. Możemy poprosić o pomoc Radę Ścieżek...

– Której członkowie mogą być odpowiedzialni za ten koszmar...

– W takim razie ich również oczyścimy!

Zaskoczony Ehiru spojrzał na chłopca, którego twarz stała się zacięta i zimna. Było to przelotne mgnienie zbieracza, którym pewnego dnia stanie się Nijiri – i serce Ehiru pomimo wszystko wezbrało dumą.

– Brat Sonta-i przypomniał mi o roli naszej ścieżki – ciągnął chłopiec. – Czy muszę ci ją przypominać? Jeśli Hetawa została dotknięta zepsuciem, naszym obowiązkiem w świetle Prawa Hananji jest ją oczyścić. To bardzo proste, bracie.

Bardzo proste.

Siedzący pod ścianą Ehiru poczuł, że jego świat jeszcze raz wywraca się na lewą stronę. Czy to możliwe? Cofnął wcześniejszą modlitwę i podziękował Hananji za podarowanie mu krystalicznej wizji szesnastolatka, choć pośrednio, przez oczy Nijiriego. Dwa dni nieszczęścia i zamętu ulotniły się z jego serca i po raz pierwszy od, wydawałoby się, wieków w końcu się uśmiechnął.

– Czasami roztropnie jest, by mentor słuchał praktykanta, nie odwrotnie. – Ucisnął rękę Nijiriego i wskazał mu drugą sofę. – Odpocznij. Rano wyprawimy się razem z tą Kisuanką. Jedziemy do Kisui.

– Do Kisui? Przecież Kosiarz jest tutaj.

Tak było, ale wszystkie potrzebne odpowiedzi – kto, jak i dlaczego – znajdowały się gdzie indziej. Zabicie potwora nie oznaczałoby uwolnienia od zepsucia, którym była podszyta cała ta sprawa; nie mógł ufać nikomu w Gujaarehu. Ale ta Sunandi szukała prawdy tak samo jak on i miała w swoim kraju środki, by ją odkryć. Zepsuta czy nie, mogła się przydać jego sprawie.

– Potem tutaj wrócimy – wyjaśnił – lecz najpierw rozwiążemy kwestię zawieszenia sprawy tej kobiety. Jeśli to, co powiedziała, jest

prawdą, Kosiarz może być tylko objawem o wiele poważniejszej choroby.

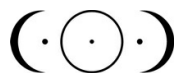
– W jaki sposób?

Ehiru westchnął; nieco jego spokoju znowu się ulotniło. Wiedział, że nie potrwa on długo.

– Być może cały Gujaareh trzeba będzie oczyścić.

A kiedy skończymy, spichrze Hetawy będą przepelnione.

INTERLUDIUM DRUGIE



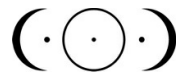
Oto prawda, jakiej Gujaareh nigdy nie lubił uznawać: nasza Hananja nie jest najbardziej udanym z dzieci Śniącej Luny. Nie jest artystką jak Daneinge, której taniec tworzy na niebie tęcze, oznaczające koniec pory powodziowej. Nie jest też pracowita jak Merik, który w pył obraca góry i wypełnia doliny, uczynione przez swego ojca w miłosnym uniesieniu. A jednak to Hananji powierzono dbanie o zdrowie i szczęście Jej rodziny – ważne zadanie w każdym rodzie, lecz szczególnie wśród nieśmiertelnych. Stworzyła Ona miejsce, które zwiemy Ina-Karekh i w którym inni bogowie mogą zażywać takich rozrywek, jakie tylko można sobie wymarzyć. Ale ponieważ takiego miejsca nie było gdzie umieścić – gdyż Ina-Karekh jest większe niż niebo i ziemia razem wzięte – Hananja umieściła je w sobie. Nauczyła swoje rodzeństwo, jak oddzielać to, co w nich najbardziej wewnętrzne, i wysyłać do Ina-Karekh, resztę zostawiając za sobą. A ponieważ bogowie uważają ludzi za zabawnych, bogini podzieliła się tym darem także ze śmiertelnikami.

Można by jednak powiedzieć, że to pewien rodzaj szaleństwa. Zważcie: nasza Bogini zaprosiła tak wielu, by żyli w jej umyśle. Jak może zmieścić w nim własne myśli? Gdzie w całym Ina-Karekh są ukryte jej własne sny – jeśli w ogóle sobie na nie pozwala?

Potem zważcie coś jeszcze: gdy zbieracz Sekhmen był dzieckiem, nie mógł zasnąć, dopóki Siostry Luny nie zaśpiewały mu kołysanki. Starał się śpiewać ich pieśni swojemu rodzeństwu w Domu Dzieci, ale one słyszały tylko ciszę. Jako akolita zbieracz Adjes najszczerzej rozmawiał z królami Gujaarehu, zasiadającymi na swoich Tronach Snów. Zbieracz Meithor wcześniej zdradzał talent do snów, lecz jego rodzice byli pozbawieni wiary i bronili mu dostępu do Hetawy.

W wieku siedmiu powodzi zamordował swoją śpiącą matkę, uważając ją za potwora. Gdy zbieracz Samise przechodził pranje – o czym mówię tylko dla ilustracji – trzeba mu było obwiązywać palce paskami hekeh, a do ust wkładać drewniane wędzidło, w przeciwnym razie rozszarpałyby swoje ciało paznokciami i zębami, żeby wydobyć spod skóry owady.

Myślisz, że ich w ten sposób oczerniam? Czy oczerniłem Boginię, sugerując, że Jej szaleństwo ma wpływ na Jej sługi? Chcę tylko, byś to zrozumiał: dar snu zawsze miał dwie strony. Ale jak nauczyła nas Bogini – czyż nie jest mądrością szukanie skarbu w tym, co inni nazwaliby przekleństwem? Czy nie jesteśmy cywilizowani, czyniąc z obłądu magię?



Gdy śmierć przychodzi niezapowiedziana, przechowajcie ciało. Wezwijcie śpiewaków i płaczki, palcie kadzidła i wzywajcie przodków. Bijcie w bębny, by wygnąć zmarłych z Hona-Karekh i modlić się do bogów, aby kierowali duszą. Złóżcie daninę Hetawie, by dusza żadnego z waszych ukochanych nie była znowu zagrożona.

(Mądrość)

Gniewne krzyki Etissera obudziły Sunandi tuż po świcie. Wstała z łóżka, na którym zasnęła we łzach, włożyła koszulę i poszła na górę, gdzie ujrzała Etissera w pełnej formie, wrzeszczącego w trzech kupieckich językach.

Nie zdziwiła się, kiedy ujrzała przyczynę jego gniewu: przybył młody praktykant zbieracza. Chłopiec stał przed swoim mentorem, znów z tą dziwną mieszaniną determinacji i opiekuńczości, którą Sunandi zauważyła przedwczoraj.

Przedwczoraj. Czy naprawdę tylko tyle czasu upłynęło od chwili, gdy wysłała Lin na śmierć?

Chłopak spojrzał na nią. Etissero poszedł za jego spojrzeniem i urwał w połowie soreńskiej obelgi pod adresem matek obu zbieraczy. Skruszony przerzucił się na nieporadny sua.

– Wybacz mi, Mówiący Głosie. Nie chciałem cię obudzić.

– Nie szkodzi – odpowiedziała w równie kiepskim bromarteńskim i spojrzała na zbieraczy. Ehiru stał ze spuszczoneymi oczami,

prezentując zawstydzenie właściwe komuś, kto pogwałcił obyczaj gościnności. Wyglądał lepiej niż poprzedniego dnia, lecz nadal nie całkiem dobrze. A chłopak... spojrzała na niego, a on zmrużył oczy i przyjrzał się jej uważnie. Etissero powiedział, że Gujaareńczycy potrafią rozpoznawać śmierć, więc nie odwróciła wzroku i pozwoliła mu zobaczyć swoją rozpacz. Drgnął z zaskoczeniem i spoważniał; po chwili skinął głową ze zrozumieniem. A więc to prawda, a zbieracze są najbieglejsi ze wszystkich Gujaareńczyków.

– Zatem jedziesz z nami? – spytała chłopca.

– Tak – powiedział.

– Świetnie. – Odwróciła się do Etissera. – Myślisz, że grupa Gehanu zabierze trzy osoby zamiast jednej?

Etissero wyglądał, jakby chciał zaprotestować, lecz zadowolił się założeniem rąk na piersi i obrzuceniem zbieraczy paskudnym łypnięciem.

– Tak, tak, liczba osób nie ma znaczenia. Liczy się jednak wygląd, a ci dwaj wyglądają tylko na to, kim są – na morderców.

– Nie jesteśmy... – zaczął praktykant, ale zbieracz położył mu rękę na ramieniu, natychmiast go uciszając.

– W odpowiednim stroju zdołamy się wmieszać w tłum – powiedział Ehiru. – Z kim podróżujemy?

– Z trupą minstreli. – Etissero uśmiechnął się, jakby tylko czekał na ich przerażone miny.

Ehiru także odpowiedział uśmiechem.

– Takie zespoły mają wielu członków. Strażników, artystów, ludzi dbających o zwierzęta i dobytek. Nijiri i ja możemy udawać tych ostatnich. Ja będę Kisuaninem, on Gujaareńczykiem.

– Kisuanie mówią w sua!

– Ja również, panie, zarówno językiem oficjalnym, jak i mową codzienną – odparł Ehiru w tym języku. Mówił bez śladu gujaareńskiego akcentu, zauważyła Sunandi, choć w jego wymowie słychać było cień arystokratycznej intonacji.

– Jesteś Kisuaninem, który niegdyś cieszył się bogactwem i szacunkiem – powiedziała, a on skinął głową ze zrozumieniem. Odwróciła się do Etissera i przeszła na gujaareński, by kupiec mógł ją zrozumieć. – Czy podarujesz nam odpowiednie stroje i artykuły podróżne? Nie obrażę cię propozycją zapłaty, zwłaszcza że gdy tylko odwiedzisz Kisuę, będziesz traktowany w moim domu jak bliski krewny. – I oczywiście przy najbliższej okazji Sunandi załatwi mu lukratywne układy z sonhami.

Ten gest ułagodził Etissera.

– Oczywiście. Saladronim znajdzie strój dla chłopca; mają niemal takie same wymiary. – Ruszył w stronę schodów, ale przystanął przy niej i położył jej rękę na ramieniu. – 'Nandi... jesteś pewna? – Zerknął na zbieraczy, nawet nie usiłując ukryć antypatii czy ściszyć głosu. – Jeśli ten czarny cię skrzywdzi, zabiję go.

– Nie zrobisz niczego podobnego – warknęła, rzucając spojrzenie na Ehiru. Starszy zbieracz odwrócił się i podszedł do zasłony prześwitu, pozwalając im na rozmawianie w spokoju. Ale praktykant przez chwilę przyglądał im się zimno. Dopiero potem dołączył do swojego mistrza.

– Obyczaje gościnne...

– Nie obowiązują, gdy opuszczę twój dom, Etissero. Wiem, że mnie kochasz, lecz sam mi powiedziałaś: ja już nie żyję. Jeśli nie zdołam przekonać tych dwóch, że o moim rzekomym zepsuciu powiedzieli im jeszcze bardziej zepsuci intryganci, którymi kierują jeszcze bardziej odrażające cele... – Uśmiechnęła się z rezygnacją. – Nawet wtedy mogą mnie zabić. Może nawet racja będzie po ich stronie.

Etissero patrzył na nią przez chwilę w milczeniu.

– Nie zabiłaś tej niecnoty, Sunandi.

– Wysłałam Lin samą. Wiedziała, że nasi wrogowie nie cofną się przed niczym, by nie dopuścić do ujawnienia tajemnic, które znała. Wojskowy dowódca, który zrobiłby coś takiego podczas wojny, przyjąłby odpowiedzialność za śmierć podwładnego, czyż nie?

– Ty nie jesteś dowódcą, ta dziewczyna nie była żołnierzem i nie żyjemy w czasach wojny.

– Żyjemy – albo będziemy, kiedy tylko powiem Protektorom, co się dzieje w tym mieście. Lin nie była pierwszą ofiarą tej wojny. – Sunandi zamknęła oczy i dotknęła piersi. Gdyby nie chodziło o Kosiarza, mogłaby przynajmniej mieć nadzieję, że gdzieś w ogromie Ina-Karekh Lin odnajdzie Kinję. Wtedy staliby się ojcem i córką – po śmierci, skoro nie mogli nimi być za życia. Ale Kosiarze nie zostawiali z ofiary nic w żadnym ze światów – ani życia na jawie, ani duszy we śnie. Żadnej pociechy.

Etissero ujął jej rękę.

– Gdyby nie tamci... – wskazał głową zbieraczy – rozkazałbym ci tu zostać, dopóki nie przestaniesz rozpaczać, 'Nandi. W takich chwilach powinnaś przebywać wśród przyjaciół, nie wrogów.

– Wrogowie są lepsi. Dzięki nim pamiętam, dlaczego Lin umarła. – Sunandi uśmiechnęła się wbrew sobie i delikatnie oswobodziła dłoń. – A ja i tak już naraziłam twoją rodzinę na niebezpieczeństwo.

Etissero zmarkotniał, ale nie zaprotestował, bo to, co powiedziała, było prawdą. Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

– A teraz szybko – powiedziała. – Karawana z pewnością wyruszy przed popołudniową godziną spoczynku.

Plac targowy w Dzielnicy Niewierzących był zatłoczony, a powietrze było gęste od kurzu i zapachów smażonego jedzenia oraz zwierzęcego nawozu. Kupujący i sprzedawcy, zachwalający swoje towary, kłębili się w radosnym chaosie, przy którym zdyscyplinowane gujaareńskie targi wyglądały jak cmentarze.

Potem Sunandi zauważyła także mniej przyjemne dowody na to, że nie są już w Mieście Hananji: w tłumie buszowali kieszonkowcy, jakiś sklepikarz obrzucał obelgami pieklącego się klienta, a w ciemnych zaułkach dobijano podejrzanych targów. Sunandi dyskretnie schowała noszoną na przegubie sakiewkę w fałdy

ubrania.

Początkowo martwiła się, że dwaj gujaareńczycy, nieprzywykli do surowego życia za murami miasta, mogą zlekceważyć ostrożność. Ale Ehiru już dawno schował swoją sakiewkę, a chłopiec, jak zwykle, poszedł za jego przykładem. Do pewnego stopnia: Ehiru szedł przez tłum z takim spokojem i swobodą, że nikt by nie zobaczył w nim fanatycznego potwora, którym naprawdę był, lecz Nijiri gapił się na wszystko z otwartymi ustami. Wyglądał w każdym calu na zbiega z kasty służących, który po raz pierwszy ogląda życie za murami Gujaarehu – ale Sunandi sądziła, że nie udawał. Zwolniła, gdy znaleźli się w okolicy, gdzie zrobiło się luźniej, a ludzie omijali stada wielbłądów, sterty pakunków i klatek z małymi zwierzętami. Co za ludzka menażeria! Sunandi widziała tu Gujaareńczyków, Kisuan, Bromartenów, Kasutsenów, Sorenów i tancerkę, która wyglądała na Jellewitkę. Wszyscy oni roili się wokół karawany jak mrówki, sprawdzając uprząże, obarczając wielbłądy bagażami... W samym środku tego chaosu stała wysoka, rozłożysta kobieta o zaciekłych rysach plemion z dalekiego południa. Odwróciła się i spojrzała na Sunandi, zanim ta zdążyła ją zawołać.

– Nefe! – krzyknęła z uśmiechem, rozkładając ręce. – Ty smarkulo! Czemu się nie pokazywałaś! Chodź no tutaj, to się policzymy.

Sunandi podeszła z uśmiechem do kobiety, która otoczyła ją potężnymi ramionami w silnym uścisku, unosząc ją lekko. Sunandi stęknęła, wytrzymała jednak miążdzący chwyt, śmiejąc się cicho wbrew samej sobie. Kobieta w końcu postawiła ją na ziemi i przyjrzała się jej uważnie, nadal trzymając jej ręce na ramionach. Sunandi widziała kątem oka obserwujących je zbieraczy.

– Znowu ci czegoś potrzeba. Ach-cze... – Kobieta skrzywiła się niechętnie. – Tylko wtedy przychodzisz.

– Bo jeszcze mnie nie przepędziłaś. – Sunandi wskazała Gujaareńczyków. – Musimy się przedostać do Kisui. Szybko i dyskretnie.

Kobieta zerknęła na mężczyznę i burknęła coś obojętnie, po czym znowu spojrzała na Sunandi.

– Wiesz, że zawsze cię zabiorę, ale nie będzie to wygodna podróż. Jedziemy przez pustynię, nie wzdłuż rzeki. Tam mieszkają tylko biedni wieśniacy, którzy nie mogą nam płacić. W Tesie przynajmniej coś zarobimy.

Sunandi odpowiedziała grymasem.

– Właściwie miałam nadzieję to usłyszeć. Trasa przez pustynię jest krótsza.

– Nie znosisz otwartej pustyni, ty zepsute, rozpieszczone stworzenie.

– Nie będę narzekać. Tym razem pośpiech jest ważniejszy od wygody.

Kobieta przestała się uśmiechać. Uważnie spojrzała na Sunandi.

– Masz poważne kłopoty.

– Tak, 'Anu.

Gehanu nie pytała więcej, choć ucisnęła ramiona Sunandi krzepiąco.

– Zatem dostarczymy cię na miejsce. Droga przez oazę zajmie nam tylko siedem dni. Gdzie ta twoja jasnoskóra dziewczyna? Kwęka bardziej niż ty.

Sunandi spuściła oczy. Kobieta wstrzymała oddech.

– Na Szalone Światło Luny! Więc to tak. W takim razie musimy ruszać natychmiast.

W końcu odwróciła się do zbieraczy.

– Jestem Gehanu. A wy kto?

Chłopiec zerknął niepewnie na Ehiru; ten pochylił się nad jedną dłońią, a praktykant szybko powtórzył jego gest.

– Jestem Eru, a ten chłopiec to Niri. Będziemy pracować w ramach zapłaty za przejazd, pani.

Sunandi drgnęła z zaskoczenia. Ehiru zgarbił się i podniósł głos,

nadając mu lekko nosowe brzmienie. Miał spuszczone oczy, jak przystało skromnemu człowiekowi z niskiej kasty. W połączeniu z arystokratycznym akcentem dało to idealny efekt, dokładnie taki, jak zamierzali: niegdyś bogatego Kisuanina, który z powodu jakiegoś młodzieńczego wybryku stracił pieniądze i godność.

– No pewnie, cze – warknęła Gehanu. – Wszyscy tu pracujemy. Co umiesz zrobić, chłopcze?

Nijiri skłonił się niżej – idealny ukłon gujaareńskiego służącego, z gestem rąk oznaczającym, że nie ma pana i chętnie przyjmie nowego. Wyprostował się i spojrzał na Gehanu z doskonałą mieszaniną nieśmiałej nadziei i strachu, zupełnie obcą jego codziennemu zachowaniu.

– Bardzo dobrze sprzątam, pani – powiedział. – Potrafię też wszystko inne, jeśli mi tylko raz pokażesz. Z wyjątkiem... z wyjątkiem gotowania. – Powiedział to z takim wstydem, że Sunandiomal nie parsknęła śmiechem.

Za to Gehanu się roześmiała – krótko i głośno. Widać było, że chłopiec ją oczarował.

– W takim razie dopilnujemy, żebyś nie zbliżał się do paleniska. – Powiodła wzrokiem po uczestnikach karawany i ryknęła gromko: – Ruszajcie się, wy nieruchawe głązy, ruszamy przed zenitem!

Ludzie kręcący się dokoła zignorowali ją z obojętnością płynącą z doświadczenia. Ehiru wskazał grupę ładującą worki na wóz.

– Mam pomóc?

– Jeśli potrafisz zrobić to tak, żeby niczego nie popsuć.

Gehanu skinęła głową w stronę wozu. Ehiru skłonił się i dołączył do robotników. Odprowadziła go zadowolonym spojrzeniem.

– Ej, chłopcze. Umiesz śpiewać?

Nijiri drgnął zaskoczony.

– Śpiewać, pani?

– Tak. Otwierasz usta, wydajesz dźwięki, czasem ze słowami.

Chłopiec, niemal tak blady, jakby pochodził z północy, oblał się

niespodziewaną różowością.

– Niezbyt dobrze, pani.

– Tańczysz?

– Tylko tańce modlitewne. Tak jak wszyscy Gujaareńczycy.

– Zawsze to coś. Na południu to może być nawet atrakcją. – Uśmiechnęła się do Sunandi. – Jesteś przyjaciółką. Twój ładnie mówiący mężczyzna – nie. Ale nikt nie ma nic przeciwko zabieraniu pasażerów, o ile ci pasażerowie wyglądają, jakby mogli zapłacić. Gujaareńczycy z kasty służących nie mogą gromadzić pieniędzy. Dlatego nasz młody przyjaciel zostanie tancerzem, którego zamierzam uczyć i zatrudnić na stałe. Cze?

Nijiri patrzył na nią w osłupieniu. Zimna igła przeszła kręgosłup Sunandi. Tak głupi, amatorski błąd nie zdarzył się jej od lat. Kinja zdzieliłby ją za to. Lin byłaby wstrząśnięta, gdyby to widziała. Wystarczyła jedna mała niespójność, jeden błąd rozumowania, by obudzić podejrzenia. W zespole minstreli z pewnością znajdowało się wiele osób, które chętnie zarobiłyby dodatkowe pieniądze na powiadomieniu strażników lub urzędników o podejrzanych obcych. Przez nią wszyscy mogli zginąć.

Gehanu zauważyła jej przerażenie i wzięła ją pod rękę. Ruszyła z nią w stronę wielbłądów, dając Nijiriemu znak, żeby poszedł za nimi.

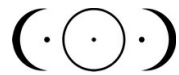
– *Sowu-sowu*, Nefe, nie martw się, zajmę się tobą, jak zawsze. Pofruniemy do domu szybko jak niebniki i wszystko dobrze się skończy. *Che?*

Mówi się, że bogowie lubią głupców, bo zabawnie jest ich obserwować. Sunandi oparła się z wdzięcznością o ramię Gehanu, w cichości ducha dziękując bogu, którego akurat rozbawiła.

– *Ach-cze*.

Karawana niemal się uformowała. Sześć nieobjuczonych wielbłądów znajdowało się na jej końcu – były przeznaczone na sprzedaż w trakcie podróży. Gehanu rozkazała osiodłać trzy z nich dla Sunandi i jej towarzyszy. Gdy słońce stanęło w zenicie,

ruszyli przed siebie pylistą drogą, nad którą unosiła się drżąca mgielka rozprężonego powietrza.



Zbieracz będzie pod nadzorem ścieżki wartowników wzmacniał ciało i umysł, aby sprostać służbie dla bogini. Będzie uderzał szybko i zdecydowanie w Jej imię, by równie szybko sprowadzić spokój.

(Prawo)

Zdyszany, drżący Rabbaneh wylądował na dachu koło placu Hetawy. Za dużo sennej krwi. Od śmierci Una-une'a niemal co noc wykonywał zbiory, a odkąd Ehiru rozpoczął swoją karę, czasem nawet dwa razy w ciągu jednej nocy. Tak wiele osób potrzebowało jego usług; zwlekanie byłoby okrucieństwem.

Usiadł za szopą i oparł głowę o jej ścianę, czekając, aż drzenie przeminie. Nie był Ehiru. Jego dar snu nigdy nie był zbyt silny. Dobrze by było – bardzo dobrze – gdyby sytuacja w Hetawie wróciła do normalności.

Początkowo odgłos kroków na bruku placu nie obudził jego czujności. Senna krew nadal śpiewała mu w duszy, przenikając jego umysł ciepłym blaskiem. Może to służący wracający do domu po nocnej pracy. Kogo to obchodzi? Ale stopniowo ochłonął i zauważył, że idący poruszają się szybko i trzymają się razem. Czasem rytm kroków ulegał zakłóceniu, gdy któryś z nich podbiegał truchtem, doganiając towarzyszy. Od czasu do czasu jedna osoba zostawała w tyle, a głośność jej kroków się zmieniała. Rabbaneh zobaczył oczami wyobraźni kogoś, kto biegnie truchtem wraz z towarzyszami, ale regularnie ogląda się, czy ktoś ich nie widzi.

Zbieracz otworzył oczy.

Nie potrafiłby dokonać dziś kolejnego zbioru, lecz z całą pewnością mógł oznaczyć nowego nosiciela daniny. Przykucnął, zakradł się na skraj dachu i spojrział w dół w nadziei, że zobaczy twarz kandydata.

Idący szli przez plac w stronę ulicy po prawej stronie Rabbaneha. Naliczył trzech mężczyzn: dwaj otaczali swojego towarzysza jak strażnicy. Znajdowali się za daleko, by ich wyraźnie zobaczyć. Śniąca już zaszła, a w mdłym świetle Czuwającej Luny ulice tonęły w mroku, ale głośne kroki stanowiły dla zbieracza wskazówkę równie wyraźną jak blask latarni. Rabbaneh poszedł za idącymi, bezgłośnie poruszając się po dachach.

Dzielnica rzemieślników przeszła gładko w okolice najpiękniejszej części rzeki, zamieszkaną przez ludzi z wyższej kasty. Dzielnica zhinów: domy różniły się stylem od tradycyjnych gujaareńskich; łączyły w sobie architekturę tuzina różnych krajów bez myśli o praktyczności, lecz jedynie o wyróżnieniu się spośród innych. Tu Rabbaneh musiał zwolnić, gdyż jeden z budynków miał dach wyłożony płaskimi pochyłymi płytami, niewiarygodnie śliskimi, a wokół krawędzi drugiego stało tyle misternie rzeźbionych potworów, że trudno było nań przeskoczyć. W końcu Rabbaneh, przeklinając w duchu głupców mających więcej pieniędzy niż dobrego smaku, znalazł dach ze schludnymi, zachodzącymi na siebie płytkami z wypalanej gliny. Musiał iść na czworaka, żeby płytki nie pękły pod jego ciężarem, lecz w końcu udało mu się dotrzeć do krawędzi, za którą znajdował się przyzwoity gujaareński dach, gdzie mógł przyspieszyć. Gdy jego zwierzyna przystanąła, on także to zrobił.

Trzej mężczyźni stali przed bocznymi drzwiami ogromnego domu. Ten rozmiar oznaczał, że to siedziba jednego ze starszych rodów zhinów, ale Rabbaneh nie znał rodowych symboli, jakimi ozdobiono framugę drzwi. Kiedy się otworzyły, nie poznał też człowieka, który zaprosił trzech gości do środka. Pewnie i tak był to służący.

Ale gdy światło padło na twarze przybyszy, wreszcie ich

rozpoznał. Zwierzchnik oraz strażnicy Dinyeru i Jehket.

Na Jej imię i wewnętrzne widzenie! Rabbaneh zamarł, wstrzymując oddech. Drzwi zamknęły się za mężczyznami. Zbieracz zaczął szukać drogi na dach domu. Gdyby zdołał zeskoczyć na okno albo zwisnąć z balkonu...

W ostatniej chwili zauważył niebezpieczeństwo i zamarł. Na dachu domu zhinhy w cieniu komina stał jakiś mężczyzna. Krótkie włosy, krótki miecz u boku, brązowy pancerz do połowy piersi, którego błysk krył rdzawy wieczorowy płaszcz.

Gwardzista Zachodu Słońca? To oznaczało, że zwierzchnik spotyka się z kimś z Yanya-iyana. Kimś, kto występuje w imieniu samego księcia.

Rabbaneh rozejrzał się i z mroku przedświt wyłowił siedmiu gwardzistów: trzech na dachu domu zhinhy, kolejnych trzech na dachach pobliskich domostw, siódmego na ziemi, cicho stojącego koło stajni.

Mało. Gwardziści poruszali się czwórkami. Gdzie ósmy?

Cichy chrzęst z tyłu sprawił, że Rabbaneh poczuł dreszcz na plecach. Zmusił się do bezruchu, choć wyobraźnia ukazywała mu ognistą linię na środku pleców, w którą z pewnością celowało ostrze gwardzisty. Gdy instynkt podpowiedział mu, że wróg odpowiednio się zbliżył, Rabbaneh skoczył, odwracając się tak, aby odtrącić broń. Gwardzista drgnął z zaskoczenia i usiłował zadać następny cios, ale wtedy Rabbaneh już go dopadł i przewrócił, by inni gwardziści nie widzieli szamotaniny. Zanim mężczyzna zdążył krzyknąć, zbieracz zasłonił mu usta ręką, a drugą pobudził jungisę do brzęku i położył ją na czole przeciwnika. Ten zeszywniał, sparalizowany, lecz nadal przytomny; jego przerażenie i furia walczyły z magią. Rabbaneh uśmiechnął się i zbliżył dwa palce do oczu gwardzisty. Ten zamknął je odruchowo; Rabbaneh położył mu palce na powiekach, wzmacniając moc jungissy potężnym narkomantycznym rozkazem. Po kilku długich, wyteżonych oddechach sztywność opuściła ciało gwardzisty, który zapadł w sen.

Rabbaneh zostawił jungisę na miejscu – dzięki niej zakłęcie snu trwało – i wrócił na skraj dachu. Sześć sylwetek nadal trwało spokojnie na dachach, siódma na ziemi. Nie został zauważony.

Uśmiechnął się pod nosem i znowu przeszedł przez dach, oparty tylko na palcach rąk i stóp. Ostrożnie opuścił się na okno, stanawszy czubkami palców na parapecie.

Z pokoju dobiegało czyjeś intensywne chrapanie. Znowu skoczył w dół, chwycił się parapetu, cicho stęknąwszy, gdy otarł się kostkami o mur. Drugi raz stęknął, lądując na ziemi, tym razem w przysiadzie. Sonta-i, jego były mentor, byłby niezadowolony z tej hałaśliwości, ale na to nie można było poradzić. Nie był już tak młody jak niegdyś, niestety.

Podkraść się na róg budynku, z którego właśnie zszedł, i rozejrzeć się szybko. Jeden strażnik krążył przy stajni. Niewątpliwie było tam wejście dla służby. Główne drzwi także miał w zasięgu wzroku, ale ich nie potrzebował: wystarczyło mu okno. Podniósł głowę i przez chwilę się rozglądał. Zauważył, że strażnicy tylko czasem spoglądają z dachu w dół. Za ulicą biegnącą za domem zhinhy znajdował się zaułek. Jeśli któryś gwardzista przypadkiem popatrzy na dół, kiedy Rabbaneh będzie przechodził, albo jeśli ten przy stajni odwróci się w jego stronę...

Nie pozostało mu nic poza zaufaniem Hananji. Wyszeptał szybką modlitwę i zaczekał, aż strażnik spod stajni spojrzy w innym kierunku, po czym przebiegł przez ulicę.

Nie usłyszał żadnego krzyku, więc schował się głębiej w mroku i zaczął obchodzić dom. Pierwsze okna na nic mu się nie przydały – sypialnie, obie zajęte. Drugie okna prezentowały się inaczej, bo znajdowała się za nimi kuchnia. Zza kotary wypłynęło ciepłe, pachnące korzeniami powietrze; służący przygotowywali jedzenie dla gości. Idealnie.

Szybko wspiął się po murze, opierając stopy o framugę okna, a potem o ceramiczną rynnę, zbiegającą z dachu ku ziemi. Na piętrze zatrzymał się, nadal stojąc na rynnie, bo znalazł to, czego szukał: ze środka dobiegał głos zwierchnika.

– ...nie ma prawa! – Rabbaneh uniósł brwi. Głos zwierzchnika brzmiał niemal jak warknięcie. W Hetawie zwierzchnik rzadko pozwalał sobie na taką porywczosć.

– Owszem, mam prawo – odparł jadowicie inny głos, również znajomy, choć Rabbaneh nie potrafił go przypisać żadnej konkretnej osobie. – To samo zrobiłeś mojemu ojcu, a gdybym nie wziął sprawy we własne ręce, zrobiłbyś też mnie. Uwolnienie mojego brata to krok w kierunku odpłaty za te zbrodnie.

– Nie rozumiesz go! – odparł zwierzchnik. – On wierzy. Jej Prawo jest jego krwią, jego duszą. Jeśli będziesz nim tak manipulować, nie zrobisz z niego swojego narzędzia, lecz go złamiesz!

– Możliwe. Ale kiedy się złamie, to w twoim kierunku. Skieruje swoją furię na Hetawę, a potem wróci do mnie po pocieszenie. A ja mu je chętnie ofiaruję, bo krew jest nadal gęstsza niż jakieś przysięgi.

Ehiru, zrozumiał Rabbaneh; przejął go dreszcz. Oni mówią o Ehiru. A to znaczyło, że drugim rozmówcą nie był jakiś wysłannik, lecz sam książę.

– On nie wie, kim jesteś. – Głos zwierzchnika ociekał nienawiścią. – Gdyby wiedział, przeprowadziłby twój zbiór własnymi rękami.

– Jestem tylko tym, czym mnie stworzyłeś – odparł książę tak cicho, że Rabbaneh musiał wyteńczyć słuch. – Jak ci się wydaje, co robi tobie, kiedy się o tym dowie?

Zwierzchnik nie odpowiedział. Książę odezwał się znowu, już innym tonem.

– Mój brat także jest tym, czym go uczyniłeś, więc niestety nie mogę mu ufać. Jesteś pewien, że to ona?

– Zdecydowanie – oznajmił trzeci głos. Rabbaneh go nie znał. – Mój człowiek rozpoznał ją na rynku. Dołączyła do karawany minstreli, która wczoraj o zenicie słońca opuściła miasto. Zwolniłem strażników przy bramie za to, że ich nie zatrzymali.

– Ehiru jej towarzyszył. – Książę westchnął. – Myślałem, że zbieracze mają honor.

– Jak śmiesz! – Zwierzchnik robił wrażenie bliskiego apopleksji. – Jeśli Ehiru uzna tę kobietę za zepsutą, zabierze ją. Jeśli...

– Nie mogę się doczekać, kiedy się zdecyduje – warknął książę. – Jeśli ta kobieta dotrze do Kisui, nie wiadomo, co zrobią Protektorzy. Chcę, żeby byli zaskoczeni, przerażeni. Przewidywalni. Charris – dodał po chwili, wzdychając – wyślij na południe gołębia pocztowego. Czy nasi stacjonujący tam żołnierze mogą przechwycić karawanę?

– Jeśli minstrele pojechali wzdłuż rzeki – bez trudu. Jeśli wybrali drogę przez pustynię, będzie trochę zachodu. Każda karawana podąża własną trasą. Ale jeżeli przejadą przez Tesę, moi ludzie ich złapią.

– Dopilnuj tego. – W głosie księcia zabrzmiała ostra nuta rozkazu.

– Zabijesz ją na oczach Ehiru? – spytał zwierzchnik. – Zademonstrujesz mu swoje zepsucie i będziesz się spodziewać jego lojalności?

Chwila milczenia.

– W końcu sam to dostrzeże – powiedział wreszcie książę ciężko. – Przecież zepsucie otacza go ze wszystkich stron.

Zwierzchnik nie odpowiedział. W niezręcznym milczeniu rozległo się kasznięcie trzeciego mężczyzny – Charrisa.

– Co się stanie ze zbieraczem po śmierci kobiety? Albo jeśli już ją zabił?

– Dotrzymam obietnicy złożonej bratu – oznajmił książę. – Jeśli ją zabił, przywieźcie go tutaj i pozwólcie mu wrócić do Hetawy. Wszystkie zarzuty wobec niego zostaną wycofane. Prawda, zwierzchniku?

– Tak – rozległa się cicha odpowiedź.

– Jeśli jej nie zabił – ciągnął książę – to nasza umowa jest nieważna. Schwytajcie go i sprowadźcie, ale do Yanya-ian. I niech mu włos z głowy nie spadnie. Mam wobec niego plany.

– Nie ośmielisz się. – To głos zwierzchnika, kipiącego

wściekłością... i strachem, jak wyczuł Rabbaneh. – Nie ośmielisz się!

– Ośmielę się zrobić rzeczy, których nie potrafisz sobie wyobrazić.
– Zapadła chwila ciszy; rozległ się brzęk ceramicznych naczyń przy rozlewaniu napoju. – A teraz wracaj do swojej jamy i nie pokazuj mi się, dopóki cię nie wezwę.

Ku zdumieniu Rabbaneha zwierzchnik nie zareagował na tę obelgę. Zaszleścił materiały, zaszurały sandały; spotkanie dobiegło końca.

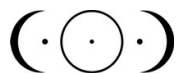
Rabbaneh szybko zsunął się po rynnie i pobiegł zaułkiem i przez ulicę do budynku po jej drugiej stronie. Dopadł cienia w chwili, gdy drzwi domu zhinhy stanęły otworem. Wyszedł z nich zwierzchnik, który skinął na swojego strażnika i odszedł z nim w noc.

Rabbaneh wspiał się na dach i wrócił do strażnika, który nadal spał z jungissą w kształcie skarabeusza, brzęcząca mu cicho na czole.

– Szczęściarz z ciebie – szepnął Rabbaneh, zdejmując kamień i kładąc palce na powiekach mężczyzny. – Przyśni ci się przyjemny sen o tym, że zaniedbałeś obowiązki i pozwoliłeś sobie na drzemkę. Twój kapitan pewnie cię ukarze, ale nie odbierze ci życia. A to dlatego, że nie będziesz mnie pamiętał – chyba że jako sen.

Mówiąc, wsnuwał sen w umysł strażnika. Nie było to najbardziej etyczne wykorzystanie narkomancji, ale być może Hananja mu to wybaczy, skoro kierował się czystymi intencjami. A także dlatego, że chodziło o życie jego brata – choć tylko bogowie wiedzieli, co można w tej sprawie zrobić.

Dość, że się dowiedzieliśmy, uznał Rabbaneh i pospieszył do domu, by podzielić się informacjami z Sonta-i.



Powiedz mi, matko Luno, o, powiedz mi!
Aj-je, jaj-je, e-je!
Kiedy złoży mi wizytę Brat Sen
Aj-je, an-je, e-je,
W noc tańców nad rzeką?
Aj-je, o-je, e-je,
W spokoju snu twego światła?
Powiedz mi, matko Luno, o, powiedz mi!
Aj-je, ka-je, e-je,
Kto sprowadzi mojego brata do domu?
Aj-je, si-je, e-je,
Choć go witam śpiewem:
Aj-je, naj-je, e-je,
Czy muszę śpiewać moją pieśń samotnie?

(Mądrość)

Pierwszego dnia podróży karawana przeprowiła się na drugi brzeg dopływu Krwi Bogini, przechodząc przez wioskę Ketuyae. Tam Nijiri po raz pierwszy przekonał się, jak żyją ludzie z osad w górze rzeki. Rytmiczne pieśni praczek zostały w jego pamięci wraz z mniej przyjemnymi wspomnieniami ludzkiej nędzy. Niektóre domy z Ketuyae były lichymi budami z błota, patyków i liści palmowych. Wioska była zbyt mała, żeby zasłużyć na świątynię Hananji; Nijiri spotkał tu tylko jednego przepracowanego dawcę, którego dom prawie nie różnił się od okolicznych bud. Nie było tu publicznych krypt cmentarnych, a tylko wyznaczone tereny, na których zmarłych grzebano byle jak w ziemi, nawet ich nie spaliwszy. Nie było też nieskażonej studni ani łaźni. Ludzi z wyższych kast nie

sposób było odróżnić od służących. Gdy spytał kogoś z karawany, gdzie dzieci z wioski chodzą do szkoły, ten tylko wzruszył ramionami.

Teraz Ketuyae wydawała mu się miłym wspomnieniem. Od czasu, gdy ją opuścili, minęły dwa dni. Najpierw podróżowali przez jałowe, kamieniste tereny u stóp gór, teraz przez ogromne, wysmagane wiatrem diuny Pustego Tysiąca. Pustynia nie miała właściwie tysiąca mil, ale trudno było w to uwierzyć, kiedy z grzbietu wielbłąda widziało się tylko piasek i drżące z gorąca powietrze. Cztery pozostałe dni wydawały mu się tysiącem lat. Nijiri zatracił się w bolesnej kontemplacji pyłu w oczach, upału, strużek potu spływających mu po plecach, z której nagle wyrwało go chluśnięcie zimnej wody na twarz i szyję. Wrzasnął i obejrzał się; Kanek, jeden z synów Gehanu, szczyrzył do niego zęby, trzymając otwartą manierkę.

– Obudź się, miastowy – powiedział z uśmiechem. – Jesteśmy prawie na miejscu.

– Na miejscu...? – Nijiri zamrugał, usiłując pojąć, o co chodzi. Nie mogli być jeszcze w Kisui. I dlaczego Kanek marnował wodę?

– W oazie Tesa. Widzisz?

Chłopak wskazał przed siebie. Nijiri spojrzął w miejsce, w które celował jego palec – na to, co początkowo wziął za migoczący nad horyzontem miraż. Potem zauważył rysujące się na tle nieba palmy i przycupnięte pod nimi budynki.

Kanek znowu ochlapał go wodą.

– Wkrótce się wykąpiemy, napijemy i wypierzemy ubrania, żeby nie śmierdzieć jak kupy gnoju. Więc się obudź!

Jego dobry humor był tak zaraźliwy, że Nijiri też go ochlapał i zanim jadąca parę wielbłądów dalej Gehanu spiorunowała ich wzrokiem, zdążyli się przemoczyć do suchej nitki. Ale na widok oazy wszystkim poprawił się humor. Nijiri popatrzył na Ehiru, zastanawiając się, czy ośmieli się ochlapać wodą swojego brata – i natychmiast zapomniał o wesołości. Wielbłąd Ehiru człapał pod

koniec karawany, wolniej od pozostałych. Ehiru jechał pochylony, z zawojem rozluźnionym i zwisającym wokół twarzy. Nic nie wskazywało na to, że usłyszał wiadomość.

– Dalej, obudź swojego przyjaciela – powiedział Kanek, idąc wzrokiem za spojrzeniem Nijiriego. – Chyba nadal jest na pustyni.

Nijiri skinął głową i ściągnął wodze wielbłąda. Czekał tak długo, mijany przez innych, aż zrównał się z Ehiru.

– Bracie – odezwał się cicho, choć żaden z towarzyszy podróży nie znajdował się na tyle blisko, żeby ich usłyszeć.

Ehiru powoli podniósł głowę; spojrzał na Nijiriego jakby z bardzo daleka.

– Nijiri. Wszystko dobrze?

Najwyraźniej nie, bracie.

– Nie słyszałeś? Wkrótce dotrzemy do Tesy.

– Tak szybko? Dobrze.

Ehiru mówił cicho, ale Nijiri i tak usłyszał obojętność w jego głosie. Tak zawsze zaczynała się zmiana: od pranej. Zbieracz stopniowo zwracał się do wnętrza, by skupić się na nadchodzącej walce i nie tracić sił na sprawy tak nieistotne jak osobowość czy emocje. Początkowo mogła to być jedyna oznaka zewnętrzna. Ale gdzieś w jego wnętrzu, w tej bezkształtnej przestrzeni między ciałem i duszą umblikeh, która nie pozwalała mu się rozpaść, wysychała i trzeszczała. Pozbawiona sennej krwi więź mogła się rozluźnić, a połączona z nią dusza mogła zawisnąć między światem snu i jawy. W końcu więź pęknie, a dusza pofrunie w śmierć – ale przedtem Ehiru straci zdolność odróżniania wizji od rzeczywistości.

A gdy Ehiru będzie walczyć, by ocalić zdrowe zmysły, jego dusza zacznie się domagać, domagać się ze wszystkich sił spokoju, który daje senna krew. Jeśli choć raz straci panowanie nad sobą... „Jeśli przestanie nad sobą panować, muszę go zebrać” – pomyślał.

Czy był na to gotowy? Ledwie wytrenowany, daleko od domu, w tak trudnej sytuacji? Nie, oczywiście, że nie. A nawet gdyby zdołał

do tego jakoś dojrzeć, czy potrafiłby zachować w sercu idealny spokój, jak przystało zbieraczowi?

Nijiri położył rękę na dłoni Ehiru – gwałtowniej, niż to było konieczne.

– Zanim dotrzemy do oazy, mogą minąć godziny – powiedział, żeby zacząć myśleć o czymś innym. – Jesteś głodny? – Wyjął spomiędzy fałdów szaty woreczek z jedzeniem, które rozdano im podczas ostatniego popasu. – Odłożyłem ze śniadania trochę ciasta hekeh. Gehanu moczy je w miodzie... – Oderwał kawałek lepkiego smakołyku i podał go Ehiru.

Ten spojrział na niego, zadrzał, jakby na widok jedzenia ogarnęły go mdłości, i odwrócił wzrok. Nijiri zmarszczył brwi.

– Co się stało, bracie?

Ehiru nie odpowiedział.

Zatem to wizja. Za szybko; minęły dopiero trzy czwórdnie, odkąd Ehiru przekazał dawcom swoją ostatnią daninę.

– Powiedz mi, co zobaczyłeś, proszę – powiedział Nijiri spokojnie.

Ehiru westchnął.

– Owady.

Nijiri skrzywił się i inaczej zwinął kawałek ciasta. Wizje na ogół były nieszkodliwe. Ale tak jak ból dla ciała, nieprzyjemne wizje są dla umysłu ostrzeżeniem, świadczącym o braku równowagi lub schorzeniu. Było to coś, co dawcy mogli zaleczyć na jakiś czas – usuwając nadmiar sennej żółci, dodając odpowiednią ilość sennego ichoru, by przywrócić wewnętrzną równowagę, może jeszcze coś – Nijiri nie znał żadnych metod leczenia z wyjątkiem tych najbardziej podstawowych. Lecz tylko senna krew mogła uzdrowić takie schorzenie.

– Tu nie ma owadów. Ale potrzymam to, dopóki wizja nie przejdzie, jeśli chcesz.

– Nie. – Ehiru oderwał kawałek ciasta, włożył je do ust, nie patrząc na nie, i zjadł, powoli żując. – To tylko wizja. Resztę zjedz

sam.

Nijiri usłuchał, poprawiając się w siodle, by nie urazić obolałych pośladków. Jeśli nigdy więcej nie będzie musiał dosiadać wielbłąda, umrze szczęśliwy.

– Dziś wypoczniemy jak należy, bracie – powiedział. Zawahał się i dodał: – A senną krew możesz pobrać ode mnie, tylko tyle, żeby odpędzić...

– Nie.

Nijiri otworzył usta, ale Ehiru powstrzymał go bladym bolesnym uśmiechem.

– Gdy mi to ostatnio zaproponowałeś, ledwie panowałem nad sobą. Teraz tego już nie potrafię. Nie mam zamiaru cię zabić, mój praktykancie.

Dobór jego słów zmroził Nijiriego pomimo żaru pustyni.

– Zbieranie to nie zabijanie, bracie.

– Tak czy tak, byłbyś martwy. – Ehiru westchnął i podniósł głowę, by spojrzeć na daleką oazę. – Może istnieje inny sposób.

– Jaki?

Mentor wskazał głową środek karawany, gdzie wśród mrowia głów w zawojach kołysał się lekki palankin z drewna balsa i płótna, niesiony przez silnych, krzepkich młodzieńców, potrafiących stąpać płynnie niczym najlepsze wielbłądy.

– Ich matriarchini – powiedział bardzo cicho. – Już słyszałem taki kaszel. Podejrzewam, że cierpi na stwardnienie płuc, a może na chorobę guzów.

– To drugie mogłaby uleczyć senna żółć, o ile kobieta zdołałaby ją znieść – powiedział Nijiri, przypominając sobie wykłady dawców. Widział tę kobietę na popasach. Była drobna i wesoła, a zanim zachorowała, pewnie tryskała energią. Mogła liczyć co najmniej siedemdziesiąt powodzi. Jej stare ciało wolniej reagowałoby na leczniczą moc humorów, jednak leczenie odniosłoby skutek. – Ale o stwardnieniu płuc nic nie wiem... – Nagle urwał, zrozumiawszy,

o co chodziło zbieraczowi. – Aha...

Ehiru pokiwał głową, nie odwracając wzroku od palankinu.

– Mogła odwiedzić Hetawę przed wyjazdem z Gujaarehu, lecz tego nie zrobiła.

Nie chce odzyskać zdrowia! Nijiri stłumił nagłą radość. To była najlepsza z możliwych sytuacji. Ale gniewne słowa Ehiru sprzed kilku dni, kiedy dochodził do siebie po ataku Kosiarza, wciąż nie dawały mu o sobie zapomnieć.

– Czyli... rozmyśliłeś się w sprawie próby? – Nie chciał powiedzieć „pranje”, bo wśród zwykłych ludzi nie mówili o tych sprawach, nawet cicho.

– Nie. Nadal zamierzam się poddać Jej osądowi. Ale teraz muszę szukać sennej krwi, bo stanę się niebezpieczny dla naszych towarzyszy. – Westchnął. – Gdy wyjaśnię sprawę zepsucia w Hetawie, mogę zająć się sobą.

– Tak, bracie – powiedział markotnie Nijiri, usiłując znaleźć w tej sytuacji jakieś plusy.

– Oczywiście jest w tym pewne błogosławieństwo. Wreszcie będziesz miał okazję asystować przy zbiorze.

Nijiri zamarł; to nie przyszło mu do głowy.

– Porozmawiasz z nią, bracie? Dziś w nocy? Czy mogę być przy tym obecny?

Ehiru roześmiał się ochryple; z serca Nijiri spadło odrobinę ciężaru. Jeśli jego brata nadal udaje się rozbawić, nie zaszedł aż tak daleko, jak można by się obawiać.

– Tak, dzisiaj dokonam próby. Możesz być przy tym obecny, jeśli kobieta wyrazi zgodę, mój łapczywy praktykancie. – Potem spoważniał. – To służy naszym celom, ale nie wolno nam zapominać, że najważniejsze są potrzeby nosiciela daniny.

– Tak, bracie.

Resztę drogi do Tesy przebyli w milczeniu.

Nad linią piasku wznosiły się palmy; w miarę jak się do nich

zbliżali, rosły coraz bardziej, potężne jak góry. Przycupnięte w ich cieniu miasteczko było o wiele dostatniejsze niż Ketuyae. Między domami znajdowały się wąskie pola, nawadniane systemem irygacyjnym rur z wypiekanej gliny, które ciągnęły się przez całe miasto przypadkową – wydawałoby się – plataniną. Wszędzie tam, gdzie nie docierały rury, kwitły rośliny doniczkowe ozdabiające balkony, dachy i rogi ulic. Widok wszechobecnej zieleni znowu podniósł Nijiriego na duchu.

Chłopak zerknął na Ehiru i z radością zauważył, że jego mentor także odzyskał nieco przytomności, usiadł prosto na wielbłądzie i rozejrzał się z zainteresowaniem. Natychmiast zjawily się dzieci, które otoczyły karawanę, szczebiocząc w płynnym jak syrop dialekcie, którego Nijiri niemal nie rozumiał. Proponowały słodycze, wodę, kwiaty i inne powitalne drobiazgi. Dorośli wychodzili z domów lub odrywali się od pracy i pozdrawiali przybyłych. Gehanu, najwyraźniej dobrze im znana, odpowiadała na pozdrowienia. Karawana jechała tak długo, aż ulica stała się szersza, a oni dotarli do oazy: okrągłego stawu ze wszystkich stron otoczonego niskim murkiem. Miał najwyżej parę kroków średnicy, ale najwyraźniej był sercem osady. Prowadziły do niego wszystkie drogi, a rury irygacyjne wystawały z murka promieniście jak szprychy koła. Tu zatrzymali się, zsiadli z wielbłądów i przywiązali je przy poidłach. Gehanu szła między nimi, rzucając polecenia i przypominając zasady rządzące w mieście: towarów należy pilnować na zmianę, wokół stawu zakazane są rozmowy i wszyscy mają złożyć co najmniej jedną wizytę w miejskiej łaźni.

– W przeciwnym razie żadna tutejsza panna ani młodzieniec na was nie spojrzy – dodała.

Grupa przechodzących obok Tesanek zachichotała, jakby na potwierdzenie jej słów.

Nijiri przez jakiś czas zdejmował bagaże i karmił wielbłądy – tak jak inni. Odszukał wzrokiem palankin i zaczął się dyskretnie przyglądać, jak jakiś młodzieniec pomaga staruszce wyjść, żeby mogła rozprostować zeszywniałe nogi. Kobieta zatrzymywała się

co parę kroków, zanosząc się głuchym, rżącym kaszlem. Po każdym spazmie coraz bardziej opadała z sił, bezwładnie opierając się na ramieniu młodego mężczyzny. Była chuda, słaba, pewnie chora od wielu miesięcy. Serce Nijiriego ścisnęło się ze współczucia i z gniewu.

– Myślisz o morderstwie, chłopcze?

Nijiri odwrócił się; tuż obok stała Sunandi, nalewała wody do poidła. Wyglądała w każdym calu na twardą podróżniczkę: jej pełne wargi były spierzchnięte, skóra wysuszona, kolorowe draperie, kolczyki i naszyjniki – koła, które nosiła u Etissera – zniknęły, zastąpione wielowarstwowymi szatami w kolorach ziemi, jakie nosiła reszta osób z karawany. Zawój, którym przykryła swoje krótkie włosy, pięknie podkreślał jej pociągłą twarz o wielkich oczach. Nijiri musiał niechętnie przyznać, że kobieta jest piękna – ale pomijając jej urodę, mogłaby być zwykłą zonglerką albo tancerką z trupy.

Stała nad poidłem, nie patrząc na niego, a choć nie podnosiła głosu, słychać było w nim ostrą nutkę.

– Sądysz, że lepiej, aby tak cierpiała? – spytał. – Dawca złagodziłby jej ból.

– Nie za darmo.

– Za parę snów! Sny takiej staruszki są pewnie barwne. Cały Gujaareh skorzystałby na jej mocy.

Sunandi wyprostowała się, otarła czoło rękawem i spojrzała pogardliwie na chłopca.

– Zachowujesz się jak sęp. Krążysz nad słabym człowiekiem i czekasz, kiedy będziesz mógł się na niego rzucić. Wszyscy twoi bracia to świętoszkowate, przemądrzałe ścierwojady.

Nijiri poczuł, że przejmuje go żar, a potem chłód. Odłożył juki, które trzymał, i odwrócił się do kobiety.

– Opłakujesz swoją dziewczynkę – powiedział cicho. – Nikt nie złagodził twojego bólu, więc wybaczam ci tę obelgę. Ale ty, nurzająca się przez całe życie w kłamstwach i zepsuciu, nie możesz

zrozumieć błogosławieństw Hananji. I za to się nad tobą lituję.

Odpowiedziała przeciągłym spojrzeniem. Nijiri, bojąc się, że lada chwila wybuchnie, odwrócił się i poszedł do oazy, gdzie Ehiru wraz z innymi rozlewał wodę do poidel dla zwierząt. Chłopak stanął obok niego i pomagał mu bez słowa, dopóki praca nie została ukończona. Wówczas zbieracz, który oczywiście zauważył jego stan ducha, wziął go pod rękę i pociągnął w cichy zakątek za straganem z jedzeniem.

– Powiedz – rzucił krótko, a Nijiri usłuchał.

Gdy skończył, jego gniew zniknął, zastąpiony przez wstyd. Ehiru długo się nie odzywał, patrząc na niego. W końcu chłopak wybuchnął:

– Nie powinienem był się unosić. Ona cierpiała. Powinienem ją pocieszyć.

– Tak – przyznał Ehiru – ale pewnie nie chciała pociechy od kogoś, kogo obwinia za śmierć tej dziewczyny.

– Nie ja ją zabiłem, lecz potwór!

– Dla niej ty, Kosiarcz i ja to jedno i to samo.

Nijiri założył ręce na piersi i przestąpił z nogi na nogę.

– Nigdy nie rozumiałem, dlaczego ludzie boją się zbioru – powiedział. – Barbarzyńcy po prostu nie mają o niczym pojęcia, ale Kisuanie czczą Hananję, choć nie tak samo jak my. Są cywilizowani. – Spojrzał na Ehiru, który uśmiechał się niewesoło.

– Cywilizacja może nie oznaczać tego, co sądzisz. – Zbieracz uściskał krzepiąco jego ramię i pociągnął go za sobą w stronę karawany. – Ale w przyszłości, gdy nosiciel daniny rzuci się na ciebie w gniewie, a i ty poczujesz w odpowiedzi gniew, pomyśl o swojej matce.

Zaskoczony Nijiri przystanął.

– O mojej matce? Przecież umarła w pokoju. Ta Nordynka – nie.

– Moja matka także umarła w pokoju. Nie z pomocą zbieracza, lecz przez własną boską moc. A jednak przez wiele lat żałowałem, że nie żyje. Nawet wiedząc, że zobaczę ją znowu w Ina-Karekh,

myślałem tylko o tym, że dopóki żyję, nigdy z nią nie porozmawiam, nie poczuję jej uścisku ani zapachu... Czasami nadal czuję ten ból. Ty nie?

I nagle w sercu Nijiriego znowu obudziło się to cierpienie, dotkliwsze niż kiedykolwiek.

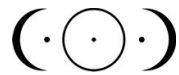
– Tak.

Kiedy to powiedział – zrozumiał. Skoro nawet on, wiedząc, że matka zmarła dobrą śmiercią, czuł taki ból po tylu latach, jakże musiała cierpieć Sunandi, której ból wciąż był świeży i rozjątrzony przez okropne okoliczności śmierci dziewczynki.

– Widzisz – powiedział Ehiru. Zatrzymał się i obaj podnieśli wzrok. Ludzie z karawany zaczęli rozbijać namioty na brukowanym placu, przeznaczonym specjalnie dla nich. Po drugiej stronie placu mała dziewczynka pomagała staruszce wejść do dużego, ozdobnego okrągłego namiotu.

– Ci, którzy cierpią, zasługują na nasze współczucie – odezwał się Nijiri, nadal przebywający myślami w tamtej dawnej chacie służącej. – Nigdy więcej o tym nie zapomnę.

Ehiru skinął głową i razem wrócili do namiotów, żeby przygotować się do zbioru.



Zbieracz niezwłocznie odda wszystkie zebrane daniny Hetawie, gdy powierzy je braciom idącym ścieżką dawców. Może zatrzymać tylko niewielką ich część.

(Prawo)

Ehiru włożył przebranie upadłego arystokraty i odszukał Gehanu w jej namiocie.

– Czy masz może korzeń eathiru, pani? W niektórych krajach nazywają go ghete.

Gehanu zamarła w połowie kęsa nadzianego na rozen mięsa. Kobiety z wioski chodziły wśród rozpakowujących się minstreli, sprzedając jedzenie i napoje.

– Chcesz kogoś uśpić?

Ehiru uśmiechnął się i dotknął swojego torsu tuż pod żebrami.

– Ghete pomoże na skurcze. Czasami powstrzymuje kaszel.

Gehanu uniosła brwi.

– Ach... Dla Talithele, cze?

– Tak nazywacie swoją szacowną? Tak, pani.

– Nie wyglądasz mi na uzdrowiciela.

– Mam ich w rodzinie. Niektórzy służą nawet gujaareńskiej Hetawie. Przejąłem od nich parę sztuczek.

– Mmm. Czekał. Kanek! – Ehiru niemal drgnął, zaskoczony jej rykiem, choć przez tych parę dni zdążył już przywyknąć do prostactwa kobiety. Na zewnątrz coś zaszeleściło i Kanek łypnął

ponuro do namiotu.

– Idź do burmistrza i spytaj o korzeń ghetę – rozkazała Gehanu.

– *Ghetę?* Wino palmowe ma lepszy smak.

– Idź i nie pyskuj. Bezczelny *shiffa*. – Kobieta przeszła paskudnym spojrzeniem chłopca, który w końcu się wycofał. Słyszeli jego mamrotanie, towarzyszące cichnącym krokom.

– Dziękuję, pani. – Ehiru pochylił się nad wyciągniętymi dłońmi.

– *Ete sowu-sowu*.

Ehiru podejrzewał, że to język penko, ale nie miał pewności. Gehanu mówiła płynnie po gujaareńsku, choć miała tendencję do trajkotania w zbyt szybkim tempie. Nie od razu udawało mu się wyłuskać znaczenie z jej słów o ciężkim akcencie.

– Jeśli zdołasz ulżyć Talithele, opłaci mi się zadłużyć u tego chciwego starego drania, który rządzi tym miastem. – Gehanu odłożyła rożen i przez chwilę szukała czegoś w fałdach szaty. Wyjęła z nich fajkę. – I węgielek z ogniska! – ryknęła.

Odpowiedziało jej tylko niewyraźne, lecz pełne irytacji mruknięcie.

Ehiru uśmiechnął się do niej.

– Dobrze mieć odpowiedzialnych synów.

– *Ach-cze*. Jak ten twój chłopiec, co? Widzę, jak zawsze kręci się koło ciebie, pilnuje, żeby nikt ci nie przeszkadzał, rozwiązuje problemy, zanim je zauważysz. – Nie zwróciła uwagi na zaskoczenie Ehiru, znowu czegoś szukając. Wyjęła suszone liście, którymi zaczęła nabijać fajkę. – Gdyby moi synowie byli tak inteligentni i rozważni! Choć oczywiście Niri nie jest twoim synem. – Zerknęła na niego. Jej wielkie oczy południowca były przenikliwe i inteligentne.

– Nie, pani. Nie jest.

Gehanu stęknęła i zjadła kolejny kęs mięsa z rożna.

– Zabawka?

Ehiru uśmiechnął się na tę myśl.

– Podopieczny. Uczę go życia.

Gehanu mruknęła coś z rozbawieniem.

– A on cię słucha? *Motro sani'i* – toż to cud, który zadziwiłby nawet bogów.

– Słucha, kiedy mu to odpowiada – powiedział Ehiru z uśmiechem. – Młodzieńcy!

– Mmm. Za młodzi, żeby mieć rozum, za starzy, żeby ich sprać. Ale młode kobiety są gorsze, wierz mi. Oprócz trzech synów w domu mam trzy córki. Powinnam pewnie stłuc mojego męża, bo to przez niego, ale jest taki ładny i je tak mało, że trudno mi się z nim rozstać. – Przechyliła głowę, przyglądając mu się uważnie. – Ty też jesteś ładny. Masz żonę?

Ehiru zaczął się żarliwie modlić o szybki powrót Kaneka.

– Nie, pani.

– A chcesz? – Błysnęła uśmiechem, odsłaniając sporą lukę między przednimi zębami. W krajach południowych uważano to za cechę kobiet bardzo zmysłowych – a przynajmniej tak słyszał Ehiru.

– Nie, pani.

– Dlaczego?

– Jestem służącym. – Obaj postanowili trzymać się swojej wersji, choć Gehanu już się domyśliła, że nie są tymi, za których się podają. Jednak nie znała całej prawdy, a nie sposób było zgadnąć, kto ich podsłuchuje przez cienkie ściany namiotu.

– Jakoś trzeba zrobić więcej służących, *cze?* Nefe jest ładna.

Ehiru roześmiał się z przymusem.

– To prawda. Ale pochodzi z innego świata, pani.

– *Hn*, tak. Zresztą ona nie ma czasu na dzieci. Zawsze zajęta, zawsze się czymś martwi. Potrzebuje miłego, łagodnego mężczyzny jak ty, lecz wiecznie gdzieś pędzi.

Kłapa namiotu znowu się uniosła – ku wielkiej uldze Ehiru – i do środka wślizgnął się Kanek.

– Ghete. – Położył na dywanie namiotu mały pęcherz związany rzemykiem.

– Ile chciał burmistrz?

– Nic. Był tak zdziwiony, że dał mi go, nie żądając niczego w zamian.

– Ha! Chyba mózg mu się rozmiękczył ze starości. Dobra. Jutro znowu z nim zahandluję. Teraz idź się wykąpać, śmierdzisz.

Kanek przewrócił oczami za jej plecami, mrugnął do Ehiru z uśmiechem i wyszedł. Ehiru skłonił się pokornie w podziękowaniu i wyciągnął rękę po pęcherz. Dłoń Gehanu zatrzymała go w pół ruchu.

– Rozumiesz, że nasze obyczaje są inne od waszych, cze? – Jej usta wygięły się w grymasie, który nie był uśmiechem; oczy miała poważne. – Wiem, że jej czas wkrótce nadejdzie. Nie jestem głupia. Ale pamiętaj: ona o ciebie nie prosiła.

Ehiru znieruchomiał, zrozumiał, co chce mu powiedzieć Gehanu. Zastanawiał się, jak go przejrzała. W końcu uznał, że to niczego nie zmienia. Takie sprawy zależą od woli Hananji.

– Uszanuję jej życzenie – powiedział własnym głosem, porzucając zmieniony sposób mówienia. – Jej życie nie krzywdzi nikogo, więc śmierć stanowi kwestię jej wyboru.

Gehanu przyglądała mu się długo i czujnie, a w końcu skinęła głową i puściła jego dłoń.

– Raz – dawno temu – spotkałam jednego z was. Przybył, żeby zebrać podróżującego z nami Gujaareńczyka, któremu pękł wyrostek. Był cichy i dziwny jak ty, ale miał w oczach wielką dobroć.

Ehiru puścił pęcherz z eathirem, którego nie potrzebował – oboje to wiedzieli. Gdyby stara kobieta nie chciała go przyjąć, ludzie Gehanu mogli go jej podać w herbacie.

– Czy tak mnie poznałaś?

– Podejrzywałam, ale nie miałam pewności. Nie był smutny jak

ty. Nie sądziłam, że potraficie czuć smutek, wściekłość czy cokolwiek innego. – Przyjrzała mu się zmrużonymi oczami. – I nie powinniście, co? Co z tobą jest nie tak?

– Przygotowuję się do śmierci.

– Na miłość boską, dlaczego?

Nie potrafił skłamać, choć wiedział, że prawda ją zaniepokoi.

– Unicestwiłem duszę człowieka.

Gehanu zachłysnęła się i cofnęła o krok z przerażeniem wypisanym na twarzy. Potem jego miejsce zastąpiła troska.

– Przypadkiem?

Tak niewiele osób zadało mu to pytanie. Sprawilo mu ogromną ulgę, że kobieta od razu nie założyła złych intencji.

– Tak. – Spuścił wzrok na dłonie. – I nie. To przez niekompetencję. Zapomniałem o moich obowiązkach i dopuściłem, by moim postępowaniem pokierowały strach i uprzedzenie. Tylko przez chwilę, ale to wystarczyło.

Zmarszczyła brwi.

– Zamierzasz to zrobić jeszcze raz?

– Oczywiście, że nie. Ale...

– Więc przestań jęczeć i żyj dalej. – Zrobiła gest ręką i nagle zauważyła, że trzyma w niej niezapaloną fajkę. – Przeklęty roztrzepany smarkacz. – Odłożyła fajkę. – Moja babka cię potrzebuje, zbieraczu, więc się ocknij i zrób, co do ciebie należy. Teraz.

Ehiru drgnął z zaskoczenia.

– Wierzysz, że dokonam tego jak należy?

– Ogłuchłeś?

Ehiru otworzył usta i znowu je zamknął. Gehanu już mu odpowiedziała. Ogarnęło go wzruszenie, serce omal nie pękło mu z wdzięczności – i ze strachu, bo jeśli znowu popełni błąd?

Nie, Gehanu miała rację. Talithele potrzebowała zbieracza Ehiru,

nie żałosnego pokutnika z ostatnich dni. Nabrał tchu i wyprostował ramiona.

– Przyjmuję twoje zlecenie. Przygotuję się, a potem porozmawiam z szacowną Talithele, aby przeprowadzić próbę prawdy.

Gehanu skinęła głową z aprobatą. Ehiru wstał i wyszedł.

Oczywiście Nijiri czekał na niego.

– Najpierw kąpiel – powiedział Ehiru, a chłopak bez słowa poszedł za nim do miejscowej łaźni.

Ehiru zapłacił za nich. Łaziebny zaprowadził ich do sali, gdzie zdjęli ubrania i usiedli, pozwalając się szorować liśćmi palmy i ługowym mydłem. Łaziebny opłukał ich i zaprowadził do sali kąpielowej, gdzie zostawił ich, by moczyli się w ciepłej wodzie pachnącej olejkami. Nijiri przez cały czas milczał z szacunkiem, dając Ehiru czas na modlitwę. W pewnej chwili mentor poczuł zaskoczeniem, że jego umysł odzyskał równowagę, a serce – spokój. Uniósł rękę. Nijiri obserwował go; na widok wyrazu jego oczu uśmiechnął się z ulgą.

– Chodź – powiedział Ehiru. Wyszli z basenu, wytarli się, przebrali w czyste ubrania, a potem poszli do namiotu Talithele.

– Zaczekaj na zewnątrz – rozkazał Ehiru. Chłopiec skinął głową i schował się w mroku za namiotem, gotów przyjść, jeśli Ehiru go zawoła, to zaś wydarzyłoby się tylko wtedy, gdyby Talithele chciała jego obecności.

Minstrele na ogół poszli już spać, ale co młodsi zaczęli improwizowany koncert, grając nad brzegiem wody na lirze i cymbałach. W namiocie panowała cisza. Towarzyszka Talithele gdzieś poszła albo spała u boku staruszki. Gdyby pochodziły z Gujaarehu, Ehiru wszedłby bez pytania. Zabębnił palcami w napiętą skórę namiotu.

– Stara pani? Czy możemy porozmawiać?

Z namiotu dobiegł szmer, a potem rzeżący kaszel kobiety. Kiedy ustał, rozległ się cichy głos:

– O ile rozmowa będzie możliwa... nieznajomy. Wejdz.

Ehiru wślizgnął się do środka.

Namiot był przestronny i wygodny. Oświetlała go zwisająca przy otworze wentylacyjnym u góry latarnia na pszczeli wosk. Zapach miodu nie całkiem maskował woń starości i choroby, ale Ehiru nie zwracał na nią uwagi. Na ziemi i twardych kamieniach leżały grube skóry z runem. Ściany namiotu zostały ozdobione od wewnątrz jaskrawymi geometrycznymi wzorami w jakimś południowym stylu, którego Ehiru nie znał. Na środku pomieszczenia znajdowały się dwa posłania – w tej chwili tylko jedno było zajęte. Stara kobieta usiłowała się z niego podnieść, by powitać gościa.

Ehiru podszedł szybko, przykucnął i pomógł jej się oprzeć o stertę poduszek.

– Wybacz mi, szacowna Talithele. Nie chciałem zakłócać twojego wypoczynku.

– Przez ten przeklęty kaszel nie mogę wypocząć – wymamrotała. W jej słowach pobrzmiwał urywany akcent Gehanu. Staruszka zmrużyła oczy i zmierzyła zbieracza spojrzeniem. – *Ach-cze*. Ten przystojny chłopiec, który dołączył do nas w Gujaarehu. Przydzielili ci na tę noc opiekę nad starą kobietą?

Ehiru odpowiedział uśmiechem.

– Byłbym zaszczycony, gdyby tak się stało, ale nie. Przyszedłem w innym celu. – Przeczekał kolejny atak kaszlu, charczącego i wyraźnie bolesnego. Obok posłania na tacy stały butelka wody i kubek. Gdy spazm przeminął, Ehiru podał staruszce wodę i przytrzymał kubek, dopóki piła. Skinęła głową z wdzięcznością.

Odstawił kubek, pomilczał przez chwilę, a potem sięgnął do ukrytej w fałdach ubrania sakiewki przy pasie. Wyjął ją, otworzył i wysypał na dłoń atrybuty zbieracza. Staruszka spojrzała z ciekawością na wypolerowane kamienie. Ehiru ujął cykadę i pokazał ją kobiecie.

– Wiesz, co to jest?

Błękitnoczarny blask jungissy i jej charakterystyczny brzęk, gdy

Ehiru dotknął grzbietu cykady, nie dawały się pomylić z niczym innym. Oczy Talithele zogromniały.

– Kilefe, cze? Nazywamy to żywym kamieniem. Opowiadano mi o jego śpiewie, ale nigdy go nie słyszałam.

Ehiru uśmiechnął się łagodnie.

– My to nazywamy jungissą. Ten brzęk to nie życie, lecz magia. Te kamienie spadają czasem z nieba; wierzymy, że to rozproszone w niebie pozostałości nasienia Słońca. Wyrzeźbienie tego zajęło dziesięć lat, a ja uczyłem się nad nim panować przez pięć lat. – Zamyślony obrócił cykadę w palcach. – Na świecie jest tylko kilka jungiss.

Staruszka skinęła głową zafascynowana, ale potem jej zaropiałe oczy spojrzały na niego podejrzliwie.

– W moim kraju opowiada się historie o kamieniach *kilefe* i o tym, co robią z nimi wojownicy-kapłani z nadrzecznych królestw.

Ehiru skinął głową, patrząc jej w oczy.

– To one sprawiają, że czar snu trwa, podczas gdy podróżujemy ze śpiącym do Ina-Karekh, które nazywamy królestwem snów.

– *Ach-cze.* – Staruszka spojrzała na niego w zamyśleniu. – Przyszedłeś mnie zabić.

– Śmierć to tylko część tego, co dajemy. – Ehiru uniósł rękę i dotknął jej policzka. Była stara, słaba; czuł, że jej umblikeh jest cienka jak włos. Wystarczyłoby najmniejsze natężenie woli, aby zepchnąć ją z krawędzi Ina-Karekh i ostrożnie skierować w sen o przyjemnych wspomnieniach. W umysłach ich obojga pojawiła się wizja rodzinnego domu kobiety. Wokół Ehiru zjawily się chaty kryte strzechą, kozy, za którymi biegały dzieci, grzebiące w piasku perliczki. Dobiegła go woń nawozu i ziarnistego pyłu ze spichlerza. Zobaczył wysokiego przystojnego młodzieńca, którego kobieta kochała tak dawno temu. Z westchnieniem żalu zakończył sen w tym miejscu, bardzo delikatnie odsyłając staruszkę do Hona-Karekh.

Była tak bliska śmierci, że nie musiał jej nawet usypiać przed tą

krótką podróżą; mrugnęła parę razy i spojrzała na niego ze zdumieniem.

– W Gujaarehu moim zadaniem jest przeprowadzać innych do Ina-Karekh tak, jak ci pokazałem – wyjaśnił. Pogłaskał jej policzek, podziwiając piękno każdej jej wysuszonej przez słońce zmarszczki. W końcu opuścił dłoń i położył ją na jej ręce. – Brakuje mi umiejętności, by cię wyleczyć, ale mogę sprawić, żeby twoje życie po życiu było spokojne, pełne ukochanych i ulubionych miejsc.

Staruszka nadal patrzyła na niego w osłupieniu. Potem odetchnęła głęboko.

– Ależ z ciebie kusiciel. Nie sądziłam, że w moim wieku będę jeszcze uwodzona i że będę mieć taką ochotę, żeby ulec. Ile kobiet zdobyłeś tymi słodkimi słówkami?

Ehiru uśmiechnął się skromnie.

– Żadnej, dostojna. Takim jak ja nie wolno się z nimi zadawać. Ale... – umknął spojrzeniem, czując na twarzy żar, bo staruszka patrzyła na niego, jakby wszystko wiedziała – ...na mojej drodze spotkałem wiele, które pokochałem.

– *Tisowu*? Kochałeś je, powiadasz? – Staruszka przechyliła głowę zalotnie. – Mnie też kochasz?

Mimo woli roześmiał się, choć cicho, żeby nie prysnął czar spokoju.

– Mógłbym, szacowna. Kiedy dzielę z kimś jego sny, trudno mi go nie kochać... – Zająknął się, wypowiadając te słowa, zamilkł i niemal się wzdrygnął, tak gwałtowny dreszcz go przeszedł. Więc to to? Czy skaził zbiór Bromartena, bo w chwili po tym upiornym prawowidzeniu nie pokochał nosiciela daniny Hananji? Od początku go nie lubił – bez powodu, po prostu dlatego, że to barbarzyńca. A potem pozwolił, żeby to uprzedzenie zagłuszyło jego poczucie obowiązku. Nie zdołał opanować swojego niesmaku i strachu, choć w przypadku innej osoby zachowałby się inaczej.

To odkrycie tak nim wstrząsnęło, że zapomniał o koncentracji; Talithele znowu zakaszła i ten dźwięk go otrzeźwił. Zaklął

w duchu i odsunął niestosowne myśli. Powinien uspokoić kobietę, żeby złagodzić ten kaszel.

Ale kiedy spazm przeminął, jej przenikliwe spojrzenie dotarło aż do jego duszy.

– Coś cię nęka, kapłanie.

Pochylił głowę.

– Wybacz mi, matko. Zamyśliłem się.

– Nie ma czego wybaczać. Błąd to nic ważnego. – Znowu się uśmiechnęła. – Ale ty tego nie wiesz, prawda? Biedaku.

– Co?

Ucisnęła jego dłoń jedną ręką, drugą zaś gładziła ją z wierzchu.

– Widzę, jak cię ukształtowali – powiedziała głosem łagodnym, choć ochrypłym. – Zabrali ci wszystko, co się dla ciebie liczyło, *cze?* Przewrócili cały twój świat do góry nogami i zostawili ci samego. A teraz myślisz, że miłość rozkwita w ułamku chwili, a uciszenie bólu jest odruchem dobroci. Ach, lecz jesteś młody...

Ehiru zmarszczył brwi, tak zaskoczony, że zapomniał o snutym zaklęciu.

– Uciszenie bólu to naprawdę odruch dobroci, matko. A moje uczucia do ludzi, którym pomagam...

– Nie wątpię w to, że kochasz. Wydajesz mi się człowiekiem stworzonym, by kochać. Twoje oczy sprawiają, że chcę umrzeć – tak wiele w nich miłości. Ale ona nie jest prawdziwa. Prawdziwa miłość trwa lata. Rani i trwa pomimo bólu.

Ehiru był tak wstrząśnięty, że przez parę chwil nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Gdy w końcu odzyskał mowę, słowa z trudem wychodziły mu z gardła.

– To, że ból przychodzi z miłością... z tym potrafię się pogodzić. Straciłem ukochanych... rodzinę... Ale zmarli szybko i codziennie dziękują mojej Bogini za to błogosławieństwo. Twierdzisz, że lepiej byłoby pozwolić im cierpieć?

Staruszka prychnęła głośno.

– Cierpienie to część życia. Wszystko w życiu jest z sobą splecione, nie możesz oddzielić tylko jednej rzeczy. – Znowu poklepała życzliwie jego rękę. – Mogłabym ci pozwolić, żebyś mnie teraz zabił, ty piękny mężczyzno, i na zawsze mieć spokój i dobre sny. Ale kto wie, co otrzymam w zamian, jeśli zostanę? Może zdązę zobaczyć nowego wnuka. Może usłyszę dobry żart, po którym będę się śmiać przez całe dni. Może zjawi się kolejny przystojny młodzieniec, który będzie ze mną flirtować. – Otworzyła usta w bezzębnym uśmiechu i znowu zatrzęsała się w kolejnym strasznym ataku kaszlu. Ehiru przytrzymał ją trzęsącymi się rękami. – Pragnę każdej chwili mojego życia, piękny chłopcze, tej bolesnej tak samo jak słodkiej. Aż do samego końca. Jeśli te wspomnienia mam zachować na wieczność, chcę ich mieć jak najwięcej.

Nie mógł się pogodzić z jej słowami. Przed oczami znowu stanęła mu twarz matki – arystokratyczna i piękna, poznaczona strugami krwi. Czuł zapach tej krwi, żółci i smród pękniętych jelit; widział oczy matki, zapatrzone przed siebie, bo nikt ich nie zamknął. Kobiety są boginiami, które nie potrzebują przewodnika, by dotrzeć do najlepszych rejonów Ina-Karekh, ale ta śmierć i tak była okropna – choć matka zasługiwała, by odejść jak królowa.

Ehiru spojrzał na Talithele i w tej samej chwili dostrzegł czekającą ją taką samą hańbiącą obrzydliwość. Kobieta miała tak długo kaszleć, aż jej płuca pękną i zadławi ją własna krew. Jak mógł pozwolić jej tak cierpieć? Nie, gorzej – beczynnienie na to czekać?

Mógłbym ją i tak zabrać, przyszło mu do głowy. Gehanu by się nie zorientowała.

A tuż za tą myślą przyszedł dreszcz najczystszej przerażenia.

Znowu przełknął ślinę przez suche gardło i cofnął rękę.

– Odmowa złożenia daniny jest twoim prawem – szepnął. Były to wyuczone słowa, których nie wypowiedział świadomie. – Twoja dusza jest zdrowa, a twoje życie nikogo nie krzywdzi. Pozostań w Hona-Karekh z błogosławieństwem Hananji.

Wstał i ruszył do wyjścia, ale zatrzymał się, bo rzuciła za nim:

– Kapłanie... Mogę się zgodzić na ból, lecz nie jestem boginią, cokolwiek twój lud o tym sądzi. Łatwiej mi będzie znieść ostatnie dni w towarzystwie. Cze?

Usłyszał w jej głosie błaganie i nadzieję i omal się nie rozplakał.

– W takim razie znowu cię odwiedzę, matko – powiedział ochryple.

Staruszka uśmiechnęła się do niego.

– Więc jednak mnie kochasz. Dobrze wypocznij.

– I ty, matko.

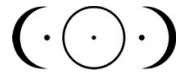
Wyszedł z namiotu i ruszył przed siebie szybkim krokiem, zaciskając pięści. Niemal natychmiast za jego plecami rozległ się tupot; Nijiri ochłonął z zaskoczenia i pobiegł za nim. Nie zadawał pytań, za co Ehiru był mu nadzwyczaj wdzięczny. Dopadł muru oazy, osunął się na kolana i chwycił się gładkiego kamienia, jakby zawisł nad przepaścią. Może powinien zatańczyć. Może powinien zapłakać. Zrobić cokolwiek – by odwrócić myśli od straszego grzechu, który niemal popełnił, i kwaśnego smaku żądz krwi snu w ustach.

Trwał, dygocząc na piachu, aż w końcu Nijiri ujął jego rękę.

– *Tatunep niweh Hananja* – powiedział pierwszy wers modlitwy. Rozpacz Ehiru nagle zaczęła ustępować. Chłopiec znowu dowiódł swojej wartości.

„Nie ma czasu. Muszę go nauczyć Jej służyć, bo dłużej nie wytrzymam” – pomyślał kapłan.

Pochylił się nad dłońmi i zatopił w modlitwie.



*Jungissy mogą dotykać tylko ci, którzy
służą Hananji.*

(Prawo)

Kosiarz nie służy Hananji. Zatem nie potrzebuje kamienia.

„Niyes był głupi, jeśli myślał, że ucieknie przed tym koszmarem” – pomyślał Charris.

Teraz generał Charris został awansowany na miejsce Niyesa. Niegdyś cieszyłby się z tego wywyższenia i tryumfu nad dawnym rywalem. Teraz już nie. Teraz dałby wszystko, by móc zwrócić ten stopień Niyesowi, a wraz z nim – wynikające z niego ohydne obowiązki.

Więźniowie wiedzieli, że idą na śmierć. Poruszali się niechętnie, popychani przez strażników. Charris widział rozpacz w ich oczach. Nie widzieli wozu o grubych ścianach, którym Charris podjechał pod więzienie, a który teraz stał na dziedzińcu nieopodal. Nie mogli wiedzieć o zamkniętym w nim potworze – a jednak jakby wyczuwali bliskość śmierci. Może i byli przestępcami, lecz także prawdziwymi Gujaareńczykami.

Z tego powodu Charris – zwykle bardziej pragmatyczny niż pobożny – zaczął się za nich modlić. Oby Hananja czuwała nad wami w tych mrocznych miejscach, które zamieszkacie na całą wieczność, szepnął w duchu. I obyście umarli lepszą śmiercią niż Niyes, bo widziałem jego ciało, gdy to stworzenie z nim skończyło.

– Panie generale...

Charris odwrócił się do posłańca stojącego w eskorcie więziennego strażnika. Posłaniec był brudny i spocony; niemal omdlewał z wyczerpania. Charris zmrużył oczy i rozkazał strażnikowi przynieść wodę cytrynową i sól. Potem wskazał podłogę; posłaniec usiadł z wdzięcznością.

– Raportuj.

– Ptaki pocztowe dostarczyły rozkazy do garnizonu na południowym wschodzie dwa dni temu – zaczął. – Kolejny ptak został wysłany na południowy zachód. Dowódca tego garnizonu nie chce powierzać ważnych informacji ptakom, więc posłał mnie, bym zawiózł wiadomość... – posłaniec zawahał się przez chwilę – na pustynię. Zajeździłem po drodze konia, ale wiadomość dostarczyłem. W drodze powrotnej przejechałem przez graniczną osadę Ketuyae. Karawana minstrelki przepłynęła się tam przez rzekę czwórdzień temu.

– Tylko cztery dni? Na pewno?

Droga do najdalej położonego na północ miasta handlowego Protektoratu Kisuańskiego zajmowała przeważnie siedem dni, o ile po drodze nie przydarzyła się burza lub jakiś wypadek. Wioska Ketuyae znajdowała się o dzień drogi od Gujaarehu. Do tej pory karawana powinna już minąć Tesę, znajdującą się w połowie drogi.

– Tak jest. Ale pustynny dowódca zapewnił mnie, że jego żołnierze zdołają dogonić karawanę. Mają dobrych tropicieli. I shadouńskie konie, urodzone do życia na pustyni i dwa razy szybsze od jakiegokolwiek wielbłąda.

A to oznaczało, że żołnierze z garnizonu potrzebują kolejnego dnia, może dwóch, by dogonić karawanę minstrelki. Tuż na granicy. Charris mógł się tylko modlić, żeby Sesshotenap, dowódca pustynnego garnizonu, miał dość rozumu, aby wysłać swoich ludzi bez gujaareńskich barw. Jeszcze tego brakowało, żeby kisuański patrol złapał oddział gujaareńskich żołnierzy tam, gdzie ich nie powinno być, wysłanych z garnizonu, który nie powinien istnieć, z misją uśmiercenia kisuańskiej ambasadorki. Nadciągała wojna – Charris nie był ślepy – ale taki incydent mógłby ją przyspieszyć

bardziej, niż życzyłby sobie tego ksiązę.

A jeżeli to nastąpi, będę miał szczęście, jeśli tylko pozbawi mnie głowy.

To mu przypomniało o czekającym go zadaniu.

Strażnik wrócił ze słonym biszkoptem i z kubkiem wody z cytryną. Podał je posłańcowi, którego dłonie nie przestawały drżeć.

– Weź czwórdzień wypoczynku – polecił Charris – lecz musisz stąd wyjechać. Strażnik, zaprowadzić go do stajni.

Posłaniec drgnął i rozlał nieco wody; odruchowo oblizał brodę i rękę.

– Panie generale, błagam o wybaczenie... mój koń ledwie żyje, a i mnie niewiele brakuje...

– Możesz wziąć wypoczętego wierzchowca z mojej stajni, ale musisz szybko stąd wyjechać.

– Do miasta jest cały dzień drogi!

Charris spochmurniał.

– Więc zostań – warknął. – Lecz gdy usłyszysz to, co się wydarzy, i ten dźwięk będzie dręczyć twoją duszę do końca życia, pamiętaj, że starałem się ci tego oszczędzić.

Odwrócił się na pięcie, nie zwracając uwagi na jego niepewne „panie generale...?”. Schodząc z murów na schody wieży, Charris usłyszał, jak strażnik więzienny mówi posłańcowi, żeby nie był głupi i odjechał. Ach, oczywiście: strażnicy już widzieli tę okropność, choć na mniejszą skalę. Wiedzieli, co się wydarzy, lepiej od samego generała.

Na dole czekał na niego kolejny strażnik. Jego surową twarz ściągał grymas zdenerwowania.

– Pański... eee... gość stał się niespokojny – powiedział, ruszając u boku Charrisa. – Podaliśmy mu jedzenie przez pręty w oknie, ale warknął na nas i wyrzucił je. Możemy spróbować raz jeszcze...

– Nie – rzucił generał. Sięgnął do sakiewki i wyjął z niej surowy

okruch jungissy, którą dał mu książę. – Nie jedzenia łąknie w tej chwili. Dopilnuj, by twoi ludzie opuścili dziedziniec, a potem czekajcie.

Przeszedł przez sklepiony korytarz prowadzący na kolejny dziedziniec. Zwykle więźniowie byli tu wyprowadzani, aby ćwiczyć, ale w tej chwili na piaszczystym spłachetku ziemi stał tylko wzmocniony wóz. Wyprzęgnięto z niego konie, by nie szarpały się w uprzęży, gdyż ciągle usiłowały się wyrwać jak najdalej od wozu. Charris nie słyszał żadnego dobiegającego z niego hałasu, choć wyczuwał wyteżone zmysły kryjącego się wewnątrz stworzenia. Okiennece zostały przybite gwoździami – wszystkie z wyjątkiem tej w oknie, przez które karmiono istotę w wozie. To zabezpieczono prętami, za którymi Charris zobaczył tylko ciemność.

Zatrzymał się tuż za zasięgiem ręki, która mogłaby się wychylić między tymi prętami, i odetchnął głęboko, by opanować myśli. Książę dał mu wyraźne instrukcje, ale przez łomot serca i ciężar świadomości tego, co się zaraz stanie, ledwie je sobie przypominał.

Potem usłyszał jakiś ruch we wnętrzu wozu. Z ciemności dobiegł głos, zacinający się, gruby i ochrypły.

– Już zachód słońca, bracie? Czy... czy dziś wyjdziemy?

Charris przełknął ślinę i stuknął w jungisnę, żeby ją pobudzić do brzęku.

– Dziś nie – powiedział głosem niemal tak cichym jak pomruk kamienia. – Ale mam tu dziś dla ciebie zadanie. Czujesz ich? Zeb... – Urwał i zaczął szukać innego słowa. – Zgromadzili się nieopodal. Stu mężczyzn na sąsiednim dziedzińcu. Zostali uznani za zepsutych i wymagają twojej pomocy.

Z głębi wozu dobiegł szmer ruchu, cichy brzęk łańcuchów.

– Czuję ich. Tak wielu... – W głosie zabrzmiała zimna nutka. – Tak wielu zepsutych.

Charris przełknął ślinę.

– Tak. Musisz ich zabrać, bracie. Wszystkich jednocześnie. Rozumiesz? Stąd, gdzie jesteś, nie dotykając ich. Potrafisz to zrobić?

Zwoje nie pozostawiają wątpliwości, oznajmił książę. W każdej relacji Kosiarze potrafią zrobić to i wiele więcej – widzieć, nie posługując się wzrokiem, zabijać, nie posługując się rękami, pić życie jak wino i czynić cuda, jakby spluwali. Rzucać czary, które zawstydziłyby samych bogów. Nie chcesz tego zobaczyć na własne oczy?

„Nie, za żadne skarby tego świata” – pomyślał Charris, choć wiedział, że lepiej nie mówić tego na głos.

Z wnętrza wozu dobiegł przeciągły oddech, jakby stworzenie smakowało powietrze przez okno z prętami.

– Brud i nienawiść. Czujesz to, bracie? Ich strach?

– Tak. – Przynajmniej tego Charris nie musiał udawać. – Czuję.

– Brud. – W głosie Kosiarza znowu zabrzmiał chłód, niemal gniew. – Zawsze się nas boją. Bezbożnicy... bluźniercy. Muszę ich wszystkich oczyścić. Muszę... muszę...

Pierwsze krzyki zaskoczyły Charrisa. Generał spodziewał się jakiegoś wstępu. Ale z wozu nadal dobiegało mamrotanie stworzenia, gdy tymczasem pierwsze pojedyncze krzyki przeszły w dziesiątki, a potem w wielki chór bólu... który zaczął stopniowo cichnąć. Następnie rozległ się drugi chór, gdzieś bliżej. Charris odwrócił się w stronę sklepionego wejścia i zastygł z przerażenia. Stojący tam strażnik zeszywniał z twarzą wykrzywioną w grymasie, jakiego Charris jeszcze nigdy w życiu nie widział – choć oczy miał zamknięte. Spał. Krzyczeli strażnicy, którzy go zobaczyli, on sam milczał. Po chwili zaczął dygotać, zaciskając i rozwierając palce w gwałtownych spazmach, na ziemię między jego nogami połała się uryna. Strażnik nagle otworzył oczy białe jak muszle porcelanki – przytomny, lecz nieprzytomny. Ściągną na jego szyi nabrzmiały jak napięte sznury, a zęby zgrzytnęły głośno.

– Nie – szepnął Charris.

– Bezbożnicy – warknął Kosiarz.

W całej fortecy działo się to samo. Więźniowie już nie żyli. Strażnicy umierali.

– Nie! – Przerazenie w końcu wyrwało Charrisa z osłupienia. Podbiegł do wozu i załomotał w pręty. – Przestań! Zostaw ich! To... to twoi bracia, nie wolno, zostaw...

– Moi bracia nie czuliby strachu – rozległ się głos z wozu. Brzmiał w nim obłęd i coś więcej: jakiś zaciekły radosny ton.

– Przestań, przeklęty! Zabijasz wszystkich!

W mroku coś się poruszyło i nagle zza prętów wyjrzał Kosiarz. Jego tęczęwki w kolorze płynnego żelaza, otoczone przekrwionymi białkami, zdawały się przeszywać ten świat na wylot i spoglądać w jakieś koszmarnie miejsce, w którym Charris miał nadzieję nigdy się nie znaleźć. Twarz Kosiarza była boleśnie wychudła, skóra tak napięta na kościach, że lśniła jak wypolerowana. Ta twarz wykrzywiła się w tej chwili – Charris niemal spodziewał się usłyszeć skrzyp skóry mnącej się jak suche liście – w kurczowym grymasie. Dopiero po paru godzinach generał zrozumiał, że Kosiarz usiłował się uśmiechnąć.

– Ja nie zabijam – powiedział.

Nieopodal ucichł ostatni ze strażników. Wpatrzony w oczy Kosiarza Charris żałował, że sam nie może zamknąć swoich. Raptem uświadomił sobie, że jedynym dźwiękiem oprócz szumu wiatru jest cichy brzęk jungissy. Wszyscy, którzy znajdowali się w więzieniu, nie żyli.

Wszyscy oprócz niego.

Chroni mnie tylko jungissa, zrozumiał.

I w tej samej chwili jego zdradziecka ręka zaczęła dygotać.

Mimowolnie jęknął, czując z instynktowną pewnością, że jeśli upuści kamień, Kosiarz go zabierze. Widział to w obłąkanych oczach tego stworzenia – bo nie potrafił już uważać Kosiarza za człowieka. Wiedział, że ten stwór wgrzyzie mu się w umysł, zerwie więź i zawlecze go do cuchnącej, mrocznej jaskini we własnym wnętrzu, a potem pożre jego mózg i duszę, zostawiając ciało rozkładowi.

Kosiarz pokiwał powoli głową, jakby słyszał jego myśli. Potem cofnął się w mrok. A wówczas dygoczący jak w gorączce Charris

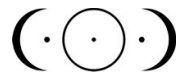
upuścił jungisę, która upadła w piach i zamilkła. Teraz słyhać było tylko ciche westchnienia wiatru.

Minęło nieco czasu.

Potem Charris nie potrafił określić ile. Nie myślał, czekając na pierwszą zimną, niewidzialną pieszczotę śmierci. Ale gdy jego umysł stopniowo zaczął funkcjonować, dotarł do niego powolny, ciężki oddech dobiegający z mroku wozu. Potwór nazął się, a teraz spał.

Charris podniósł głowę i przekonał się, że gwiazdy zabłysły na niebie, otaczając potężną półkulę wschodzącej Śniącej. Pochylił się, oblany jej wielobarwnym światłem, i podniósł jungisę. Po chwili zastanowienia znowu obudził jej brzęk i przytwierdził ją do naszyjnika ze złota i lapis-azuli, ślubnego podarunku żony. Cichy jęk kamienia odezwał się w metalu echem monotonnej pieśni. Ta pieśń ukoila go, gdy ruszył do stajni po konie. Przez chwilę myśl o jeździe przez noc z tym czymś za jego plecami niemal znowu sparaliżowała mu umysł, ale śpiew jungissy stopniowo uspokoił jego lęki. Kamień będzie go strzec. Nawet potwory respektują pewne zasady.

Przeszedł ostrożnie nad ciałem postańca i zaczął się przygotowywać do powrotu do Yanya-yan.



Zbieracz będzie zawsze nosił przy sobie znak Hetawy: jej święty kwiat, łzę luny. Ponadto będzie też zostawiał własną pieczęć w postaci mniej ważnego kwiatu, gdyż niosąc Jej błogosławieństwo, zbieracz staje się podobny bogom.

(Prawo)

Sunandi zobaczyła, jak zbieracz wchodzi do namiotu staruszki, i postanowiła zadziałać. Pomaszerowała za nim z zaciśniętymi pięściami, gotowa zdemaskować go przed całą karawaną, jeśli będzie musiała...

...a wtedy z cienia koło namiotu wystąpił chłopiec. Sunandi stanęła, nagle zaniepokojona. Czy praktykanci zbieraczy mogli zabijać? Nie pamiętała, lecz coś jej mówiło, że akurat on nie przejmowałby się regułami.

Ale potem chłopiec zaskoczył ją, odzywając się pierwszy.

– Ma pozwolenie. Potrzebuje tylko tego od Bogini, ale rozmawiał też z Gehanu.

To zahamowało jej wzbierający gniew. Rozluźniła zaciśnięte pięści.

– Nie wierzę ci.

– Nie wszyscy boją się śmierci tak jak ty. – Tym razem w jego zachowaniu nie było kpiny. Gniew z ostatniej sprzeczki całkiem go opuścił. – Porozmawiaj z Gehanu, jeśli chcesz.

– Porozmawiam. – Odwróciła się na pięcie, zanim zdążyła się

zastanowić. Logika podpowiadała, że kiedy ona będzie rozmawiać z Gehanu, zbieracz zdąży zabić staruszkę, ale odwaga jakoś nagle opuściła Sunandi. Ten chłopiec strasznie ją denerwował. Podczas tej krótkiej wymiany zdań wydawał się zbyt podobny do swojego mentora; promieniał tą samą perwersyjną mieszanką groźby i współczucia. To jej nieprzyjemnie przypominało o własnym „zawieszeniu” i o jeszcze mniej przyjemnej świadomości, że zbieracz może zmienić ten status, kiedy tylko zechce.

„Niesłusznie uważałam tego chłopca za niegroźnego” – pomyślała, idąc przez obozowisko. Trening, jakiemu Hetawa poddaje swoich zabójców, już odcisnął się głębokim piętnem na jego duszy. Zapukała do namiotu Gehanu, usiłując zapanować nad strachem.

Gehanu odpowiedziała jej we własnej mowie. Na widok Sunandi rozpromieniła się w uśmiechu i przeszła na inny język z łatwością doświadczonego kupca.

– Ach, Nefe. Myślałam, że nadal moczysz się w łaźni, rozkoszując się cywilizacją, ty zepsuty mieszczychu.

Sunandi uśmiechnęła się z trudem i usiadła przed posłaniem kobiety.

– Już się wykąpałam. 'Anu... chodzi o moich towarzyszy...

– Tego kapłana? – Gehanu uśmiechnęła się na widok zaskoczenia Sunandi. – Masz tyle tajemnic, że niektóre mogą się wyrwać na wolność, kiedy nie patrzysz.

– Na to wygląda. Więc naprawdę dałaś mu pozwolenie? Chłopiec tak powiedział, ale mu nie uwierzyłam.

– Chłopak mnie zaskoczył. Jeszcze nigdy nie widziałam takiego młodego, choć pewnie zbieraczy nie znajduje się w kapuście, dorosłych i gotowych. Tak, pozwoliłam mu porozmawiać z Talithele.

– Pozwo... – Sunandi urwała, starając się pohamować oskarżycielski ton. – Wiesz, co może jej zrobić?

– Za jej pozwoleniem.

– Oni nie przejmują się twoim zdaniem.

Gehanu uniosła brew.

– I to ty go tu sprowadziłaś?

– Pod przymusem. Nie ufam mu. Nawet go nie lubię.

– Szkoda. Wydaje się dość przyzwoity.

– Jak na mordercę! Jeden z jego „braci”... – Urwała, bo rozpacz znowu w niej wezbrała i mieszała się z gniewem, omal jej nie dusząc. Udało jej się przepchnąć przez nią tylko jedno słowo: – Lin.

– Ta niecnota? Została zebrana?

– Nie, zamordowana. W mieście grasuje to stworzenie...

– Ach! – Gehanu załkała krótko. – Tylko nie to! Powiedz, że to nie to! – Sunandi skinęła głową. Kobieta zachłysnęła się gwałtownym oddechem. – Bogowie nieba i ziemi!

– Ten potwór był kiedyś sługą Hananji, jak tamten – powiedziała Sunandi, wskazując głową namiot Talithele. – Dlatego powinnaś mu przeszkodzić.

Ale ku jej zaskoczeniu Gehanu pokręciła głową.

– To nie moja rola. Wybór należy do Talithele.

– Mówiłam ci...

– Powiedział, że poprosi ją o zgodę. Wierzę mu.

– Nie możesz! On sobie nawet nie zdaje sprawy, jaki jest nikczemny!

Twarz Gehanu skamieniała. Dopiero wtedy Sunandi uświadomiła sobie, że podniosła głos w namiocie swojej gospodyni.

– *Bi'incha*. Gehanu, wybacz. – Westchnęła i potarła oczy. – Zaczynam wariować. Tak strasznie tęsknię za Lin, że nie potrafię już myśleć przytomnie.

– Wybaczam – powiedziała natychmiast Gehanu, łagodniejąc. Objęła Sunandi. – Moje serce płacze z tobą. Ale Talithele umiera. W moim kraju otaczałyby ją dziesiątki potomków, a wszyscy przodkowie pochowani w naszej ziemi przyzywaliby ją do siebie.

Tutaj jest zupełnie sama, odcięta od swojej ojczyzny. Ten kapłan dał jej wybór. Nie mam prawa jej go bronić. – Gehanu zaciągnęła się głęboko i wypuściła dym. – Przynajmniej przy nim nie będzie cierpieć.

Sunandi spuściła oczy; ból Gehanu obudził w niej na nowo rozpacz. Gdyby mogła dać Lin taki wybór – zbiór lub ta straszna śmierć – czy tak by uczyniła? Odsunęła od siebie tę myśl.

– Wybacz, że zakwestionowałam twoją decyzję – powiedziała.

Gehanu wzruszyła ramionami.

– Jeśli to cię pocieszy, wątpię, żeby Talithele się zgodziła. Podczas pobytu w Gujaarehu spytaliśmy ją, czy chce iść do Hetawy, i odmówiła. Nie chciała uzdrowienia – chce tylko, żeby jej życie toczyło się tak, jak ma się toczyć. Nie sędzę, żeby przez ósmdzień zmieniła zdanie. Zostanie tak długo, jak się da – tylko po to, by grać mi na nerwach.

Sunandi uśmiechnęła się wbrew samej sobie.

– To dobrze.

– Dobrze? Nie znasz tej kobiety. No, dość tego. Cieszę się, że przyszedłeś, bo ja też mam ci coś do powiedzenia.

– Tak?

Gehanu skinęła głową i odłożyła fajkę na stojak. Zaczęła szperać w fałdach szaty.

– Burmistrz chce przesłać wiadomość do Kisui. Ponieważ jesteś jej przedstawicielką... – Wyciągnęła spomiędzy fałdów ubrania malutki zwój. Sunandi wstrzymała oddech; takimi zwojami Kinja porozumiewał się z kisiańską siatką szpiegowską. Nie zdawała sobie sprawy, że sięgała ona aż Tesy. Kinja musiał na własną rękę skaptować burmistrza.

Wzięła zwój i rozwinęła go. Szybko przebiegła wzrokiem zaszyfrowane symbole.

– Dziwne.

– Kolejna wyjawiona tajemnica?

– Nie wiem. Tu jest napisane, że jakiś Shadoun widział dziwne rzeczy na wschód od Tesy, tam gdzie jest tylko pustynia. Ślady, których tam nie powinno być – licznych wielbłądów i koni, ciągnących coś na tyle ciężkiego, że zostawiło głębokie koleiny. Wysłano na wschód dwóch tropicieli, którzy nie wrócili. Nie rozumiem, dlaczego burmistrz uznał to za coś ważnego.

Gehanu zmarszczyła brwi.

– Plemię Shadounów od pokoleń mieszka na pustyni. Rzadko się zdarza, żeby jakiś tropiciel się zagubił. Dwóch to już zły znak.

– Mogli tropić karawanę handlową zbyt ubogą, żeby przejść przez Tesę. A może jakichś biednych głupców, którzy się zabłąkali. A może zabili ich bandyci.

– Bardzo wielu bandytów. Z ogromnymi zapasami jedzenia i picia; nie można wyprowadzić w pustynię tak wielu koni, nie mając zapewnionego źródła wody i pożywienia. Nie wygląda mi to na biednych, zagubionych podróżników.

– Zatem żołnierze? – Sunandi pokręciła głową. – Nie. Pusty Tysiąc to terytorium neutralne między Protektoratem a Terytoriami Gujaareńskimi. Tak naprawdę należy do pustynnych plemion, choć głównie dlatego, że nikt inny nie chce tych ziem. Żadnemu krajowi nie wolno tu wysyłać swoich żołnierzy. Zresztą żaden kraj nie mógłby tego zrobić – tu nie ma nic prócz piasku. Żołnierze potrzebują baraków, konie – stajni...

Urwała, gdy oczy Gehanu się rozszerzyły; obie w tej samej chwili uświadomiły sobie prawdę.

– I miejsca, gdzie można by uzupełniać zapasy – dodała Gehanu.

Sunandi przytaknęła. W głowie kłębiły się jej gwałtowne myśli.

– Garnizon. Najprawdopodobniej w pobliżu którejś mniejszej oazy. Ale jak duży? Ilu żołnierzy? Nie może ich być zbyt wielu. Duże oddziały zostawiłyby trwałe ślady podczas przemarszu przez pustynię. Ale z drugiej strony... – W zamyśleniu zabębniła palcami o nogi. – To nie musi być duży oddział. Wystarczy, że uderzy na kiswańskie wojska z niespodziewanego kierunku, odciągając

uwagę od ataku prawdziwej gujaareńskiej armii. Przy takim manewrze zaskoczenia mogliby podbić najbardziej wysunięte na północ miasta Protektoratu i ustanowić przyczółek, zanim nasze wojska zdołałyby się do nich przedrzeć. – Dłoń jej zadrżała; zacisnęła palce na zwoju. – Nawet po ostrzeżeniu Kinji nie sądziłam, że książe jest aż tak szalony.

Gehanu przyglądała się jej, zagryzając lekko dolną wargę.

– Roześlę wiadomość wśród naszych. Wyjedziemy na długo przed świtem i będziemy podróżować najszybciej jak się da.

Sunandi skinęła głową.

– Im szybciej dostarczymy te wiadomości do Kisui, tym lepiej.

– Nie tylko o to chodzi. – Gehanu uśmiechnęła się blado. – Ci tropiciele zaginęli, bo żołnierze nie chcą, żeby ktoś o nich wiedział. Zabijają każdego, kogo spotkają. Jeśli ostatnie ślady zostawili posłańcy niosący rozkazy z miasta dla tego garnizonu – z miasta, w którym ktoś chciał cię zabić – to może będą się bardzo starać nas odnaleźć. Cze?

Pustynny chłód wieczoru już nadszedł, ale nie on obudził w Sunandi dreszcz.

– *Ach-cze* – szepnęła.

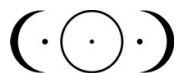
– *Ti-sowu*. – Gehanu znowu się uśmiechnęła, sięgając po leżące nieopodal juki. Otworzyła je i wyjęła z nich dwa kubki, a także polerowaną, ozdobnie rzeźbioną tykwę. – Masz. Musisz się dziś wyspać.

Sunandi uniosła brwi; Gehanu podała jej naczynie i nalała do niego sporo płynu z tykwy. Wino paniraeh – mocny alkohol, wytwarzany tylko w krajach leżących na dalekim południu. Mimo woli uśmiechnęła się, patrząc na mały kubek.

– Jeśli mam dziś zasnąć, potrzebuję tego więcej.

– Obiecałam, że się tobą zajmę, prawda? – Gehanu wyjęła z juków drugą tykwę i skinęła głową w stronę już otwartej. – Ta należy do ciebie.

INTERLUDIUM DRUGIE



Teraz, gdy usłyszałeś już większe historie, muszę rozpocząć mniejszą – gdyż widzę, że zmęczyłeś się i przestałeś uważać. Nie, nie przepraszaj. Jesteśmy przecież z Hetawy; sen nie stanowi dla nas przeszkody. Proszę, połóż się na sofie. Zaśnij, jeśli chcesz. Wsnuję tę opowieść w twoje sny. Zaczyna się ona od szaleńca. W czasach, kiedy Gujaareh był jeszcze nowy – leczyliśmy wtedy jedynie ciało – zaczęły się kształtować miejskie kasty. Wielmoże sonha, którzy przybyli tu z Kisui, rozdzielili się na dwie grupy: shunhów, którzy pragnęli zachować kisuańskie obyczaje, i zhinhów, którzy pragnęli zacząć w Gujaarehu na nowo. Te grupy potrzebowały się nawzajem, gdyż bez połączenia tradycji i postępu Gujaareh nie mógłby stać się tak szybko potężnym narodem handlowym. A jednak wszystkie grupy pogardały sobą, gdyż dzieliły je zbyt wielkie różnice.

Razem trzymały je dwie rzeczy: miłość do Hananji i nienawiść do naszych wrogów. W tamtych czasach wrogiem Gujaarehu byli Shadounowie, dumne pustynne plemię, które widziało rosnące bogactwa tego kraju i pożałowało ich dla siebie. Shadounowie uważali nas za słabych ze względu na nasze cywilizowane obyczaje i wiarę w śniącą Boginię. Ale gdy co jakiś czas wysyłali oddziały, które miały wypróbować siłę naszych wojsk, my dawaliśmy im odpór. Dowodził nami wtedy wielki generał Mahanasset – shunha czystej krwi, choć nauczony obyczajów obcych krajów. Jego zwycięstwa były olśniewające, biegłość w bitwach – legendarna. Wszyscy go kochali, od żołnierzy po najbardziej surowych starców.

A jednak z czasem jego siła zaczęła słabnąć. Najpierw przegrał jedną bitwę, potem drugą. Żołnierze zaczęli donosić o jego dziwnym zachowaniu na polu walki. Mahanasset wydawał rozkazy

wojownikom, którzy od dawna nie żyli, rzucał się z krzykiem na widma, których nikt prócz niego nie potrafił dojrzeć. Protektorzy miasta, gdyż w tamtych czasach postępowaliśmy jak Kisuanie, zaczęli się martwić, że trzeba będzie go zastąpić, co byłoby strasznym ciosem dla narodu. Gdyby Mahanasset zginął w bitwie, miasto zachowałoby go we wdzięcznej pamięci, a żołnierze walczyliby żarliwiej, by pomścić jego imię. Ale gdyby go odsunięto, miasto pogrążyłoby się w smutku. Skoro Shadounowie krążyli wokół nas jak ścierwojady, nie ośmieliliśmy się osłabiać własnych sił.

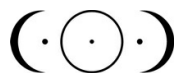
Wówczas to Inunru, założyciel naszej religii i przywódca Hetawy, znalazł rozwiązanie. Starożytna nauka narkomancji, którą wynieśliśmy z Kisui, znała tajny sposób leczenia, zakazany w ojczyźnie, ponieważ niósł śmierć na równi z życiem. Jednak poprawnie zastosowana, ta sekretna sztuka mogła osiągnąć coś niedostępnego uzdrowicielom z Hetawy – dać spokój złamanej duszy.

Tak, teraz już rozumiesz. Dziwnie jest pomyśleć, że coś tak cenionego w naszym społeczeństwie niegdyś spotykało się ze strachem i z niezrozumieniem... ale były to dopiero początki zmian. Sprowadzono Mahanasseta: chorego, szalejącego, niezdolnego odróżnić zwiędów od rzeczywistości. Jeden z kapłanów Hetawy, umierający starzec, ofiarował się jako dawca snu. Sam Inunru dokonał przeniesienia z jednego do drugiego... i miasto ujrzało nie jeden, lecz dwa cudy. Pierwszym było ozdrowienie Mahanasseta. Zerwał się z łoża boleści zdrów pod każdym względem. Drugim cudem – niespodziewanym – była radość, z jaką umarł stary kapłan. „Hananjo, przybywam!”, zawołał podobno przez sen tuż przed swym końcem. I nie było wątpliwości, że starzec zmarł szczęśliwy, gdyż Inunru podzielił się jego radością ze wszystkimi obecnymi. Wielu płakało, wiedząc, że doświadczył takiego spokoju.

Reszty możesz się domyślić. Mahanasset odzyskał panowanie nad swoim wojskiem i poprowadził żołnierzy do miażdżącego natarcia na Shadounów, którym nakazano składanie daniny i zakazano

handlu, by Gujaareh rósł w siłę. Umierający zaczęli przybywać do Hetawy czwórkami, potem hordami, wybierając spokój zamiast bólu i cierpienia. Również chorych zwożono do Hetawy i odsyłano ozdrowiałych na ciele lub umyśle. Kiedy Mahanasset wrócił ze swojej zwycięskiej kampanii, lud tak się radował, że uczynił go władcą w miejsce Protektorów i nazwał królem, jak to czynią barbarzyńcy. Ale on odrzucił ten tytuł. „To miasto Hananji, a ja jestem jej sługą”, powiedział. „Tylko ona może tu panować. Ja będę rządzić w Jej imieniu jako księżę, a królem stanę się dopiero wtedy, gdy usiądę u Jej boku w Ina-Karekh. I będę rządzić z pomocą Hetawy, bez której mądrości Gujaareh by upadł”.

I tak się stało. Pod rządami Mahanasseta prawo Hetawy stało się prawem Gujaarehu, a spokój Hananji – darem księcia dla ludu. Dlatego wynosimy Hananję ponad innych bogów.



*Idący czterema ścieżkami do mądrości
Hananji mogą zapomnieć o przyzwoitości
i hierarchii, o ile robią tak w służbie
spokoju.*

(Prawo)

Zwierzchnik Hetawy siedział w swoim gabinecie, rozkoszując się odgłosami wczesnego poranka i raz jeszcze zastanawiając się, kiedy zjawią się po niego zbieracze.

Od czasu spotkania z księciem i tego, co nastąpiło potem, minęły dzień i noc. Zwykle gdy wracał z takich spotkań o świcie, natykał się na niewielu mieszkańców Hetawy – tylko dwóch wartowników, którzy służyli jako jego strażnicy, gwardzistów i garstkę dawców na nocnej zmianie. Czasami tym ostatnim towarzyszyło paru sennych akolitów, kontemplujących ścieżkę wartowników lub dawców, oraz paru praktykantów towarzyszących swoim starszym braciom. Kiedy zwierzchnik przeszedł tego ranka przez Salę Błogosławieństw, zastał tam Rabbaneha klęczącego u stóp Hananji... lecz nie pogrążonego w modlitwie. Zbieracz był zwrócony twarzą w stronę wejścia do sali i nie włożył szaty z kapturem; był nadal na służbie. „Szokujące, że stoi tyłem do posągu” – pomyślał zwierzchnik. To obelga wobec Hananji, choć niezbyt poważna, bo posąg to jednak tylko posąg.

Ale Rabbaneh wpatrywał się w zwierzchnika bez uśmiechu, oskarżycielsko. Tylko jeden z nas popełnił afront wobec Hananji, mówiły te oczy. Wówczas zwierzchnik zrozumiał, że pora spłacić Ostatnią Daninę.

Od tej chwili spędzał czas w swoich komnatach, nie przyjmując gości, żeby móc modlić się, kontemplować i przygotowywać się na spokój Hananji. W nocy mimowolnie zasnął i zdziwił się, gdy zbudził się żywy. Nie będzie miał czasu, żeby wprowadzić nauczyciela Maatana, którego wybrał na swojego następcę, w tajemnice wiążące się z godnością zwierzchnika. Te tajemnice zresztą i tak zostały skażone. Może jeśli umrą wraz z nim, Hetawa przetrwa nadciągającą burzę.

Zasłona z koralików poruszyła się, obwieszczając, że ktoś wszedł do jego apartamentu. Zwierzchnik skamieniał, ale zmusił się do spokoju. Jego spokój mógł zakłócić tylko posłaniec Rady lub dawca odpowiadający na nagłe wezwanie. I oczywiście zbieracze. Oni wchodzili, gdzie tylko zechcieli. Zwierzchnik otworzył oczy.

Stali po drugiej stronie stołu: poważni, nadal ubrani w oficjalne szaty bez rękawów, które nosili podczas porannej Ceremonii Danin. A zatem to nie zbiór. Zwierzchnik nie wiedział, czy ta świadomość sprawiła mu ulgę, czy go rozdrażniła.

– Chcieliśmy z tobą porozmawiać, bracie zwierzchniku. – To Sonta-i, mówiący takim tonem, jakby gawędził o pogodzie. I może tyle to dla niego znaczyło – przy tym jego osobliwym poczuciu zła i dobra. Niewątpliwie to Rabbaneh potrzebował wyjaśnień i szczegółów; dla Sonta-i sprawa była prosta. Jeśli zwierzchnik uległ zepsuciu – umrze.

– Tak – powiedział zwierzchnik. – Czekałem.

– Przybyliśmy tylko porozmawiać – wyjaśnił Rabbaneh. Usiadł na krześle naprzeciwko stołu zwierzchnika. Sonta-i nadal stał.

– Zatem to Próba Prawdy. Powinienem wam podziękować za tę troskę. – Zwierzchnik westchnął. – Choć czasem wydaje mi się, że wolałbym, abyście raz z tym skończyli.

– Wyjaśnij – odezwał się Sonta-i. – Może powinniśmy spełnić twoją prośbę.

Zwierzchnik wstał i podszedł do komody. Otworzył ją i wyjął z niej czerwoną szklaną butelkę, dzieło jednego z najlepszych

rzemieślników miasta. Zbieracze wyrzekali się picia dla własnej przyjemności, lecz czasem uczestniczyli w nim ze względu na nosiciela daniny.

– Wypijcie ze mną, bracia. Jeszcze nie jestem starcem. Nie jestem gotowy spędzić moich ostatnich godzin w samotności.

– Czy to wyznanie? – Rabbaneh przyglądał się uważnie twarzy zwierzchnika, który wyjął z komody trzy czerwone szklanki i postawił je na stole. – Czy prosisz o błogosławieństwo Hananji?

Zwierzchnik zawahał się przez chwilę, zastanowił się, po czym westchnął i zaczął nalewać płyn do szklanek.

– W odpowiedzi na pierwsze pytanie: tak. W odpowiedzi na drugie: nie. Bardzo chcę żyć. Ale znam prawo tego kraju równie dobrze jak wy i w świetle tego prawa – Jej Prawa – jestem zepsuty. Cokolwiek o mnie myślicie, nie chcę być hipokrytą. – Zamilkł na chwilę, ujął swoją szklankę i dał znak zbieraczom, by zrobili to samo. Rabbaneh uczynił to po chwili wahania. Sonta-i pozostał niewzruszony. Powiedział tylko:

– A mimo to stałeś się nim. Tylko hipokryta uznałby naszego brata za złoczyńcę i pozwolił, by książę go zabrał. Jeśli sądziłeś, że jest niebezpieczny, nie powinien był opuszczać Hetawy i swoich braci. Ale Rabbaneh mówi, że byłeś posłuszny rozkazom księcia. – Na moment przez ogorzałą twarz Sonta-i przemknął cień uczucia: zaniepokojenie. – Jak to możliwe, że zwierzchnik Hetawy, najpierwszy sługa Hananji, wykonuje rozkazy, które wydał mu ktoś oprócz Niej?

Zwierzchnik uniósł szklankę i pociągnął łyk, rozkoszując się słodkim wyrazistym smakiem. Likwor giyaroo; jeden z nielicznych przysmaków z północy, które przypadły mu do gustu.

– Musicie zrozumieć, że początkowo nie wiedziałem wszystkiego. Książę jest mistrzem ukrywania swoich zamiarów. Zwodził mnie od trzech lat. Teraz znam prawdę: książę oszalał.

Rabbaneh słuchał z nieubłaganym spojrzeniem. Dobrotliwy Rabbaneh, a zanim został zbieraczem – gorącokrwisty Rabbaneh.

Fascynujące, że w takich chwilach wracają ich dawne skłonności.

– Zatem należy mu podać senną krew i go uleczyć.

Zwierzchnik z trudem pohamował śmiech. Zatuszował go, pociągając łyk likworu.

– Już mu podano. Wtedy zaczął się ten koszmar. – Ach, lecz przecież zaczął się na długo przedtem – w porodowych bólach Gujaarehu i nawet wcześniej, w Kisui. Zwierzchnik powinien im to wszystko wyznać, wyjawić całą prawdę, żeby przeżyli ten sam wstrząs, przerażenie, rozczarowanie, które gnębiły go od czasu, gdy się dowiedział...

Nie.

Wróciły do niego słowa poprzednika, słowa pełne odrażającej mądrości: „sługa Hananji żyje, by koić ból Gujaarehu. Rolą zwierzchnika jest kojenie bólu innych sług. Istnieją tajemnice, które zniszczyłyby nasze bractwo; twoją powinnością jest dźwigać je samotnie”.

Dźwigać i paść pod ich ciężarem, jak się okazuje.

– Księżę zabił ojca, aby zdobyć tron – powiedział zwierzchnik, wpatrując się w czerwone szkło. – To się zdarza. Ale kiedy Eninket... przepraszam, księżę... zdobył Aureolę, natychmiast zaczął zdradzać oznaki niebezpiecznej niestabilności. Oprócz innych osobliwych zachowań – wysłał wojska do Kite-yan i zamordował wszystkie żony i dzieci swojego ojca, z noworodkami włącznie. Nawet własną matkę. Ocalał tylko Ehiru, ponieważ znajdował się już pod opieką Hetawy. – Zamilkł w zamyśleniu. – Niektórzy twierdzą, że matka Ehiru miała dar prawowidzenia i wiedziała, że ta rzeź nastąpi. Nigdy nie dowiemy się tego na pewno, a Ehiru nie wspomina o przeszłości.

– Może dlatego, że nie ma ona nic wspólnego z obecną sytuacją – odezwał się Sonta-i.

Zwierzchnik odpowiedział uśmiechem. Zazdrościł zbieraczom umiejętności widzenia świata w czarno-białych barwach: spokój i zepsucie, dobro i zło. Jemu ten luksus był niedostępny.

– Ma bardzo wiele wspólnego z tą sytuacją, bracie, ale rozumiem twoje zniecierpliwienie. – Znowu pociągnął łyk napoju. – Powinność Hetawy wydawała się jasna. Podaliśmy księciu senną krew – przywilej władzy, rozumiecie. Wyższe kasty plotkują, że przewyższa ona timbalin i wszelkie inne sprawiające rozkosz narkotyki. Nie rozumieją i nie dbają o to, że również leczy umysł – ale to nam odpowiada. Dlatego wysłano dawcę, by dostarczył księciu senną krew i dokonał leczenia. Lecz on nie znalazł w naszym władcy obłądu – przynajmniej nie w fizycznym znaczeniu. Jego humory były zrównoważone, głowa nie doznała szkody. Księżę dopuszczał się tych... wybryków... w pełni zdrowych zmysłów.

– Zepsucie – powiedział Rabbaneh ponuro. – Na tronie Zachodu Słońca.

– Już tak bywało – zauważył zwierzchnik, starannie usuwając ze swojego głosu wszelkie nutki ironii. Jego bracia i tak byli wystarczająco rozgniewani. – Pewna doza zepsucia wiąże się z każdym wysokim stanowiskiem. Znosimy to ze względu na spokój miasta. Ale w tym przypadku ważne jest, że w wyniku naszych działań księżę poznał smak sennej krwi. I zapragnął jej więcej.

Sonta-i patrzył na niego zmrużonymi oczami, być może wyczuwając podstęp. By uniknąć jego przeszywającego spojrzenia, zwierzchnik dopił resztę likworu, który spłynął mu do gardła przyjemnie palącą strużką.

– Chyba mu jej nie podałeś? – Oczy Rabbaneha rozszerzyły się, gdy zbieracz zrozumiał, lub tak mu się wydało, niebezpieczeństwo. – W ilościach leczniczych...

Zwierzchnik westchnął.

– Księżę, który potrafi zamordować własną matkę, jest zdolny do wielu rzeczy, zbieraczu Rabbaneh.

Rabbaneh nie od razu zrozumiał. A gdy prawda do niego dotarła, niemal zachłysnął się powietrzem.

– Nie ośmieliłby się zagrozić Hetawie! Cały Gujaareh zbuntowałby się przeciwko niemu.

– Nigdy nie groził jej wprost. Ale zważcie: choć Hetawa i tron Zachodu Słońca dzielą się władzą w mieście z wysokimi kastami i wojskiem, książę jest silniejszy niż którakolwiek z tych grup. Na ogół wspieraliśmy lud, przeważając szalę na naszą korzyść. Wszelkie próby wpływania na Hetawę przez jakąkolwiek grupę byłyby uznane za obrazę wobec samej Hananji. Nawet kasty służących stanęłyby w naszej obronie. Lecz w tym przypadku książę mógł odpowiedzieć bronią, którą sami mu podaliśmy. Mógłby stwierdzić, że lecząc go, Hetawa chciała zdobyć tron.

Ta przerażająca do szpiku kości prawda bardzo powoli docierała do obu zbieraczy. Hetawa publicznie oskarżona o zepsucie? To nie do pomyślenia. Nie do zniesienia.

Obaj byli tak bardzo niewinni...

– Więc teraz Zachód Słońca rządzi Hetawą Hananji. – Sonta-i założył ręce na piersi. – Choć to ohydne, nie tłumaczy, dlaczego spotkałeś się z księciem potajemnie, o świcie, jak przestępca. Ani dlaczego tematem rozmowy był nasz brat. Wytłumacz to.

Zwierzchnik zacisnął palce na szkle. Mądry Rabbaneh. Nie tylko go śledził, ale także podsłuchiwał. Zatem nie da się ich ochronić. Oby ich wiara przetrwała to, co teraz usłyszą. On sam odzyskiwał ją latami.

– Częściowo chodzi o to, że Ehiru jest jego ostatnim żyjącym bratem – zaczął. – Sądzę, że księciu miła jest świadomość, iż w końcu życie brata zależy od niego. Reszta... Zrozumcie, moi bracia zbieracze, że nawet ja nie pojmowałem, na co gotów odważyć się książę. Myślałem, że jeśli będziemy go zaopatrywać w senną krew, to mu wystarczy. Jako zwierzchnik unurzałem się w zepsuciu – lecz zawsze się starałem, by nie przeniknęło ono do mej duszy. Dobro ludu, wola Hananji – to zawsze miałem na myśli.

– Zepsucie to choroba duszy – odezwał się Sonta-i.

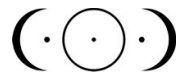
Zwierzchnik nie spodziewał się od niego litości. Ale kiedy spojrział na Rabbaneha i zobaczył tę samą twardość w spojrzeniu młodszego zbieracza, zrozumiał, że Hananja w końcu go osądziła.

Niech się stanie.

– Opowiedz nam wszystko, zwierzchniku – powiedział Rabbaneh bardzo cicho. – Opowiedz do końca.

– Senna krew – zaczął zwierzchnik. – Ostatecznie wszystko się do niej sprowadza.

„Niech Jej błogosławieństwo mnie obmyje – pomyślał, przystępując do ostatecznego wyznania. – I Hetawę razem ze mną. Obym odnalazł spokój w Ina-Karekh, choć na niego nie zasłużyłem. I obyście wy, moi zbieracze, moi bracia, odnaleźli w sobie siłę, by nas uratować”.



*W mroku Ina-Karekh żyją koszmary – lecz
się w nim nie rodzą. Nigdy nie
zapominajcie: krain cienia nie należy
szukać daleko. To my je tworzymy.
Istnieją w nas.*

(Mądrość)

Pierwsza połowa podróży do Kisui płynęła monotennie: pobudka i śniadanie o świcie, a potem dwanaście otępiających, palących żarem godzin na grzbiecie wielbłąda, gdy karawana brnęła przez morze złocistych diun. Ale później dotarli do Tesy, leżącej w połowie drogi, i od tego czasu monotonia zniknęła. Wydawało się, że Gehanu ogarnął pośpiech. Poganiała karawanę w takim tempie, że pod koniec dnia narzekali nawet najbardziej doświadczeni z minstreli. Wyruszali przed świtem i stawali na długo po zachodzie słońca, robiąc popasy tylko wtedy, gdy dalszy bieg zagroziłby zdrowiu wielbłądów.

Nijiri był za to wdzięczny, choć także dokuczały mu zmęczenie i obolałe ciało. Z powodu tego wycieńczającego tempa niewielu minstreli zauważyło, że Ehiru dygocze pomimo upału i ma nieprzytomne spojrzenie. Nie słyszeli też modlitw nieustannie mamrotanych przez niego pod nosem, litanii broniącej go przed wirującym chaosem dźwięków i wizji, które z pewnością zaczęły ogarniać jego umysł. Był to początek pranje – tu, w samym środku dzikiej pustyni, daleko od wszelkiej cywilizacji, gdzie można by znaleźć odpowiedniego nosiciela daniny i gdzie nie dało się liczyć na prywatność czy samotność, która złagodziłaby cierpienie zbieracza podczas próby Hananji. W dodatku otaczali

go niewierzący, gdyż nawet ci minstrele, którzy pochodzili z Gujaarehu, czcili Hananję tylko słowem, nie sercem. Nie oddaliby się w ofierze zbieraczowi, choćby najbardziej szanowali najwyższe sługi Bogini. Co mógł zrobić Nijiri oprócz leżenia w nocy u boku Ehiru i szeptania modlitw, które pomagały mu się ucześcić rzeczywistości? Za dnia jechał u boku Ehiru, pomagając swojemu bratu, kiedy tylko mógł, i przemyślnie odwracając od niego uwagę minstrelów.

Ale jego obawy sprawdziły się i ktoś już zauważył. Ta Kisuanka podeszła do niego podczas popasu w połowie dnia.

– Co się z nim dzieje? – spytała. Dotarli na skraj jałowego, porośniętego krzakami pustkowia w okolicach północnej granicy Kisui. Krew Bogini wiła się tu leniwie pętłami zmierzającymi ze wschodu na zachód, co – w połączeniu z faktem, że podróżując na południe, zmierzali pod prąd – oznaczało, iż trasa przez pustynię jest najszybsza. Nazajutrz mieli przeprowić się na drugi brzeg rzeki w przesmyku Imsa, który stanowił północną granicę ojczyzny Sunandi.

„Wtedy ta kobieta zyska władzę” – pomyślał Nijiri, przyjmując od Sunandi bukłak – pretekst do rozmowy w cztery oczy. Ponieważ wkrótce mieli dotrzeć do rzeki, pociągnął duży łyk i skrzywił się, bo woda była słonawa.

– Zbyt wiele czasu upłynęło od ostatniego zbioru – powiedział cicho. Usiadł w cieniu swojego wielbłąda, na tyle blisko, by obserwować Ehiru, ale nie aż tak, żeby zauważyli to towarzysze z karawany.

Sunandi przykucnęła naprzeciwko niego.

– Kiedy stanie się tym stworem?

– Nie mówimy o tym z laikami...

Bluznęła strumieniem suańskich słów, za szybkich, żeby zrozumiał, choć było jasne, że są to przekleństwa.

– Ale ze mną porozmawiasz – skończyła po gujaareńsku.

Naturalnie. Ona także czuła, że zmienia się układ sił. Nadal mogli

ją zabić i zrobią to, gdy Ehiru uzna ją za dotkniętą zepsuciem – lecz jeśli nastąpi to w jej kraju, ściągną na siebie gniew Protektorów.

Nijiri westchnął.

– Zbieracze nie przypominają innych ludzi. Danina, którą gromadzimy dla Bogini, sprawia, że... zachodzi w nas zmiana. Na pewno wśród twojego ludu krążą o tym opowieści.

– Tak. Jeśli nie zabijacie, popadacie w obłąd. Dlaczego ty jeszcze nie oszalałeś?

Nijiri poczuł na policzkach rumieniec gniewu i wstydu.

– Jestem tylko praktykantem. Nigdy nie zbierałem sennej krwi.

– Ach, tak. Zatem odpowiedz na moje pytanie: kiedy się zmieni?

– Nie zmieni się.

Znowu suańskie przekleństwo.

– Najwyraźniej już zaczął.

– Nigdy nie pozwoli sobie stać się potworem. Prędzej umrze. – Nijiri musiał przez chwilę walczyć ze łzami, które nagle napłynęły mu do oczu. – Właśnie umiera. Gdyby był potworem, za którego go bierzesz, pół tej karawany już by straciło życie. Tymczasem on zwleka, znosząc koszmar, którego nie potrafisz sobie wyobrazić. Nie widzisz, jak cierpi?

Sunandi patrzyła na jego ból, kołysząc się w zamyśleniu. Nijiri widział w jej oczach niepewność.

– To, co widzę, wygląda jak obłąd. Na co on czeka?

Nijiri pochylił głowę, zakazując sobie płakać w obecności tej niewierzącej.

– Na mnie – szepnął.

– Na ciebie?!

– Tylko ja mogę mu dać odpowiednią śmierć. Jeśli zdołam. Ukończyłem szkolenie, ale nigdy... moja moc... – Za głośno oddychał, niepotrzebnie zaciskał pięści. Powoli odetchnął, żeby się uspokoić. – Do zbioru nie sposób się przygotować. Kiedy nadejdzie

czas, trzeba po prostu działać. Ale zbiór mojego mentora...

Sunandi patrzyła spokojnie, jak chłopak jąka się i zacina. Minęło kilka chwil. W Gujaarehu takie pauzy w rozmowie uważano za stosowne, ale Nijiri już zauważył, że cudzoziemcy tego nie rozumieją. Jeśli Sunandi milczała, nigdy nie oznaczało to spokoju myśli.

– Powinienem się nim zająć – powiedział w końcu Nijiri. Oddał bukłak i wstał. – Dziś to zrobię... po dzisiejszej nocy zostaniemy tylko my dwoje, by dowiedzieć się, co Protektorzy wyjawią nam o planach księcia. Potem wrócę do Gujaarehu i unicestwię Kosiarza. – Puste słowa. Ten potwór go zabije, i oboje o tym wiedzieli. Ale nie mógł wykrztusić nic więcej, gdy rozpacz nadal ścisnęła go za gardło.

Sunandi patrzyła na niego, marszcząc brwi. Jej gniew wyraźnie złagodniał.

– Dlaczego w ogóle wyruszył w tę podróż? – spytała. – To szaleństwo, skoro wiedział, że nie dotrwa żywy do jej końca.

Nijiri pokręcił głową.

– Zbieracz może wytrzymać bez sennej krwi kilka ósmdni – pełny cykl Czuwającej Luny. Ale tylko wtedy, kiedy w Hetawie panuje spokój i porządek, a zbieracz może modlić się i sprowadzać na siebie spokój w Ogrodach Kontemplacyjnych. Strach i poczucie zagrożenia szybciej pożerają senną krew. – Westchnął z troską. – W sercu Ehiru i tak brakowało spokoju z powodu jego ostatniego zbioru, który źle się skończył. A potem nastąpiło wasze spotkanie i twoje oskarżenia wobec Hetawy. Następnie pojawił się Kosiarz, a Ehiru zużył ostatnie zapasy sił, żeby mnie ratować... – Westchnął i zwiesił głowę. – Zbieracze potrzebują spokoju, aby móc egzystować – pod wieloma względami.

Sunandi długo na niego patrzyła. Potem zrobiła coś dziwnego: wstała, odeszła parę kroków, zatrzymała się i odwróciła.

– Czego potrzebuje?

– Co?

– Żeby przeżyć. – Jej usta skrzywiły się, jakby brzydziła się

własnymi słowami, ale spytała: – Czy można go jeszcze uratować?

Nijiri łypnął na nią spode łba.

– Mam uwierzyć, że cię to obchodzi?

– Obchodzi mnie to, że łatwiej będzie mi przedstawić moją sprawę Protektorom, jeśli Ehiru będzie stał u mojego boku. – Uśmiechnęła się blado na widok urażonego spojrzenia chłopca. – Jeden z przerażających zbieraczy z Gujaarehu – sławny Ehiru we własnej osobie – proszący Protektorat Kisuański o pomoc, bo nie może już ufać własnym władcom? To nie tylko zaapeluje do ich rozsądku, ale i połechce ich próżność. I zwiększy mój prestiż.

– Jak śmiesz go wykorzystywać do swoich... swoich... – Nijiri zająknął się, niemal zbyt oburzony, aby mówić. – Swoich wstrętnych, zepsutych gier...

– Ciszej, ty młody głupcze!

Natychmiast zniżył głos; jego gniew ochłódł na widok zaciekawionych spojrzeń innych minstrelów, którzy dosłyszeli ich rozmowę. Ale nie stłumił nienawiści w spojrzeniu, którym obrzucił kobietę tak, jak nigdy nie uczyniłby w stosunku do którejś z sióstr.

– Gdyby tylko Ehiru cofnął twoje zawieszenie – powiedział łagodnie, choć w jego słowach brzmiała zaciekłość – to by go uratowało. On jest jednak zbyt szlachetny, by zebrać nawet kogoś takiego jak ty, nie upewniwszy się o jego zepsuciu.

Sunandi uśmiechnęła się, a on wbrew samemu sobie zdziwił się jej stalowej twardości.

– Doceniam tę troskę – powiedziała – i dlatego jestem gotowa pomóc ci go ocalić. On potrzebuje śmierci, tak? W mieście Tenasucheh, tuż za kisuańską granicą, jest szpital – to taka świątynia, ale tylko do leczenia, nie do oddawania czci bogom. Mogę go tam zaprowadzić, porozmawiać z uzdrowicielami. Jeśli zabije kogoś, kto już i tak umiera, mogłabym to usprawiedliwić przed Protektorami.

Uratować brata Ehiru...

Nadzieja po tak wielu dniach bez niej uderzyła Nijiriego tak gwałtownie, że poczuł w brzuchu palący ból.

– To musi być ktoś, kto zgadza się umrzeć. W przeciwnym razie Ehiru odmówi.

Sunandi przewróciła oczami.

– Zatem będzie to ktoś umierający z własnej woli. Choć ludzie w agonii nie powinni być tak wybredni.

– On nie jest taki jak ty. Dla zbieracza śmierć jest błogosławieństwem.

– Ale nie dla ciebie. – Rzuciła mu zimny, cyniczny uśmiech, na widok którego Nijiri się wzdrygnął. – Widziałam, jak na niego patrzysz. Zrobiłbyś wszystko, żeby utrzymać go przy życiu... więc zaryzykujesz, chociaż mnie nie znosisz. A potem będziesz stać u jego boku w Sali Protektorów i błagać o ich pomoc, mimo że wiesz, iż każde wasze słowo powiększa moje znaczenie. Wtedy mnie wysłuchają, choć jestem tylko zbyt młodą, niedoświadczoną córką Kinji. Musimy się nawzajem wykorzystać, mały zabójco, jeżeli chcemy osiągnąć swoje cele.

Nijiri dygotał pod ciężarem jej słów i tego, co się z nimi łączyło i co sięgało daleko poza jej małostkowe intrygi. Oto, przed czym ostrzegali go nauczyciele, nawet rozpustny Omin: ci, którzy zadają się z zepsutymi, w końcu sami także ulegają zepsuciu. Zło jest najbardziej zaraźliwą z chorób, tak potężną, że żadne zioła, operacje ani senne humory nie mogą go wyleczyć. Jego bliskość wypacza poczucie tego, co normalne, akceptowalne; w ten sposób jego ofiarami padają całe narody, najpierw osuwając się w dekadencję, potem – w ruinę. Sunandi, i pewnie cała Kisua, także znajdowały się na tej drodze – a teraz ta kobieta usiłowała zarazić również Nijiriego. Tylko od jego silnej woli zależało, czy choroba przeminie, wzmacniając go, czy też pożre go bez reszty.

Ale zbieracz Rabbaneh uczył go, że powinien mieć na uwadze przede wszystkim cudze dobro. Mógł zaryzykować kontakt z zepsuciem, jeśli tego było trzeba, by odnowić spokój i zaprowadzić

sprawiedliwość. Tak właśnie postępowali zbieracze. A jeżeli ceną za to będzie jego dusza... cóż, przynajmniej uratuje Ehiru. Już to samo będzie tego warte.

– Niech tak się stanie. – Odwrócił się, by przekazać wiadomości Ehiru. Może świadomość, że szpital jest blisko, pomoże jego bratu wytrwać. Ale zaraz potem zastygł bez ruchu.

Ehiru wstał. Wyszedł z prowizorycznej budy, w której minstrele chowali się przed słońcem podczas popasów w południe, i stał zwrócony na północ. Nijiri dostrzegł oznaki postępującego wyniszczenia w jego lekkim kołysaniu się w miejscu i w zapadłej twarzy; Ehiru stracił apetyt. Stał jednak wyprostowany, a jego oczy – choć w tej chwili zmęczone lekką dezorientacją, jakby Ehiru nie wierzył w to, co widzi – przez chwilę patrzyły przytomnie. Nijiri poczuł odrobinę nadziei. Ehiru zdoła wytrzymać jeszcze parę dni.

– Tam coś jest – odezwał się niespodziewanie zbieracz. Minstrele obejrzeni się na niego z zaskoczeniem. Ehiru zrobił kolejny krok po rozpalonym, pełnym kamieni piasku. – Ktoś się zbliża.

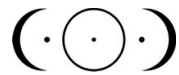
Nijiri podszedł do niego, zapomniawszy o Sunandi, i dotknął jego ramienia.

– Czy to wizja, bracie? – spytał cicho. – Powiedz, co widzisz.

– Zło – powiedział Ehiru, i przez pełną mdlącego przerażenia chwilę chłopiec zastanawiał się, czy chodzi o niego. Ale zbieracz nie odrywał spojrzenia od horyzontu.

– Nie. Bogowie, nie. – Kisuanka stanęła obok nich. Ona także wpatrywała się w horyzont. Zaskoczony Nijiri poszedł za spojrzeniami obojga i w końcu sam to zobaczył: rząd ledwie widocznych przez drżące z żaru powietrze kropeczek – rozpływających się i znowu się scalających w falach upału, lecz coraz bardziej rosnących.

– Zło i krew – powiedział Ehiru i odwrócił się do Nijiriego. – Musimy uciekać.



Zbieracz podda się próbie Bogini raz na rok. Oczyszczy się ze wszystkich danin i wyruszy w podróż między snem a jawą, kierując się tylko Jej łaską. Wytrzyma w tym stanie przez trzy noce lub dopóki nie nadejdzie śmierć. W apogeum próby będzie mu asystować ten, który nie pożąda daniny Hananji. Jeśli zbieracz choć raz zagarnie Jej daninę dla swoich samolubnych celów, czeka go upadek.

(Prawo)

Na granicy między Ina-Karekh a Hona-Karekh słychać szept.

Przez jakiś czas Ehiru mógł nie zwracać na niego uwagi, tak jak nauczył się dawno temu. Zlekceważ wizję, a nie będzie miała mocy. Ten szept łatwo ignorować – jest cichy, czasem niesłyszalny, bełkocze i mamrocze. Ale nigdy nie ustaje, a co jakiś czas słowa są tak prowokujące, że trudno powstrzymać się od odpowiedzi.

Jego słowa były pełne kłamstw. Pamiętaj, że cię uwolniłem, kochaj mnie, wybacź mi, służ mi.

Eninket? myśli Ehiru. Być może.

Jedno kłamstwo, drugie kłamstwo. Zwierzchnik. Kisuanka. Prawo i Mądrość twojej wiary. Twoi bracia, wszyscy twoi bracia.

Nie. Nie wierzę w to.

Wszyscy twoi bracia. Nawet chłopiec. Brat opiekun kochanek syn.

Nijiri nigdy by mnie nie okłamał. Nie będę tego słuchać.

Wizja:

Ehiru idzie po brzegu Krwi o zachodzie słońca. Kite-iyān lśni na szczycie pobliskiego wzgórza. Ehiru jest mały. Matka trzyma go za rączkę. On spogląda na kobietę, której twarzy już nie pamięta, choć jej szczegóły jeszcze pozostały w jego umyśle: skóra gładka jak wypolerowany kamień nocy, śmiech aksamitny jak wino z wodnych pałek, oczy niczym jeziora w bezlunarną noc. Czy jest piękna? Musi być, gdyż pochodzi z innego kraju, a jednak została pierwszą żoną króla. Ehiru żałuje, że nie pamięta jej lepiej.

– Wkrótce – mówi do niej męskim głosem, wychodzącym z dziecinnej krtani. – Już wkrótce znowu się zobaczymy.

Matka spogląda na niego – ciemne wargi, wdzięczne brwi, zamglona doskonałość – i Ehiru widzi jej smutek. To go niepokoi z przyczyn, których nie potrafi sobie przypomnieć. Ale kiedy otwiera usta, by znowu się odezwać, słowa uciekają, myśli mu się płaczą, a wizja naprawdę się Matka spogląda na niego – ciemne wargi, wdzięczne brwi, zamglona doskonałość – i Ehiru widzi jej smutek. To go niepokoi z przyczyn, których nie potrafi sobie przypomnieć. Ale kiedy otwiera usta, by znowu się odezwać, słowa uciekają, myśli mu się płaczą, a wizja naprawdę się

* * *

– To się nie dzieje naprawdę, bracie.

Ehiru mruga i widzi ciemność. Od zimnego powietrza dostaje gęsiej skórki. W ukośnym blasku Śniącej diuny wydają się falować jak woda. Ciepłe ciało przywiera do niego. Nijiri.

– Wiem – mówi Ehiru, choć zaczyna wątpić. Jego umysł zaczął zbaczać ku Ina-Karekh, a on wie lepiej niż ktokolwiek inny, że kraina snów to istniejące naprawdę miejsce o prawdziwej mocy.

– Chcę być z moją matką – mówi, a chłopiec się wzdryga. Ehiru żałuje, że w ten sposób sprawił mu ból, ale Nijiri jest według prawa ich ludu mężczyzną, zaprzysiężonym sługą Bogini. Pora, by przyjął odpowiedzialność, z jaką wiąże się jego rola. – W Kite-iyān. Nigdy nie widziałeś tego pałacu, więc ci go opiszę. – I zaczyna mówić,

przywołując setki wspomnień ze swojego dzieciństwa i upiększając je, choć to nie jest konieczne. – Resztę potrafię ukształtować, ale to musi być ten pałac. Tam będzie matka, a ja chcę ją znowu zobaczyć.

Łzy chłopca zostawiają wilgoć na jego skórze.

– Nie prosź mnie o to, bracie. Błagam.

Ale nie ma nikogo innego i obaj o tym wiedzą. A nawet gdyby towarzyszyli im inni bracia, Ehiru i tak wybrałby Nijiriego, który go kocha. W tym rzecz. Ehiru to już rozumie. Zbiór to akt miłości; bez niej staje się czymś perwersyjnym. Kiedy Nijiri dokona jego zbioru, będzie to coś piękniejszego niż cokolwiek mu znanego, bo ten chłopiec kocha go od lat, kocha go pomimo bólu, kocha go z siłą, która zaćmiewa miłość Słońca do Śniącej. Nie czuje wstydu na myśl o wykorzystaniu tej miłości do własnych celów. Zawsze była darem, który przekazywali sobie dobrowolnie.

Głos wraca późnym rankiem, gdy podejmują podróż, a monotonia nadwątla mur, którym Ehiru odgrodził się od obłędu. Zbieracz zamyka uszy na jego bełkot, dopóki nie dociera do niego: *Ta Kisuanka jest piękna, nieprawdaż?*

Ehiru jest na to przygotowany. Żądza to jedna z pierwszych emocji, która wyrywa się na wolność, kiedy zbieraczowi kończą się zapasy sennej krwi. Ehiru nie zwraca uwagi na głos i obraz, który pojawia się w jego umyśle: Sunandi leżąca na czerwonej materii, jej długa szyja wygięta, czekająca na jego usta, jej pełne piersi gotowe na jego dłonie, pożądanie w oczach osłoniętych długimi rzęsami. Czuje potężne poruszenie w lędźwiach, które także ignoruje mocą dawnego przyzwyczajenia.

Przez całe życie ani jednej kobiety. Dlaczego? Kisuanki znają sposoby, żeby nie było dzieci.

„Dzieci to najmniej ważny z powodów” – myśli Ehiru z irytacją. Istnieje także niebezpieczeństwo zepsucia – przy niej jeszcze silniejsze. Ona zarabia na życie kłamstwem. Głos brzmi tryumfalnie,

jakby chodziło mu tylko o to, żeby go wciągnąć w dyskusję.

W łóżku nie trzeba kłamać, szepcze chytrze głos. Nie trzeba mówić. Połóż ją, rozchyl jej nogi i zatop swoje troski w jej ciele.

Nie.

Głos wybucha śmiechem, ostrym i kpiącym, bo wie, że ta odmowa nie wynika z braku zainteresowania. Podejmie tę próbę jeszcze raz – później, gdy wola Ehiru osłabnie, a on stanie się bardziej podatny na podszepty. To tylko kwestia czasu.

Kolejna wizja. Ogień tańczy na horyzoncie. Pali się ziemia. Nieludzko wysokie postaci idą ku niemu wśród ognistych języków. Bogowie? Ale on zna ich twarze. Wzdryga się, bo teraz ich poznaje: to jego bracia, Sonta-i, Rabbaneh i Una-une. Ale Una-une nie żyje...

Kiedy to sobie przypomina, widzi, że jego dawny mentor uśmiecha się do niego. Ale w tym uśmiechu nie ma czułości, choć podczas jego praktyki byli dla siebie jak ojciec i syn. Ten uśmiech jest zimny, okrutny. Una-une spuszcza wzrok i wtedy Ehiru dostrzega, że bogowie-zbieracze stąpają nie po piasku czy skale, lecz po ciałach. Zwłoki leżą rozkrzyżowane i brzydkie, zupełnie pozbawione godności, choć Ehiru ku swojemu przerażeniu widzi na ich ciałach piętna: mak Rabbaneha, mrocznik Sonta-i, zieloną orchideę Una-une'a... własną różę oazy, surową i czarną. Gdy patrzy na tę ostatnią, spoczywającą na piersi pięknej kobiety z niskiej kasty, o, Hananjo, matki Nijiriego, Una-une opuszcza stopę i miażdży jej pierś. Ehiru słyszy trzask pękających kości, widzi gruzły skrzepniętej krwi wokół sandała jego mentora, czuje zapach i smak jej smrodu. To najbardziej wyuzdane zbezczeszczenie i Ehiru zaczyna krzyczeć, żeby przestali.

– Nie mogą – odzywa się głos u jego boku. Ehiru odwraca się i patrzy w poważne oczy Nijiriego. – Takie są obyczaje zbieraczy.

Ehiru dyskretnie otrząsa się z wizji; mętnie przypomina sobie, że otaczają go niewierzący obcy, którzy dziwią się ludziom krzyczącym

bez wyraźnego powodu. Nadmiar sennej żółci, ocenia, czując stopniowo zwalnający łomot serca. Zbieracz nie wytwarza już własnej sennej krwi. Kiedy jej zasoby się kończą, jego umysł zwiększa produkcję innych humorów w beznadziejnej próbie zachowania równowagi. Recytacja tekstów naukowych pomaga mu skupić się na rzeczywistości, choć w uszach nadal mu rozbrzmiewa trzask miażdżonych ciał.

– Popas, bracie – odzywa się Nijiri. Zawsze oddany asystent.

Ehiru kiwa głową, zbyt odrętwiały i pusty, by przemówić. Pamięta, żeby przywiązać wielbłąda, a potem z niego zsiąść; bezmyślnie, z nawyku rozpina płachtę, która ochroni go przed słońcem. Kiedy siada w cieniu, zaczynają się dreszcze. Mocniej otula się szatą i skupia się na otwarciu bukłaka, modląc się, by nikt nie zauważył jego trzęsących się rąk.

„Nie zniosę tego dłużej” – myśli i spogląda na Nijiriego, który podchodzi do niego z manierką. Nie będzie błagać; chłopiec musi sam przyjąć ten obowiązek. Byle szybko, Nijiri. Proszę, szybko.

Nijiri spogląda na niego; jego twarz wykrzywia grymas bólu. Ehiru wyciąga rękę, by dotknąć jego policzka; budzi się w nim przewrotne pragnienie, aby móc ukoić ból chłopca senną krwią. Ale Nijiri cofa się, a Ehiru, choć serce go boli, wie, że to konieczne. Może oddalając się od niego, chłopiec znajdzie siłę, by wykonać swój obowiązek. To wyjątkowo okrutna próba, lecz nie można odmawiać Hananji. „Nijiri ma na to dość sił” – myśli Ehiru z dumą. Zawsze miał duszę zbieracza.

Chłopiec przysiadł w cieniu swojego wielbłąda i walczył z sumieniem, kołysząc się lekko. Potem ta Kisuanika podchodzi do niego z bukłakiem i Ehiru chce na nich patrzeć, sprawdzić, czy asystent tym razem opanuje swój temperament, ale nie może, bo nachodzi go kolejna wizja i jest tak gwałtowna, że nie może jej się oprzeć i widzi.

Krew i śmierć krew na piasku krew i ogień krew na krwi na krwi.

Zabić Kisuankę zabić świadków zabić wszystkich z wyjątkiem Ehiru
sprowadzić go w łańcuchach w łańcuchach w łańcuchach.

Głos mówi podstępnie: *Eninket wie, że go zdradziłeś.*

Nikogo nie zdradziłem. Kiedy skończy się zawieszenie...

Zwłoka, nieposłuszeństwo. OnOna jest inkarnacją; jego słowo jest Jej słowem, które jest Prawem. Ale jest jeszcze czas. Zabij tę kobietę, a OnaOn okaże ci łaskę. Będziesz mógł wrócić do Hetawy. Znowu zaznasz spokoju. Kobieta jest młoda, ale wiele przeżyła. Jej senna krew będzie słodka, gdy spłynie, przełknęta, do twojej duszy.

Nie! Nie mogę zbierać dla egoistycznego zysku! To zbrodnia...

Zbrodnią jest to, co dzieje się w tej chwili. Przez ciebie. Nie zapominaj o tym, głupcze kochany przez Hananję. Przez ciebie dojdzie do rozlewu prawdziwej krwi.

Ehiru podnosi wzrok i widzi zbliżającą się śmierć.
Prawowidzenie...

Rzeczywistość wróciła, brutalna jak cios.

– Tam coś jest – powiedział, nie czując szczególnych emocji. – Ktoś się zbliża.

Nijiri natychmiast stanął u jego boku.

– Co widzisz?

Postaci nadciągały od strony horyzontu: ogromne, uśmiechnięte, zimnookie. Były wcielonym złem i Ehiru powiedział to Nijiriemu. Jedynym wyjściem była ucieczka, choć już wyczuwał, że nie ma ona szans powodzenia.

– Zwijać obóz! – krzyknęła Gehanu. Przebiegła wśród kłębiącego się tłumy minstreli, zwinna pomimo swojej wagi. – Szybko, musimy się zbierać! Gujaareńscy żołnierze!

Zamieszanie wśród minstreli drażniło umysł Ehiru, ich pytania nękały jego uszy. Dlaczego żołnierze z Gujaarehu mieliby im zagrażać? Skąd się wzięli? Ehiru także nie miał o tym pojęcia –

ale ktoś wiedział. Ta Kisuancka poszła do swojego wierzchowca bez zaskoczenia, lecz spojrzenia jej i Ehiru się spotkały i zbieracz ujrzał w jej oczach strach.

– Tym razem chcą cię zabić – powiedział.

Wzdrygnęła się, potem jej usta delikatnie drgnęły w gorzkim uśmiechu.

– Ostatnio nic innego nie słyszę od was, Gujaareńczyków.

I odeszła, a Nijiri pociągnął go w stronę wielbłąda.

Ehiru wczepił się w ramię chłopca.

– Nic mi nie będzie – rzekł i ujrzał jego zdziwienie tymi nagle przytomnymi słowami. Uśmiechnął się blado w odpowiedzi; zbieracze mają potężną wolę. Nijiri także się uśmiechnął, skinął głową i popędził do własnego wierzchowca. Wsiedli na nie i smagnęli je batami, aż zwierzęta zaczęły kłusować wielkimi susami – najszybciej jak mogły. Czuły ich strach i reagowały bez protestu. Kisuańska granica znajdowała się tylko o pół dnia drogi. Przez falującą mgiełkę nie sposób było ocenić, na ile daleko znajdowali się Gujaareńczycy ani czy zauważyli karawanę. Ciągle istniała nadzieja.

Nieprawda, roześmiał się głos w głowie Ehiru. Kiedy zbieracz znowu się obejrzał, falujące punkciki na horyzoncie zyskały wyraźne kształty mężczyzn na koniach, czterech czwórek albo więcej, cwałujących za nimi, ile sił w końskich nogach. Minstrele krzyczeli do siebie we wszystkich możliwych językach, wokół Ehiru pojawiały się sztylety, bicze i czasem nawet krótkie miecze. Potem Gehanu zawołała coś i jadący na czele karawany zawrócili, zatrzymując pozostałych. Ustawili się w kole, plecami do innych, z dobytą bronią. Palankin Talithele znajdował się w środku kręgu, wraz z cięższymi towarami na sprzedaż, by wierzchowce stały się zwrotniejsze.

Ehiru usłyszał, jak Gehanu woła do Sunandi:

– Uciekaj!

Na co Sunandi odpowiedziała:

– Nigdy mi się nie uda.

– Żeby cię! Chociaż spróbuj! My ich tu zatrzymamy.

Ale Ehiru już dostrzegł, że podwójny szereg konnych rozdzielił się na dwie części; pierwsza skierowała się na wschód, druga na zachód, by wziąć ich w dwa ognie. Minstrele nie zdołaliby odeprzeć wszystkich żołnierzy, a wystarczyłoby, że z kleszczy natarcia oderwałby się jeden jeździec, który dogoniłby Sunandi.

– Na Ognie Merika, oni wcale nie zwalniają... – wyszeptał jeden z minstreli, a potem runęli na nich żołnierze.

W chaosie, który się rozpętał, Ehiru zeskoczył z wielbłąda na piasek. Lepiej walczył, stojąc na własnych nogach. Jakiś żołnierz rzucił się na niego z dobytym mieczem; kapłan przygotował się na cios. Musiał zebrać wszystkie siły i umiejętności, aby chwycić między dłonie spadające na jego głowę ostrze. Rzucił się w bok i ostro szarpnął za miecz; zaskoczenie i nagły ruch sprawiły, że żołnierz puścił rękojeść i dał się ponieść koniowi. Ehiru odrzucił broń – i zachłysnął się oddechem, bo wzrok mu zmętniał, a na otaczający go krajobraz nałożył się inny. Las z koszmaru – paprocie, których pędy sięgnęły po niego jak macki, palmowe liście ociekające trucizną...

Nie! Nie teraz! Nie...

– ...ten, idioto!

Ehiru wyrwał się z wizji i zobaczył żołnierza po drugiej stronie chaosu, ściągającego wodze, by krzyknąć do człowieka, który przed chwilą chciał ściąć głowę kapłanowi. Nie miał liberii – żaden z nich jej nie nosił – ale jego ostre rysy i masywna szczęka zdradzały przynależność do gujaareńskiej wojskowej kasty. Coś w zachowaniu mężczyzny świadczyło o jego wysokim stopniu.

– Mamy rozkazy przywieźć go żywego!

Potem Ehiru nie miał już czasu na zastanowienie. W powietrzu zrobiło się gęsto od pyłu i kakofonii dźwięków; ludzkie krzyki mieszały się z przerażonymi głosami zwierząt i ze zgrzytem metalu. Wokół niego przemykały obrazy życia i śmierci; Kanek, syn Gehanu,

usiłujący opanować oszalałego ze strachu wierzchowca, podczas gdy z tyłu spadał na niego żołnierz. Śpiewaczka Annon rozpaczliwie osłaniająca się swoją cenną harfą jak tarczą przed ciosem siekącego miecza. Tancerz, którego imienia Ehiru nie znał, krzyczący z rozplatanym brzuchem i leżącymi na ziemi wnętrznościami. Wzrok zbieracza przywarł do niego. Zbiór byłby bardziej miłosierny niż śmierć, która go czekała. Ehiru odwrócił się i ruszył ku mężczyźnie; odgłosy otaczającej go walki ścichły i odeszły w tło.

– Nie ma tu dawców – szepnął do siebie. Jego słowa, choć prawdziwe, zabrzmiały nieprzekonująco. Odsunął od siebie poczucie winy i spróbował skupić się na swoim obowiązku. – Trzeba to zrobić.

Ale zanim zdążył dotrzeć do mężczyzny, kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Nieważne; nie zwrócił na to uwagi. Zamazany kształt przesunął się na linię jego wzroku i Ehiru ujrzał żołnierza uciekającego na koniu przed minstrelem z biczem...

NIE!

Tancerz nie wydał żadnego dźwięku, gdy końskie kopyto spadło mu na głowę. Mózg i kości rozprysnęły się na ziemi dokoła, istota mężczyzny rozpadła się w pył. Ehiru nie spodziewał się tej wściekłości, fali nienawiści tak dzikiej, że zatętniła mu w głowie. Ale żołnierz, który ukradł mu nosiciela daniny, już zniknął w tłumie.

Zabij go, powiedział głos.

A Ehiru odrzekł:

– Tak. Tak uczynię.

Pobiegł za żołnierzem: milczący, skupiony. Coś mignęło mu przed oczami, stanęło na drodze – inny żołnierz, z mieczem, żądanie kapitulacji. Ehiru odtrącił miecz, chwycił rękę, która go trzymała i kopniakiem zmiażdżył przeciwnikowi łokieć. Wilgotny trzask kości wyskakującej ze stawu zabrzmiał podobnie jak odgłos pękającej czaszki tancerza, który przez niedbałość żołnierza mógł zostać skazany na wieczność w krainach cienia.

– Pomszczę cię – szepnął Ehiru do duszy tancerza, ściągając

wrzeszczącego żołnierza ze złamaną ręką z siodła. Żołnierz nadal krzyczał i wił się na ziemi, trzymając bezwładną ruinę, która przed chwilą była jego ręką. Ehiru przyglądał mu się przez chwilę w zadumie, a potem przypomniał sobie, że nie o tego żołnierza mu chodziło. Obszedł konia pozbawionego jeźdźca i ruszył za swoją ofiarą.

Kolejny żołnierz spadł na ziemię u jego stóp, rżąc i plując krwią. Nijiri pojawił się przed oczami Ehiru, gotów do ciosu, choć wstrzymał się, widząc, że żołnierz jest obezwładniony. Ehiru uśmiechnął się do niego.

– Bracie! – Chłopiec miał dzikie spojrzenie. – Z południa nadciągają nowi żołnierze, kiswański patrol. Jeśli wytrzymamy jeszcze trochę... – Zachłysnął się i odwrócił, bo kolejny żołnierz ruszył w jego stronę.

– Dobrze – powiedział Ehiru, ruszając przed siebie. Chłopiec był zbieraczem, potrafił o siebie zadbać.

Żołnierz, którego ścigał, znajdował się w pobliżu centrum tego obłędu – niebezpiecznie blisko palankinu Talithele.

– Nic z tego – szepnął Ehiru i przemknął obok wielbłąda z pustym siodłem, by chwycić skórzany półpancerz żołnierza pod pachą. Szarpnął całym ciężarem ciała i zaskoczony żołnierz runął na ziemię zdezorientowany, lecz usiłując unieść miecz. Ehiru przydepnął ostrze i przyklęknął na piersi mężczyzny. Potem chwycił go za włosy i brodę, aby złamać mu kark...

Weź go.

Zamarł ze zmarszczonymi brwiami.

Dla Bogini. Danina przepadła, oto rekompensata.

Świat Ehiru znowu zmienił się w chaos. Żołnierze zauważyli kiswański patrol i zaczęli się wycofywać, ścigani przez ocalałych minstrelów. Gehanu klęczała na ziemi, tuląc zwłoki Kaneka i wyjąc z bólu.

Tyle śmierci i marnotrawstwa. Zepsucie tej kobiety kłamstwa zwierzchnika i Eninket to Eninket.

– Powinieneś mi zaufać – warknął Ehiru do wpatrzonej w niego twarzy. Oczy żołnierza się rozszerzyły. Wówczas kapłan położył mu dłoń na twarzy...

matko

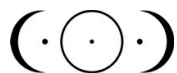
...przemocą zamknął mu powieki...

Hananjo, błagam o spokój

...i nagle Ehiru znalazł się w żołnierzu, a smak sennej krwi był słodkim wstrząsem, jak pierwsza kropla deszczu po długiej suszy. A po tym smaku – ulewa. Ehiru odchylił głowę i krzyknął w ekstazie, gdy jaźń żołnierza wlała się w ziejącą w jego wnętrzu bolesną pustkę, wypełniając go życiem po czubki palców u rąk i stóp. Tyle było w tym rozkoszy i mocy, że zakreśliło mu się w głowie, jego krocze zatętniło, skóra na głowie zamrowiła i – O, BOGINI, TAK – zapragnął więcej, tak bardzo, że odtrącił duszę, aby szukać dalej. Nie zostało nic więcej oprócz tej drobiny, której dusza potrzebowała, żeby pozostać nietkniętą, ale kogo by to obchodziło? Przerwał więź i wysłał to, co się wylało, zmiażdżył duszę i przełknął także i ją, i poczuł sytość dopiero, gdy zostały się już tylko resztki śmiertelnego bólu.

Wtedy z głębi świadomości Ehiru wynurzyła się zgroza i jednym słowem roztrzaskała jego błogość. To słowo było nazwą jego grzechu:

Kosiarz.



Inunru, pierwszy zbieracz i założyciel Gujaarehu, twórca narkomancji, ojciec uzdrowicielstwa; dokładne wiadomości na temat jego zabójstwa zatarły się jak wzory na piasku.

(Mądrość)

Gdy żołnierze zbliżyli się do nich, Gehanu chwyciła Sunandi za ramię.

– Do palankinu.

Sunandi usiłowała zawrócić wielbłąda; przerażone zwierzę nadal próbowało uciec.

– Ukrywać się z chorą staruszką? Nie jestem tchórzem...

– Nie kłóć się ze mną, głupia! Właż tam, a może dojedziesz żywa do swojego kraju!

To kończyło dyskusję. Sunandi zapomniała o dumie, zsiadła z wielbłąda i pobiegła do palankinu. Dwóch minstreli pomagało Talithele wejść do środka, po czym obłożyło palankin jukami niczym wałem ochronnym. Sunandi weszła do kruchej konstrukcji z drewna balsa i materiału i zajęła miejsce obok staruszki. Ułamek chwili później wokół nich rozpętał się chaos: krzyki, brzęk metalu i świszczące głosy przerażonych wielbłądów. Palankin zatrzęsł się od tętentu kopyt i łomotu padających na ziemię ciał.

Talithele wstrzymała oddech ze strachu i raptem rozkaszała się spazmatycznie. Sunandi pomogła jej zasłaniać usta chustą, opiekuńczo otaczając ją ramieniem. Usiłowała zmusić swoje

łomoczące serce do zwolnienia, ale dźwięki z zewnątrz były zbyt straszne, by mogła przestać się bać. W końcu – niewiedza sprawiała, że czekanie stawało się bardziej nieznośne – odchyliła odrobinę jedną z zasłon palankinu i wyjrzała.

Na miłosierdzie Protektorów!

Od ataku upłynęło parę chwil, ale powietrze już zgęstniało od pyłu, smrodu krwi i czegoś gorszego. Tuż przed palankinem leżał martwy mężczyzna, który pomagał im się schronić. Za nim ujrzała, jak kolejny minstrel spada z krzykiem z wielbłąda. Po chwili wzdrygnęła się, widząc, jak trąca go żołnierz. Obok przebiegła Gehanu, wrzeszcząca jak wariatka i trzymająca miecze w obu rękach. Potem serce Sunandi omal nie wyskoczyło jej z gardła, bo jakiś żołnierz obrócił konia i spojrzał wprost na palankin, dostrzegając ją w szparze między zasłonami.

– Musimy uciekać! – Chwyliła Talithele, lekką jak dziecko, i wywlokła z palankinu po drugiej stronie, z wysiłkiem przeciągając ją przez juki. Za ich plecami rozległ się tętent kopyt; niemal czuła na plecach nienawistne spojrzenie żołnierza, który zbliżał się, zbliżał się coraz bardziej, już prawie je dogonił, aby stratować...

Nagle za nimi zarżał głośno przerażony koń. Sunandi zaparła się dłonią o ziemię, by przewlec Talithele nad workiem z owocami. Poczowała pod palcami drżenie ziemi; obok upadło coś ciężkiego. Wstała z trudem i spojrzała.

Koń żołnierza leżał martwy. Podobnie jak sam jeździec leżący ze skrzywionym karkiem na ziemi koło rozbitego palankinu. Nad żołnierzem stał Nijiri, jeszcze z zaciśniętymi pięściami, z osłupieniem wpatrując się w zwłoki.

Sunandi pomogła Talithele wstać i przez chwilę opanowywała oddech.

– Mały zabójco – odezwała się, łapiąc powietrze. – Jakże mi się poszczęściło, że nim jesteś.

Chłopak wzdrygnął się i spojrzał na nią z gniewem, a z jego jasnobrązowych oczu zniknęło przerażenie. Potem jego twarz

steżała; stała się równie zimna jak twarz jego mentora.

– Zostańcie przy mnie – powiedział. – Ty nieś czcigodną, ja będę was bronić.

Chciała odmówić, ale pragmatyzm – i rzenie kolejnego padającego konia – przeważały nad małostkowością. Skinęła głową, wzięła Talithele na ręce i ruszyła za chłopakiem, starając się nie następować mu w panice na pięty. Nie oddalił się, przyczajony w bojowej postawie za szczątkami palankinu i stertami bagażu. Kiedy jednak Sunandi się rozejrzała, z ulgą zrozumiała, że nie będą potrzebować pomocy chłopca. Choć podróżnicy z karawany najwyraźniej przegrywali, napastnicy zaczęli się wycofywać, ostrzegając się nawzajem i spoglądając z wyraźnym niepokojem na południe. Sunandi poszła za ich spojrzeniami i ujrzała kolejną grupę jeźdźców zbliżającą się ku nim w kłębach kurzu. W oddali błyszczały złoto-zielone drewniane tarcze Protektoratu. Ze wzruszenia w oczach prawie stanęły jej łyzy.

Nagle Nijiri zeszywniał i odwrócił się, patrząc w stronę przeciwną do tej, z której nadjeżdżali kisuańscy jeźdźcy.

– Zostańcie tutaj – rzucił i zanim zdążyła zaprotestować, ruszył biegiem. Zatrzymał się przy Ehiru, który klęczał, pochylony przy kolejnym leżącym żołnierzu. Nie miała czasu się nad tym zastanawiać, bo kisuański oddział przybył na miejsce. Jeźdźcy rozdzielili się; ich większa część ruszyła w pościg za napastnikami, czterej zwolnili przy minstrelach. Sunandi zerknęła na Talithele, nie wiedząc, co zrobić.

– Połóż mnie – szepnęła staruszka ochryple. – Nic mi nie będzie.

Po chwili wahania Sunandi przykucnęła i położyła Talithele wśród worków z ziołami z północy, których aromat nie maskował otaczającego je smrodu śmierci. Uciekając, porzucili wszystkie prowizoryczne budy, więc Sunandi wyciągnęła ze szczątków palankinu złamany pał, wbiła go w ziemię i zarzuciła na niego kawałek materiału, żeby staruszka mogła się schronić w cieniu. Potem odwróciła się i uniosła pięści. Jeden z Kisuańczyków – szczupły, wielkooki mężczyzna z wielką ukośną blizną na twarzy –

spiął konia, by do niej podjechać.

– Jestem Sunandi Jeh Kalawe, Pierwszy Głos Protektorów na Gujaareh – zawołała, gdy się przy niej zatrzymał. Uniosła rękaw szaty, ukazując złotą bransoletę otaczającą jej ramię. Odpięła od niej wypolerowany agatowy kaboszon. Na jego płaskiej stronie wyryto oficjalny symbol podwójnej luny nad czterema drzewami: znak przejścia, przyznawany w Kisui wszystkim wysokim urzędnikom.

Żołnierz uniósł brwi.

– Bardzo się oddaliłaś od kraju, do którego cię wysłano, mówczyni. Co się tu wydarzyło? To nie są zwyczajni bandyci.

– To gujaareńscy żołnierze.

– Gujaareńscy...! Ale jak...?

– Uważam, że mają garnizon ukryty gdzieś na pustyni. – Sunandi podeszła bliżej i położyła rękę na siodle. – Zaatakowali nas, żebym nie mogła wyjawić tej tajemnicy Protektorom. Mam ich o wiele więcej, wszystkie równie ważne.

Żołnierz był zaskoczony, a jego oczy błysnęły stałą.

– Zatem je dostarczysz, mówczyni. Gdy wróci mój kapitan, powiem mu o wszystkim i będziemy eskortować cię na miejsce.

– Najpierw należy pomóc tym ludziom. Wiele... – Żal i wyrzuty sumienia uderzyły ją nagle. Spuściła głowę. – Wiele przeze mnie stracili.

Żołnierz skinął głową i dał znak swoim trzem kompanom, żeby zajęli się rannymi. Sunandi pomagała im, na ile mogła, podjąwszy się niemiłego zadania oddzielenia konających od tych, których można było jeszcze uratować.

– To nie twoja wina, Nefe. – Głos Gehanu wyrwał ją z odrętwienia. Kobieta, na której policzkach zaschły strumienie łez, siedziała, trzymając na kolanach martwego Kaneka. Jego pierś wyglądała jak krwawa miazga. – Ludzie, którzy za tym stoją, nie dbają, jak krzywdzą innych, byle tylko dostać to, na czym im zależy.

My po prostu stanęliśmy im na drodze.

Sunandi westchnęła i odeszła.

Ocalały zaledwie dwie czwórki z grupy – jedna trzecia minstreli, którzy wyruszyli z Gujaarehu. Jakby bogowie chcieli wynagrodzić im swoje wcześniejsze okrucieństwo, wielu z rannych przeżyło dzięki podróżującym z nimi Gujaareńczykom. Nijiri wyjawiał, że jest sługą Hananji, i poprosił o daniny humorów, by móc uzdrowić rannych. Potrafił wykonywać tylko najprostsze zabiegi – zasklepianie ran, łagodzenie wstrząsu – ale nawet to bardzo im pomogło. Trzej gujaareńscy minstrele, którzy przeżyli atak, pozwolili się natychmiast uspić i oddali mu wszystko, czego potrzebował z ich snów. Sunandi zauważyła, że chłopak nie powiedział im, jakim jest sługą Hananji, a oni nie pytali. Nie mieli też pretensji o to, że ich okłamał, słudzy Hananji bowiem często z różnych powodów podróżowali w przebraniu. Moc wiary, nawet wśród Gujaareńczyków żyjących poza granicami swojego kraju, była wielka.

Kisuańscy żołnierze wrócili z wiadomością, że gdy po stoczonych walce stało się jasne, że Gujaareńczycy przegrywają, zaczęli oni zwracać miecze przeciwko samym sobie. Zwlekających zasiekł lub zastrzelił ich kapitan, który zdążył też zadać sobie śmiertelną ranę, zanim go rozbrojono. Zmarł podczas przesłuchania.

– Ci dwaj także ze mną pojedą – oznajmiła Sunandi, wskazując Ehiru i Nijiriego. Ehiru siedział na bagażach nieopodal, prawie omdlewając ze zmęczenia; Nijiri kucnął obok niego, podając mu wodę. Chłopiec zerknął na nich, nasłuchując.

Kapitan obrzucił go uważnym spojrzeniem i podejrzliwie zmrużył oczy.

– Gujaareńczycy?

– Tak. Obiecałam, że staną przed Protektorami.

– Może to zabójcy?

Sunandi uśmiechnęła się z przymusem.

– Zapewniam, że nie.

Kapitan przyglądał jej się długo, po czym skinął głową.

– Po gujaareńskim oddziale zostało wiele dodatkowych koni. Na niektórych przewieziemy zwłoki, ale ty i twoi towarzysze możecie wziąć sobie po jednym. Resztę oddam tej karawanie jako rekompensatę strat.

– Dziękuję – odezwała się Gehanu, która usłyszała ich rozmowę i podeszła bliżej. Ślady łez zniknęły już z jej twarzy, ale zmarszczki jakby się pogłębiły. Kobieta wyglądała na zmęczoną staruszkę. – To nam pomoże.

– Gehanu... – Sunandi usiłowała znaleźć właściwe słowa.

Gehanu uśmiechnęła się z trudem i uściśnęła jej ramię.

– Jedź – powiedziała. – Cierpienie i śmierć to część życia. Poradzimy sobie.

Gardło Sunandi ścisnęło się kurczowo. To moja wina. Odwróciła się powoli, oplakując w duchu Kaneka i swoją przyjaźń z Gehanu, która nie przetrwa takiego ciosu. Ale Gehanu stęknęła z irytacją i nagle chwyciła ją w mocne objęcia. Sunandi zeszywniała, lecz nie zdołała powstrzymać łez. Kapitan taktownie się oddalił.

– Nadal jesteś córką mego serca – szepnęła Gehanu. Drżała, starając się nie rozplakać. – To się nigdy nie zmieni.

Gdy wreszcie ją puściła, Sunandi odsunęła się od niej niechętnie. Przed oczami stanęła jej ta noc, kiedy handlująca towarami cudzoziemka dała schronienie dziecku ulicy, które przez nieudolną kradzież zostało pobite niemal na śmierć. Ta cudzoziemka powiedziała o dziecku – ładnej i inteligentnej dziewczynce bez przyszłości – staremu dostojnikowi z rodu sonhów, który nie miał spadkobierców. Ten nadał dziewczynce nowe imię i wychował ją, ucząc, jak walczyć z królami – ale mała ulicznica nigdy nie zapomniała o tym pierwszym serdecznym gościu.

– A ty nadal jesteś starą awanturnicą – powiedziała.

Gehanu prychnęła ochryplym śmiechem i pokręciła głową.

– Kinja nie zdołał cię ułożyć, ty dzikusko. Idź już.

Sunandi niechętnie odwróciła się od niej. Nieopodal Ehiru wsiadał na swojego konia. Nijiri stał obok swojego. Kolejnego wierzchowca siodłano dla niej. Dosiadła go i spojrzała na południe. Przez chwilę coś ją zakłuło w sercu. Tam była ojczyzna – i czekały kłopoty, które się rozpętają jak burza, gdy Protektorzy dowiedzą się o gujaareńskim spisku.

Kłopoty? Raczej wojna – to bardziej odpowiadało prawdzie.

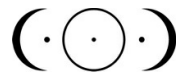
Zerknęła na Nijiriego. Nie od razu to zauważył; wpatrywał się w swojego mentora. Gdy wreszcie się odwrócił, z zaskoczeniem ujrzała w jego oczach czystą rozpacz. Potem chłopak dostrzegł jej spojrzenie i przybrał maskę chłodnego profesjonalizmu.

– Musimy to przetrwać, Jeh Kalawe – powiedział.

Sunandi zmarszczyła brwi, zastanawiając się, co go dręczy. Ten zabity żołnierz? Uczono go odbierać życie, ale nie tak brutalnie. Potem przeniosła wzrok na zgarbioną, zakapturzoną, zbyt nieruchomą postać Ehiru i zrozumiała.

No cóż. Przynajmniej nie będziemy marnować czasu na jazdę do szpitala.

Po długim krwawym dniu i perspektywie ponurej przyszłości była to najbardziej pocieszająca myśl, jaką zdołał z siebie wykrzesać jej zmęczony umysł. Kapitan dał sygnał i wszyscy ruszyli z kopyta do Kisui.



*Książę strzeże Hona-Karekh tak jak Hetawa
Ina-Karekh.*

(Prawo)

Sala audiencyjna w Yanya-iyen była niemal pusta, gdy Charris otworzył jej brązowe drzwi. Podest w głębi komnaty – szereg stopni prowadzących do tronu – zwykle ginął w tłumie dworzan i wiernych. Teraz stał na nim tylko książę z wyciągniętymi rękami. Dwaj adiutanci ubierali go w pełen pancerz – tradycyjny strój wojenny Zachodu Słońca. Trzeci służący trzymał za nim Aureolę, odwracając ją w ślad za księciem.

– A, Charris. Proszę o raport.

Generał ukląkł u stóp schodów.

– Na razie z południa nie dotarły do nas żadne wieści, panie. Atak mógł nastąpić wczorajszego wieczoru. Minie trochę czasu, zanim żołnierze powrócą i wyślą ptaka lub posłańca.

– Hmm. No, niezależnie od tego, czy ta kobieta zginęła czy nie, mogła wysłać wiadomość. Musimy założyć, że Kisuanie zostali ostrzeżeni.

Książę odwrócił się, nadal z rozłożonymi rękami; brązowe łuski jego pancerza zaśniły.

– Czy wyglądam wystarczająco bojowo? Oczywiście nie jakbym pochodził z kasty wojskowej, ale odpowiednio?

– Bardziej niż odpowiednio, panie. Natchniesz żołnierzy, aby walczyli do ostatniej kropli krwi.

– Powiedziałeś to jak prawdziwy syn wysokiej kasty. – Książę

opuścił ręce i obrzucił ostatnim spojrzeniem swoje odbicie w lustrze, trzymanym przez czwartego służącego. Skinął głową z zadowoleniem. Odprawieni służący szybko opuścili komnatę. Został tylko ten, który trzymał Aureolę. – Nie potrzebuję pochlebstw, generale. Niyes to rozumiał. Mam nadzieję, że z czasem ty też to pojmiesz.

Charris wziął głęboki oddech, by opanować kłębiące się w nim emocje.

– Tak, panie.

– Oczywiście istnieją plusy posiadania takich generałów jak ty. Nie zadajesz niewygodnych pytań, nie rzucasz mi spojrzeń pełnych dezaprobaty. Miła odmiana.

Księżę zszedł po schodach, skinąwszy przelotnie na Charrisa; służący z Aureolą podążył za nim. Przeszli przez salę – Charris kiwnął głową gwardzistom, którzy ruszyli za nimi, gdy księżę opuścił komnatę.

– Ostatecznie najbardziej liczy się lojalność – ciągnął władca. – Weźmy naszego obłąkanego, krwiożerczego przyjaciela, który obecnie wypoczywa w katakumbach pod pałacem, skuty łańcuchami. On nie myśli – już nie. Nie działa, dopóki mu nie rozkażę lub póki nie zgłodnieje i nie poczuje bliskości ofiary. Pod wieloma względami to ogranicza jego użyteczność, ale jednocześnie nigdy nie muszę się bać jego zdrady. Niektórzy władcy przez całe swoje życie starają się zasłużyć na taką wierność, a ja ją po prostu stworzyłem. – Roześmiał się cicho. – Oto prawdziwa władza, Charrisie. Mój ojciec i wszyscy książęta przede mną jej nie mieli, lecz ja ją zdobędę.

Sala audiencyjna znajdowała się na najwyższym piętrze Yanya-iyana. Księżę zaprowadził generała na prywatny balkon rodziny królewskiej. Charris wstrzymał oddech na widok rozpościerającego się przed nimi miasta. Ziemia wydawała się tak daleko w dole, że ludzie kręcący się po placu targowym byli mali jak lalki. Na zachodzie płynęła rzeka i rozciągały się żyzne pola, źródło zasobności Gujaarehu. Na północy rysowały się nawet delta rzeki

i wybrzeże Morza Chwały. Patrzący miał przed sobą całe królestwo, jak okiem sięgnąć.

Potem Charris odwrócił się na wschód i skamieniał.

– Musisz mi wybaczyć, że ci o tym nie powiedziałem – rzekł książę. Charris czuł na sobie jego wszystkowidzące spojrzenie. – Admirał Akolil gardzi wojskami naziemnymi, a ja na ogół dbam o jego dobre samopoczucie. Ale przyszedł czas, byś się dowiedział.

„Statki” – pomyślał Charris w oszołomieniu. Z tego miejsca widział wschodni port, wychodzący na Wąskie Morze i umożliwiający Gujaareńczykom handel z miastami na wybrzeżu aż po Kisuę. W tym porcie roiło się od statków – okrętów wojennych – właśnie wpływających tłumnie do doków. Za nimi rozciągało się Wąskie Morze sięgające od gujaareńskiego wybrzeża aż po horyzont. A tam kołysały się kolejne równo zakotwiczone statki, całe rzędy. Setki! Usiały wodę jak wysypka.

– Budowa statków pięć lat temu na Morzu Chwały – szepnął Charris. – Podatki na zaopatrzenie większej ilości żołnierzy, niż mamy.

– Otóż to. – W głosie księcia zabrzmiała duma. – Z pomocą naszych sprzymierzeńców te statki odbyły długą podróż wokół północnego kontynentu, przez oceany pełne pływającego lodu i innych niebezpieczeństw, zbyt fantastycznych, by je nazwać. Straciliśmy ich wiele, lecz znacznie więcej ocalało. A teraz niemal każdy przybił tu z ładownią pełną krwiożerczych barbarzyńskich wojowników. Kisuanie będą bardzo zaskoczeni.

Charris z trudem zmusił oporne wargi do ruchu.

– Kiedy?

– Wypływają jutro. Przyspieszam uzupełnianie ich zapasów żywności, na ile się da. Akolil zapewnia mnie, że zdoła przepłynąć cieśninę Iyete w jeden dzień, a dotrzeć do północno-wschodnich brzegów Kisui – w ósmdzień, a może o parę dni dłużej. Oczywiście znacznie wcześniej, niż zamierzałem – za sprawą Niyesa, Kinji i pięknej zdradzieckiej Sunandi. I chciałem mieć dwadzieścia tysięcy

żołnierzy, nie tylko dziesięć; reszta nie przybędzie przed upływem tygodni czy nawet miesięcy. Ale dziesięć tysięcy wystarczy na pierwszą falę. Przecież Kisua także nie jest gotowa.

Charris spojrział na niego w osłupieniu, zbyt oszołomiony, żeby zachować zwykłą samokontrolę.

– Naprawdę zamierzasz to zrobić? Kisua jest dwa razy większa od nas...

– Ale my jesteśmy od niej dwa razy bogatsi. A przez swój izolacjonizm narobiła sobie wrogów wśród północnych plemion, które mają pretensję o to, że Kisua zmonopolizowała cały handel z południem. Nordowie nabrali ochoty do walki, gdy obiecałem im, że to oni będą mieli tam wpływy handlowe. – Książę uśmiechnął się i zwrócił wzrok na wschód. – Choć nie jestem pewien, czy dotrzymam słowa. Ich żołnierze zginą co do jednego. To gujaareńskie miecze ostatecznie dobiją kisiańską bestię.

– Zginą? – wybuchnął generał, usiłując pozbyć się otępienia. Wojna. Na taką skalę... wojna, która pochłonie całą wschodnią połowę kontynentu i północ na dodatek. Zaledwie za ósmdzień.

– Oczywiście. Nasz obłąkany przyjaciel zrobił nadspodziewanie szybkie postępy. Doskonale się składa, gdyż zmuszono mnie do przedwczesnego działania. Wszystko zależy od Kosiarza.

A potem nagle Charris zrozumiał, co zamierza książę.

Chyba jęknął, bo ten spojrział na niego ostro. Uśmiechnął się na widok przerażenia generała.

– Senna krew – powiedział. Klepnął rubasznie Charrisa po ramieniu. – Koniec końców wszystko się do niej sprowadza. Mój ród nie będzie już niewolnikiem Hetawy. A Gujaareh nie będzie już zwykłym przystankiem na trasie handlowym. Staniemy się ośrodkiem cywilizacji, której wpływy rozciągają się na kontynentach, przynosząc wszystkim pokój i dobrobyt. Dam ludziom żywego boga, z krwi i ciała, nie ze snu. A oni będą go czcić. Rozumiesz?

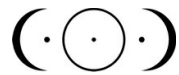
Tak, Charris to rozumiał. I przez tę niekończącą się chwilę, przez

którą tam stał, zdrada Niyesa zbladła w jego oczach, zaćmiona pragnieniem, aby dobyć miecza i przebić księcia.

Ale ta pokusa zniknęła. Charris był zhiną, prawdziwym synem Gujaarehu, a księżę to przecież inkarnacja Hananji. Zamach na niego to więcej niż zdrada – to bluźnierstwo. Dlatego generał ukląkł krzyżem, jak należy.

– Rozumiem, księżę – powiedział. – Moje życie należy do ciebie.

– Jak zawsze – odparł księżę i odwrócił się, aby podziwiać widok.



Ci, którzy czczą Hananję, mają być posłuszni Jej Prawu. Jednakże ci, którzy zamieszkują kraje niewiernych, mogą w razie potrzeby ukrywać swą wiarę, by zachować spokój.

(Prawo)

Kisua.

Stolica wydawała się nieskończona jak ocean. Spieczone słońcem białe ściany jej domów i wąskie brukowane ulice świadczyły o wspólnej historii z Gujaarehem, ale tu podobieństwa się kończyły. W mieście można było ujrzeć także wielkie, rozległe budynki mające czasem cztery lub pięć pięter, gzymsy ozdobione złotymi liśćmi, intarsje z kolorowych płytek, szczelnie zamknięte ozdobnie rzeźbione drzwi z ciemnego drewna. Większość budynków porastały pnącza, których kwiaty roztaczały w ciepłym, wilgotnym powietrzu zapach tak mocny, że Nijiri czuł je z odległości kilku ulic. Z wonią mieszały się dziwne odgłosy: hałaśliwy śmiech, zapalczywe kłótnie, wołanie kupców zachwalających swoje towary, kołysanki i pieśni miłosne, dawno już zapomniane w Gujaarehu. Chłopak poczuł smak trzech tysięcy lat tego miasta, mocny i ciężki jak sny starców.

Za nim, w zasłoniętej kotarą alkwie, spał Ehiru. Nie odezwał się od incydentu na pustyni, wyrwał się z bezruchu tylko wtedy, gdy kierował nim Nijiri, jego oczy nie reagowały na żaden widok, zapatrzone w inne krainy. W drodze do miasta Nijiri zdołał ukryć stan swojego mentora przed żołnierzami, choć podejrzewał, że

Sunandi go zauważyła. Nie zaprotestowała, kiedy oznajmił, że chce dzielić pokój z Ehiru, choć jej dom miał wystarczająco wiele pomieszczeń i każdy mógł spać osobno. Służący przynieśli jedzenie i świeże ubrania i wyszli, by Nijiri mógł spokojnie wykąpać Ehiru i zająć się własną toaletą.

I tak o zachodzie słońca Nijiri ukląkł na balkonie, aby modlić się i odnaleźć w sobie spokój. Medytował, dopóki Śniąca nie weszła w pełni. Jej czterobarwne światło było mu znajomym, niosącym ulgę towarzystwem.

W końcu wrócił do sypialni gościnnego apartamentu. Ehiru leżał wśród przezroczystych zasłon, niespokojny, chociaż na jego czole spoczywała zdobna ważką jungissa Nijiriego. Chłopiec przesunął czubkami palców po zmarszczkach troski na czole mentora. Wyglądało na to, że faworyt Hananji nawet we śnie nie może zaznać spokoju. Istniał tylko jeden sposób, by mu go zapewnić. Nijiri uniósł rękę, żeby położyć palce na powiekach Ehiru.

Ehiru nie przeszedł próby pranje. Jego zbiór będzie aktem dobroci – o wiele większym niż zmuszenie go, by się zbudził i uświadomił sobie ogrom swojej zbrodni. Był to obowiązek Nijiriego jako praktykanta Ehiru i sługi Hananji. W Hetawie Ehiru już by został odesłany. A jednak...

Ręka Nijiriego zadrżała.

W Hetawie Ehiru nie musiałby przechodzić próby w trakcie walki, otoczony chaosem i wrogami. Czy w takich okolicznościach można było mówić o prawdziwym sprawdzianem opanowania? Nawet Nijiri zabił... nie za pomocą narkomancji, ale zabójstwo to zabójstwo. I z tego powodu, ponieważ ochraniał objętą zawieszeniem nosicielkę daniny, a nie opiekował się Ehiru, choć taki miał obowiązek, jego mentor musiał przejść chwilę najgorszej próby bez niczyjej pomocy. Jego klęska była w równym stopniu klęską Nijiriego.

– Bracie...

Nijiri cofnął gwałtownie rękę, przygnieciony bólem tak strasznym, że prawie miażdżącym. Przytulił czoło do czoła Ehiru

i zapłakał bezradnie, zadygotał w gwałtownych spazmach szloch, które odbiły się echem od ścian gościnnego apartamentu i pewnie poniosły się dalej, chociaż było mu obojętne, co Sunandi czy jej służba myślą o jego rozpacz. Chciał tylko, żeby Ehiru się zbudził, uciszył go i objął, jak dawno temu, kiedy spotkali się po raz pierwszy.

„Oddałbym za ciebie życie” – pomyślał tego dnia. Tymczasem nauczył się zabijać, chodzić w snach, tańczyć radość duszy. Zrobił to wszystko, by stać się godnym tego człowieka, który ze wszystkich znanych mu ludzi najbardziej zasługiwał na miano jego ojca. I którego najbardziej pragnął uczynić swoim kochankiem. Nie istniały słowa na opisanie tego, kim był dla niego Ehiru: nawet siostra Meliatua nie całkiem to rozumiała. Może bogiem. O wiele bardziej niż Hananja.

Po jakimś czasie łzy przestały płynąć. Gdy ściskanie w gardle ustąpiło, Nijiri dźwignął się na równe nogi, odetchnął parę razy, żeby odzyskać nad sobą panowanie. Na twarzy Ehiru lśniły dwie strugi wilgoci. Nijiri osuszył je, a potem wytarł własną twarz. Cały spokój, który z takim trudem osiągnął poprzez wieczorną medytację, zniknął. Nijiri westchnął i przecesał włosy palcami. Zaczął krążyć po pokoju – i nagle zatrzymał się, widząc stojącą w drzwiach sylwetkę. Sunandi.

Kobieta weszła, nie prosząc o pozwolenie. Jej bosa stopy stąpały bezgłośnie po matach z plecionej trawy. Światło Luny oświetlało jej twarz, gdy przeszła koło okna. Pewnie słyszała jego płacz, lecz nie wspomniała o tym ani słowem. Nie spojrzała też na Nijiriego, który był zbyt zmęczony, żeby poczuć za to wdzięczność. U stóp łóżka zatrzymała się i długo patrzyła na Ehiru.

– Umrze?

Dawno temu Nijiri znienawidziłby ją za to pytanie. Teraz tylko odwrócił spojrzenie.

– Tak.

– Kiedy?

– Kiedy zrobię, co do mnie należy.

– Koniecznie teraz?

– Umyślnie zabrał senną krew człowieka i nie dał mu w zamian spokoju. Według naszego prawa nie ma większej zbrodni.

Westchnęła i założyła ręce na piersi.

– Śpi mocno jak na zbrodniarza.

– Słabe zakłęcie snu. Gdyby był sobą, nigdy bym nie zdołał go na niego rzucić. – Spojrzał na jungisę, obracając ją za kruche z pozoru skrzydełka. Przez stulecia należała do niezliczonych zbieraczy – a przedtem kamień, z którego ją wyrzeźbiono, spadł z nieba, gdzie wirował między samymi bogami. Może dotknął nawet Śniącej Luny, zanim spadł na ziemię jako magia w czystej, namacalnej postaci.

– Wycieńczenie bardzo nadwątliło jego umbliek – powiedział cicho. – Więż, która łączy duszę z ciałem i ze światem jawy.

– A teraz gdy... nie jest już wycieńczony?

– W zwykłych okolicznościach z czasem więź się zaleczy.

Sunandi zerknęła na niego z ukosa.

– Jeśli go zbierzesz, nie będzie miał na to czasu.

Nijiri pokręcił głową.

– W Hetawie może by mu się udało... po wielu miesiącach, w samotności. Tutaj, w tym szaleństwie... – Nijiri wskazał balkon, Kisuę, świat. – Nie. Nawet pomijając kwestię jego zbrodni, to beznadziejne.

Podszedł do wyjścia na balkon, czując na sobie spojrzenie Sunandi, i oparł się o mur, spoglądając na miasto i żałując z całego serca, że to nie Gujaareh. Żałował też, że ta Kisuanka nie wychodzi. Zostało mu tak mało czasu sam na sam z Ehiru...

Ale ona milczała tak długo, że w końcu obejrzał się, żeby sprawdzić, czy tam jeszcze jest. I skamieniał, bo ośmieliła się usiąść na łóżku Ehiru i głaskała meszek jego odrastających włosów. Podniosła wzrok, dostrzegła jego gniew i uśmiechnęła się do niego.

– Wybacz tę poufałość. Przypomina mi kogoś, kogo kiedyś znałam i bardzo kochałam. – Cofnęła rękę. – Powinien sam zdecydować.

– Co?

– Zdecydować. Czy umrze i kiedy. Mogłabym się pogodzić z tymi strasznymi rzeczami, które robicie, gdybyście robili je tylko tym, którzy tego chcą.

Nijiri spochmurniał.

– Myślisz, że on tego nie chce? Zbieracz Hananji?

Skrzywiła się.

– Może i chce. Ale jego miasto przygotowuje się potajemnie do wojny, jego brat posługuje się złą magią, Kosiarz czyha w mroku... a Ehiru nie dożyje, by ujrzeć, jak to się skończy. To się wydaje okrutniejsze, niż gdyby go po prostu zabić.

Nijiri zacisnął rękę na zasłonie.

– Po prostu chcesz, żeby jutro stanął z nami przed Protektorami.

– Nie mogę zaprzeczyć. Lecz służy to także tobie, bo dzięki temu uratuję zarówno twoje, jak i swoje miasto. Możesz sądzić inaczej, ale nie chcę widzieć wojny między naszymi krajami. I boli mnie widok waszego cierpienia. – Nijiri prychnął, ale nie skomentowała tego. Nadal patrzyła na Ehiru. – Kiedy powiedział mi o Lin... zniecierpliwiona widziałam was wszystkich. Wszystkich, którzy posługują się magią. Teraz zaczynam rozumieć, że to wasza Hetawa jest podła, nie wy.

Otworzył usta, żeby zarzucić jej bluźnierstwo, i przypomniał sobie wyraz oczu zwierzchnika, gdy wyprowadzano Ehiru w jarzmie bestii.

– Nie cała Hetawa.

O, co za słabość.

– Prawda. Ty i twój mentor, i nawet ten Kosiarz, który zabrał moją Lin... jesteście tu ofiarami. I to najbardziej żalnymi, bo wierzycie.

Nijiri patrzył na nią przez chwilę; potem usiadł na krześle. Potarł

twarz.

– Może masz rację.

Zamilkła – pewnie z zaskoczenia lub z szacunku wobec jego bólu. Kiedy znowu się odezwała, mówiła cicho jak zbieracz.

– Pozwól mu dożyć jutra. Pozwól mu usłyszeć, co mają do powiedzenia Protektorzy. Nie wiem, jakie informacje mu podadzą, ale rozmawiając z nimi, może pomóc w zaleczeniu rozłamu między naszymi krajami. Może to da mu nową dawkę spokoju, zanim... – Zawahała się, szukając odpowiednio oględnych słów.

– Zanim umrze – dokończył za nią Nijiri. Spojrzał jej w oczy i uśmiechnął się blado. – Pamiętaj, nie boimy się śmierci. – Popatrzył na Ehiru i spochmurniał. – Nie będzie zadowolony, kiedy się obudzi.

– Znieś to – odparła, wstając. – Przecież ciągle podejmujecie decyzje w sprawie cudzego życia... i śmierci. Prawda? Może czas, żeby jeden z was nauczył się stawiać czoła konsekwencjom takich decyzji, zamiast po prostu zabijać tych, którzy protestują.

Kolejna obelga – ale przez ironię przebijała nutka życzliwości i Nijiri zrozumiał, że to jej sposób zawarcia pokoju. Skinął głową; nie zostało w nim ani trochę gniewu, tylko smutek.

– Może i tak, mówczyni.

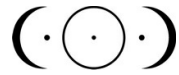
Uniosła brwi zdziwiona, że zwrócił się do niej tak oficjalnie; po długiej chwili odpowiedziała skinieniem głowy.

– Zatem dobrze wypocznij, mały zabójco. Rankiem przyjmą nas Protektorzy. Bądź gotów.

Odwróciła się i wyszła, zostawiając Nijiriego z Ehiru i własnymi myślami.

Po paru chwilach milczenia Nijiri wstał z krzesła. Podszedł do Ehiru, uniósł koc i wślizgnął się pod niego, wtulając się w zagłębienie ramienia swojego mentora. Ukołysany równym biciem jego serca przespał resztę nocy – nie całkiem spokojnie, ale

na szczęście bez snów.



*Wszyscy, którzy oddają się Hetawie, mają
prawo do jej opieki i pociechy.*

(Prawo)

Ehiru otworzył oczy w pierwszym blasku świtu.

„Nadal żyję” – pomyślał. Ogarnęła go rozpacz.

Leżący u jego boku Nijiri mruknął coś przez sen. Na jego twarzy zostały zaschnięte ślady łez; Ehiru zauważył je też na swojej piersi. To ukoilo nieco jego ból, bo samolubstwem z jego strony byłoby zapomnienie, że jego śmierć to próba także dla Nijiriego. Westchnął i wytarł łzy z jego twarzy.

– Wybacz mi – szepnął, a chłopiec westchnął w odpowiedzi.

Ssący ból pustki zniknął; pustkę wypełniła senna krew żołnierza. Ale Ehiru nie czuł zwykłego spokoju czy satysfakcji, która nadchodziła po zbiorze – co go nie dziwiło, bo to, co zrobił temu żołnierzowi, pod żadnym względem nie dawało się nazwać zbiorem. Ehiru zamknął oczy i znowu zobaczył twarz mężczyzny: najpierw gniewną, potem przerażoną, gdy uświadomił sobie jego zamiary. I dotyk duszy żołnierza, która miotła się, usiłując uciec przed jego głosem, bezradna jak ćma trzepocząca w dłoni – i to także rozjątrzyło jego żądzę. Jeszcze raz zadrżał na wspomnienie podniecenia, z jakim unicestwił tę duszę, by w nagrodę wspiąć się oszalamiającą spiralą rozkoszy, której szczyt był cudowniejszy niż cokolwiek, czego doświadczył w życiu. W porównaniu z nim zwykłe zbiory bladły... i to był dowód na jego niewybaczalne zepsucie. Zabijając Charlerona z Wenkinsklanu, nie czuł takiej przyjemności. Roześmiał się w duchu – bez wesołości, gorzko – nad swoim

uprzednim zarozumiałstwem. Naprawdę uważał się za zbyt zbrukanego, by służyć Hananji? Co Bogini musi myśleć o jego obecnym upadku? Ta myśl zaboląła go tak bardzo, że nie potrafił się nawet rozplakać.

– Bracie? – Otworzył oczy i przekonał się, że Nijiri się zbudził. Chłopiec miał ochrypły głos i obrzmiałą twarz. – Jesteś znowu ze mną?

– Tak. – Ehiru spojrział w mozaikę na suficie, nie potrafiąc wytrzymać spojrzenia praktykanta. Dlaczego zwierzchnik uczynił go mentorem tego chłopca? Ehiru nigdy nie zasługiwał na taką odpowiedzialność.

Lecz Nijiri spuścił oczy i Ehiru zrozumiał nagle, że chłopiec wini siebie za to, co się stało.

– Wykonałbym wczorajszej nocy mój obowiązek, ale pomyślałem... dziś... Protektorzy... – Nijiri znowu urwał, odetchnął głęboko i zrobił wyraźny wysiłek, żeby się opanować. – Myślałem, że może zechcesz ujrzeć przynajmniej zakończenie części tego przedsięwzięcia.

– Niewielu umierających ma okazję uporządkować swoje sprawy – powiedział Ehiru neutralnym tonem. – Zbieracze nie powinni mieć specjalnych przywilejów.

– Wiem. – Głos chłopca zabrzmiał nagle ostro i Ehiru spuścił wzrok z zaskoczeniem. Nijiri miał dziwnie napięty, zdeterminowany wyraz twarzy – była to determinacja kogoś, kto wie, że postępuje źle, lecz i tak to robi. – Ale nie mogę wypełnić polecenia braci bez twojej pomocy. Nie mogę wyjawić tak wielu tajemnic i nie mogę znaleźć i unicestwić Kosiarza. Nie zrobię tego sam. Jestem tylko praktykantem, bracie Ehiru. Nie możesz tyle ode mnie wymagać.

I Ehiru westchnął, bo wiedział, że Nijiri ma rację.

– Zatem wrócę z tobą do Gujaarehu – powiedział w końcu i pokręcił głową, widząc dziki rozbłysk nadziei w oczach chłopca. – Tylko tyle. W Gujaarehu Sonta-i i Rabbaneh pomogą ci odszukać Kosiarza i oczyścić Hetawę. Gdy zbierzesz moją daninę... – Nijiri

zbladł; Ehiru bezlitośnie ciągnął dalej – ...staniesz się prawdziwym zbieraczem. We trójkę będziecie mieli dość sił na to, co trzeba zrobić.

Chłopiec pochylił się nad dłońmi, dygocząc. Po kilku długich sekundach uniósł głowę, już opanowany, choć Ehiru podejrzewał, że ten spokój to bardzo cienka maska kryjąca największy z możliwych zamętów. „Zawsze to jakiś początek” – pomyślał.

– Tak, bracie – powiedział Nijiri. Każde jego słowo było jak zgrzyt buntu udającego spokój. – Zrobię, o co prosisz.

Ehiru odetchnął powoli. Usiadł, spuścił nogi z łóżka i...

Oko światła w ciemnościach, gapiące się i szydzące z niego, drżącego w klatce i błagającego Hananję o śmierć.

Zastygł.

– Bracie?

Wizja. Był syty sennej krwi bardziej niż zwykle, bo nie oddał Dawcy nadwyżki, a jednak jego dusza nadal się błąkała.

– Bracie... – W głosie Nijiriego brzmiał strach.

Podzielę się tym, mój praktykancie.

Ile mu zostało do chwili, gdy szaleństwo znów go ogarnie? Ósmdzień? Mniej? Jak długo, zanim wróci ten głód, tym razem nie do zaspokojenia? Krew mu zlodowaciała jeszcze bardziej, kiedy przypomniał sobie, co zrobił w walce. Uśpił przytomnego, stawiającego opór mężczyznę bez jungissy. Wydarł z jego umysłu senną krew w parę chwil. To nie są umiejętności zbieracza.

Kiedy przestanie się różnić od potwora, który zaatakował Nijiriego?

– Obiecuj mi, że to zrobisz – szepnęła. Jego głos nawet jemu wydał się głuchy. – Obiecuj, że odeślesz mnie do Niej, dopóki nadal jestem Nsha.

Wyjawił swoje imię duszy chłopcu tylko raz, to było dziesięć lat temu, ale Nijiri oczywiście je zapamiętał. Kątem oka Ehiru zauważył jego drgnienie. Po chwili chłopiec powiedział:

– Przysięgam, bracie.

I przykrył dłonią jego dłoń.

Żeby pokazać, że się mnie nie boi. O, ale będziesz się bać, mój praktykancie. Na końcu, jeśli zawiedziesz, wszyscy będą się mnie bać. Twoja pociecha nie ma znaczenia.

A jednak był na tyle słaby, że i tak jej pragnął. Odwrócił dłoń wierzchem do góry, splótł palce z palcami Nijiriego i tak siedzieli w milczeniu, aż zjawili się służący Sunandi.

Izba Spotkań Protektorów znajdowała się w centrum kisuańskiej stolicy. Był to skromny budynek, przysadzisty i rozłożysty, o ścianach z przykurzonego brązowego kamienia, pozbawiony splendoru Yanya-iyana, choć urzędowali w nim władcy tego kraju. Szerokie drzwi stały w obramowaniu małych nieozdobnych kolumn; podłogi wyłożono marmurem, lecz niepolerowanym, pociemniałym ze starości. Ludzie, którzy stali na tych stopniach – petenci i handlarze wpływami, czego domyślił się Ehiru, gdyż wielu z nich cuchnęło zepsuciem – odprowadzili ich wzrokiem. I natychmiast odgadli, kim jest, choć i on, i Nijiri mieli na sobie pozbawione kapturów szaty w kolorze zszarzałej bieli – strój najbardziej przypominający codzienne odzienie zbieraczy, jaki udało się zdobyć Sunandi. Nie oderwali rękawów, by nie zniszczyć własności ich gospodyni; nikt nie widział ich tatuaży. Ale jakoś wszyscy się dowiedzieli.

Surowe otoczenie sprawiło Ehiru ulgę. Wszedł do budynku, podążając za Sunandi, z Nijirim u boku. Ta prosta architektura i powaga ludzi, których spotkał w budynku – mających prawdziwą władzę i odpowiedzialność, nie tylko pragnących je zdobyć – przypomniła mu Hetawę. W innych, lepszych okolicznościach mógłby się tu poczuć jak w domu.

Przeszli przez mroczne łukowate drzwi na teren właściwej Izby Spotkań – komnaty o sklepionym suficie, do której światło wpadało przez zakratowane otwory wysoko w ścianach. Snop słonecznego światła, w którym wirowały pyłki kurzu, padał na wygięty kamienny stół ciągnący się przez całą salę. Ehiru naliczył

siedemnaście siedzących przy nim osób – dostojnych i w podeszłym wieku, choć w tym kraju, gdzie nie pochwalano zadawania się z cudzoziemcami, trudno było określić ich kastę. W cieniu kolumn za ich plecami czekała garstka służących. Po obu stronach sali stali strażnicy przyglądający się Ehiru z jawną podejrzliwością. Poza nimi w pomieszczeniu przebywali tylko Protektorzy i trójka petentów.

Sunandi zatrzymała się przed stołem i złożyła Protektorom wymyślny ukłon.

– Szacowni i mądrzy – przemówiła w oficjalnym sua – przybywam, by was powitać. Jestem waszym głosem, oczami i uszami w cudzoziemskich krajach; upraszam, abyście mnie teraz wysłuchali w sprawie wielkiej wagi.

Siedząca w centralnym miejscu stara kobieta o rzednących skręconych włosach skinęła dłonią.

– Czytaliśmy twój wstępny raport, mówczyńi Jeh Kalawe, a także raport kapitana, którego oddział uratował was na ziemi niczyjej.

Sunandi wyprostowała się i stanęła w mniej oficjalnej pozie, choć nadal z szacunkiem spuszczała wzrok.

– Czy przeczytaliście także raport Kinji Seh Kalabsha?

– Przeczytaliśmy to, co o nim napisałaś. Wolelibyśmy ujrzeć raport spisany jego własną ręką. – Staruszka obrzuciła Sunandi surowym spojrzeniem.

– Moja protegowana Lin straciła życie, niosąc wam ten dokument, szacowna. – Sunandi milczała tylko przez chwilę, choć Ehiru zauważył błysk gniewu w jej oczach. – Nie mogłam go wydobyć z jej szczątków.

– Ubolewamy nad stratą twojej niewolnicy, Jeh Kalawe – odezwał się inny Protektor, choć Ehiru nie słyszał bólu w jego głosie. Jawne lekceważenie, z jakim potraktował dziewczynkę, było obraźliwe, ale tłumaczyło gniew Sunandi. – Po tej audiencji możesz się ubiegać o rekompensatę. Przyznam jednak, że twój raport budzi moje wątpliwości. – Protektor zmierzył Sunandi spojrzeniem zmrużonych oczu, a potem zerknął pogardliwie na Nijiriego. –

Bardziej niepokoi mnie fakt, że przyprowadziłaś tu tych cudzoziemców, kimkolwiek są.

Sunandi wyprostowała się dumnie.

– To zbieracze z Gujaarehu, szacowny – hananjański kapłan Ehiru i jego praktykant Nijiri. Przyprowadziłam ich tu na ich prośbę. Oni także potrzebują porady Protektorów.

Te słowa wywołały pomruk zaskoczenia; kilku Protektorów zaczęło szeptać między sobą. W końcu siedząca na środku kobieta powiedziała:

– Nie pojmuję, czego mogą od nas chcieć bezbożni kapłani z Gujaarehu.

– Informacji, szacowna – odezwał się Ehiru w oficjalnym sua. Jego głos obudził nowe poruszenie wśród Protektorów. Sunandi zerknęła na niego z konsternacją, jakby pogwałcił jakąś regułę protokołu, ale to go nie obchodziło. Zostało mu zbyt mało czasu, żeby go marnować na przyzwoitość.

– Ostatnio w moim kraju doszło do wielu niepokojących wydarzeń – powiedział. – Po ulicach stolicy grasuje Kosiarz, być może za zgodą ludzi władzy. Z jego ręki zginęło dwudziestu mężczyzn – zerknął na Sunandi – dwudziestu mężczyzn i dziewczynka mówczyni. To mnie obwiniono o jego ataki, ale uwolniono pod warunkiem, że zbiorę mówczynię Jeh Kalawe. A teraz wasz oddział starł się na Pustym Tysiącu z gujaareńskimi żołnierzami, którzy chcieli ją zabić. Muszę się dowiedzieć, dlaczego tak wielu moich rodaków pragnie śmierci tej kobiety.

Staruszka uniosła brwi aż do linii włosów.

– Sądysz, że wiemy?

Ehiru skłonił głowę.

– Wierzę, że istnieje powód, dla którego książę doprowadza do własnego zepsucia i ryzykuje wojnę z Kisua, by ukryć tajemnice znane tej kobiecie. Wierzę, że istnieje powód, dla którego Hetawa mu pomaga i pozwala na istnienie Kosiarza. I wierzę, choć z wyjątkiem przecucia nie mam na to żadnego dowodu, że

to wszystko jakoś się z sobą łączy. Nie mogę zaufać żadnemu mojemu rodakowi. Może pomogą mi cudzoziemcy.

Protektorzy znowu zaczęli się naradzać szeptem. Sunandi zerknęła z ukosa na Ehiru.

– Oszalałeś bardziej, niż mi się zdawało – mruknęła po gujaareńsku.

Skinął głową bez uśmiechu. Wkrótce jej słowa okażą się bardzo prawdziwe.

Protektorzy skończyli szeptać.

– Niech tak będzie, zbieraczu z Gujaarehu – powiedziała staruszka. – To, o czym ostatnio donoszą nam nasi szpiedzy, brzmi tak niewiarygodnie, że nie wiemy, jak to rozumieć. Może wymiana informacji sprawi, że spłynie na nas olśnienie. – Tu zerknęła na innego Protektora, który przez chwilę krzywił się okrutnie, zanim wreszcie westchnął.

– Muszę was ostrzec, że nasze informacje są niepełne – powiedział. – Ale zaczęły nadchodzić kilka lat temu, gdy nasi sprzymierzeńcy Shadounowie znaleźli grobowiec u stóp zachodnich pustynnych wzgórz, daleko od najpopularniejszych szlaków. Znaleźli go, bo został niedawno zbeczeszczony – obrabowany. Złodzieje uciekli na północ w stronę Gujaarehu. Początkowo nie sądziliśmy, żeby to było coś ważnego, choć oczywiście kazaliśmy to sprawdzić. Teraz uważamy, że w tym grobowcu spoczywał Inunru – pierwszy zbieracz i założyciel waszej religii.

Nijiri zmarszczył brwi w konsternacji.

– Przecież o tym grobowcu słuch zaginął setki lat temu, a dla nas byłby święty. Dlaczego jakiś Gujaareńczyk miałby bezcześcić... – wybuchnął.

Sunandi zgromiła go wzrokiem. Chłopak urwał w pół zdania.

– Twój praktykant mówi prawdę, zbieraczu, choć nikt go o nią nie prosił – powiedział starzec, rzucając Nijiriemu równie niechętne spojrzenie. Potem znowu popatrzył na Ehiru. – Dobrze wiedzieć, że przynajmniej zachowaliście odpowiedni szacunek dla własnej

historii, jeśli nie właściwe obyczaje religijne.

Ehiru uniósł głowę.

– Niektórzy mogliby powiedzieć, że dbamy o obie te rzeczy lepiej niż Kisuanie, szacowny. Niegdyś i tutaj posługiwano się magią.

Stary mężczyzna rzucił mu nieprzyjazne spojrzenie.

– Dopóki nie dostrzeżono jej straszliwej mocy.

– Być może. Ale co to ma wspólnego z obecną sprawą?

– Nie wiedzieliśmy aż do wczoraj, gdy przeczytaliśmy raport Kinji, dostarczony nam przez Jeh Kalawe. – Starzec westchnął. – Wiele stuleci temu w Kisui pierwsi kapłani, którzy parali się magią snu, zaczęli popadać w obłąd. Tak mówią nasze podania. Inunru – który także znalazł się w takim niebezpieczeństwie – obserwował ich w nadziei, że znajdzie przyczynę i lekarstwo. Sto lat później, kiedy magia została zakazana, a tych, którzy ją stosowali, wygnano, większość zapisków Inunru zniszczono, aby wiedza w nich zawarta nie przetrwała i nie powróciła niczym zaraza. – Starzec skrzywił się z obrzydzeniem. – Ale wciąż słyszeliśmy opowieści, że niektórzy wyznawcy Inunru zdołali wynieść z miasta kilka zwojów.

– Zawsze uważaliśmy – dodała stara kobieta – że zwoje te zostały w Gujaarehu. Jednak najwyraźniej wasz lud także stracił je z oczu... aż do niedawna. – Spojrzała na Sunandi. Jej oczy nie wyrażały niczego.

Sunandi powoli skinęła głową.

– Widziałam w komnatach księcia zamkniętą szkatułę. Sądzę, że tam je trzyma.

– Hmm... – Staruszka nagle wydała się zmęczona, jakby niewyspana. Nadmiar sennej złości, zauważył Ehiru mimowolnie, choć całą uwagę poświęcał słowom Protektorów, odrętwiały, jakby ktoś rzucił na niego zaklęcie snu.

– Tak. To ludzie księcia złupili grobowiec – w każdym razie tak sądzimy. Tuż potem zaczął się ten obłąd.

Sunandi wzięła głęboki oddech.

– To wyjaśnia wiele innych rzeczy, szacowna. – Spojrzała na Ehiru, choć nadal zwracała się do Protektorów. – Mój mentor Kinja już dawno podejrzewał, że księżę planuje wojnę. Informatorzy powiadomili go, że księżę negocjuje z kilkoma północnymi plemionami w celu zawarcia wojskowego przymierza. Potem zaczęto nagle importować osobliwe towary – ciężkie drewno, żelazo... Sprowadzono też z północy specjalistów od budowy statków i tym podobnych, choć wszystko to ustało kilka lat temu. Lecz parę miesięcy temu Kinja dowiedział się też, że księżę z premedytacją stworzył Kosiarza. Zapanował nad tym stworem dzięki tajemnej wiedzy – niewątpliwie pochodzącej ze skradzionych zwojów. Uczynił z niego swojego zabójcę, który odbiera życie każdemu, kto stanie księciu na przeszkodzie. Ofiary wyglądają, jakby zmarły śmiercią naturalną. Kinja... Sam Kinja mógł... – Urwała i zamilkła na chwilę, wyraźnie walcząc z emocjami.

– W Gujaarehu nikt by nie kwestionował czegoś takiego – szepnęła Ehiru, bardziej do niej niż do Protektorów. Znowu poczuł do niej litość; zarówno jej mentor, jak i protegowana zginęli z potwornej ręki Kosiarza. Dlatego spróbował ją pocieszyć, choć zostały mu tylko słowa. – Nikt oprócz zbieraczy, a my nie wiedzieliśmy. Gdybyśmy wiedzieli, pomogliśmy ci.

Skinęła nieznacznie głową, znowu opanowana, i podjęła opowiadanie:

– Przed wyjazdem z Gujaarehu dowiedziałam się także, że stwór miał związek z licznymi incydentami w stołecznym więzieniu. Wielu więźniów umarło w sposób dziwny nawet Gujaareńczyków, gdyż byli to zdrowi młodzi mężczyźni, którzy odeszli we śnie... w gwałtowny sposób. Zatem wygląda na to, że księciu nie wystarczy posługiwanie się Kosiarzem jako zabójcą. Pielęgnuje w tym stworzeniu zło, podsyca je, by urosło – z przyczyn znanych tylko sobie. – Zawahała się i zerknęła na Ehiru. – Nie mogłam natomiast zdobyć pewności co do udziału Hetawy w tym procederze.

Dlatego nie ośmieliła się powiedzieć Ehiru wszystkiego. Usłyszał w jej tonie przepraszającą nutkę i skinął głową, choć zdziwiła go u

osoby tak nienawidzącej zbieraczy. Ale przez ostatnie dni jej uczucia do jego braci – nie, do niego samego – najwyraźniej uległy zmianie. Teraz traktowała go z pewnym szacunkiem, którego nigdy by się po niej nie spodziewał.

Zerknął na Nijiriego i dostrzegł w jego oczach niechętnie współczucie dla Sunandi. Najwyraźniej zmiana zaszła po obu stronach. Dobrze.

– Kinja dowiedział się, choć to Jeh Kalawe miała nam przynieść te wiadomości – powiedziała stara kobieta, rzucając Sunandi zadowolone spojrzenie – że przez pięć ostatnich lat – odkąd książę znalazł zwoje – Gujaareh po cichu budował flotę statków, powiększając ją w stopniu przydatnym tylko podczas wojny. Inni szpiedzy to potwierdzili. Ze stoczni położonych poza miastem, na brzegu Morza Chwały, wypłynęły ogromne ilości okrętów. Nie obserwujemy uważnie Morza Chwały; nie ma ono połączenia z Oceanem Wschodnim, a przez to nie stanowi zagrożenia dla Kisui – a przynajmniej tak sądziliśmy. Jednak wiemy, że te statki miały grubsze kadłuby, niż to potrzebne na morzu, i zbudowano je technikami zapożyczonymi od plemion północy. Dlatego podejrzewamy, że książę ma obecnie flotę okrętów zdolnych opłynąć północny kontynent, przez zamrożone i niebezpieczne wody na szczycie świata, i dotrzeć do wschodnich mórz. – Przez chwilę milczała. – Podejrzewamy, że książę już wysłał te statki – większość wiele lat temu. Wszystkie opuściły doki tuż po ukończeniu budowy, nigdy więcej niż jeden na raz, ale sądząc po ilości zużytych materiałów i na podstawie obliczeń naszych skutników, sądzymy, że w tej chwili na północ zmierza jakieś pięćset jednostek. – Westchnęła ciężko i przeciągle. – Wasz książę jest cierpliwy niczym starzec.

„Ta Kisuanka... Nie powinna dotrzeć do Kisui, bo wybuchnie wojna”. Słowa Eninketa zabrzmiały w pamięci Ehiru, który zadrżał na myśl o obłudzie brata. Wojna już została wypowiedziana. Wybuchnie wcześniej czy później.

– Tak – powiedział. Znowu ogarnął go gniew, zbyt wielki –

kolejna oznaka jego zepsucia. Opanował go z wysiłkiem. – Cierpliwość to tylko jeden z darów, którymi obsypała go nasza Bogini. Aż do tej pory nie uświadamiałem sobie, że używał ich w tak bardzo złej sprawie.

W oczach starej kobiety przez chwilę mignął cień współczucia.

– Zatem może zechcesz nam wyjawić informacje, jakie posiadasz. Jak powiedziałam, podejrzewamy, że książę zawarł tajne przymierza wojskowe z kilkoma plemionami z dalekiej północy. Pośredniczył w nich bromarteński klan handlarzy. Jego mniej ważny członek, niejaki Charleron z Wenkinsklanu, był jednym z informatorów Kinji Seh Kalabshy. Niedawno umarł. Jeh Kalawe słyszała plotki, że został zebrany – a może skoszony. Wiesz coś o tym?

Wybacz mi, Bogini. Ten obłąd sięga o wiele głębiej, niż się spodziewałem.

Ehiru zamknął oczy i odetchnął głęboko.

– To ja pobrałem jego daninę.

Protektorzy znowu zaczęli szeptać. Stara kobieta szybko ich uciszyła.

– Kto rozkazał go uśmiercić? Książę? Jego rodacy? Czy przed śmiercią Bromarten podał ci jakieś informacje o konflikcie między księciem a twoim zwierzchnikiem?

– O tych rzeczach nic nie wiem – odparł Ehiru. – Zlecenie przyszło w zwykły sposób. Powiedziano mi, że nosiciel daniny jest nieuleczalnie chory. Nie miałem powodów, by podejrzewać coś odbiegającego od normy... – Ale mówiąc to, przypomniał sobie słowa, jakie Bromarten wypowiedział we śnie: oni cię wykorzystują. I przypomniał sobie też sylwetkę kogoś, kto obserwował go z pobliskiego dachu. Gdybym go nie zabił, Kosiarz by to zrobił. Ehiru zadrżał; w końcu wszystko do niego dotarło, zbyt późno i nie bez nutki gorzkiej ironii.

Stara kobieta spojrzała na Protektorów.

– Bromarteńskie klany przystąpiły do przymierza niechętnie

ze względu na wielowiekowe więzi z Gujaarehem i Kisua. Staraly się zachować jak największą neutralność, jedynie pośrednicząc w rozmowach z innymi klanami gotowymi do walki, na przykład Sorenami. Lecz niektórzy, jak Charleron, chcieli nas ostrzec przed niebezpieczeństwem.

– Z Gujaarehu nie wyszły żadne wojska – zauważył któryś z mężczyzn, w zamyśleniu skrobiąc paznokciem płamę na stole. – Ich oddziały są nienaruszone. Znajdują się nieco bliżej granicy niż zwykle, ale nie rozpoczęły wymarszu. Tego możemy być pewni.

– Feenowie i Sorenowie mają porty nad Oceanem Wschodnim – dodał drugi. – Oraz powiązania z plemionami, które zbudowały porty nawet nad zamarzniętymi północnymi morzami i Wichrownią. Gujaareh ma wielkie bogactwa; może sobie pozwolić na najemników, którzy będą walczyć za niego. Więc jeśli okręty księcia były puste, to dlatego, aby móc szybciej płynąć, a jeśli po przemierzeniu oceanu można je wypełnić wojownikami z północy...

W sali zapadła cisza. Sunandi odkaszlnęła.

– Z całym szacunkiem... Czy nasi wojownicy są przygotowani na atak?

Stara kobieta na końcu stołu spojrzała na nią surowo.

– Odkąd dowiedzieliśmy się o powstającej gujaareńskiej flocie, nie zajmujemy się niczym innym.

– Jednak i tak książę postąpił inteligentniej, niż się spodziewaliśmy – dodała staruszka siedząca pośrodku. Mówiła dobitnie, nie zwracając uwagi na ostrzegawcze spojrzenia innych. Po długiej chwili podniosła głowę. – Dziękuję za raport, Jeh Kalawe i zbieracze z Gujaarehu.

Sunandi jeszcze raz się skłoniła. Ale kiedy się wyprostowała, nie odeszła.

– Szacowni i mądrzy... Kisua nie toczyła wojny od stuleci – i nigdy z siostrzanym narodem Gujaarehu. Czy nie ma szansy zachowania pokoju?

– To zależy od księcia – oznajmiła kobieta siedząca pośrodku stołu.

– Oczywiście podejmiemy próbę pertraktacji – dodał jej towarzysz. – Choć wydaje się niemożliwe, aby księżę był zainteresowany pokojem, gdy tak wiele zainwestował w wojnę.

Stara kobieta zajmująca miejsce na środku westchnęła, kręcąc głową.

– Co uczynisz, zbieraczu Ehiru?

– Wrócę do Gujaarehu – odpowiedział Ehiru. – Problem Kosiarza pozostaje nadal nierozwiązany, ponieważ nie odkryliście informacji o jego powiązaniach z tym wszystkim. Co do reszty... Moi bracia muszą się dowiedzieć o planach księcia. W Hetawie nadal jest parę osób, którym ufam i które pomogą mi powstrzymać to wszystko... jeśli to możliwe. Wojna to największa z obelg wobec Hananji.

Stara kobieta zastanawiała się przez chwilę.

– Damy ci konie i zapasy żywności na podróż powrotną. Ale miej się na baczności: przybywając tutaj, mogłeś sobie narobić wrogów w swoim kraju.

Ehiru pochylił się, wyciągając jedną dłoń.

– Służymy Hananji, dostojna. Nasz księżę jest jedynie Jej inkarnacją, a zatem rządzi jedynie z Jej łaski.

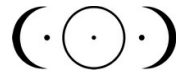
Wyprostował się i przypomniał sobie twarz Eninketa z ich ostatniego spotkania: uśmiechniętą, krzepiącą. Kłamał jak z nut. Wściekłość powróciła – nie ta czerwona, brutalna wściekłość, z którą walczył od tamtych chwil na pustyni, lecz jakby przejrzystsza i bardziej pożądana: zimny i słuszny gniew sługi Hananji.

Może nie jestem jeszcze całkiem zepsuty, pomyślał. Może zdołam pozostać sobą na tyle długo, by po raz ostatni wymierzyć sprawiedliwość. A na ciebie, mój bracie krwi, ta sprawiedliwość czekała już za długo.

Stara kobieta spojrzała na niego ze strachem, jakby te myśli odmalowały się na jego twarzy. Lecz potem jej twarz się uspokoiła,

a staruszka powoli skinęła ponuro głową.

– Zatem życzę ci szczęścia, zbieraczu – powiedziała – i ze względu na nas wszystkich... powodzenia na polowaniu.



*Hetawa będzie leczyć wszystkich,
Gujaareńczyków i cudzoziemców,
wierzących i niewierzących. Bogini mili są
wszyscy, którzy śnią.*

(Prawo)

Nijiri usłyszał tłum, zanim zdążyli wyjść z Izby Spotkań. Początkowo sądził, że to rzeka, choć przechodząc przez miasto, zauważył, iż skręca ona w lewo i znika między zielonymi, otulonymi mgłą górami w oddali. Potem dobiegły go słowa, zdania, krzyki – i uświadomił sobie, że słyszy głosy, tak liczne i mówiące tak głośno i jednocześnie, że tworzyły nieartykułowany ryk. W Gujaarehu nigdy nie spotykało się tak gwarnych zgromadzeń. Może to bunt? Słyszał o takich zjawiskach w cudzoziemskich krajach.

Potem przekroczył próg budynku i zobaczył to na własne oczy.

Ludzie: setki, może tysiące, tłoczący się na schodach Izby Spotkań, w ulicach i uliczkach, ludzie, kobiety, dzieci, starcy, tak wielu, że nie widział końca tego morza. Ale kiedy wraz z Sunandi i Ehiru ukazali się na schodach, gawiedź przycichła, a potem całkiem umilkła. Sunandi i Ehiru stanęli; Nijiri zrobił to samo. Zwróciły się na nich niezliczone spojrzenia.

Minęło parę chwil. Nijiri spojrzał na twarze ludzi stojących najbliżej i zobaczył wiele uczuć: od strachu i ciekawości po gniew i uwielbienie. Przede wszystkim zaś ujrzał coś, co go zaskoczyło i zdumiało, bo choć widział to wiele razy w Gujaarehu, nie spodziewał się tego spotkać w mieście, które nienawidziło zbieraczy. Nadzieja. Ale nie potrafił odgadnąć, czego ci ludzie chcieli

od Ehiru... tylko Ehiru, na niego nikt nie zwracał uwagi.

Potem Ehiru wystąpił naprzód, rozchylając dłonie. Zaskoczony Nijiri poszedł w jego ślady; usłyszał, że Sunandi mamrocze coś pod nosem i rusza za nimi. Zerknął na mentora – i znowu czekało go zaskoczenie, bo napięcie i ból ostatniego miesiąca zniknęły z twarzy jego brata. Ehiru uśmiechał się, idąc przez tłum, a jego wyraz twarzy przypominał Nijiriemu ich pierwsze spotkanie wiele lat temu: czułość, surowość, ciepło, dystans. Spokój. Na jego widok tłum szemrał i rozstępował się przed nim. Ludzie szeptali do siebie. Potem za plecami Nijiriego rozległ się tupot ciężkich butów i brzęk zbroi, zakłócając aurę spokoju. Nijiri obejrzał się i ujrzał kilku gwardzistów Protektoratu, którzy wyszli na schody i szeptali między sobą niespokojnie na widok tłumu. Chłopak odwrócił się i skupił na Ehiru, bo był pewien, że to, czego jest świadkiem, to ni mniej, ni więcej, tylko interwencja Bogini. Kisua wyrzekła się narkomancji setki lat temu – ale szacunek do niej i wiara w moc Hananji najwyraźniej pozostały w głębi jej starożytnej duszy. Jako praktykant Ehiru Nijiri miał obowiązek obserwować tak wiekopomne chwile.

Robię to z radością w sercu, Hananjo. Dziękuję Ci, że znowu uczyniłaś mojego brata tym, kim był, choćby tylko na tę chwilę.

Potem ktoś przepchnął się przez tłum, wlokąc kogoś za sobą. Ehiru przystanął. Nijiri wstrzymał oddech, ale był to tylko mężczyzna, który ciągnął za sobą dziecko – a to dziecko, zauważył Nijiri ze spóźnioną zgrozą, w którymś momencie swojego krótkiego życia zostało dotknięte jakimś strasznym okaleczeniem. Głowa chłopca odchylała się do tyłu, jakby brakowało mu siły albo panowania nad mięśniami, aby ją podnieść, a choć poruszał nogami, robił to tak niezdarnie, powłócząc nimi i utykając, że bez pomocy mężczyzny pewnie by się przewrócił. A najgorsze było to, że obie jego ręce od łokci były skurczone i wyschnięte, bezużyteczne.

– Z... zbieraczu... błagam o łaskę – odezwał się mężczyzna. Był ubrany w strój kowala i posługiwał się suańskim dialektem o tak mocnym akcencie, że Nijiri z trudem go rozumiał. – Mój syn, to mój

syn, ulecysz go? Weź moje życie, jeśli trzeba, jestem wiernym wyznawcą Hananji, tutejsi uzdrowiciele nie mogą dla niego nic zrobić, błagam...

Jakby te słowa były sygnałem, wokół nich rozległy się nagle inne głosy.

– Zbieraczu, moja matka umiera... – zawołała jakaś kobieta, dołączył do niej mąż innej kobiety, jakiś żołnierz wskazał na swój pusty oczodół, a zgarbiony starzec poprosił, by go odesłać do żony w Ina-Karekh, żeby więcej już nie był samotny... tak wielu. Wszyscy tak wygłodnieli, napierający, wyciągający błagalnie ręce. Zaczęli się zwracać nawet do Nijiriego: chwytali go za ramiona, za szatę. Ktoś pogładził jego potylicę, a kiedy się gwałtownie odwrócił, uchwycił mgnienie rozpaczliwego pragnienia w oczach kobiety, zanim tłum znowu naparł na niego, kryjąc ją w swoich falach.

Nagle tych rąk stało się zbyt wiele, zbyt wiele błagalnych głosów, chcących, potrzebujących, domagających się więcej, niż mogliby dać dwaj zbieracze, nawet dziesięciu zbieraczy... Nijiri drgnął, gdy ktoś szarpnął go za szatę, rozdzierając ją; odruchowo odtrącił rękę i stanął w bojowej postawie. Ktoś chwycił także Sunandi; Nijiri zobaczył, jak jej oczy rozszerzają się z przerażenia.

– Pozwól, bym obejrzał twojego syna – powiedział Ehiru do kowala.

Jego głos przebił się przez rosnący gwar, choć zbieracz go nie podniósł. Tłum ucichł i odstąpił o krok. W zapadłej ciszy Ehiru ujął dziecko pod brodę i podniósł jego opadającą głowę, by spojrzeć mu w mętne oczy.

– Nadal jest sobą – powiedział mężczyzna. Głos miał ochrypły od stłumionych łez. – Ta straszna choroba spadła na niego rok temu i spustoszyła jego ciało, ale nie tknęła jego umysłu. To moje jedyne dziecko.

– Rozumiem – powiedział Ehiru i westchnął. – Można go uleczyć, lecz ja tego nie zrobię. Takie leczenie wymaga sennego nasienia, które odbuduje mięśnie i nerwy, oraz sennej żółci, która zablokuje

wszelkie niewłaściwe twory. Operacja usunie te części ciała, których nie da się uratować, a wówczas będzie potrzeba sennej krwi dla usunięcia bólu i sennego ichoru, który przywróci mu siły. Trzeba będzie wielu ósmdni, a możliwe, że nie osiągnie się pełnego sukcesu. Brak mi umiejętności, aby wykonać którąkolwiek z tych rzeczy.

– Ale jesteś zbieraczem...

Ehiru podniósł wzrok i protest zamarł mężczyźnie na wargach.

– Zbieraczem, nie dawcą. Potrafię mu pomóc tylko w jeden sposób. – W ciszy długo niosło się echo jego słów. Kowal odetchnął – lecz zamiast się cofnąć, wyciągnął rękę i chwycił ramię Ehiru w miażdżącym uścisku.

– W takim razie pomóż mu na swój sposób – zażądał. – Mój syn płacze co noc, wiedząc, że nie odziedziczy naszej kuźni. Nigdy się nie ożeni ani nie zadba o nas, swoich rodziców. Będzie taki przez resztę życia. Za dwa lata osiągnie wiek dorosłości, ale matka nadal go przewija jak dziecko. Każdy ruch sprawia mu ból. Wiele razy błagał mnie, żebym go zabił, nigdy jednak... skąd... tyle odwagi... – Mężczyzna zadrżał, pochylił głowę i potrząsnął nią gwałtownie. – Ale jeśli nie można go uleczyć...

Ehiru patrzył na niego przez chwilę. Potem przeniósł wzrok na chłopca. Przez ciało dziecka przebiegł ohydnie konwulsyjny skurcz. Łzy wezbrały mu w oczach i popłynęły po skroni, usta otworzyły się, zamknęły i znowu otworzyły. Dopiero po kilku ciągnących się w nieskończoność, nieznośnych chwilach Nijiri pojął, że ten konwulsyjny wyteżony ruch to kiwanie głową.

O, Bogini, jak możesz pozwalać, by takie cierpienie trwało? Jak ktokolwiek może to tolerować?

Ale choć Nijiri nie spodziewał się odpowiedzi na tę modlitwę, i tak ją otrzymał, gdy Sunandi podeszła i położyła rękę na przegubie Ehiru.

– Nie mogę na to pozwolić. – Powiedziała to cicho, ze skromnie spuszczonej oczami, lecz nie cofnęła ręki.

Ehiru ledwie na nią spojrział. Z tłumu dobiegły okrzyki; gdy Nijiri

odwrócił się, by sprawdzić, co przstraszyło ludzi, ujrzał dwóch strażników schodzących po schodach z nastawionymi dzidami.

– Zrób to, a zabiją was i ojca tego chłopca – dodała Sunandi, na tyle podnosząc głos, żeby usłyszeli ją otaczający ich ludzie. Potem spojrzała na kowala i westchnęła. – Wiem, że twój syn cierpi, ale to, o co prosisz, jest niezgodne z naszym prawem, które czcimy.

Mężczyzna patrzył na Sunandi przez chwilę – po czym skoczył na nią, pociągając za sobą chore dziecko. Usiłował uderzyć ją wolną ręką, wykrzywiony w grymasie furii. Tłum wydał zbiorowy krzyk przerażenia. Ehiru natychmiast pochwycił mężczyznę i odciągnął go wraz z synem. Nijiri stanął przed Sunandi, by ją osłonić.

– Czcimy? – krzyknął mężczyzna. – Co mam czcić? Widzisz mojego syna? Co prawo dla niego robi, ty szlachetnie urodzona suko?

Ehiru położył mu rękę na piersi i odepchnął go zdecydowanie.

– Spokój – powiedział. Nawet gdyby Nijiri nie wyczuł szybkiego jak błyskawica przepływu sennej krwi między nimi, i tak wiedziałby, co się wydarzyło. Mężczyzna zachłysnął się i zatoczył do tyłu, odruchowo przygarniając do siebie syna. Zamrugał oczami, nagle wyzuty z niedawnej wściekłości. W osłupieniu zapatrzył się w Ehiru.

– Przywieź swojego syna do Hetawy w Gujaarehu – poradził mu Ehiru. Potem odwrócił się do Sunandi i gwardzistów. Spojrzał na nich z zimnym, powściąganym gniewem. – Na tyle pozwalacie, prawda? Czy nawet porada zbieracza jest tu nielegalna?

Sunandi odpowiedziała przeciągłym spojrzeniem i Nijiri poczuł chłodny dreszcz, bo zrozumiał, że wiedziała, co Ehiru uczynił z rozgniewanym mężczyzną. Nie potrafił zgadnąć, skąd wiedziała; może po prostu miała wprawę w obserwowaniu innych. W każdym razie wystarczyłoby jedno jej słowo, aby gwardziści zabili Ehiru za stosowanie narkomancji; przy okazji uwolniłaby się od groźby zbioru, przynajmniej do czasu, gdy sprawy w Gujaarehu się uspokoją i kolejny zbieracz zostanie wysłany po jej daninę.

W ustach poczuł smak żółci; zacisnął pięści. Ty podła, przeżarta zepsuciem kobieto! Jeśli on zginie, kolejny zbieracz jest tuż obok, gotów zabrać twoje bezwartościowe życie!

Ale Sunandi uniosła rękę, dając strażnikom znak, by odstąpili.

– Rada jest dozwolona – powiedziała – choć muszę dodać, że ten, kto udaje się do Gujaarehu po leczenie magią, nie ma prawa powrotu do Kisui. Tak zawsze mówiło nasze prawo.

– Nie dbam o wasze prawa – warknął Ehiru. Odwrócił się i znowu ruszył przez tłum. Ludzie rozstępowali się, tworząc przed nim korytarz.

Sunandi westchnęła, niewątpliwie widząc gniew Ehiru w jego szerokich ramionach – teraz wyprężonych i usztywnionych. Nijiri także rzucił jej złe spojrzenie i ruszył za swoim mentorem; po chwili, gdy tylko dała gwardzistom ostatni sygnał, kobieta dołączyła do niego.

– Cokolwiek myślisz – odezwała się cicho – powstrzymałam go, żeby uratować mu życie.

Nijiri prychnął.

– Pozwolił ci się powstrzymać, by uratować twoje.

– Co?

Chłopak wskazał tłum, który zaczął szeptać i falować. Na wielu twarzach malował się ból i gniew.

– Spójrz na nich, mówczyni. To wyznawcy Hananji. Przybyli, aby ujrzeć Jej najwyższego sługę. Gdyby ci gwardziści go zaatakowali, czy myślisz, że zemstę tych ludzi zdołaliby powstrzymać ktoś poza samymi bogami?

Sunandi zatrzymała się gwałtownie. Nijiri szedł dalej, zbyt rozgniewany, by sprawdzić, czy tłum nie rzucił się na nią, żeby ją rozedrzeć na strzępy. Ale po chwili usłyszał za sobą tupot sandałów i Sunandi znów się z nim zrównała. Niechętnie zmusił się, aby pomyśleć o matce, tak jak nauczył go Ehiru. To ochłodziło jego gniew i zwolnił, by Sunandi mogła za nim nadążyć.

– Wygląda na to, że zbyt wiele lat poświęciłam na przyglądanie się obcym, a nie własnemu ludowi – powiedziała z pewnym zasmuceniem. Uznał to za jej wersję przeprosin. – Widzisz ich wyraźniej niż ja.

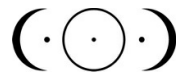
– Ludzie wszędzie są tacy sami.

– Wszyscy z wyjątkiem niego. – Kątem oka zobaczył, jak kobieta wskazuje głową plecy Ehiru.

Uśmiechnął się i dumnie uniósł głowę.

– To prawda. Wszyscy z wyjątkiem niego.

Idąc za Ehiru, opuścili tłum i wrócili do domu Sunandi.



Krzyk budzi małego Ehiru. Chłopiec przez chwilę leży na łóżku, wsłuchując się w chór oddechów swoich braci i zastanawiając się, czy ten krzyk to pozostałość snu. Ale uznaje, że nie, bo nigdy nie zapomina swoich snów, a przed chwilą przelatywał nad polami koło Kite-iyau. Zatem nie słyszał krzyków, tylko szum wiatru i furkot swojej przepaski na biodrach. Przypomina sobie łaskoczącą pieszczotę wąsów jęczmienia na skórze, fermentujący zapach rozgrzanego błota w kanałach irygacyjnych, ciepło słońca na plecach, omdlewający błękit nieba. Kiedyś spróbował zanurkować w tym błocie, by sprawdzić, co to za uczucie. Raz chciało go wciągnąć, ale Ehiru jest nieodrodnym dzieckiem Gujaarehu. Krzyknął swoje imię duszy – JESTEM NSHA! – i zapanował nad snem, a wtedy błoto stało się jak łono, które pamięta tylko we śnie: nieszkodliwe, otulające i bardzo wygodne.

Ale teraz sen prysnął, a on leży na jawie, gdzie jest tylko małym chłopcem z sercem wypełnionym nagłym lękiem.

Siada; kilku jego braci robi to samo. To komnata, w której śpią najmłodsi synowie księcia. Tehemau widział już siedem powodzi i jest najstarszy, ale to na Ehiru patrzą wszyscy chłopcy. Ma tylko pięć powodzi i nie rozumie, dlaczego widzą w nim jakąś szczególną mądrość; po prostu się z tym godzi. Guwernerzy nazywają go „dotknięty przez Boginię”. „Błogosławiony darem”, powiedział kapłan, który parę dni temu przybył do Kite-iyau, aby go zbadać. Dał Ehiru naszyjnik z intrygującym medalionem – owalem z polerowanego obsydianu, na którym wyryto stylizowaną łzę luny.

– Nim minie czterdzieści dni, dołączysz do nas – powiedział ten

kapłan. – Teraz jesteś dzieckiem Hetawy.

To głupie. Ehiru jest dzieckiem swojej matki i ojca, którego widuje rzadko, ale i tak go kocha, no i może tej Hananji, o której tyle słyszał. Dotyka jednak medalionu i lekko drży pod wpływem dreszczu przeczucia. Wstaje z łóżka i szepcze do braci, że powinni się gdzieś schować. On wyjdzie sprawdzić, co się dzieje. Tehemau upiera się, że pójdzie z nim, głównie po to, by uratować twarz. Ehiru kiwa głową, choć Tehemau moczy się w łóżku, a czasami po koszmarach płacze jak dzidzius. Ehiru wolałby, żeby był tu któryś ze starszych braci – Eninket, który jest miły i zna najlepsze opowieści, albo może wojownik Tiyesset. Ale nawet obecność Tehemau sprawi mu ulgę.

Obaj chłopcy wymykają się na korytarz i biegną od zasłony do zasłony, od jednej donicy z kwiatami do drugiej. Przed nimi znajduje się oranżeria, w której zwykle parę matek wypoczywa na sofach i poduszkach. Rozmawiają, grają w kości, piszą listy lub przeglądają zwoje. To miejsce solidnego wypoczynku. Tymczasem chłopcy znajdują w nim ślady chaosu – stoły i sofy poprzewracane, poduszki rzucone na podłogę, kości rozsypane. Tehemau zaczyna wołać matkę, a Ehiru odruchowo go ucisza. Obok rozlega się kolejny krzyk i coś dziwniejszego – ostre męskie głosy, grubsze i bardziej szorstkie niż głosy eunuchów, którzy zwykle usługują w wiosennym pałacu księcia. Gwardziści pałacowi nie mają do niego wstępu, chyba że podczas wizyty ojca. Czyżby ojciec przyjechał? Ale jeśli tak, to dlaczego ci mężczyźni tak się gniewają?

Chłopcy wyglądają zza rogu i widzą.

Dwie matki leżą na podłodze. Nie ruszają się, a na ich sukniach powoli rozlewa się plama ciemnej krwi. Kolejna matka kuli się na sofie i prawie bełkocząc, pyta dlaczego, dlaczego, dlaczego. Żołnierze nie zwracają na nią uwagi. Kłócą się ze sobą. Jeden chce ją oszczędzić... „Tylko się zabawię”... ale pozostali upierają się, że mają wykonać rozkaz. Kłótnia kończy się nagle, gdy jeden z nich spluwa na podłogę i przebija gardło kobiety mieczem. Ta przestaje bełkotać i patrzy na niego zaskoczona, a na usta występują jej bąble

krwi. Potem osuwa się na wznak.

Tehemau krzyczy. Żołnierze ich dostrzegają.

Tehemau prześciga Ehiru, ponieważ ma dłuższe nogi. Jeden z żołnierzy chwytą Ehiru za lok na skroni i szarpie go tak mocno, że świat mętnieje mu przed oczami. Chłopiec upada z krzykiem. Strach sprawia, że czas zwalnia. Przez mgłę łez bólu Ehiru widzi, jak inny żołnierz przewraca Tehemau i przygniata go do ziemi. Klnie, bo chłopiec dziko się szarpie. Światło kolorowych latarni odbija się w ostrzu noża, a potem we krwi Tehemau, która tryska fontanną i obryzguje marmur, gdy żołnierz przeciąga nożem po jego gardle.

Ehiru nie krzyczy – nawet wtedy, kiedy ciągnący go żołnierz staje i także dobywa noża. Ostrze unosi się z gracją w górę, rzucając zamglone tęczę jak Śniąca Luna.

– Czekaj – odzywa się jakiś mężczyzna, powstrzymując rękę z nożem.

– Myślałem, że chcesz kobietę? – odpowiada ze śmiechem ten, którzy trzyma Ehiru.

– Nie, patrz. – Żołnierz wskazuje coś palcem, inny wydaje okrzyk zdumienia i Ehiru wie, że zobaczyli znak Hetawy na jego szyi.

– Zaprowadź go do kapitana – mówi pierwszy żołnierz. Ten, który go trzyma, chowa nóż do pochwy i podnosi Ehiru za włosy z podłogi.

– Tylko spróbuj uciec, a cię zabiję – ostrzega. Ehiru słyszy, ale nie reaguje. Wpatruje się w Tehemau, który przestał się ruszać. Znowu się zmoczył, zauważa Ehiru. Poprzez strach dociera do niego smutek, bo Tehemau – gdziekolwiek poszła jego dusza – pewnie się teraz wstydzi.

Żołnierz ciągnie Ehiru korytarzami, na których rozbrzmiewały kiedyś głos jego matki i muzyka, mieszająca się ze szczebiotem jego rodzeństwa. Teraz korytarze wypełniają odgłosy i zapachy śmierci. Obrazy przepływają powoli, jak wiele przedstawień minstreli. Na korytarzu leży kilku jego najstarszych braci. Tiyesset znieruchomiał twarzą w dół, ze złamaną tyczką od latarni w rękach

– wojownik do końca. Kiedy mijają ogród w atrium, Ehiru słyszy dziwne stękanie; przez liście widzi jedną z matek szamoczącą się pod żołnierzem, który ją krzywdzi, ale nie zabija. Żołnierze prowadzący Ehiru też to widzą i znowu zaczynają żartować. Mijają jedną z sypialń dziewczynek; Ehiru widzi wiele martwych ciał. To stąd dobiegł krzyk, który obudził jego i jego braci.

W końcu docierają do wielkiej komnaty. Tu żołnierze stają przed mężczyzną, który ma na sobie więcej czerwieni i złota niż oni. Mężczyzna pochyla się, by spojrzeć na medalion Ehiru.

– On nie należy do was! – krzyczy ktoś i ten krzyk budzi Ehiru z otępienia. To jego matka. Chłopiec ogląda się, nie zważając na ból wyrywanych włosów, i widzi matkę, która wyłania się z bocznego korytarza. Ma na sobie jaskrawą brokatową szatę i naszyjnik ze złota i bursztynu, prezent od ojca Ehiru. Zachowuje się jak królowa, która nie zna lęku. Żołnierze natychmiast chwytają ją za ręce i ciągną. Ona prawie nie zwraca na nich uwagi.

– Oddałam mojego syna Hetawie – oznajmia kapitanowi. – Jeśli go skrzywdzicie, narazicie się na gniew samej Bogini.

Kapitan marszczy brew i rozkazuje swoim żołnierzom zabić kobietę. Świat znowu zwalnia. Dwa noże wbijają się w pierś i brzuch matki, potem znowu w szyję i bok. Mężczyźni odstępują i Ehiru rzuca się ku niej, nie dbając o to, czy zachowa skórę na głowie; na szczęście żołnierz rozchylił palce i chłopiec traci tylko kilka włosów. Dopada matki w chwili, gdy ta upada, potyka się, chcąc ją złapać, macha rękami. Kobieta uderza o podłogę z takim rozpędem, że jej ciało lekko podskakuje, lecz potem nieruchomieje. Jej oczy wpatrują się w niego. Usta wyginają się w uśmiechu. Ehiru ląduje przy niej z poślizgiem, na kolanach, podłoga jest mokra od jej krwi, jej szata lepi mu się do rąk, gdy ją chwytą, aby podnieść z ziemi.

– Nie płacz – szepcze matka. Krew występuje jej na wargi. Ehiru coś krzyczy, nie wie co. – Nie płacz – rozkazuje znowu matka. Unosi rękę, żeby dotknąć jego twarzy, zostawiając mu na policzku mokrą smugę. – Tak musi być. Teraz będziesz bezpieczny. Sama Hananja cię ochroni. Teraz jesteś Jej synem.

I matka przestaje mówić. Jej ręka opada. Oczy nadal się w niego wpatrują, ale jakoś inaczej. Ehiru wciąż krzyczy, gdy żołnierze odciągają go od ciała. Oni nie zwracają na niego uwagi, z jakiegoś powodu zdenerwowani, nawet przestraszeni.

– Skąd mieliśmy wiedzieć, że to pierwsza żona – mówi kapitan. Robi wrażenie wstrząśniętego. – Tyle tu kobiet, no skąd mieliśmy wiedzieć. Tak mu powiemy.

– A gnojek?

– Hetawa, bo co innego? Chcesz wyjaśniać zbieraczom, jak umarł?

Nikt mu nie odpowiada.

– Oddamy go w drodze do Yanya-iyana. Równie dobrze mogło go tu nie być.

Więc wynoszą Ehiru na zewnątrz, wiążą go i przytracają do siodła jak bagaż, a kiedy rzeź dobiega końca, odjeżdżają z nim w pustynną noc. A gdy rzucają go na stopnie Hetawy i zostawiają, by znaleźli go tam wartownicy, on przypomina sobie słowa starego kapłana i uświadamia sobie, że to nie była pomyłka, lecz proroctwo. Teraz, choć nie z własnego wyboru, jest dzieckiem Hetawy. Od dziś na zawsze.

Ehiru otworzył oczy i uniósł opartą na kolanie głowę. Otaczał go ogród Sunandi, bardziej dziki i gęsty niż gujaareński, choć nie mniej piękny.

Zbieracz wyprostował się z niewygodnej pozycji, rozprostował nogę i westchnął, spoglądając na Śniącą przez wdzięczne gałęzie drzewa shimanantu. Przyszedł tu na medytację, ale wilgotne ciepło kiswańskiej nocy ukołysało go do snu i przywołało wspomnienia. Spanie na dworze bez ochronnych zasłon nie było najlepszym pomysłem – podrapał się po nodze i skrzywił się, czując pod palcami cztery ukąszenia owadów. Potem skamieniał, słysząc za sobą kroki.

– Czy łóżko jest niewygodne, zbieraczu?

Odetchnął i odwrócił się do Sunandi. Stała o parę kroków od niego na ganku, z którego wychodziło się do ogrodu. Miała na sobie tylko cienką koszulę, co natychmiast przypomniało mu ich brzemienne w skutki spotkanie w Yanya-iyan, odległe, jakby wydarzyło się wiele powodzi temu.

– Łóżko jest bez zarzutu – odparł. – Zbieracze nie śpią w nocy.

– A jednak masz minę kogoś, kto właśnie ocknął się z dobrej drzemki.

„Nie jestem już prawdziwym zbieraczem” – pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Sunandi pewnie i tak to wiedziała.

– Gdzie twój mały zabójca?

Ehiru pokręcił głową.

– W Ina-Karekh, choć jego ciało spoczywa w twoim pokoju gościnnym, z moją jungissą, która nie pozwala mu się obudzić. Gdyby nie ona, też by nie spał, martwiąc się twoimi problemami.

– Hmm... tak. – Westchnęła. – Miło wiedzieć, że także zbieracze miewają bezsenne noce. Wydajecie się bardziej ludzcy.

– Mógłbym powiedzieć to samo o ambasadorach – odparł, znowu spoglądając na Śniąca. Czuwająca Luna wyjrzała zza większej siostry – oznaka nadchodzącego świtu. – Ludzie twojej profesji muszą codziennie widywać wiele zła. Zaskakuje mnie, że nadal możesz się czymś martwić do tego stopnia, aby stracić sen.

– Kwestia natężenia. – Sunandi zeszła po stopniach ganku i stanęła w trawie obok niego. – Codzienne niegodziwości nic dla mnie nie znaczą, to prawda, lecz wojna je zaćmiewa. – Zawahała się i dodała tonem rezygnacji: – Może powinnam się cieszyć, że nie dożyję chwili, w której stanę się tak zgorzkniała.

Ehiru westchnął do siostrzanych Lun.

– Staralaś się zapobiec wojnie. W tym nie ma zepsucia.

W ciszy, która nastąpiła, wyczuł jej zaskoczenie i nagłą uwagę.

– Pomimo że moje metody...?

– Zepsucie to choroba duszy, nie działania, Jeh Kalawe. I choć

to drugie często jest objawem pierwszego, obowiązkiem zbieracza jest przejrzeć takie pozory. Po powrocie do Gujaarehu powiadomę radę o moim werdykcie. – Zerknął na nią. – Jednak dopilnuj, by nigdy nie stać się tak zepsuta, by pogodzić się ze złem, nie tracąc snu – w przeciwnym razie ponowny przyjazd do Gujaarehu może się okazać niebezpieczny.

Sunandi odetchnęła – całe czwórdnie napięcia uwolnione w tym jednym dźwięku – i przymknęła na chwilę oczy, być może wysyłając dziękczynną modlitwę do tych jakichś swoich bogów. A może tylko na nowo rozkoszowała się smakiem życia. Ale kiedy otworzyła oczy, błysnęła w nich dawna bezczelność.

– Tylko powiadom o tym swojego praktykanta. On mnie nie lubi.

Mimo przygnębienia Ehiru zdołał się uśmiechnąć.

– Nijiri ma niewiele doświadczenia z cudzoziemcami i kobietami. Jest przy tobie zdezorientowany.

– A to, co dezorientuje, trzeba unicestwić?

– Lub zrozumieć. Ale ciebie, Sunandi Jeh Kalawe, trudno zrozumieć nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach. Nie możesz winić Nijiriego za to, że dał za wygraną i uznał, że zabicie cię będzie najprostszym rozwiązaniem problemu.

Roześmiała się nisko i aksamitnie. Obejrzał się na nią, zafascynowany tym dźwiękiem i smukłą, wdzięczną linią szyi.

– Nie byłby pierwszym mężczyzną, który doszedł do takiego wniosku – powiedziała, spoglądając na Luny. – Księżę uważał tak samo. A Kinja często na ten temat żartował. – Nagle zamilkła, a Ehiru przypomniał sobie, że jeszcze nie zakończyła żałoby.

– Ten Kinja... – powiedział. Spoglądał przy tym na Śniącą, lecz kątem oka dostrzegł wzrok Sunandi i wyczuł jej nagłe napięcie. Zadbął o to, by w jego głosie brzmiała łagodność sygnalizująca, że chce ją tylko pocieszyć. – Opowiesz mi o nim? Wydaje się, że umarł, ratując nasze kraje.

Sunandi milczała długo. Bardzo po gujaareńsku, choć pewnie takie określenie nie przypadłoby jej do gustu.

– Był... – zaczęła powoli. – Hm. Moim ojcem – oficjalnie poprzez adopcję. Ale tak naprawdę był dla mnie tym, kim ty dla Nijiriego – starszym bratem, mentorem, przyjacielem. Kochałam go tak samo, jak ten chłopiec kocha ciebie. – Urwała i zerknęła na niego. – Może jednak nie tak samo. Nigdy nie chciałam, żeby był moim kochankiem.

– Nawet gdybyś chciała, kochałby cię za bardzo, żeby ci ulec – odpowiedział Ehiru spokojnie. – Ojciec ma nad kobietą władzę, jakiej nie powinien mieć żaden kochanek – i odwrotnie. – Wzruszył ramionami. – Ten Kinja wydaje mi się człowiekiem honoru, a tacy nie bywają samolubni.

– Może powinienes to powiedzieć swojemu praktykantowi.

Ehiru powoli pokręcił głową i odpędził uporczywie żądającego go owada.

– Znam Nijiriego od czasu, gdy był dzieckiem. Kiedy raz sobie coś postanowi, nic nie może mu przeszkodzić ani go zniechęcić. Dlatego jest dobrym zbieraczem. – A potem, ponieważ ta chwila wydawała się wymagać pewnego stopnia szczerości, dodał: – A ja jestem na tyle egoistą, że pragnę jego miłości – do końca życia, jakie mi pozostało. Nie wykorzystam jej, lecz... nie jestem też na tyle silny, by ją odtrącić. Może przez to stracę w twoich oczach.

Sunandi westchnęła i przykucnęła przy nim, obejmując rękami kolana.

– Nie. Nie straciłeś niczego. Przyjmij miłość, dopóki ją masz – nieważne, skąd przychodzi, czy jest stosowna, czy nie, przyjmij ją, dopóki trwa. Bo zawsze, zawsze się kończy.

Jej ból, jej rozjątrzona samotność były niemal ponad wytrzymałość Ehiru. Chciał jej dotknąć, zetrzeć z niej ten smutek i zastąpić go spokojem, ale nie ośmielił się na to. I tak pożądał jej niebezpiecznie mocno. Potem uświadomił sobie ze smutkiem, że nie może się z nią podzielić senną krwią. Jego umysł o wiele za szybko pożerał to, co zabrał żołnierzowi. No cóż, istnieją inne sposoby dzielenia się spokojem.

– Nie jestem kobietą – powiedział. – Gdy zamieszkać na stałe w Ina-Karekh, nie będę miał siły na samodzielne podróże. Ale przedtem, jeśli trafi mi się taka możliwość, odszukam tego Kinję i powiem mu, jaki z niego szczęściarz.

Przez jej ciało przebiegło lekkie drżenie. Jej twarz wykrzywił nagły skurcz.

– Dziękuję...

Nie mogła skończyć. W oczach nagle stanęły jej łzy. Ehiru odwrócił wzrok i zamilkł, by się jej nie narzucać.

Po chwili Sunandi odetchnęła i powiedziała spokojniej:

– Chłopiec mówi, że zamierzasz wkrótce... hm, zamieszkać na stałe w Ina-Karekh.

– Tak. Muszę. – Ehiru spuścił wzrok. – Nie panuję już w pełni nad moim umysłem, Jeh Kalawe. Nawet ta chwila to tylko wyspa przytomności w otaczającej mnie powodzi szaleństwa. Szczerze mówiąc, nie powinnaś przebywać ze mną sam na sam. Nie jesteś bezpieczna.

– Chłopiec się ciebie nie boi.

– Ale ty powinnaś. Nawet on powinien. – Ehiru westchnął, patrząc, jak cienie ogrodu tańczą na wietrze.

– Nie. – Ku jego zaskoczeniu Sunandi położyła rękę na jego dłoni. – Na pustyni znosiłeś dni szaleństwa, choć mogłeś mnie bez przeszkód zabrać. Tak nie postępuje krwiożercza bestia – i nieważne, co zrobiłeś z tym żołnierzem. Jak mówicie wy, zbieracze, czasami bez względu na okropny wynik musimy osądzać ludzi na podstawie ich intencji, nie czynów. – I pochyliła się ku osłupiałemu zbieraczowi, i złożyła na jego ustach pocałunek. Trwał tylko chwilę, na tyle jednak długo, żeby Ehiru poczuł przedsmak jej ciemnych jak jagody, miękkich jak płatki róży warg. Jeszcze nigdy nie pocałował kobiety. Później będzie wspominać zapach olejku, który dodała do kąpieli, szmer jej oddechu, smak cynamonu na czubku swojego języka. Dotyk jej dłoni, miękkość piersi wciśniętej w jego ramię. Później wyobrazi sobie, że

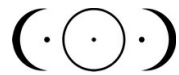
przyciągnął ją do siebie, pożałuje, że nigdy się nie dowie, jak wygląda spełnienie tych myśli, i będzie się cieszyć, że przynajmniej miał szansę na takie doświadczenie w ostatnich dniach jawy.

Potem Sunandi cofnęła się z bladym, smutnym uśmiechem, a on spojrzał na nią, wciąż osłupiały.

– Oby wewnętrzne spojrzenie Hananji nigdy cię nie opuszczało – powiedziała cicho; słowa błogosławieństwa brzmiały pięknie i płynnie w jej rodzimym języku. Pogłaskała go po policzku. – Nie mogę ci życzyć spokoju, bo po powrocie do ojczyzny musisz walczyć... ale życzę ci powodzenia.

Po tych słowach wstała i opuściła ogród. Ehiru długo spoglądał za nią, nie wiedząc, co myśleć i czy w ogóle myśleć. W końcu dotarło do niego, że czuje się lepiej. Jest pewniejszy wyborów, jakich dokonał, i ścieżki, do której dotarł. Więc na swój sposób kobieta jednak ofiarowała mu spokój.

– Niech spokój i szczęście będą z tobą, Sunandi z Kisui – powiedział cicho. – Żegnaj.



Raz do roku jest powódź, która odmierza doświadczenie. Raz na dekadę jest pełnia Śniącej, która odmierza wiedzę. Co rano jest Czuwająca Luna, która odmierza kontemplację. Rzeka jest zawsze i odmierza historię.

(Mądrość)

Podróż wzdłuż brzegów Krwi Bogini na granicę Terytoriów Gujaareńskich zajęła dziewięć dni. Nijiri spędził je, w większości pracując na kupieckiej barce, na której zmierzali na północ, do domu. Gdy nie pracował przy wiosle ani nie łowił ryb na obiad, zabijał czas przyglądaniem się polom po obu stronach rzeki. Czasem grał z kisuańską załogą w tehet – grę liczbową, w której wygrana zależy od blefu i kłamstwa. Mimowolnie wkradł się w łaski marynarzy, przegrywając każdą partię.

Ciągła praca pomagała mu nie myśleć o przyszłości, choć nie zawsze. Zdarzało mu się podnieść głowę i zobaczyć Ehiru, który przez większość wolnego czasu stał na dziobie barki niczym ponury posąg, pochłonięty tym, co zajmowało jego umysł. Kiedy barka przepływała obok wioski, mijając rolników przygotowujących pola na drugi siew i dzieci pojące zwierzęta na brzegu rzeki, normalność tych widoków boleśnie uderzała Nijiriego. Gdzieś daleko wprowadzano w życie rozległe i straszne intrygi, dawano rozkaz wymarszu wojsk, wypuszczano na wolność potwory. Śmierć na koszmarną skalę pochłaniała kraj. A jednak zwykli mieszkańcy Kisui i Gujaarehu żyli tak jak zawsze, nie myśląc o czasie ani o kłopotach.

„Za to walczymy” – mówił do siebie w takich chwilach Nijiri, machając ręką i uśmiechając się do dzieci czy ładnych panien. W tym prostym, uporządkowanym życiu jest najprawdziwszy spokój Hananji, którego obronie kapłani Hetawy od pokoleń poświęcają życie. Oto, co naprawdę znaczy bycie sługą Hananji.

Potem spoglądał na Ehiru i przypominał sobie, co czekało ich w Gujaarehu, i że spokój, jaki znalazł, znowu zniknie.

W ten sposób mijały mu dni podróży. Wioski ustąpiły miejsca osadom handlowym, osady handlowe – miasteczkom i miastom i w końcu, dziesiątego dnia, w oddali ukazały im się wieże i rozległe zabudowania stolicy Gujaarehu.

Kapitan barki – były kisiański wojskowy – zdawał sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

– Przemyciłem przez bramy Gujaarehu więcej zakazanego towaru niż ktokolwiek – powiedział do Nijiriego, gdy przygotowywali towary dla celników. – Nie różnicie się od innych, więc się uspokój.

Ale Nijiri nie potrafił się uspokoić. Widok znajomych gujaareńskich murów obudził w nim jednocześnie tęsknotę i strach – a im bardziej się do nich zbliżali, tym bardziej rosło to drugie uczucie. Nie był to strach przed nieuniknionym obowiązkiem, który go czekał, kiedy przyjdzie pora Ostatniej Daniny Ehiru; to akurat było jak nieustający ból. Nowe uczucie było zarazem ostrzejsze i bardziej niepokojące. Znekany i niespokojny podszedł do Ehiru, który stał przy drugim wiośle, by wspólnie sprawniej wymijać inne łodzie, które zaczęły się pojawiać wokół nich z większą częstotliwością. W pobliżu wejścia do gujaareńskiego portu ruch na rzece się zwiększył; załoga żartowała, że wkrótce będą mogli przejść na drugi brzeg, przeskakując z pokładu na pokład.

– Serce trzepocze mi w piersi jak ćma – szepnął Nijiri, ujmując wiosło. – Nigdy nie miałem prawowidzenia, ale wszystko we mnie truchleje na myśl o powrocie do tego miasta.

– Nie mamy powodu się bać – odpowiedział Ehiru równie cicho. – Nikt nas nie szuka – a przynajmniej nie tutaj. Gujaareh wzbogacił

się, łaskawie traktując kupców. Musimy jedynie wyglądać na spokojnych, a bez przeszkód przejdziemy przez bramy.

– A gdy się już za nimi znajdziemy?

– Wolałbym odszukać naszych braci ścieżki, ale nie wiem, jak możemy do nich dotrzeć bez wiedzy innych – tych, którym już nie ufam, na przykład zwierchnika. – Ehiru spochmurniał na chwilę, po czym westchnął. – Na razie na naszą korzyść działa element zaskoczenia. To już coś.

Nijiri zmarszczył brwi i raptem drgnął, zrozumiawszy.

– Chcesz, żebyśmy poszli prosto do Yanya-iyana. A co potem? Od razu dokonamy zbioru księcia? Bez...

– Tak, Nijiri. – Ehiru spojrzał na niego poważnie. – To właśnie zamierzam.

Zbieracz unicestwienia zepsucie... oraz siły, które na nie pozwalają, jeśli to konieczne, powiedział Rabbaneh. I słusznie przypomniał Nijiriemu, żeby przestał myśleć jak służący. Prawdziwy spokój wymaga sprawiedliwości, nie tylko unikania konfliktu. Dlatego Nijiri zagryzł wargę, stłumił ten głos, który rozpaczał nad myślą o takim obrazoburstwie, i skupił się na czekającym go zadaniu.

– Powinniśmy odszukać siostrę Meliatę – oznajmił. – Jej zakon ma w mieście wielu sprzymierzeńców. Może siostry nam pomogą.

– Hmm... Jeśli zdoła przekazać wiadomość do Hetawy... albo kogoś ukryć... – powiedział w zamyśleniu Ehiru. Zerknął na Nijiriego i chłopak nagle zrozumiał, co mentor miał na myśli. Spochmurniał.

– Nie wejdiesz do Yanya-iyana beze mnie.

Ehiru otworzył usta, żeby się sprzeciwić, ale potem zmienił zdanie. Pokręcił głową, a w kącikach jego oczu pojawiły się zmarszczki rozbawienia.

– Stałeś się nieposłuszny i niegrzeczny, mój praktykancie.

– Zawsze taki byłem, bracie. – Nijiri uśmiechnął się, choć nie miał nastroju do żartów. Ale ta chwila minęła. Ehiru spoważniał

i spojrzął na wodę. Nietrudno było odgadnąć jego myśli.

– Bracie Ehiru... – Nijiri urwał, niepewny, po czym rzucił gwałtownie: – Zastanawiałem się... Może powinieneś iść do Rady Ścieżek. Jeśli znowu przejdziesz pranje w spokoju Hetawy...

Ehiru oderwał jedną dłoń od wiosła i wyciągnął ją przed siebie. Mimo łagodnego kołysania barki widać było, że jego palce bardzo się trzęsą. Nijiri zamilkł, a Ehiru znowu ujął wiosło, mocno je ściskając, aby ukryć drzenie.

– Sam widzisz – powiedział. Spojrzął na rzekę; jego twarz nie wyrażała niczego. – Za kolejny czwórdzień będę równie nieprzydatny jak na pustyni. Zatem muszę działać szybko.

Od zabicia żołnierza minęło dwanaście dni, ale Ehiru już czuł, że wykorzystał wszystkie zasoby – pewnie od dawna ma puste rezerwy, skoro ręce trzęsą mu się aż tak. Wstrząśnięty Nijiri wrócił do wiosłowania.

W pobliżu miasta na rzece zrobił się jeszcze większy ścisk. Musieli zwolnić, a czasem nawet czekać w szeregach łodzi, ciągnących się do niebosiężnego łuku Bramy Krwi. Załoga mamrotała z rozdrażnieniem. Nijiri otrząsnął się ze smutku na tyle, żeby rzeczywistość zaczęła do niego docierać, i zauważył, jak kapitan pyta załogę pobliskiej łodzi, dlaczego na rzece panuje większy tłok niż zwykle.

– Podobno przeszukują łodzie – odpowiedział mu marynarz, wzruszając ramionami. – Może szukają przemytu. Kto wie?

– Na Język Mnedzy! – zawołał marynarz z ich załogi z niezadowoleniem. – Dlaczego mieliby blokować pół rzeki przez jakieś kontrole? Oszaleli? Jak tak dalej pójdzie, wrócą do domu po zachodzie Luny.

Kapitan zerknął na Ehiru i Nijiriego, choć odpowiedział głośno całej załodze:

– Nie mamy się o co martwić. Akurat dziś nie mamy nic nielegalnego.

Marynarze roześmiali się nerwowo; Nijiri nie potrafił pójść w ich

ślady.

Ich barka zbliżała się pomalutku do sieci przystani i mostów, które tworzyły Bramę. Żołnierze w szarych przepaskach biodrowych straży miejskiej roili się w przystaniach na obu brzegach rzeki jak mrówki. Serce Nijiriego zabiło jeszcze mocniej, gdy żołnierz zaczął dźgać drzewcem włóczni dzienny połów rybaka, patrzącego na to z bezsilną wściekłością. Kiedy w końcu dotarli do przystani, na ich spotkanie wyszedł człowiek w zawoju ze szlaczkiem w kolorze indygo, zdradzającym celnika. Towarzyszyło mu dwóch żołnierzy.

– Zacumujcie i przygotujcie łódź do kontroli – rzucił opryskliwie.

Załoga poderwała się do działania. Na rozkaz kapitana Nijiri i Ehiru zepchnęli z pokładu kamień kotwiczny i stanęli z resztą marynarzy, przyglądając się rozwojowi wypadków.

Celnik wszedł na pokład ze swobodą wynikającą z długoletniej wprawy i zaczął grzebać wśród koszy i kufrów. Żołnierze chodzili po pokładzie mniej płynnie, ale z determinacją. Podeszli do załogi.

– Wymienić imię i zawód – rozkazał jeden. Drugi notował zeznania na szerokim zwoju. Gdy doszli do Ehiru, ten podał im fałszywe imię, którym posługiwał się podczas podróży przez pustynię. Nijiri zrobił to samo.

– Nie wyglądasz jak Kisuanin, chłopcze – powiedział żołnierz podejrzliwie.

– Urodził się w Gujaarehu – wtrącił kapitan bez zmrużenia oka. – Moja siostra przespała się z człowiekiem z północy i przeprowadziła się tutaj, gdy rodzina ją wyrzuciła. Zatrudniłem go na jakiś czas, bo nie jest tak leniwy i niepozbierny jak jego ojciec.

Żołnierz prychnął śmiechem i zajął się innymi marynarzami. Nijiri odetchnął z ulgą; kapitan mrugnął do niego. W końcu spisywanie danych dobiegło końca.

– Dobrze – powiedział żołnierz robiący notatki. – Teraz unieście ręce i będzie po wszystkim.

Kapitan drgnął.

– Co to znaczy? Od dziesięciu lat krążę między Kisua a Gujaarehem i nigdy...

– Nowe rozkazy z Yanya-iyana – uciął drugi żołnierz znużonym głosem. Pewnie odpowiedział dziś na to pytanie wiele razy. – Ostatnio mamy kłopoty ze szpiegami i z przemytnikami. Możecie ukrywać jakąś kontrabandę.

Kapitan spojrzał na niego z autentyczną urazą.

– Oszalałeś? Masz do czynienia...

Żołnierz błyskawicznie dobył miecza i przyłożył go do gardła kapitana; ten natychmiast ucichł.

– Rozkazy z Yanya-iyana – powtórzył żołnierz powoli i lodowato. – Miasto księcia jest posłuszne prawu księcia.

Kątem oka Nijiri widział, jak Ehiru jeży się na to wypaczenie doktryny Hetawy, ale oczywiście nie mogli o to obwiniać żołnierza. Marynarze także skamienieli, wściekli z powodu tego, jak potraktowano ich kapitana, lecz nie mogli zrobić zbyt wiele, nie narażając jego życia.

– Pójdzie szybko i łatwo – powiedział żołnierz z mieczem, tym razem z nutką desperacji. – Jeśli nie zrobiliście nic złego, nie macie się czego obawiać.

Marynarze usłuchali kolejno. Nijiri także, wzdychając z ubolewaniem wobec tej zniewagi, lecz Ehiru tylko powoli się odwrócił. Nijiri pochwycił jego spojrzenie i z zaskoczeniem ujrzał w nim napięcie.

Ale dlaczego się boi? Niczego nie przemycamy i nie mamy dość pieniędzy, by warto je było kraść. Przecież...

I nagle sobie przypomniał. Pod kisuańskimi ubraniami mieli czarne przepaski biodrowe. I insygnia zbieraczy. Serce mu załomotało, gdy żołnierze zbliżali się do niego, rewidując kolejnych marynarzy i wyciągając ich broń, sakiewki i tym podobne. Poruszali się szybko, co zauważył w narastającym zdenerwowaniu. Jego insygnia znajdowały się w sakiewce zatkniętej za pasek kisuańskiej przepaski. „Oby nie zauważyli jej w pośpiechu”

– pomyślał błagalnie. Może wyczują insygnia przez materiał i uznają je za kości, pionki do tektury albo po prostu chłopięcą kolekcję kamieni...

Żołnierz klepnął go mocno po piersi i znieruchomiał, kiedy znalazł sakiewkę. Przy narastającej panice Nijiri poczuł, że żołnierz ją wyciąga, usłyszał szczęk insygniów. Potem dotarło do niego przekleństwo i zrozumiał, że są zgubieni.

Zerknął na Ehiru; mieli tylko jedną szansę. „Walczyć?” – spytał bezgłośnie.

Ehiru miał zaskakujący wyraz twarzy; napięcie zniknęło, zostało zamyślenie. Lekko pokręcił głową i odwrócił się do żołnierzy. Chłopak przełknął ślinę i także na nich spojrzał. Nie zdziwił go widok miecza, przystawionego mu do gardła.

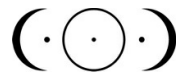
– Zbieraczu Ehiru – przemówił żołnierz. Głos mu drżał. – Praktykancie Nijiri. Mieliśmy was szukać, lecz sądzono, że prawdopodobnie opuściliście miasto.

– Jak widać, wróciliśmy – powiedział Ehiru.

– A teraz pójdziecie z nami! – rzucił drugi żołnierz, niemal dygocząc z przejęcia.

– Naturalnie – powiedział Ehiru. Opuścił ręce i spojrzał bez lęku na wymierzony w niego miecz. – Zapewne do Yanya-iyana?

Wtedy Nijiri zrozumiał. Jednak znaleźli sposób, by wedrzeć się do pałacu.



Zbieracz będzie służyć tak długo, jak długo przechodzi Jej próbę. Pod koniec służby musi ofiarować krew swojej duszy dla Jej użytku. Zbieracz należy bez reszty do Hananji, za życia i po śmierci.

(Prawo)

Głęboko pod Yanya-iyan znajdują się Yanyi-ija-inank, Ziemskie Trony Nieśmiertelnych Królów. Rzędy półek ciągną się wzdłuż cichych krętych korytarzy, a na każdej z nich stoją pogrzebowe urny z prochami dawnych książąt Gujaarehu. Półki te przedzielone są emaliowanymi wizerunkami, przedstawiającymi rządy każdego z nich na Tronie Snów. Oficjalne piktogramy wymieniają nazwiska władców i władczyń oraz ich osiągnięcia w Hona-Karekh.

Choć upamiętniono w ten sposób tysiąc lat istnienia miasta, zajęto mniej niż połowę półek i ścian – a przecież na wielu stoją urny ukochanych małżonków, cenionych żołnierzy i innych wybitnych obywateli Gujaarehu, którym przyznano zaszczyt spoczywania u boku swoich władców. Minie kolejny tysiąc lat, zanim te katakumby się wypełnią.

Ale Ehiru przekonał się, że ich pusta część znalazła swoje przeznaczenie. Pod jedną z niezapełnionych ścian stały trzy małe, pospiesznie zmontowane klatki, szpecące piękną architekturę surową żelazną kratą. Ehiru uznał ten widok za afront, który bolał go jeszcze, kiedy żołnierz wepchnął go do jednej z klatek i zamknął jej drzwi.

Nijiri krzyknął, gdy żołnierz popchnął go brutalnie za Ehiru

do klatki. Nie związano im rąk, lecz żołnierze najwyraźniej wiedzieli, jak niebezpieczny jest fizyczny kontakt ze zbieraczem, dlatego popędzali ich drzewcami włóczni. Nijiri obejrzał się gniewnie, rozcierając nowy siniak na tyle uda. Potem przykucnął obok Ehiru.

– Co teraz, bracie?

Głos miał napięty, lecz spokojny. Ehiru podejrzewał, że to napięcie wynika w równym stopniu z chęci walki i ze strachu.

– Teraz czekamy – odpowiedział, rozglądając się dokoła. Strażnicy stanęli na warcie przed nimi.

Klatki były zrobione z żelaznych krat związanych ze sobą naoliwionymi sznurami; ich drzwi sporządzono z arkusza zwykłej brązowej blachy, którą przykryto otwór między prętami. Żołnierze musieli przytoczyć do nich rzeźbione kamienne koło, by drzwi się zamknęły. Cała ta konstrukcja została przywiązana do żelaznych pierścieni zamocowanych w ścianę katakumb. W przeciwnym razie nieustannie by się chwiała i może nawet rozpadła. Wyglądała na lichą i prowizoryczną, ale niełatwo było z niej uciec.

Klatka najbliższej nich stała pusta, lecz w następnej znajdował się jakiś więzień. W mdłym świetle pochodni Ehiru nie dostrzegął szczegółów skulonej sylwetki, którą wzięłby za kupkę szmat, gdyby nie to, że się poruszyła.

– Tylko czekamy? – Nijiri spojrzał na strażników, unosząc brwi. Nie mogli rozmawiać swobodnie, ale nie mieli też nic do ukrycia przed swoimi wrogami.

– Księżę niedługo się zjawi – powiedział Ehiru.

Wkrótce okazało się, że miał rację. Nie minęła nawet godzina, a żołnierze wyprężyli się nagle na baczność. W korytarzu rozległ się szcęk łańcuchów i zgrzyt potężnych metalowych zawiasów mechanizmu, który otwierał ciężkie kamienne drzwi broniące dostępu wodzie w porze powodzi. Powiew świeżego powietrza i brzęk sprzączek u sandałów obwieściły przybycie księcia, któremu towarzyszyli czterej gwardziści i dziecko niosące Aureolę. Dwoje

innych dzieci służących szło za gwardzistami, niosąc naręcze ciężkich żelaznych łańcuchów.

Księżę, wspaniały w zbroi z brązowych łusek i czerwonej jak krew przepasce biodrowej, stanął przed klatką.

– Ehiru – powiedział, ciepło uśmiechnięty. – Miło mi cię znowu zobaczyć.

– A ja się nie cieszę, że cię widzę, Eninkecie – odparł Ehiru. Eninket uniósł brwi. Jego uśmiech zbladł.

– Widzę, że Kisuanie nakarmili cię kłamstwami. – Księżę westchnął. – Gdybyś zabił tę kobietę... Oszczędziłbyś sobie tyle cierpienia.

– Dość kłamstw – warknął Ehiru. – Zaplanowałeś wojnę niesprowokowany, tylko po to, by zaspokoić własną chciwość. Pogwałciłeś wszystkie nasze prawa. Ogłaszam cię...

– Niczym mnie nie ogłaszasz. – Grymas pojawił się na twarzy Eninketa równie szybko, jak zniknął z niej uśmiech. – Nie powinienem był zostawiać cię w Hetawie, kiedy się dowiedziałem, że cię mają. Lepiej by było, gdybyś umarł z resztą rodzeństwa, niż wyrósł na marionetkę kapłanów. – Podszedł do klatki, choć nadal znajdował się poza zasięgiem ręki. Ehiru zmusił się do rozluźnienia napiętych mięśni. – Wiesz, co zrobili z naszym ojcem? Widziałem raz, jak się płaszczy, pokorny jak najmarniejszy sługa, u stóp kapłana Hetawy. Błagał, płakał, obiecywał, że zrobi wszystko, czego zażądają, byle tylko dali mu senną krew. A oni mu ją dali, śmiejąc się z jego upokorzenia.

Nijiri wydał zduszony dźwięk. Ehiru zmarszczył brwi, drgnął gniewnie, z niedowierzaniem.

– Nie – powiedział. – Sennej krwi używa się do leczenia.

Eninket odrzucił głowę i roześmiał się gorzko. Ten dźwięk odbił się echem od ścian grobowca.

– Do leczenia? – Odwrócił się gwałtownie i zaczął krążyć przed klatką, zaciskając pięści. – Senna krew to największa tajemnica władzy w tym kraju! Ehiru, ty i twoi bracia zbieracie co roku setki

danin. Naprawdę sądzisz, że wszystko zużywa się tylko do pocieszania zrozpaczonych wdów i leczenia rannych rolników?

Ehiru wpatrywał się w niego w osłupieniu; czuł narastającą instynktowną zgrozę. Nie tego się spodziewał. „Nie chcę o tym wiedzieć” – pomyślał.

Ale nie można się sprzeciwiać woli Hananji.

– Senna krew jest słodsza od jakiegokolwiek wina czy afrodyzjaku, silniejsza od najczystszeo timbalinu – powiedział Eninket. Przystał chodzić przed klatką. Jego głos był zimny jak ostrze – ale i łagodny. Jak głos zbieracza. – Jedna jej dawka potrafi zmusić umysł do szybszego myślenia, ukoić serce i uczynić ciało nieczułym na ból, zmęczenie, nawet starość – przynajmniej przez jakiś czas. Ale zbyt częste i zbyt wielkie dawki powodują, że nawet najsilniejszy zaczyna jej pragnąć. Potrzebować. Zrobi wszystko, by dostać następną. Wiesz o tym lepiej niż ktokolwiek.

Wskazał brodą Ehiru, który wzdrygnął się mimowolnie. Eninket uśmiechnął się do niego.

– Naprawdę wierzysz, że Hetawa tego nie wykorzystuje? Jak ci się wydaje, skąd ma środki na utrzymywanie Domu Dzieci, budowanie posągów z drogiego nocnego kamienia, kupowanie jedzenia i ubrań dla ciebie i twoich braci? Elita tego miasta co roku oddaje połowę swoich fortun za przysługi Hetawy – i senną krew. – Usta księcia drgnęły z obrzydzeniem. – Danina za daninę.

– Kłamiesz! – Ehiru zerwał się na równe nogi i podbiegł do prętów, dygocząc. Gdyby był wolny, pewnie zabiłby Eninketa gołymi rękami tylko po to, by uciszyć te straszne słowa. Ale Eninket jedynie westchnął na widok jego wściekłości i spojrział na niego z litością. To lepiej niż cokolwiek złamało kręgosłup gniewu Ehiru, oznaczało bowiem, że Eninket mówi prawdę.

Nie. To nieprawda. Nie.

– Czterdzieści cztery lata panowania naszego ojca to kłamstwo, mój bracie – podjął książę. Mówił miarowym głosem, bez gniewu; Ehiru także się uspokoił, odrętwiały niemal do nieprzytomności. –

Ojciec nie podjął ani jednej decyzji bez zgody Hetawy ze strachu, że kapłani odetną mu dopływ sennej krwi i zostawią go na pastwę szaleństwa. Książęta byli pionkami; krajem tak naprawdę rządziła Hetawa. Kiedy się o tym dowiedziałem – i zobaczyłem, co się stało z naszym ojcem – przysiągłem, że przerwę to błędne koło. Przyjąłem ten zatruty miód wraz z Aureolą. Mogłem zrobić tylko to – lub czekać, aż pewnej nocy ujrzę w sypialni zbieracza. Latami żyłem jako ich niewolnik. Ale potajemnie szukałem sposobu, by się uwolnić.

Wskazał służących z łańcuchami. Skłonili się i podeszli do trzeciej klatki, którą otworzyli gwardziści. Ehiru usłyszał szepty i szcęk metalu; po chwili służący wyszli, prowadząc więźnia: mężczyznę, który byłby dwa razy od nich wyższy, gdyby się nie garbił. Człapał między nimi, z rękami i nogami skutymi kajdanami. Głowę i pierś osłaniał mu płaszcz z kapturem; pod nim więzień miał tylko brudną opaskę na biodrach. Niegdyś musiał być krzepki, lecz jakaś choroba lub głód wycieńczyły jego ciało i zmieniły je w szkielet o nogach sinych i pokrytych wrzodami.

Nijiri syknął i odskoczył przerażony z szeroko rozwartymi oczami. Ehiru spojrzał na niego, a potem przyjrzał się uważniej zgarbionemu człowiekowi. Nawiedziło go straszne podejrzenie.

– Teraz mnie nienawidzisz – odezwał się Eninket. Był bardzo poważny. Jedną ręką wyjął coś zza skórzanej przepaski na biodrach. – Widzę to w twoich oczach, choć ta nienawiść należy się tamtym. Lecz ja nigdy nie darzyłem cię tym uczuciem, choć pewnie myślisz co innego. Chciałem cię wykorzystać, bo oni zmienili cię w śmiertelnie groźne narzędzie i rzucili mi cię do stóp. Ale wiesz, że zrobiłem to z konieczności, nie z nikczemności.

Znowu dał znak. Jedno z dzieci podeszło, aby zdjąć wystrzępiony płaszcz ze skutego więźnia. Teraz to Ehiru odskoczył, tak wstrząśnięty i przejęty takim wstrętem, że gdyby miał coś w żołądku, musiałby to zwymiotować.

– Una-une – szepnął.

Zbieracz nie odpowiedział. Niegdyś był mentorem Ehiru,

najstarszym i najmądrzejszym z kapłanów, którzy od minionej dekady służyli krajowi. Teraz zmienił się w otepiałe widmo, które gapiło się nieprzytomnie na ten świat, z całą pewnością ohydniejszy od najstraszniejszego koszmaru. To nie były oczy Una-une'a, którego znał Ehiru. To nie były oczy człowieka.

– Nie jest w najlepszej formie – odezwał się Eninket, nadal tym łagodnym tonem zbieracza. – Jego umysł... to, co z niego zostało... pojawia się i odchodzi. Początkowo chciałem wykorzystać dawcę: łatwiej nad nimi zapanować, a wyniszczenie nie byłoby tak drastyczne. Ale zwoje ostrzegały, że tylko zbieracz ma moc, której mi potrzeba. Dlatego przekupiłem wartownika, żeby uprowadził Una-une'a, gdy ten medytował w wigilię swojej Ostatniej Daniny.

Z mroku dobiegł głos Nijiriego:

– Zwierzchnik powiedział, że Una-une oddał swoją daninę bezpośrednio dawcom. – Chłopiec jeszcze nigdy dotąd nie był tak wstrząśnięty; jego głos drżał jak głos starca. Atak Kosiara zostawił na nim swoje piętno. – Trzymałem straż u jego stosu pogrzebowego wraz z innymi akolitami. Widziałem, jak jego ciało płonie!

– Widziałeś, jak płonie jakieś ciało – warknął Eninket. – Jakiś prostak pochowany przez Hetawę, zresztą nie wiem. Zwierzchnik pomógł mi zatuszować to uprowadzenie, gdy zagroziłem, że wyjawię zbieraczom, w jaki sposób kupczy senną krwią. Może sądził, że z zemsty odetnie mi jej dopływ, a może po prostu nie przyszło mu do głowy, na co mi upośledzony zbieracz, kto wie? W każdym razie kiedy zrozumiał, jakie mam intencje, Una-une należał już do mnie.

Ehiru zapłakał. Nie mógł się powstrzymać na widok ruiny człowieka, którego kochał bardziej niż ojca, bardziej niż wszystkich braci i siostry, bardziej nawet niż samą Hananję. Przywarł do twardej, zimnej ściany w głębi klatki, bo tylko tak mógł nie upaść. Mój bracie ścieżki, mój mentorze, zawiodłem cię, wszyscy cię tak bardzo zawiedliśmy...

– Dlaczego? – Jego głos zabrzmiał jak ochryply szept. Głośniej nie potrafił. Una-une drgnął – może dlatego, że go usłyszał, może z powodu jakiegoś majaku, który wysnuł z siebie jego chory umysł.

– Una-une nie zna granic – powiedział Eninket. – Bierze i bierze, o wiele więcej, niż by mógł jako zbieracz. Jego głód pochłania wiele magii, ale zostawia mi więcej, niżli potrzebuję. – Odwrócił się do kapłana i uniósł dłoń, stukając paznokciem w przedmiot, który w niej trzymał. Ehiru drgnął odruchowo, usłyszawszy cichy brzęk jungissy. Una-une uniósł głowę... Nie. Kosiarz uniósł łeb – powoli, mrugając oczami, jakby usiłował dostrzec Eninketa z wielkiej odległości.

– Pójdź, bracie – powiedział do niego Eninket. Przytwierdził kamień do pancerza na piersi i wyciągnął ręce w obrzydliwie znajomej pozie: jak posąg Bogini, uświadomił sobie Ehiru z rosnącą zgrozą, albo dawca oczekujący na przekazanie zebranych danin. Po chwili Kosiarz przyczłapał do Eninketa i ukląkł u jego stóp, ujmując jego dłonie.

– Nie – szepnął Ehiru. Ale postawa Kosiarza – spazmatyczna kpina z ceremonii daniny – nie pozostawiała wątpliwości. Nie można też było nie zauważyć, jak Eninket nagle się zachłysnął i zastygł w bezruchu z twarzą rozjaśnioną w zbyt znanej ekstazie. I choć Ehiru zapłakał, przeszył go prąd czystej zazdrosnej żądzы.

To wystarczyło, żeby go rzucić na kolana i zgiąć w pół w ataku suchych mdłości. Poczuł dotyk Nijiriego, starającego się go podnieść albo przynajmniej ukoić, lecz to nie przyniosło mu ulgi. Gdy w końcu uniósł głowę, mrugając załzawionymi oczami i łapiąc z trudem powietrze, parodia ceremonii dobiegła końca. Padł na niego cień Eninketa stojącego tuż przed kratami, wreszcie na wyciągnięcie ręki – Ehiru jednak był tak osłabiony, że nie zdołał znaleźć sił, by go zaatakować.

– Wyjawiam ci to, bo zasługujesz na poznanie prawdy po tak wielu kłamstwach – powiedział Eninket. Mówił trochę niewyraźnie, w jego oczach pozostała jeszcze mgła rozkoszy. – Senna krew ma większą moc, niż sobie wyobrażasz. Wiesz, co może zdziałać jedno życie. Ale nie wiesz czegoś, na ukrycie czego Hetawa poświęciła tysiąc lat: że im częściej odbiera się życie i im więcej sennej krwi się zbiera, tym większe zmiany zachodzą w ciele i duszy.

– Położył dłoń na żelaznej kracie i pochylił się, mówiąc cicho i z naciskiem. – Jeśli odbierzesz życie wystarczająco wielu osobom, zyskasz nieśmiertelność.

Ehiru spojrział na niego, marszcząc brwi. Nijiri mocniej zacisnął dłonie na jego barkach.

– To niemożliwe – powiedział.

Eninket uśmiechnął się leniwie. Jego oczy zaśniły w świetle pochodni jak kryształy cytryny.

– Tak było w przypadku naszego przodka Inunru – wielkiego Inunru, olśniewającego jak bóg, pobłogosławionego przez Hananję! Czy nigdy nie zastanawiało cię, jak jeden śmiertelnik mógł osiągnąć tak wiele? Sto lat po pierwszych eksperymentach nie postarzał się, nie umarł. Pod sztandarem Hananji gromadziło się coraz więcej wiernych, gdy poznawali moc Jej magii. Kisuańscy Protektorzy w końcu wygnali jego wyznawców i zakazali narkomancji nie dlatego, że bali się magii, lecz ze strachu przed nim. Inunru stał się podobny bogom; trzeba było coś zrobić, żeby zniszczyć jego wpływy.

– Kłamstwa – warknął Nijiri. – Hetawa by o tym wiedziała. Byłyby relacje, podania wyrzyte na wszystkich murach...

– Hetawa musi strzec własnych tajemnic – odparł Eninket z zimnym uśmiechem. Ehiru nie odwracał spojrzenia od Una-une'a, który siedział u stóp Eninketa, bezwładny i cichy. – Ponieważ kolejne sto lat później, po wygnaniu z Kisui, tu, w hetawskiej Sali Błogosławieństw Inunru w końcu umarł – zabity przez własnych kapłanów. Oni także zaczęli się go bać, gdyż jego moc ciągle rosła – a wraz z nią jego chciwość. Zatem odebrali mu życie. I napisali na nowo hetawski rytuał, napisali na nowo samą historię, aby świat zapomniał o istnieniu takiej magii. – Eninket pochylił się, by Ehiru musiał na niego spojrzeć. – Ale ja znalazłem zwoje Inunru i teraz już wiem: kluczem jest Kosiarz.

Pogłaskał pochyloną głowę Una-une'a z czułością, która nie miała nic wspólnego z uczuciem.

– Gdy na polu bitwy spotkają się nasi żołnierze z kisuańskimi –

podjął – ich żądza krwi i ból przyciągną głód Kosiarza, jak płomień wabi ćmę. Ale ta ćma pożre płomień, a poprzez nią uczynię to i ja. Una-une w końcu umrze, wypalony tą mocą... lecz ja stanę się nieśmiertelny jak bóg. – Przez chwilę milczał, długo i poważnie patrząc na Ehiru. – Potem jednak będę potrzebować nowego Kosiarza.

Krew Ehiru ścięła się lodem. Eninket odwrócił się z cichym westchnieniem.

– Wypocznij dobrze, bracie – powiedział. – Wrócę z Kite-iyam, kiedy wojna się zakończy. Strażnicy powiadomią mnie, gdy znajdą w tobie nieuniknione zmiany. – Ruszył do wyjścia, zatrzymał się i obejrzał się na Nijiriego.

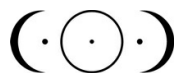
– Może sądzisz, że nie ma w tym dobroci serca... lecz przynajmniej chłopiec odda ci się jako ofiara, z własnej woli.

I książę Gujaarehu odszedł, zabierając ze sobą wszystkich strażników – nawet tych, którzy uwięzili Ehiru i Nijiriego w klatce. Dzieci nakryły głowę Kosiarza kapturem i pomogły mu wstać. Stwór pocłapał między nimi, przez chwilę spokojny.

– Eninket... – szepnął Ehiru. Nie wiedział, czy przeklina brata, czy go błaga. Jeśli Eninket go usłyszał, nie zareagował.

Wielkie kamienne wrota zamknęły się z hukiem, więząc ich w grobowcu.

INTERLUDIUM CZWARTE



Czy odgadłeś już tajemnicę? Tę nitkę szaleństwa, która ostatecznie utka naszą zgubę?

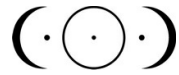
Istnieje powód, dla którego słudzy Hananji ślubują czystość. Istnieją powody, dla których książęta są kontrolowani. To tylko krople wody w wodospadzie, ziarenko piasku podczas burzy – ale próbowaliśmy. Prawdziwi śniący to jednocześnie geniusze i szaleńcy. W większości krajów toleruje się tylko paru, a i oni umierają młodo. My otoczyliśmy naszych opieką, dbaliśmy o nich, o ich zdrowie i szczęście. Wypełniliśmy nimi miasto i szczyciliśmy się swoją wielkością. Rozumiesz, jak piękne i niebezpieczne było takie postępowanie. I tak, wiem – powiedziałem ci, że jestem strażnikiem opowieści. Zawsze znałem odpowiedzi na te pytania. Uczymy nasze dzieci, żeby kierowały się własnym rozumem. Kiedy zostałem zbieraczem, przyglądałem się i przemówiłbym, gdyby zaistniała taka potrzeba. Na szczęście nie zaistniała. Prawda?

Prawda?

Ach, zwierzchniku. Kiepski z ciebie kłamca, nawet gdy nie mówisz.

Czy przynajmniej powiesz moim braciom, że zginąłem? Ehiru. Powinienem opowiedzieć te historie jemu, nie tobie... ale zawsze był kruchy, choć tak silny. Wiara trzyma go przy życiu... a wiarę tak łatwo podkopać.

Więc powiedz mu, że umarłem. Kiedy ze mną skończysz, to będzie prawda. I powiedz mu, że go kochałem. Będzie tego potrzebował, kiedy nadejdzie czas. A te słowa – wiem to – pozostaną prawdą aż do końca snów.



Wszystkie modlitwy odmawiaj w sua, języku naszej ojczyzny, abyśmy zawsze pamiętali, kim byliśmy. Mów o wszystkich snach w naszym języku, abyśmy mogli pogodzić się z tym, kim się stajemy.

(Prawo)

Wśród tronów umarłych zaczyna się pranje.

Pierwszy dzień.

- Nie boję się, bracie. Pomogę ci.
- N... nie zbliżaj się.

Pierwsza noc: naoliwiony sznur skrzypi pod ciężarem metalu.

- Co robisz?
- Wybacz, że cię obudziłem. Myślałem, że zdołam przeciąć któryś z tych węzłów, które łączą żelazo. Jeśli się stąd wydostaniemy...

Milczenie.

- To była twoja spinka od przepaski. Ta, którą dostałeś od matki.
- Dziecinny drobiazg. – Znowu skrzypnięcie. – Chce ci się pić, bracie? Jest woda. Ale jedzenia nie ma.
- Nie.
- Nie piłeś od...
- Nie.

Westchnienie i znów powraca skrzypienie.

Drugi dzień: poranek, lub to, co za niego uchodzi wśród tronów zmarłych. Powolny, miarowy oddech, przez który przebija szeptana modlitwa.

– Wybacz mi, wybacz mi, Hananjo. Błagam Cię, powinienem oddać Ci moją daninę po Bromartenie, teraz to wiem, wybacz mi dumę i samolubstwo, proszę, proszę, proszę nie pozwól mi go zabić.

Drugi dzień: popołudnie. Przelotny powiew świeżego powietrza i cichnące echo butów strażników.

– Przynajmniej nas nie zagłodzą. Proszę, bracie.

– Nie chcę.

Milczenie.

Przeciągłe westchnienie.

– A teraz wypij. Twój umysł będzie walczył gwałtowniej, jeśli ciało będzie zdrowe.

– Zapomniałeś o swojej przysiędze, Nijiri?

– ...Nie, bracie.

– Więc dlaczego zwlekasz? Wiesz, co musisz zrobić.

– Wiem, że musisz jeść i pić, a gdy skończymy posiłek, musisz się ze mną modlić, a potem, gdy będziesz medytował, ja znowu zajmę się tymi zawiasami ze sznurka. Zajmie mi to parę dni, ale chyba...

Nienaturalny wybuch furii.

– Głupie, złe dziecko! Cieszy cię moje cierpienie? Zmusisz mnie do wykonania tego występnego...

– Nie chcę twojego cierpienia, bracie. Ale jeśli mnie weźmiesz, będzie to prawdziwy zbiór, bo oddam ci się z własnej woli.

– Już teraz moje myśli... wizje... nie mogę... – Głęboki oddech,

próba odzyskania spokoju. – Dałeś słowo, Nijiri.

– Czy rozważyłeś, co się stanie, kiedy cię wezmę, bracie?

– Co?

– Ze mną może to potrwać dłużej – albo krócej. Nie mam twojej mocy. Ale ostatecznie książę zyska Kosiarsza, tego czy innego.

Długie, straszne milczenie.

– Pij, bracie. Kiedy się oswobodzimy – i kiedy nie będzie nam grozić – zostanie zabawką księcia. Wyślę cię do Niej. Ręczę ci wszystkim, czym jestem.

Druga noc: w sali zmarłych panuje cisza. Mąci ją tylko skrzypienie.

Trzeci dzień: poranek. Ostry roztrzęsiony oddech.

– Bracie?

– Kraty. Zaciskają się. Z... zmiążdżą nas.

– Nie, bracie. To wizja.

– Widziałem!

– Więc usiądź obok mnie. Śmierci nie trzeba się bać, prawda? Tutaj kraty dosięgną nas szybciej. Chodź.

Szuranie sandałów na kamieniach, powolne i niechętne.

– Dobrze. Dotknij mojej ręki. Zrobiły mi się odciski, czujesz? Wodze wielbłądów, wiosło na barce, przepiłowywanie sznurka... kto by pomyślał, że życie zbieracza jest tak trudne. Bogowie, powinienem pozostać w kaście służących.

– Jesteś. – Głos brzmi szorstko, z trudem odnajduje słowa. – Jesteś. Na to. Za hardy. Co drugi dzień musiałybyś... szukać nowego pana.

Serdeczny śmiech.

– Czysta prawda, bracie. Powinienem być wdzięczny przynajmniej za to, że w Hetawie nie bije się dzieci.

Chrapliwy oddech traci miarowość, zwalnia, uspokaja się. Po długiej chwili...

– Dziękuję.

Brak odpowiedzi, choć drugi głos zaczyna nucić łagodny, kojący hymn.

– Tym razem idzie bardzo szybko, Nijiri.

– Ćśśś... – Kolejny szmer; tym razem ciało muska ciało. – Jesteś. Jesteś tutaj. Na tym świecie, w tym ciele. Zostań ze mną, bracie. Potrzebuję cię.

– Tak... tak... – Głośne przełknięcie śliny. – Zapomniałem, co to jest prawdziwy strach. Teraz nic go nie powstrzymuje.

– Nie ma się czego bać. Wszystko będzie dobrze. Wypoczywaj. Będę tu, kiedy się zbudzisz.

Trzeci dzień: popołudnie. Powiew świeżego powietrza. Ciszę zmarłych mącą trzy nowe głosy, niespokojne, głośne, pozbawione szacunku.

– Umarł już? Postawiłem na ciebie, chłopcze.

– Ale spojrzenie! Gdyby nienawiść mogła zabić, już byś leżał trupem.

– Co za pech. Ciągle oddycha. Tylko śpi.

– Na siedząco?

– Może tak to robią. Może usiłuje cię zabić na odległość.

– Może rzuca przekleństwo na twój ród.

– Może rzuca przekleństwo na twoje rodowe klejnoty! – Jazgotliwy śmiech.

– Dajcie im jeść, imbecyle, i idziemy. Straszne miejsce.

Kamień, łańcuchy, powrót ciszy. I po jakimś czasie powrót skrzypienia.

Trzecia noc: wczesny wieczór.

– Drżysz.

– N...nie... zimno.

– Wiem.

– Czy cię kiedyś. Skrzywdziłem, Nijiri?

– Co? Nie. Dlaczego pytasz?

– Wi... wizja. Pranje. Krzywdziłem cię. Biłem. Za... zabiłem.

– Nie bądź niemądry, bracie. Jestem tu, prawda? Nigdy nie asystowałem ci przy pranje, choć chciałem. Trenowałem, żeby móc ci asystować. Nie martw się. Nigdy nie zrobiłeś nic takiego.

Głos, który drży:

– W wizji chciałem.

Głos, który koi:

– Nigdy na to nie pozwolę.

Trzecia noc, późno, albo czwarty rano, wcześnie. Przedświt. Nieskończenie ciche, potajemne odgłosy. Śmierć zakrada się na paluszkach.

Powolny, równy oddech zamiera na chwilę i znów się odzywa.

– Witaj, bracie.

Cisza.

– Chcesz mnie?

Napięte milczenie.

– Weź, co chcesz. Uwolnij się. Zaczekam na ciebie w Ina-Karekh.

Milczenie. Koniec tajemnic; już tylko oddech, rżący z wysiłku.

– N... nhhh...

Oczekiwanie.

– Nnnnh... – Głos się łamie; nie brzmi już ludzko. – N...nie. Nie! Nigdy.

– Bracie! Nie. Bracie, nie... chodź. Tak, tak, bracie.

W szlochu, który odzywa się w ciszy, brzmi brak nadziei, ale kojący głos jest pewny siebie i kochający.

– Chciałem... zrobiłbym to... *Indethe a etun...*

– Óóó... Nigdy nie odwróciła od ciebie swojego spojrzenia, bracie. Jesteś Jej najbardziej ukochanym sługą, służysz Jej od dawna i dobrze. Powita cię, gdy nadejdzie pora. Będziesz wiecznie żyć w Jej spokoju. Sam tego dopilnuję.

– Teraz, Nijiri. To musi być teraz. Następnym razem...

– Następnym razem zrobisz, co będziesz musiał. Ale staraj się wytrzymać. Przeciąłem zawiasy parę godzin temu. Teraz wystarczy tylko pchnąć. Kiedy przyjdą strażnicy, uwolnimy się.

– Nie... wytrzymam...

– Wytrzymasz. Pomogę ci. Óóó... Zamknij oczy. Tak, właśnie tak. Óóó... Uprzedzę sen, chcesz? Nie jest to zbiór, ale może wystarczy, żeby przez chwilę obronić cię przed obłędem. Połóż się.

– Nijiri.

– Zawsze cię kochałem, bracie. Nie obchodzi mnie już, co jest słuszne. Ty jesteś moim jedynym prawem. Wypocznij, bezpieczny w moich snach.

Cisza.

Czwarty dzień.

– Książę miał rację, bracie.

Szczęk potężnych łańcuchów, odbijający się echem od ścian. Kamienne drzwi się otwierają. Do katakumb wpada świeże powietrze. Wśród tronów umarłych życie przygotowuje się do walki.

– Rzeczywiście stałeś się bronią – ale nie jego. Wszystko służy woli Hananji – nawet to. Pamiętaj o tym, cokolwiek zrobisz.

Hurgot ustaje; kroki mącą święty spokój Yanyi-ija-inank.

– I cokolwiek się stanie, nie opuszczę twojego boku.

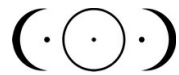
Strażnicy zatrzymują się przed drzwiami klatki.

– No, chłopcze. Zdechł już?

Śmiech.

Ehiru podnosi głowę, uśmiechając się tak, że ich dusze skuwa lód.

– Tak – mówi Kosiarz.



*Kosiarz to zniewaga wobec wszystkiego,
co jest drogie Hananji. Nie dozwolisz żyć
takiemu stworzeniu.*

(Prawo)

Pierwszy strażnik upadł, gdy Ehiru kopnął nadwątloną ścianę klatki, wyrywając ją z zawiasów. Metal był ciężki; przewrócił strażnika na ziemię. Dwaj pozostali, zaskoczeni, stali, wytrzeszczając oczy. Zanim się ocknęli, Ehiru wyszedł już z klatki i rzucił się na nich.

Nijiri wybiegł za nim, gotów walczyć z tym, którego Ehiru pominie, ale nie było potrzeby. Ehiru z potężną siłą uderzył pierwszego strażnika w szyję, a potem tak szybko, że jego ruchy się zamgliły, odwrócił się i chwycił drugiego za twarz. Strażnik – oślepiiony palcami Ehiru – po omacku szukał miecza. Nijiri podbiegł, aby pomóc mentorowi, lecz strażnik wydał nagły, zduszony odgłos i osunął się na kolana. Ehiru go puścił. Mężczyzna upadł na bok, martwy. Wszystko to woła Hananji. Nijiri trzymał się kurczowo tej myśli. W Jej imię zrobią wszystko, co trzeba. Pierwszy strażnik zacharczał i umarł, trzymając się za gardło.

Trzeci strażnik zdołał się częściowo wyswobodzić spod żelaznej kraty, ale zahaczył o nią skórzaną częścią napierśnika. Ehiru, chwiejący się po szale koszenia, odwrócił się powoli, zwabiony samotaną mężczyzny. Nijiri trzema skokami przemierzył przestrzeń między nimi, przykląkł przy żołnierzu i jednym szybkim szarpnięciem złamał mu kark.

Mgła zniknęła z oczu Ehiru, który spojrzał na chłopca znowu przytomny – na tak długo, na ile mu wystarczy senna krew

żołnierza. Ujrzał dzieło Nijiriego i w jego oczach pojawił się smutek.

– Nie więcej, niż to konieczne – powiedział Nijiri, wstając. Wytrzeł ręce w swoją przepaskę. – A teraz chodź. Musimy jeszcze wyjść z Yanya-ian.

– Eninket. – Głos Ehiru brzmiał niżej niż zwykle, ochrypły i powolny jak po spożyciu timbalinowej pasty. Choć przed chwilą pobrał tyle sennej krwi, Nijiri słyszał szaleństwo pobrzmiewające tuż pod powierzchnią normalności.

Senna krew już go nie powstrzymuje. Trzyma go przy życiu, to wszystko.

Wola Hananji. Nijiri zacisnął zęby.

– Powiedział, że idzie do Kite-ian.

Ehiru skinął głową i odwrócił się na pięcie. Pomaszerował w stronę drzwi. Zaskoczony Nijiri pobiegł za nim. Korytarz za drzwiami katakumb był pusty, za co chłopiec podziękował w duchu. Księżę musiał ograniczyć liczbę strażników do trzech, by zminimalizować ryzyko, że wiadomość o aresztowaniu zbieraczy się rozejdzie.

– A trzy to pechowa liczba – mruknął Nijiri pod nosem.

Wbiegli po schodach, przeskakując po dwa stopnie, a potem wypadli na jaśniejsze korytarze na parterze pałacu. Służący i dworzanie potykali się, oglądając się na nich. „Widać brudni mężczyźni z zapadniętymi oczami i w brudnych kisuańskich strojach rzadko pędzą przez ten pałac niczym fale powodzi” – pomyślał Nijiri cynicznie. Jeśli ktoś podniósł alarm, to zrobił to ospale, bo aż do dziedzina nikt im nie stanął na drodze. Gdy biegli przez piaszczystą połąć w stronę brązowych wrót Yanya-ian, Nijiri na ułamek chwili przypomniał sobie Noc Hamyan, która teraz wydała się odległa o tysiąc snów. Strażnicy pilnujący bramy stali na zewnątrz, wypatrując nieproszonych gości, nieświadomi tego, co dzieje się na terenie pałacu. Ehiru i Nijiri uszliby pewnie bez szwanku, gdyby ktoś na wysokich poziomach pałacu nie gwizdnął na alarm. Strażnik odwrócił się i ujrzał uciekinierów. Zaskoczony

tracił swojego towarzysza. Nijiri ruszył biegiem, by dopaść do bramy; za jego plecami rozbrzmiewał tupot Ehiru. Pierwszy strażnik uśmiechnął się, widząc biegnącego ku niemu nieuzbrojonego młodzieńca. Nie fatygując się dobywaniem miecza, wyciągnął rękę, żeby chwycić biegnącego. Nijiri uskoczył, przykucnął i z boku wbił pięść w kolano strażnika. Wilgotne pyknięcie chrząstki poniosło się echem w pustym dziedzińcu.

Mężczyzna krzyknął, padając na ziemię i trzymając się za kolano. Za plecami Nijiriego rozległ się kolejny krzyk; chłopak obejrzał się i ujrzał Ehiru, który – z oczami rozplamionymi nieświętą drapieżnością – właśnie wypuszczał z rąk zwłoki. Zanim ciało upadło, Nijiri ujrzał mgnienie twarzy wykrzywionej najstraszniejszym przerażeniem. W piasku dwa kroki od nich utkwiała drżąca strzała. Nijiri śmignął pędem w stronę bramy. Stękając z wysiłku, podniósł ciężką, odlaną z brązu zasuwę. Ehiru, niepokojąco spokojny, odwrócił się do łuczników. W chwili, gdy Nijiri zdołał unieść zasuwę i otworzyć wrota, kątem oka dostrzegł mgnienie ruchu. Obejrzał się; stojący dwa kroki dalej mentor trzymał w dłoni strzałę. Jeszcze drżała, wycelowana w jego plecy.

Niemożliwe! Nawet najlepiej wytrenowany zbieracz...

– Idź – warknął Ehiru, odrzucając strzałę. Chłopiec, zbyt odrętwiający, aby myśleć, wymknął się za bramę.

Znaleźli się na ruchliwej alei otaczającej Yanya-iyana. Z wyżyn pałacu dobiegły ich kolejne gwizdy. Przez ruch na ulicy Nijiri ujrzał mężczyzn w szarych przepaskach miejskiej straży. Oglądali się, wyciągając szyje, by zobaczyć, co jest przyczyną alarmu.

– Tędy – rzucił Ehiru. Szybko zanurzył się w tłum i włączył się w jego nurt, trzymając się środka ulicy, gdzie ludzka rzeka płynęła najbardziej wartko. Nijiri szedł ze spuszczonej głową, znowu udając służącego, choć zaryzykował zerknięcie do tyłu. Strażnicy dotarli do bram Yanya-iyana. Pałacowy gwardzista wybiegł z dobytym mieczem, rozglądając się dziko; zaczął dawać strażnikom znaki. Nijiri znowu szybko spuścił głowę. Ehiru zrobił to samo. Na pierwszym skrzyżowaniu ruszyli za ciężkim wozem i skręcili

na południe. Znajdował się tam rynek, na którym mogli się łatwo zgubić w morzu ludzi.

Ehiru lawirował wśród kłębiących się tłumów tak szybko, że Nijiri musiał dokładać sił, by za nim nadążyć. Usiłując nie zważać na kolkę – zbyt wiele dni w bezruchu; należało przynajmniej odbywać tańce modlitewne... – wyciągnął rękę i złapał Ehiru za ramię.

– Bracie, Hetawa jest tam.

– Nie. – Ehiru nie zwolnił.

– Bracie, nie możemy tak po prostu wejść do Kite-yan! Potrzebujemy koni, przebrania, akcesoriów, zamienników naszych insygniów! I musimy powiadomić naszych braci, co się wydarzyło.

– Za godzinę całe miasto będzie pod obserwacją.

Nijiri zrozumiał ze ściśniętym sercem, że Ehiru ma rację. Gorzej – zostaną powiadomieni hetawscy wartownicy, jak nakazuje zwyczaj – a wartownicy, w każdym razie niektórzy z nich, byli posłuszni zwierzchnikowi. Powrót do Hetawy oznaczał ponowne uwięzienie.

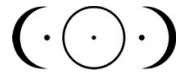
– Zatem powinniśmy iść do południowej bramy – powiedział. Ehiru zwolnił i obejrzał się na niego. Nijiri uśmiechnął się ponuro. – Nie jest to najbliższa brama Ścieżki Luny, wiem, ale tamtejszy strażnik jest przyjacielem siostry Meliatuy i Sunandi. Pamiętasz? Może nawet da nam konia.

Ehiru zatrzymał się i zastanowił nad tym, marszcząc brwi. Jakiś kupiec musnął go, przechodząc, i zbieracz zadygotał, a jego oczy zasnuły się lekką mgłą, gdy odprowadził mężczyznę łakomym spojrzeniem. Poruszył się, palce dłoni rozłożyły się, jakby chciał je położyć kupcowi na powiekach... Nijiri chwycił tę rękę i mocno ją uścisnął. Ehiru wzdrygnął się, wracając do rzeczywistości, i przymknął oczy z rozpaczy.

– Brama południowa – rzucił. – Szybko. Wyprowadź mnie z tego miasta.

Nijiri skinął głową. Wciąż trzymając Ehiru za rękę, zaczął się przeciskać przez tłum w nowym kierunku, modląc się, by zdążyć

do Kite-iyana na czas.



*Świat się rodzi.
Echa, tańczące płomienie, śmiech.
Pędzimy przez królestwo snów u boku
bogów.
Świat się kończy.*

(Mądrość)

Książę Gujaarehu leżał bezsennie wśród poduszek na przykrytym gazowymi draperiami łożu, kontemplując świat, który wkrótce będzie należał do niego.

Nie pragnął podbojów. Jednak pożądał spokoju – jak prawdziwy syn Gujaarehu – i dawno temu uświadomił sobie, że spokój jest naturalną konsekwencją porządku. Ten wspaniały sen, jakim był Gujaareh, udowadniał to raz po raz. Nie znano tu zbrodni i przemocy szalejących w innych krajach. Nikt nie głodował – no, może tylko mieszkańcy najbardziej odległych zakątków. Nawet ludzie z najniższych kast byli na tyle wykształceni i zdeterminowani, aby panować nad własnym losem. Tu rodząc się, znałeś swoje miejsce. Umierając, wiedziałeś, że twoja śmierć ma znaczenie. A dzięki temu, co robiłeś w tym czasie, naród Hananji rozkwitał. Żałosna grupka namiotów, przycupnięta nieśmiało nad ujściem rzeki, zmieniała się w sieć miast, kopalni, pól uprawnych i szlaków handlowych. Jego piękne Miasto Snów.

Ale reszta świata nadal zmagala się z nieporządkiem, więc na dłuższą metę na jaki spokój mógł liczyć Gujaareh z tak słabymi i małodusznymi sąsiadami? Książę w młodości zwiedził inne kraje i przeraził się chaosem i okrucieństwem, przy których krainy cienia

wydawały się pociągające. Inni władcy usiłowali okiełznać ten chaos siłą lub pieniędzmi, czasem z powodzeniem, lecz nigdy na stałe. Jakże by mogli, skoro ludzkie życie nie trwa wiecznie? Nawet najszlachetniejsi przywódcy w końcu starzeli się i umierali, oddając władzę tym, którzy przeważnie na nią nie zasługiwali.

A oto rozwiązanie problemu: podbić świat, ale po to, by zaprowadzić spokój, nie aby zyskać władzę. I nigdy nie stracić raz zdobytego panowania. Stać się bogiem.

Księżę usiadł. Leżąca obok pierwsza żona Hendet poruszyła się przez sen. Spojrzał na nią i pogłaskał jej policzek, odpowiadając uśmiechem na jej senny uśmiech. Po trzydziestu latach i ponad dwustu innych żonach nadal czuł się zaszczycony jej łaskami. Jak to się zdarza wśród kobiet z południa, pozostała piękna, choć jej młodość przeminęła; czas zostawił parę rys na jej ciemnej, gładkiej skórze. Ale była stara – po pięćdziesiątce, niemal tak stara jak on sam. Pragnął, by dała mu więcej dzieci, i może nawet by się ich doczekał, gdyby pozwolił jej przyjąć senną krew z Hetawy. Lecz choć ta perspektywa go kusiała, nie mógł znieść myśli, że Hetawa położy łapę na kolejnym członku jego rodziny.

Pocałował kobietę w czoło.

– Zostań tutaj. To będzie niebezpieczne.

Uniosła rękę i przesunęła palcem po jego wargach.

– Nie bądź niemądry.

Skinał głowę z uśmiechem, zgadzając się na jej decyzję, choć obudziła w nim mgnienie bólu. Straci ją, gdy moc uczyni go nieśmiertelnym. Jeszcze parę dekad i Hendet znajdzie się poza jego zasięgiem – w Ina-Karekh, gdzie nigdy więcej jej nie zobaczy.

„I ten smutek złożę u stóp Hetawy” – pomyślał. Wstał nagi, by przystąpić do wojny.

Służący otulili go szatą z piór, w której przeszedł do łaźni. Tam oblali go oczyszczającą solą i wodą z cytryną, po czym wytarli do sucha, nacierając płatkami róż nasączonymi olejkami. Gdy włożyli mu zbroję przodków i przepletli włosy złotem, poszedł

do komnaty, gdzie czekała na niego Hendet z ich synem Wanahomenem. Klęczący Wana uniósł miecz w skórzanej pochwie. Księżę przyjął go, a wówczas chłopiec podniósł oczy, aby przyjrzeć się, jak ojciec przypasuje miecz. Nie po raz pierwszy księżę zdziwił się czystym uwielbieniem w oczach syna.

„Niech tak będzie – pomyślał. – Niech Hananja i dzieci Luny mają krainę snów. Świat jawy należy do synów Słońca”.

– Pójdź – powiedział i Wanahomen wstał, natychmiast ruszając jeden krok za nim po jego prawicy. Hendet – zawsze dbała o zasady – szła po lewej, z głową uniesioną wysoko z ożywieniem i dumą. Na publicznym korytarzu dołączył do nich nosiciel Aureoli. Księżę zastanowił się, czy go nie odprawić, ale uznał, że słuszniej będzie odrzucić Aureolę później, gdy stanie się bogiem nie tylko nominalnie. Charris ruszył za nimi i tak dotarli do stopni prowadzących na najwyższą wieżę Kite-iyana.

Marmurowe korytarze wokół nich ziały pustką. Dla bezpieczeństwa księżę odesłał wszystkie żony i dzieci, a gwardię Zachodu Słońca umieścił na najniższym piętrze pałacu, aby bronić go przed atakiem. Tylko ta czwórka – liczba magiczna i miła – miała być świadkiem jego wywyższenia.

W milczeniu weszli po schodach, mijając podest, na którym Niyes ujrzał swój koniec. Nie zatrzymywali się, dopóki nie dotarli na najwyższe piętro wieży. Charris otworzył drzwi; jednocześnie snop światła przeszył daleki horyzont i rozłożył się niczym wachlarz, gdy złota krzywizna słońca pojawiła się na niebie.

Księżę się uśmiechnął. Daleko na południu, gdzie pustynia docierała na granicę Kisui, nadejście świtu dało wojskom sygnał do ataku.

Wyszedł na balkon, z rozkoszą wdychając powietrze; rzeński wiatr uniósł mu włosy niczym kędzierzawe skrzydła. W kącie balkonu poruszyła się jakaś postać; szcęk łańcuchów zmaćił poranną ciszę. Księżę zerknął na swojego Kosiarza przyczajonego pod ścianą, do której przykuli go służący. Ich ciała leżały u jego stóp. Księżę z rozbawieniem zauważył, że w Kosiarzu w nocy musiały się obudzić

echa dawnej osobowości; stwór ułożył zwłoki w godnych pozycjach.

Jungissa, którą uniósł księżę, była surowa, brzydka. Ot, odłamek z większego kawałka nasienia Słońca – tych osobliwych kamieni, które od czasu do czasu spadały z nieba – w przeciwieństwie do tych używanych przez Hetawę wyglądający jak zwykły skalny okruch. Jednak kiedy księżę uderzył nim o balustradę balkonu, Kosiarz zadrżał i uniósł głowę.

– Bra... acie?

Księżę uniósł brwi w zaskoczeniu. Kosiarz ostatnio rzadko się odzywał. Resztki jego osobowości tak osłabły, że księżę prawie nie musiał się posługiwać jungissą. Panował nad myślami stwora samą siłą woli. Odłożył kamień, podszedł do stworzenia, przykucnął, by spojrzeć mu w zdezorientowane oczy.

– Jestem. Dobrze spałeś, Una-une?

Kosiarz zamrugał – słońce go raziło – westchnął i pokręcił głową.

– Nie. Wizje. By... był ból. Ehiru. Cierpiał.

Księżę skinął na Charrisa, który odpiął łańcuch przytwierdzony do obroży Kosiarza.

– Tak, bracie – powiedział księżę, przejmując łańcuch od Charrisa. Pogłaskał Kosiarza po zapadniętym policzku. – Niestety, cierpi. Ale przyszedł czas, aby wreszcie zakończyć twoje cierpienie. Jeszcze tylko jedno zadanie, jeden wspaniały zbiór i będziesz mógł odpocząć.

W oczach stwora pojawiło się pragnienie; wypełniły je łzy.

– Tak. Tak. Och, proszę. Służyłem tak długo.

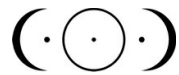
– Wiem. Jeszcze tylko chwila, a potem czeka na ciebie Jej spokój. Daję ci słowo. Pójdź.

Wstał i szarpnął za łańcuch. Kosiarz uniósł się i popłynął za nim, pełen gracji drapieżnika, choć prawie postradał zmysły. Księżę zatrzymał się przy balustradzie i dał znak Hendet i reszcie, by się cofnęli.

Ale Kosiarz nagle zeszywniał. Odwrócił się w stronę wejścia

na balkon, niemal wyrywając łańcuch z ręki księcia. Ten wstrzymał oddech i zacisnął palce, przygotowując się do starcia z obłąkanym głodem stworzenia – lecz potem uświadomił sobie, że Kosiarz nie wyrywa się w stronę Hendet czy Wanahomena. Księżę poszedł za spojrzeniem stwora i zacisnął zęby.

– Dość, Eninkecie – warknął Ehiru.



*Koszmarów nie należy się bać – o ile się
nad nimi panuje.*

(Mądrość)

Śniąca mknęła przez nocne niebo jak widmo, gdy ich konie galopowały Ścieżką Luny do Kite-yian. Niezmienne, przebijające się przez szum wiatru, były jedynie gniew i głos Nijiriego, które od czasu do czasu przedzierały się przez mgłę, aby mu przypomnieć, kim jest. Weszli do pałacowej sali powitalnej i zastali ją pełną żołnierzy. Ehiru, w którego głowie wciąż rozbrzmiewało echo głosu matki, nienawidził ich tak gwałtownie, że ta nienawiść wyrwała mu się i skoczyła. Gdy ją ściągnął z powrotem, wróciła z duszami, pulchnymi, miotającymi się rybami złapanymi w sieć jego umysłu. Pożarł je łakomie, rozkoszując się ich bólem i przerażeniem jak pikantną przyprawą, a poczucie winy tylko na chwilę zepsuło mu przyjemność.

Teraz stał przed księciem, swoim bratem, swoim zdrajcą, i ta nienawiść powróciła – ale tym razem ją powstrzymał. Oczyszczył tę duszę z zepsucia we właściwy sposób, jako zbieracz, nie bestia. Dla sprawiedliwości i Hananji stanie się sobą po raz ostatni.

– Dość – powtórzył, wychodząc na balkon. Za nim sunął Nijiri – cień gotowy do ataku. Po jednej stronie kobieta, dwóch mężczyzn i dziecko służący stali przerażeni, a ich dusze przyzywały go niczym jasne kuszące płomienie. Zignorował je wraz z głodem, który się ich dopominał.

– Poddaj się. Mam jeszcze dość panowania nad sobą, aby dać ci spokój. Jeśli będziesz się opierał, nie obiecuję niczego.

Eninket uśmiechnął się chłodno, choć Ehiru widział, że skrywa gniew.

– Nie bądź głupi, Ehiru. Śmierć czy życie boga – co byś wybrał? – Położył rękę na ramieniu Kosiarza i stwór syknął drapieżnie.

– Panuj nad swoją bestią. – Ehiru podniósł głos. Nie zachowywał się spokojnie, lecz też nie zostało w nim wiele spokoju – a zresztą nie dbał o niego. – Człowiek, którym niegdyś była, mógłby mnie pokonać, ale nie to żalosne stworzenie. A jeżeli spuścisz je z łańcucha, może zaatakować nie tylko mnie.

Zerknął na mimowolnych świadków. Mężczyzna w stroju wysokiego rangą wojskowego dobył miecza; młodzieniec zrobił to samo. Wyglądał jak cień Eninketa, jak zauważył Ehiru, i tej kobiety z rodu shunhów, która stała z nimi. Przez twarz księcia przemknął strach.

– Wanahomenie – przemówił, trzymając rękę na ramieniu Kosiarza. – Odejdź z matką. Charrisie, w razie potrzeby oddaj za nich życie.

Żołnierz wyglądał, jakby chciał zaprotestować, ale rzucił niespokojne spojrzenie na Kosiarza – który pożerał Nijiriego wzrokiem pełnym jawnego łakomstwa – i ustąpił. Młodzieniec nie dał się tak łatwo zbyć.

– Nie, ojcze!

– Rób, co mówię. – Eninket oderwał spojrzenie od Ehiru na tyle, żeby zgromić nim młodzieńca. – Natychmiast. Precz!

Po chwili młodzian spuścił głowę, a kobieta pociągnęła go za ramię do wyjścia. Żołnierz chwycił za rękę dziecko kurczowo ściskające Aureolę i także powlókł je do wyjścia. Gdy ich kroki ucichły na schodach, Ehiru zrobił krok naprzód, nie spuszczając Kosiarza z oka.

– Przegrałeś – powiedział do brata. – Staw czoła śmierci z godnością.

– Nawet teraz, po wszystkim, co ci powiedziałem? – Eninket roześmiał się cicho i gorzko. – Niewolnik Hetawy do samego końca.

Nie, Ehiru. To nie ja przegrałem – dodał i westchnął. – Niech się stanie.

I spojrzął na Kosiarza, a jego twarz przybrała osobliwy wyraz skupienia. Kosiarz zamarł z miną jeszcze bardziej nieprzytomną niż zwykle – choć przechylił głowę, jakby nasłuchiwał. Wtedy Eninket zdjął mu rękę z ramienia.

Wprawdzie Ehiru spodziewał się ataku, lecz szybkość stwora go zaskoczyła. Miał tylko chwilę na to, by zareagować. Kosiarz jednak przemknął obok niego i nagle Ehiru zrozumiał, że to nie on jest celem.

– Nijiri!

Ale chłopak zdążył chwycić rękę Kosiarza, zanim dotknęła jego twarzy. Wykręcił ją, zmieniając kierunek biegu stwora. Ten potknął się, stracił równowagę, a wówczas Nijiri uderzył go w środek zapadniętej piersi. Kosiarz runął na podłogę, młócąc rękami; Nijiri skoczył na niego z takim drapieżnym spojrzeniem, jakiego Ehiru nigdy u niego nie widział. Mentor pospieszył mu na pomoc, ale nagle za jego plecami rozległ się cichy dźwięk, który przykuł jego uwagę. Ehiru odwrócił się ku Eninketowi i jego kolejnemu podstępowi. I zamarł, wpatrzony w brzęczącą jungisę w dłoni brata. Eninket spał się, lecz potem spojrzął na Ehiru z zastanowieniem.

– Chodź tutaj – rozkazał mu. Ehiru zrobił krok w jego stronę, zanim uświadomił sobie swoje zachowanie. Zatrzymał się zdziwiony.

– Więc działa także na ciebie. – Księżę spojrzął na niego jakby ze zdziwieniem. – Zwierzchnik powiedział, że jesteś głodny... a jednak chłopiec żyje. Kogo w takim razie zabiłeś, by ratować swoje życie, bracie?

Ehiru zacisnął zęby ze wstydu. Eninket uśmiechnął się, już pewny siebie. W oczach błysnął mu tryumf.

– Jesteś tak samo zepsuty jak cała reszta, pomimo wszystkich tych świątobliwych przemów.

Pieśń jungissy wypełniła głowę Ehiru, cofnęła go o tysiąc nocy

i tysiąc zbiorów, kazała mu zatęsknić za czasem, kiedy życie było proste. Za czasem niewinności i spokoju w sercu, i...

Co to jest? Potrząsnął głową ze zmieszaniem, lecz jęk kamienia przeszywał jego myśli jak sztylet.

– Kolejna tajemnica ze zwojów – powiedział Eninket, podchodząc bliżej. – Umysł Kosiarza zyskuje nie tylko moc, ale i większą wrażliwość, stając się podatny na najprostszą narkomancję.

Ehiru usiłował oderwać oczy od jungissy, która rosła przed jego oczami – nadaremnie. Jej dźwięk zagłuszył wszystko... także walkę Nijiriego z Kosiarzem. Ehiru znowu spróbował się skupić na Eninkecie, który nie miał ochrony i był bezbronny wobec zbieracza, ale...

– Nazywają cię ulubieńcem Hananji. Najsprawniejszy współczesny zbieracz – umierający marzą, żebyś to ty ich zabrał. Spójrz jednak, jaką cenę płacisz za tak dobre służenie Hetawie. Stałeś się mój jeszcze szybciej niż Una-une. – Książę westchnął. – Może tak miało być, mój bracie. A teraz chodź.

To słowo wbiło się w Ehiru, poparte siłą woli, która rozgarnęła jego opór jak zasłony nad łóżkiem i dotknęła jego najtajniejszej części jaźni. Zdawało mu się, że wydał jakiś odgłos, może zduszony jęk. Nie był pewien. Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia. Zadrzał, usiłując znowu uwolnić z siebie nienawiść, ale ten obcy umysł, który wsnuł się w jego głowę, delikatnie odsunął te myśli.

– Chodź, bracie – powtórzył Eninket.

Ehiru odwrócił się i podszedł tam, dokąd prowadził go głos – do balustrady balkonu.

Za nim, w oddali, ktoś zawołał jego imię. Nijiri. Strach o chłopca niemal dał mu siłę, by się odwrócić, ale wola Eninketa przeważała.

– Cicho, bracie.

Znowu się zagubił, w klatce pod Yanya-ian, płacząc z głodu, który niemal doprowadził go do zamordowania Nijiriego. Ten głos był inny, lecz słowa pociechy brzmiały tak samo, ręka na ramieniu była niemal tak samo czuła.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział głos w jego uchu. Nijiri? Nie. W tym głosie nie było miłości. – Rozumiem. Wszędzie tyle zepsucia, tyle cierpienia, a ty nie możesz temu zapobiec. Ale ja ci pomogę.

Ehiru z największym wysiłkiem zamknął oczy. Popełnił jednak błąd: brzęk jungissy poszedł za nim w ciemność, a głos zapuścił głębiej korzenie w jego umysł.

– A teraz dosięgnij ich, bracie. Odległość nie powinna ci przeszkadzać. Dosięgnij ich na pustyni. Czujesz ich?

Stojący z zamkniętymi oczami Ehiru nie miał wyjścia; musiał się skupić na głosie. Walczył z nim, lecz jego umysł jakoś się rozciągnął, oddalił od niego, jakby zsuwał się po pochylni. Wokół niego pojawiły się wizje: pustynia, lot na skrzydłach niebnika. Oto wioska Ketuyae, tam oaza w Tesie. Tu wzgórze i nagle jego lot się zmienił. Coś ściągnęło go na bok. Zaniepokoił się, zwolnił, poczuł w powietrzu smak krwi, bólu i gęstego jak senny koszmar strachu.

I śmierci.

A gdzie śmierć, tam senna krew.

– Zepsucie, bracie. Czujesz je? Brud, jakiego w naszym kraju nie widziano od stuleci.

Ehiru go poczuł. Jęknął, gdy jego zmysły zaatakował strach, okrucieństwo, wściekłość, wbijając się jeszcze głębiej pod powierzchnię umysłu. Teraz ich zobaczył: setki, tysiące mężczyzn z mieczami, żądnych krwi, pragnących rozsiekać się nawzajem na kawałki. Antyteza spokoju. Wizja się zmieniła i na miejscu mężczyzn ujrzał tylko światło – iskry, które rozbłyskiwały, a potem gasły w śmierci, i inne, które płonęły jednostajnym blaskiem, łącząc się w migotliwą całość. Słońce, którego ciepło obiecywało wypełnić zimną bolesną pustkę w jego wnętrzu. Tak wiele dusz. Tak bardzo wiele.

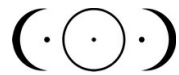
Gdzieś w innej rzeczywistości Ehiru oblizał usta.

– Oni tu przybędą. Chcą nas zarazić swoją dzikością i chaosem, unicestwić nasz spokój... Jej spokój... na zawsze. – Głos zbliżył się

do jego ucha, przebijając się przez dalekie krzyki bólu, wściekłości i jego własną rosnącą żądzę. – Powstrzymaj ich, braciszku. Weź ich. Weź ich wszystkich, teraz, i podziel się nimi ze mną.

Nie została w nim ani odrobina oporu. Magia i głód wszystko pochłonęły.

Ehiru wyciągnął ręce i umysł, objął ponad dwadzieścia tysięcy dusz i zaczął kosić.



W wieku ośmiu powodzi gujaareńskie dziecko powinno umieć czytać Prawo i recytować pierwsze cztery doktryny Mądrości, mnożyć i dzielić przez cztery i dziesięć i nosić w snach imię duszy dla ochrony.

(Mądrość)

Widok Czuwającej Luny był przez całe dzieciństwo pociechą dla Sunandi. Godziny Śniącej należały do tych, którzy rządili kiswańskimi ulicami; był to czas właścicieli niewolników i dziwek, złodziei i bandytów. Silnych, którzy pożerali słabych. Ale wzejście Śniącej oznaczało koniec ich czasu, gdyż wtedy na żer wychodziły najstraszniejsze drapieżniki, by polować, pożerać i pokładać się znowu w legowiskach, gdzie śniły zimne krwawe sny. Potem na niebie widniała tylko Czuwająca Luna – nieśmiała, nieładna siostra niebiańskiej królowej, mająca dla siebie niebo tylko na jakąś godzinę przed powrotem Słońca. W porze deszczowej nawet mniej. Ale kiedy blade światło Czuwającej Luny padało na miejskie ulice, nadchodził czas słabych. Wtedy dziecko zwane Nefe i jego towarzysze, najmniej ważni w hierarchii, wymykali się z kryjówek, by skubać resztki pozostawione przez lepszych od nich. A jeśli niczego nie zdołali zjeść ani ukraść, przynajmniej byli bezpieczni, a z poczuciem bezpieczeństwa nadchodziły te nieliczne chwile szczęścia, które Sunandi przypominała sobie z najmłodszych lat. Zabawa. Śmiech. Bycie dzieckiem, przez tę jedną godzinę. Nigdy nie żałowała, że Kinja ją adoptował – ale też nigdy nie zapominała tych czasów, tak jej drogich jak matka, którą ledwie pamiętała.

Dziś światło Czuwającej Luny nie dało jej ulgi, bo w jego blasku widziała gujaareńskie wojska pokrywające płaskowyż Soijaro jak wrzody trędownego.

Za późno, kapłanie. Oboje przegraliśmy – moje zepsute obyczaje i twoja obłąkana sztywna sprawiedliwość. I oba nasze kraje zatoną we krwi.

Koń Sunandi biegł niezmordowanie, może reagując na zapach strachu w powietrzu. Sunandi ściągnęła niezdarnie cugle i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że obok niej jadą Anzi Seh Ainunu i Mweke Jeh Chi, główna Mądra Protektorów. Anzi, generał kisuańskich wojsk, był wysoki i twardy jak miecz, brutalnie szczery w mowie i postępowaniu. Mweke ostro z nim kontrastowała: pulchna, opanowana, promieniejąca cichą siłą. Plotka głosiła, że w jej żyłach nie płynie czysta kisuańska krew, co byłoby wielkim skandalem, choć nikt nie zdołał tego udowodnić. Sunandi zastanawiała się, czy kobieta jest z pochodzenia Gujaarenką.

– Ostatnia próba pertraktacji zawiodła – powiedziała Mweke, ściągając wodze konia tak, by zrównać się z Sunandi. Mówiła cicho, choć cały obóz nie spał, niespokojny przed nadchodzącą bitwą. – Nasz posłaniec dostał w odpowiedzi strzałę w brzuch.

Sunandi mocniej otuliła się szatą, czując chłód nie tylko z powodu zimnego nocnego powietrza.

– Wiedzieliśmy, że nie dojdzie do porozumienia, szacowna.

– Ale miałaś nadzieję. – Stara kobieta uśmiechała się na widok jej miny. – Czekalaś, aż ten twój kapłan jakoś temu zapobiegnie.

Sunandi otworzyła usta, żeby powiedzieć Mweke, że zbieracz Ehiru nigdy nie był jej przyjacielem, ale potem je zamknęła. Jeśli Ehiru poniósł klęskę, to znaczyło, że zginął.

– Czas na mnie – odezwał się Anzi. Głos miał głęboki, zaskakująco aksamitny jak na żołnierza, co w jakiś przewrotny sposób przypomniało jej o Ehiru. – Wróg czeka na świt.

Mweke skinęła mu głową, lecz generał jeszcze przez chwilę nie ponaglał konia.

– Tu jest błąd – odezwał się nagle, wskazując płaskowyż. Na jego czole pojawiły się głębokie zmarszczki. – Plan wroga ma wadę. Wszyscy zginą.

Sunandi zmarszczyła brwi, usiłując zgadnąć, w jaki sposób doszedł do tego wniosku, patrząc na zebraną w dole armię. Przy brzegu w oddali widać było szereg masztów tajemniczych statków; za ujawnienie prawdy o nich zginął Kinja, a pewnie także Niyes. Ich śmierć nie poszła na marne, bo dzięki ich ostrzeżeniu, a także podejrzaniom Protektorów, Kisua przygotowała się do odparcia ataku – co prawda w ostatniej chwili. Anzi ledwie zdołał zebrać dwanaście tysięcy żołnierzy, którzy otoczyli płaskowyż i wypełnili dolinę za nim – jedyną logiczną drogę, którą wróg mógł napaść na kisuańską stolicę.

Sunandi oczywiście nie była strategiem. Nie dostrzegła przyczyn pewności siebie generała. Dwanaście tysięcy żołnierzy, wielu wyczerpanych po forsownym marszu przez połowę Kisui, by dotrzeć na płaskowyż na czas, nie gwarantowało zwycięstwa przeciwko dziesięciu tysiącom wojowników, wypoczętych i palących się do bitwy.

– Mamy ich dość, by powstrzymać atak – powiedział Anzi, jakby czytając w jej myślach. – To nasz kraj. Mamy w dolinie i okolicznych górach zasadzki. Nasze trasy transportowe są godne zaufania. Możemy ich tu zatrzymać na całe dni, nawet tygodnie, jeśli to konieczne... na tyle długo, by przybyli tu nasi żołnierze z południa. To będzie wojna obliczona na wyczerpanie przeciwnika – którą przeciwnik w nieunikniony sposób przegra. Ich dowódca jest głupcem, jeśli tego nie widzi.

Mweke przyglądała mu się przez chwilę.

– Może on także czeka na posiłki.

– Może. To nawet całkiem prawdopodobne. Ale tu nadal jest błąd.

Sunandi skrzywiła się, urażona jego brakiem szacunku, lecz Mweke tylko westchnęła. Może Protektorzy do niego przywykli.

– Ten plan od samego początku był głupi. Jeśli chcieli wygrać,

powinni byli zjawić się z co najmniej dwukrotnie większymi siłami.

– Co pan mówi, generale? – zdziwiła się Sunandi. – Że wróg nie chce wygrać?

Niemal czuła zapach nienawiści gujaareńskich żołnierzy. Zwiadowcy donieśli, że wielu z nich pochodzi z północy – barbarzyńcy, którzy gardzili cywilizowanymi ludźmi, uważając ich za słabych, zniewieściałych tchórzy. Palili się, by zagarnąć kiswańskie bogactwa.

– Nie wiem – odparł Anzi. – Znasz tych cudzoziemskich szaleńców lepiej niż ja. Ale jeśli przybyli, by umrzeć na naszych brzegach, to chętnie im w tym pomogę. – Skinął energicznie głową Sunandi i Mweke i zawrócił konia. Obie kobiety patrzyły, jak zjeżdża szlakiem prowadzącym z ich obozowiska na górze w dolinę. Tam miał dowodzić bitwą.

Która rozpocznie się już niedługo, zrozumiała Sunandi. Niebo na wschodzie przez parę ostatnich chwil znacznie się rozjaśniło.

– Powinnyśmy zwinąć obóz, szacowna – zwróciła się do Mweke. – Negocjacje nie są już możliwe. Musimy wrócić do stolicy, gdzie ty i pozostali Protektorzy będziecie odpowiednio chronieni.

Mweke skinęła głową, ale nie zrobiła żadnego ruchu, by odejść.

– Anzi ma rację – powiedziała. – W tym musi być coś więcej. Księżę Gujaarehu nie jest głupi. Ma umysł jak potężny labirynt.

Sunandi nigdy nie słyszała bardziej odpowiedniej metafory.

– Możemy tylko rozwiązać problem, który mamy w zasięgu ręki, szacowna.

– Nie. Możemy zaplanować, jak wywieść księcia w pole – i zrealizować ten plan. Posiłki z południa nie przybędą. Protektorzy i ja postanowiliśmy wysłać ich na północ.

Sunandi zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem. Na północy nie ma nic prócz Pustego Tysiąca i...

Olśnienie spadło na nią niemal natychmiast. Głos ugrzązł jej w gardle. Mweke przyjrzała się jej i skinęła głową z chłodną

aprobata.

– Nie istnieje żaden powód, dla którego książę miałby zbudować garnizon na pustyni – powiedziała – oprócz tego, by wspierał on inwazję na lądzie. Drugą inwazję. Protektorzy uważają, że to – kobieta wskazała gujaareńską armię zebraną na Soijaro – jedynie manewr odwracający uwagę. Dlatego uderzymy w prawdziwe zagrożenie u jego źródła.

Sunandi przełknęła z trudem ślinę.

– Generał może potrzebować tych żołnierzy, szacowna. Przynajmniej powinien wiedzieć, że wsparcie nie nadejdzie.

– Trudno jest wymagać od żołnierza, żeby narażał życie bez powodu. Nie będzie walczyć ze wszystkich sił, sądząc, że to przegrana sprawa; zbyt szybko powita śmierć, chcąc złożyć się w ofierze dla większej chwały. Potrzebujemy pełnego zaangażowania Anziego – gdyż my także traktujemy to starcie jako podstęp. Kisua ma wystarczające siły, by pokonać tę zbieraninę. Nawet jeśli przegramy tę bitwę, wygramy wojnę. Gdy nasza odsiecz skończy z pustynnym garnizonem, ma się udać jeszcze dalej na północ, do stolicy Gujaarehu. – Sunandi spojrzała na nią, osłupiała ze zgrozy. – Tak musi być – powiedziała Mweke cicho. Jej głos niemal ginął w szumie porannego wietrzyka, ale był nieubłagany. – Gujaareh to córka, która zeszła na złą drogę i oddała się zepsuciu, więc teraz musimy ją przywołać do porządku. Kara będzie bolesna dla obu krajów, ale ostatecznie sytuacja się poprawi. – Mweke zerknęła w zadumie na Sunandi. – Bardzo dobrze się spisałaś, Jeh Kalawe. Lepiej, niż się spodziewano, biorąc pod uwagę twój młody wiek. Wyciągnij z tych wydarzeń naukę. Pewnego dnia staniesz się potężną Protektorką.

Po tych słowach Mweke zawróciła konia i odjechała w miejsce, gdzie żołnierze i niewolnicy zwijali obozowisko.

Sunandi odprowadziła ją wzrokiem, zbyt odrętwiała, żeby za nią pojechać. Mimo woli wyobraziła sobie bitwę u bram Gujaarehu. Wizja jasnych murów zbryzganych czerwienią przyprawiła ją o nagłe mdłości. Zawsze nienawidziła Gujaarehu. A jednak...

Niebo za jej plecami rozjaśnił świt.

Na płaskowyżu zaczęła się bitwa.

Sunandi zamknęła oczy, słysząc bojowy krzyk dwudziestu dwóch tysięcy mężczyzn. Bezgłośnie, po raz pierwszy w życiu zaczęła się modlić do Hananji.

Powstrzymaj to. Na tym etapie możesz to zrobić tylko Ty. Spraw, by książę zmańdzał. Oszczędź swojemu miastu – i obu naszym krajom – kolejnych bezsensownych śmierci.

Przez długą chwilę, tak jak się spodziewała, odpowiedź nie nadchodziła. Potem Sunandi poczuła na karku mrowienie. Zaskoczona, odwróciła się w siodle.

Za jej koniem stał Ehiru – zgarbiony, z bezwładnie opuszczonymi rękami, spoglądający w ziemię. Sunandi odetchnęła gwałtownie; nie spodziewała się, że tak ją ucieszy jego widok. Ale...

Ehiru uniósł głowę i Sunandi wzdrygnęła się, wstrząśnięta tym, co spojrzało na nią przez jego oczy. Obłąd – nagi i roziskrzony, tak obcy, że twarz kapłana stała się niemal nierozpoznawalna. Obłąd i coś więcej: głód.

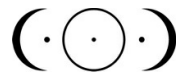
Z oddali, przez nagły łomot krwi w uszach, dobiegły ją odgłosy ustającej bitwy. Wszyscy go zobaczyli, uświadomiła sobie, choć nie wiedziała, skąd to wie. Każdy żołnierz, urzędnik i niewolnik na płaskowyżu Soijaro ujrzał tę samą wizję.

Potem Ehiru wyciągnął do niej niemożliwie długie ramiona, a jego usta rozciągnęły się w obłąkanym uśmiechu, ukazując zęby ostre jak ciernie róży.

– Przynoszę ci spokój – szepnął i zatopił w jej skórze palce jak korzenie.

W świetle namacalnym siedząca na koniu Sunandi zeszywniała i zaczęła krzyczeć. Dwadzieścia dwa tysiące gardeł krzyknęło razem z nią, lecz to nie miało znaczenia. Królestwem Kosiarza był świat snu – jedyny świat, który się liczył, a w tym świecie Ehiru ściągnął Sunandi na ziemię i bez wysiłku przygniótł ją swoim ciężarem. Przykucnął nad nią, nadal uśmiechając się z miłością, i zabrał się

do jedzenia.



*Zbieracz, który nie zgadza się oddać
Ostatniej Daniny, będzie uznany
za zepsutego.*

(Prawo)

„Umrzyj wreszcie – pomyślał zaciekle Nijiri – a jeśli spadniesz do krainy cienia, to dobrze ci tak”.

Kopnął Una-une’a w plecy, a potem usiadł na nim okrakiem, chwyciwszy jego brodę i potylicę. Ale zapomniał o szybkości Kosiarza. Una-une uderzył go pięścią pod brodę, tak mocno, że omal nie złamał chłopakowi karku. Oszołomiony Nijiri zatoczył się do tyłu. Una-une wydostał się spod niego i rzucił go na podłogę balkonu. Ułamek chwili później ich pozycje się odwróciły. Głowa Una-une’a zasłaniała Nijiriemu rozjaśniające się niebo. Bursztynowe promienie wschodzącego słońca oświetlały wychudłą twarz i jedno błyszczące złośliwą radością oko Una-une’a.

– Pamiętam cię – dyszał Kosiarz, dygocząc z pożądliwości. Przesunął palcami po ramionach chłopca, przygważdżając je do ziemi. – Twoja dusza była słodka.

W odpowiedzi Nijiri warknął i skoczył w górę, uderzając czołem w jego usta. Una-une stęknął z zaskoczenia. Nijiri oparł stopy o podłogę i odepchnął się ze wszystkich sił, zrzucając z siebie Kosiarza. Uwolniony poderwał się na równe nogi i odskoczył do tyłu, by ochłonać i odzyskać przytomność umysłu.

Una-une także już stał. Skoczył, szybki jak pustynny wąż, z uśmiechem szkieletu na twarzy. Nijiri cudem uniknął ciosu pięści; pęd powietrza połaskotał mu skórę na głowie. Chłopak warknął

i przerzucił ciężar ciała na jedną nogę, żeby wymierzyć kopniaka, ale zanim zdołał to zrobić, Una-une przemknął pod jego gardą i pchnął go ramieniem w brzuch.

Obaj mieli szczęście. Niegdyś Una-une był potężnym mężczyzną, niższym, lecz masywniejszym od Ehiru. Teraz zostały z niego sama skóra, kości i wyschnięte ścięgna. Jego ciało przygniotło Nijiriego do metalowej balustrady balkonu, tak mocno, żeby wyduśić chłopakowi z płuc mimowolny krzyk, ale nie na tyle, by strącić ich obu w przepaść. Nijiri przez chwilę rozpaczliwie szarpał ramiona kapłana, niemal ogarnięty paniką, bo czuł na plecach powiew ostrzegającego go przed niebezpieczeństwem wiatru. Rozpaczliwie splótł palce obu dłoni i wbił je ze wszystkich sił w gardło Una-une'a.

Cios powinien był powalić kapłana na kolana, ale skórzana obroża na szyi złagodziła go. W tej samej chwili Una-une odpełzł poza zasięg rąk chłopaka. Zachwiał się, kołysząc ramionami i łańcuchem, uśmiechając się z jawną kpiną.

On się ze mną bawi, zrozumiał Nijiri i po plecach przebiegł mu lodowaty dreszcz.

Chłopak odepchnął się od balustrady i zastygł, przyczajony i gotowy do walki, starając się nie zwracać uwagi na pulsujący ból karku i żeber. Gniew go już opuścił; i tak był tylko przykrywką strachu. Pojawiły się niechciane wspomnienia zimnego dotyku Kosiarza na jego ciele i duszy i pomimo ciepła wschodzącego słońca przejęło go drzenie.

Ale Una-une nagle zmienił nastrój.

– Boi się – szepnął. Przez jego twarz przemknął wyraz zdziwienia; Kosiarz przechylił głowę, jakby jego splątane myśli nagle się uporządkowały. – Praktykant... nie może się bać.

Nijiri zmarszczył brwi, zrozumiawszy, jaką ścieżką podążają myśli obłąkanego stwora. Nie noc w zaułku. Pranje.

Mimo łomotu serca Nijiri zacisnął zęby.

– Zabiłeś chłopca, który ci służył.

– To mogłeś być ty. – Una-une uśmiechnął się wariacko. Nijiri

podejrzewał, że te słowa miały być komplementem. – Piękny chłopiec. Dla ciebie bardziej walczyłbym z obłędem. Kochasz Ehiru, prawda? A on kochał mnie... – Urwał; na moment przez jego twarz przemknął wyraz zagubienia. Podniósł głowę i Nijiri drgnął, widząc w jego oczach nagłą przytomność.

– Ulubieniec Hananji – powiedział Una-une. Odwrócił się zdjęty wstydem. Nijiri przyglądał mu się zaskoczony. – Wszystko przychodziło mu prosto do ręki jak oswojone ptactwo. Talent zbieracza, spokój Hananji, tak wielu admiratorów. Kochałem go jak syna... i także go nienawidziłem. Rozumiesz? Wtedy zrozumiałem. W moim sercu nie została ani odrobina spokoju. Nic prócz samotności i gniewu. Pora odejść.

Kątem oka Nijiri dostrzegł jakiś ruch. Ośmielił się zerknąć w bok i zobaczył, że Ehiru odwraca się sztywno jak starzec, a księżę prowadzi go do balustrady. Co oni robią? I dlaczego Ehiru porusza się, jakby lunatykował w jakimś koszmarze?

Przed oczami stanęła mu wizja księcia strącającego Ehiru z balkonu.

– Bracie!

Przez chwilę wydawało mu się, że Ehiru go usłyszał, bo zatrzymał się i zrobił ruch, jakby chciał się odwrócić, ale księżę coś szepnął i podniósł drugą rękę. Jungissa? Cokolwiek to było, miało władzę nad jego mentorem, który znowu skierował się na południe i ruszył w stronę balustrady.

– Nawet teraz – odezwał się Una-une.

Nijiri uświadomił sobie z dreszczem strachu, że zapomniał o swoim przeciwniku. Ale Kosiarcz tylko na niego patrzył pustymi oczami, promieniejąc tak bezgraniczną rozpaczą, że Nijiri zachwiał się w swojej nienawiści. A to mu przypomniało o ostatniej broni, jaka mu została.

Przełknął ślinę, opuścił ręce, wyprostował się i zrobił krok naprzód.

– Nadal jest w tobie spokój, bracie Una-une – powiedział. –

Zbieracz należy do Hananji, zawsze, nawet teraz.

Una-une zmarszczył brwi i spojrzał na horyzont, ale usłyszał słowa Nijiriego. Na wynędzniałej twarzy pojawił się smutek.

– Byłem gotów – powiedział. – Chciałem, żeby Ehiru przyszedł i zebrał moją Ostatnią Daninę. Ale oni mnie zabrali i od tego czasu nie zaznałem spokoju. – Westchnął i zerknął na Nijiriego. – Myślisz, że mógłbym Ją zobaczyć? Tylko raz, w Ina-Karekh?

Chłopiec podszedł o krok.

– Tak, bracie. Dobrze jej służyłeś. – Nabrał powietrza w płuca, starając się opanować łomot serca, poczuć prawdę swoich słów, nie myśleć o Ehiru i o tym, co robi z nim książę. Jedynym obowiązkiem zbieracza jest przynosić spokój; dlatego zbieracz musi mieć spokój w sobie. Spróbował znaleźć w sobie współczucie dla Una-une'a. Ku jego zaskoczeniu, nie było to trudne.

– Czy mam cię do Niej odesłać, bracie? – spytał łagodnie. – Znam drogę.

Una-une spojrzał na niego bezradnie. Przez jedną zapierającą dech w piersiach, słodko-gorzka chwilę jego oczy wypełniły się tęsknotą i wyglądało na to, że się zgodzi. Potem jego twarz się zmieniła. W jego spojrzeniu znowu pojawiło się zagubienie. A gdy zaczęło przemijać, Nijiri dostrzegł przebłyskujący przez nie obłęd Kosiarza. Tym razem, zrozumiał w ułamku chwili, nie będzie walki kota z myszą. Kosiarz – bo Una-une rozplątywał się jak poranna mgła – rozedrze jego umysł i wytoczy z niego ostatnią kroplę sennej krwi.

Nijiri zamknął oczy.

– Wybacz mi, wielka Hananjo. Nie mogę tego zrobić jak należy i zachować pewności.

Dlatego zapał się stopami w miejscu i kantem dłoni uderzył w szyję Kosiarza.

Kosiarz zatoczył się do tyłu. Szarpnął za luźną obrozę i głębokie wklęsnięcie tam, gdzie znajdowała się jego krtań. Skóra na niej zaczęła sinieć. Nijiri wykorzystał tę chwilę, podbiegł, przyłożył dłoń do piersi Kosiarza i przepuścił przez niego strumień sennej zółci, jak

to uczynił z wartownikiem Harakhą w dniu swojej próby. Nie był dawcą, nie miał pojęcia, co sparaliżował, modlił się tylko, żeby to było coś ważnego.

Chwilę potem z ust Kosiarza bluznęła krew. Jego wargi rozdziawiły się jak rybi pysk w bezskutecznej próbie złapania oddechu. Stwór osunął się na kolana, wciąż z gracją zbieracza. Przez jedno mgnienie jego spojrzenie skupiło się na Nijirim – i był w nim spokój.

Potem Una-une upadł i więcej się nie poruszył.

Nijiri odetchnął głęboko i zacisnął pięści. Odwrócił się w stronę Ehiru i księcia. O, Bogini!

Ehiru stał zwrócony na południe. Jego ręce drżały, uniesione i z rozstawionymi palcami. Dygotało także całe jego ciało, bardziej niż ciało tego chorego kisuańskiego chłopca; pod skórą rysował się każdy napięty mięsień. Nijiri widział profil swojego mentora, zastygły w ohydny spazmie pożądania, ekstazy, przerażenia i rozpaczliwego protestu. Erihu zaciskał mocno powieki. Przez szum wiatru dobiegał jego głos – dźwięk, który mógłby uchodzić za przedśmiertny jęk zwierzęcia albo skrzyp nadmiernie obciążonej belki. Ten dźwięk nie miał w sobie nic ludzkiego.

– Nnnnn...

A księżę stał za plecami Ehiru, trzymając ręce na jego ramionach, wczepiony w jego plecy jak kleszcz. On również miał zamknięte oczy, ale w czystej ekstazie; w świetle świtu niemal promieniał, chciwie pijąc moc.

– Zostaw go! – Nijiri skoczył do niego i chwycił księcia.

Jakby dotknął błyskawicy. Moc strzeliła jego ramionami do mózgu, zanim zdołał się obronić czy choćby cofnąć ręce. W tej miażdżącej chwili poczuł, że całe jego jestestwo się kruszy, zbyt słabe, by znieść taką falę woli, magii, sennej krwi, życia i...

– Nnnn... nie! NIE, BĄDŹ PRZEKŁĘTY, NIE!

Gigantyczny strumień mocy przestał płynąć. W dźwięczącej w uszach ciszy i bezruchu, który nagle nastąpił, Nijiri ujrzał, jak

książę, odepchnięty przez Ehiru, zatacza się do tyłu. Wzrok miał dziki, zawiedziony. Potem twarz Ehiru wykrzywiła nie ludzka furia. Odwrócił się, wciąż z krzykiem, i położył palce na oczach księcia.

Zderzenie z podłogą sprawiło, że Nijiri oprzytomniał. Rozejrzał się ogłupiały. Ułamek chwili później obok niego upadł książę z krwawiącymi jamami zamiast oczu. A jeszcze później na księcia upadł Ehiru, rycząc i rwąc jego twarz gołymi rękami.

Nad głową Nijiriego zawirowało niebo. Chłopak zamknął oczy, dotkliwie świadomy swojego ciała, krwi, kości, bardziej niż kiedykolwiek czując, że ciało jest tylko tymczasowym schronieniem dla jego prawdziwego jestestwa.

Ale było to dobre, mocne schronienie, stworzone przez samych bogów, choć żaden z nich się do tego nie przyznawał, a Nijiri był im niewypowiedzianie wdzięczny za to, że mu je dali.

Po jakimś czasie odzyskał zdolność myślenia. Przekręcił głowę i westchnął na widok zwłok księcia. Twarz była zmasakrowana nie do rozpoznania, kończyny wykręcone w dziwaczny sposób. Nijiri odwrócił wzrok, oparł się na łokciu i skupił wzrok na Ehiru, który klęczał, zwrócony w stronę horyzontu.

– Bracie.

Ehiru nie spojrzał na niego.

– Nijiri. Wygraliśmy. – Roześmiał się cicho, bez goryczy. – I przegraliśmy. Z Kisui nadciąga na nas armia.

Nijiri usiadł, krzywiąc się z bólu; siniaki przypomniały mu o swoim istnieniu. Podejrzewał też, że ma złamane żebro.

– Na pewno?

– Czuję jej smak. – Wiatr znowu zmienił kierunek. Niósł ze sobą mocny, błotnisty zapach kanałów irygacyjnych. Ehiru odetchnął głęboko, jakby się nim rozkoszował.

Nijiri wstał i otrzepał ubranie. Wiatr załopotał brudną kisuańską koszulą, którą chłopak miał na sobie jeszcze w katakumbach. Nijiri

zdjął ją i odrzucił, z ulgą czując na skórze światło i powietrze.

– To pewnie także wola Hananji – powiedział, a Ehiru skinął głową.

Trwali tak jakiś czas, przyglądając się, jak nad ziemią rozlewa się światło dnia. Gdzieś w dole rolnicy orali pola, rybacy sprawdzali sieci, matki budziły dzieci pocałunkiem. Do Gujaarehu przyszła wojna, ale to nie miało znaczenia, bo bez względu na to, kto rządził w pałacach i fortecach, zawsze będzie potrzebować ziarna, ryb i poddanych. A do tego potrzebny jest spokój. Hananja zawsze w końcu zwycięża.

Nijiri spojrział na Ehiru.

– Połóż się, Nsha.

Mentor zerknął na niego z uśmiechem. Położył się na wznak, z rękami wyciągniętymi po bokach, i czekał.

Nijiri ukląkł, ujął jego twarz w dłonie, wytarł z niej pot, brud i drobinki krwi księcia. Robiąc to, głaskał ją, zapamiętując jej rysy, jakby nie zrobił tego już sto razy.

– W snach jestem Zhehur – szepnął.

Ehiru skinął głową.

– Spotkamy się jeszcze, Zhehurze.

Nabrał tchu i powoli wypuścił powietrze w przeciągłym zmęczonym westchnieniu.

Nijiri pamiętał słowa rytuału, ale ich nie wypowiedział. Nie było potrzeby – a poza tym żadne słowa nie wydawały się właściwe. Przesunął palcami po oczach Ehiru, by je zamknąć, a potem ułożył rękę we właściwym miejscu. Nie miał jungissy – zbezczeszczony kamień księcia pewnie spadł z balkonu – lecz uspienie Ehiru nie było trudne. Jeszcze łatwiej było precyzyjnie przemieszczać się przez rzadkie warstwy, które rozdzielały te światy, gdyż dusza Ehiru była już w połowie drogi do snu. Obrazy, które przemknęły między nimi, były proste. Ehiru miał dość umiejętności, by stworzyć własny raj. Nijiri został przy nim tylko po to, żeby się upewnić

o obecności właściwych powiązań – matka Ehiru, Kite-iyān, setka jego rodzeństwa, Una-une. Dodał kilka zbędnych drobiazgów – zapach rzeki w powietrzu, bezchmurne niebo, by światło Śniącej lśniło w ten specjalny, dziwny sposób, który tak kochał Ehiru. Gdy świat został ukończony, Nijiri został w nim jeszcze trochę, nie chcąc zerwać tej ostatniej więzi. W końcu Ehiru delikatnie wypchnął go z Ina-Karekh. Żywi nie mogli pozostawać w tym świecie – chyba że podczas bezpiecznie krótkich wizyt we śnie.

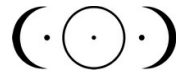
Zatem Nijiri w końcu wycofał się ze snu i ujął wąż, strzępiącą się więź Ehiru. Przeciął ją schludnie, zebrał dziesięcinę i wypuścił duszę do nowego domu. Dopiero kiedy ostatnie strzępy umblīkeh Ehiru rozplynęły się w nicości, poszedł za własną więzią i z westchnieniem wrócił do swojego ciała.

– Żegnaj, bracie – powiedział zbieracz Nijiri. – W rzeczy samej, jeszcze się spotkamy.

Ucałował uśmiechnięte wargi Ehiru i pochylił się, by złożyć pocałunek na jego piersi. To zastąpi jego pieczęć z lotosem.

Choć prócz niego nikt nie będzie jej widzieć.

Epilog



Miasto Hananji płonęło w blasku Śniącej Luny.

Eskortowana przez ośmiu kisuańskich żołnierzy Sunandi szła przez zasłane gruzami ulice ze skamieniałą twarzą i z rozpaczą w sercu. Oto rynek rzemieślników – płomienie, pożerające miasto od siedmiu dni, już zniszczyły kilka straganów. Oto sala, w której występowała sławna śpiewaczka Kyyefer; fasadę budynku zniszczył zabłąkany kamień z katapulty. Choć Dzielnica Niewierzących i część południowych murów leżały w dymiących ruinach, większość miasta pozostała mniej więcej cała. Gujaareńskie wojska nie walczyły zbyt zaciekle, gdyż księżę nie żył. Protektorzy surowo zakazali łupienia i gwałtów, a generał Anzi bezwzględnie wymusił stosowanie się do tego zakazu na żołnierzach, którzy udali się na północ, by zaprowadzić okupację. Panowanie nad Gujaarehem i tak było wystarczająco trudne.

Ale stało się jasne, że pomimo troski Protektorów miasto straciło coś ważnego. Sunandi widziała grupy obywateli, które zorganizowały się, aby walczyć z pożarami, lecz znacznie częściej spotykała ludzi chodzących bez celu, zagubionych i otępiałych. W dzielnicy rozkoszy Kisuanie zastali kilka hałaśliwych przyjęć. Jaskrawo umalowane kobiety i młodzieńcy z timbaliniarni dawali znaki żołnierzom; niektórzy unosili przepaski, by pokazać, że niczego pod nimi nie chowają, inni w ogóle byli nadzy, a wszyscy uśmiechali się przyjaźnie. Ale Sunandi widziała w ich oczach mgłę narkotyków lub sennego nasienia; w ich słodkich zaproszeniach słyszała nutkę strachu. A wśród ladacznic zauważyła odziane

na żółto siostry Hananji, cicho pełniące straż wśród gawiedzi. Wtedy zrozumiała: dawcy rozkoszy oddają się w ofierze zdobywcom, aby słabsi obywatele Gujaarehu nie doznali krzywdy.

– Zaatakują każdego, kto wygląda na Kisuanina – ostrzegł ją Anzi, gdy powiedziała mu, że chce przejść przez miasto. – Wszyscy nasi rodacy będą obiektem ich zemsty – a zwłaszcza takie ładne kobiety jak ty.

„Sprytne, że dodał to pochlebstwo” – pomyślała. Oczywiście, lecz inteligentne. No cóż, sam też był przystojny. Może kiedy opadnie kurz i Gujaareh zostanie opanowany... Ale nie teraz.

Spójrz na nich, Anzi. Nadal czujesz ich chęć zemsty? Duch tego miasta został złamany, może na zawsze. Gujaareh czeka, czy przyjdzie śmierć.

Weszli na plac Hetawy.

Tu pozostało coś z dawnego spokoju. Na placu tłoczyli się ludzie wszystkich kast i profesji. Niektórzy nieśli zawiniątka lub pchali wózki z dobytkiem. Ulica przed Hetawą została zmieniona w prowizoryczny szpital; prycze ustawiono wprost na bruku. Wokół ofiar pożaru i rannych żołnierzy kręcili się krewni i akolici z Hetawy. Inni ludzie pozostawali nieopodal; jedni wydrapywali powiadomienia na ścianach pobliskich budynków, drudzy kulili się na schodach samej Hetawy. Jednak choć zebrano się tutaj tak wielu ludzi, panowała tu osobliwie spokojna atmosfera – nieuchwytnie ukojenie, widoczne na niemal wszystkich twarzach. Przez pewien czas Sunandi nie potrafiła nazwać tego uczucia. Po chwili zrozumiała: to brak strachu. Gujaareh został pokonany, Gujaareh miał przestać istnieć jako odrębny naród, ale Gujaareh się nie bał. W każdym razie nie tu, w swoim sercu.

Sunandi uśmiechnęła się wbrew własnej woli.

Ruszyła przez plac. Na schodach odwróciła się do żołnierzy.

– Zaczekajcie tutaj.

Kapitan, który pewnie dostał od Anziego wyraźne rozkazy, spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– To niemożliwe. Nie możemy ci pozwolić wejść tam samotnie...

– Sądzicie, że słudzy Hananji uczynią z niej zakładniczkę? Albo ją skrzywdzą? – odezwał się cichy głos z mocnym suańskim akcentem. Odwrócili się i ujrzeli stojącego na schodach krępego rudego mężczyznę, patrzącego na nich z lekkim uśmiechem. Było w nim coś znajomego, choć Sunandi nie przypominała sobie, gdzie go widziała.

– Może takie rzeczy praktykuje się w barbarzyńskich krajach – dodał mężczyzna – ale nie tutaj.

Kapitan zjeżył się, lecz Sunandi uspokoiła go surowym spojrzeniem.

– Musisz nam wybaczyć, panie – zwróciła się do mężczyzny. – Żołnierze mają obowiązek przewidywać nawet to, co najbardziej nieprawdopodobne. – Powiedziała to po gujaareńsku, a mężczyzna unióśł brwi z zaskoczeniem i rozbawieniem.

– To prawda. Ale zapewniam cię, niektóre rzeczy nie są możliwe – nie pod okiem Hananji. A gdyby były... – Spojrzał na kapitana i choć nie przestał się uśmiechać, w jego oczach mignął chłód, który Sunandi rozpoznała natychmiast. – Jest was tu tylko ośmioro. Gdybyśmy chcieli wziąć jako zakładniczkę mówczynię Jeh Kalawe, byłoby to bardzo proste.

Kapitan wyglądał, jakby chciał dobyć miecza, choć łagodne ostrzeżenie nieznanego najwyraźniej zrobiło na nim wrażenie. Żołnierz zerknął na plac wypełniony wiernymi Hananji – z których większość się im przyglądała – po czym zacisnął zęby i skierował spojrzenie przed siebie. Sunandi wypuściła wstrzymywany oddech i odwróciła się do mężczyzny.

– Zdaje się, że w Gujaarehu znaczę więcej, niż sądziłam – powiedziała. – Choć na pewno nie tak wiele jak ty, zbieraczu...?

– Rabbaneh – powiedział mężczyzna. Skłonił głowę, po czym ruszył po schodach, dając jej znak, aby szła za nim. – Nijiri powiadomił nas tuż po swoim powrocie, że zostałam uznana za niewinną zepsucia. Podejrzewał, że możesz wrócić do Gujaarehu – choć niezbyt szybko – i zależało mu, byś nie otrzymała...

powiedzmy... niechcianych błogosławieństw. – Roześmiał się cicho.
– Bardzo przewidujący ten nasz Nijiri.

Sunandi odpowiedziała bladym uśmiechem. Poczucie humoru tego zbieracza niezbyt jej odpowiadało.

– Za co jestem bardzo wdzięczna.

– Jak my wszyscy. – Zbieracz obrzucił ją uważnym spojrzeniem. – Rozumiem, że ty i każdy, kto był na Sojaro, doszliście do siebie.

Sunandi zadrżała na to wspomnienie.

– Paru umarło. Ranni lub chorzy, paru starców, garstka innych. Ale tak, doszliśmy do siebie, przynajmniej fizycznie. Nie wiem, jak wielu z nas potrafi zasnąć spokojnie. – Westchnęła i uśmiechnęła się z przymusem. – W każdym razie opowieści o tym potwornym wydarzeniu sprawiają, że Kisua będzie bezpieczna przez wiele lat. Żołnierze z północy mało się nie pozabijali, tak śpieszno im było do łodzi i do domu.

Rabbaneh miał poważne spojrzenie – najwyraźniej nie rozbawiła go jej próba żartu. Ale także się uśmiechnął. – Zatem osiągnięto spokój. To dobrze.

Podwójne wrota głównego pylonu Hetawy zostały otwarte. Ludzie zaczęli przez nie wchodzić szeregiem. Wewnątrz kolejka prowadziła przez wielką salę z kolumnami, tak wysoką, że jej sufit ginął w mroku. Lecz choć sala zrobiła wrażenie na Sunandi, to gigantyczny posąg z nocnego kamienia sprawił, że stanęła w osłupieniu niczym zachwycone dziecko.

Rabbaneh zaczekał, aż się nasyci widokiem – jednocześnie nonszalancki i pełen władczej dumy, choć nie powiedział ani słowa. Po kilku długich chwilach Sunandi przełknęła z trudem ślinę i niechętnie oderwała wzrok od Bogini.

– Gdy pierwszy raz zobaczyłam Yanya-iyana, wydał mi się wspaniały – powiedziała. – Powinnam była zgadnąć, że największym cudem Gujaarehu jest Hetawa.

– Tak – odparł zbieracz z uśmiechem. – Powinnaś była.

Ruszył w stronę mrocznego przejścia za kolumnadą. Sunandi pospieszyła za nim, starając się nie patrzeć na rzeźbione historie na kolumnach, półki, z których spływały rozkwitłe pnącza łączy luno, szlifowane szyby w potężnych oknach. Za kolumnadą majaczyły czerwone przepaski innych hananjańskich kapłanów, prowadzących ludzi do alków po drugiej stronie sali. Zbierają daniny, by leczyć rannych, zrozumiała. Oczywiście.

Zbieracz zatrzymał się przy mięsistej zasłonie, za którą znajdowała się inna część Hetawy – korytarze, tereny i budynki, do których zwykli ludzie nie mieli dostępu. Tu Sunandi przystanęła, ale Rabbaneh uśmiechnął się znowu, tym razem szczerze i bez cienia kpiny.

– Nijiri opowiedział nam wiele historii ze swych podróży przez ten ósmdzień od swojego powrotu. Sądzę, że ucieszy się na twój widok.

Sunandi nie była tego pewna. Nie była też pewna, czy chce go widzieć.

– Znaleźliśmy ciało Ehiru w Kite-iyon – powiedziała. Zauważyła, że jej ręce nerwowo wygładzają fałdę szaty, i powstrzymała je. – Był tam też książę i ten drugi... Kosiarz.

Rabbaneh skinął głową.

– Nasz brat poddał swojego praktykanta trudnej próbie, ale Nijiri ją przeszedł – czego od początku byliśmy pewni. – Zamilkł, a potem dodał łagodniej: – Pójdź. To dobrze zrobi wam obojgu.

„Co takiego jest w tych zbieraczach – pomyślała Sunandi – że czujesz się przy nich, jakby to twoje dobro było dla nich najważniejsze na świecie? Czy to senna krew czyni ich takimi? A może umyślnie wybierają kandydatów, którzy posiadają to przerażające połączenie współczucia i okrucieństwa?”. Wyprostowała się, skinęła sztywno głową i przeszła przez drzwi.

Za zasłoną znajdował się rozległy dziedziniec na środku kompleksu zabudowań. Otaczały go krużganki, gdzieś krzyżujące się ze sobą i łączące budynki. Sunandi bardzo starała się

nie gapić, doskonale zdając sobie sprawę, że weszła na teren znany tylko nielicznym uprzywilejowanym. Jednak po drodze coś ciągle przykuwało jej uwagę. Mijali magazyny z półkami pełnymi bezcennych zwojów, kamiennych tablic i drewnianych desek. Na piasku na skraju dziedzińca surowy wojownik w czerni szedł wzdłuż szeregu podrostków, przyczajonych w jakiejś tajemniczej bojowej postawie. Nieco bliżej znajdowała się fontanna otoczona trawnikiem i kwiatami, wokół której biegały i bawiły się radosne, lecz dziwnie milczące dzieci.

W tych murach, w których spokoju strzegła sama Bogini, wydawało się, że nie było wojny.

Potem zbieracz zaprowadził Sunandi do nowego budynku – o ścianach nie z piaskowca, ale z ciemnoszarego marmuru. Tu na korytarzach panowała zupełna cisza, którą mąciły tylko ich kroki.

– Dokąd idziemy? – spytała Sunandi. W tak cichym miejscu odruchowo zniżyła głos.

– Do Kamiennego Ogrodu. Nijiri medytuje tam w wolnym czasie.

Dotarli do atrium i wyszli z chłodnego cienia korytarzy w słońce i żar piasku. W kącie atrium stały dwa ogromne nieregularne słupy kamienne: jeden wyciosany z nocnego kamienia, drugi z białej miki. Resztę przestrzeni zajmowała garstka mniejszych głazów, niektóre nadawały się do siedzenia. Na jednym z nich, w samym środku, siedział Nijiri.

Rabbaneh zatrzymał się i skinął głową Sunandi.

– Zostawiam cię w jego rękach.

Ona również kiwnęła głową. Zbieracz zniknął w cieniu korytarzy.

Zapadło milczenie, dziwnie kojące. Sunandi poczuła, że się odprężyła, co wydawało się dziwne, gdy pomyślała o chaosie i rozpaczach za murami Hetawy. Może to także było dziełem Hananji.

– Dziwię się, że cię tu widzę, mały zabójco – odezwała się w końcu. – Byłeś na ulicach Gujaarehu? Dziś trudno by na nich szukać spokoju.

Z tej odległości i mając za jedyne oświetlenie blask Luny, trudno było to stwierdzić z całą pewnością, ale Nijiri chyba się uśmiechnął.

– Wkrótce wyjdziemy, wszyscy trzej – powiedział. – W mieście panuje straszny niepokój, lecz na to nie ma rady. Przez ostatnich parę dni w Hetawie zatrzymywały nas pewne sprawy.

– Na przykład?

– Znalezienie współspiskowców księcia. Moi bracia rozprawili się ze zwierzchnikiem kilka czwórdni temu, lecz byli też inni. – Westchnął. – Miałaś rację, mówczyni. Hetawa rzeczywiście padła ofiarą zepsucia. Ale dokładamy starań, by ją oczyścić.

Sunandi wiedziała, co to znaczy, i odkaszlnęła z zażenowaniem.

– Protektorat może sobie życzyć, by paru przestępców skazano podczas publicznych procesów. Wiem, to nie po gujaareńsku... Niektóre rzeczy muszą się jednak zmienić.

– Rozumiem. Porozmawiam z moimi braćmi. Zostawimy dla was paru przy życiu.

Zawahała się.

– Protektorzy bez wątpienia będą próbowali zmienić także was. Uświadamiasz to sobie?

Jego uśmiech powrócił.

– Tak.

Jego głos brzmiał tak spokojnie, jakby rozmawiali o pogodzie. Sunandi pokręciła głową z konsternacją i usiadła na pobliskim głazie. Nijiri zmienił medytacyjną pozę, by odwrócić się do niej twarzą.

Przez chwilę prawie go nie poznawała. Nie zmienił się fizycznie, ale od ich ostatniego spotkania minął zaledwie miesiąc. Jego twarz tchnęła nową dojrzałością. Może to wpływ doświadczenia – a może raczej odejście młodości. Zniknęły frustracja i niepokój, wiecznie obecne w jego zachowaniu. Nie było też gniewu, zawsze płonącego pod maską spokoju. Nijiri stał się zbieraczem. Był w nim tylko spokój. Lecz pod tym spokojem Sunandi widziała też smutek.

– Opowiedz – poprosiła.

Patrzył na nią długo, a potem zaczął mówić.

Gdy skończył opowieść o śmierci Ehiru, Sunandi płakała. Nijiri mówił cicho, bez upiększeń ani zmyśleń – ale też ich nie potrzebował. Nawet najprostsze słowa oddawały, jak cierpiał Ehiru, pogrążając się w szaleństwie, i jakim dramatem jest jego śmierć. Jednak, ku jej zaskoczeniu, na koniec Nijiri się uśmiechnął.

– Opłakujesz go? – spytał.

Opłakiwała Ehiru, Nijiriego, Gujaareh, który nigdy nie będzie już taki, jak kiedyś. Siebie.

– Tak – powiedziała.

Nijiri zeskoczył z kamienia i stanął przed nią.

– Więc przyjmij to – powiedział i położył dłoń na jej policzku.

W tej samej chwili jej ciało – umysł – całą jej istotę ogarnęła radość tak potężna, że nie opiszą tego żadne słowa. Rozpuściła zadawnione blizny po ataku Kosiarza i śmierci Lin, napełniła kobietę nadzieją niemal zbyt potężną, by ją znieść, zapłonęła jak tysiąc słońc w samym środku jej duszy. Łzy nie wystarczały, śmiech nie wystarczał, na nic się zdawały, ale Sunandi i tak śmiała się i płakała, bo byłoby zbrodnią nie wyrazić tak nieskończonej radości.

Gdy w końcu znów odzyskała świadomość, ocknęła się z twarzą wtuloną w pierś chłopca, wczepiona w niego, bo on także znał szczęście, jakiego doświadczała. To uczyniło ich jednością. Jego objęcia wydawały się najbardziej naturalną rzeczą na świecie.

– Oto jego spokój – szepnął jej Nijiri do ucha. – Teraz rozumiesz.

Rozumiała. W końcu zrozumiała.

Nijiri trzymał ją, dopóki dreszcze nie ustały. Gładził jej włosy i szeptał kojące nonsensy. Kiedy w końcu podniosła wzrok, odstąpił od niej, z wdziękiem omijając uczucie niezręczności, jakie się pojawia po tak intymnej chwili. Gdy w końcu podał jej rękę, stał się Nijirim – niegrzecznym, zapalczywym młodzikiem, który osłaniał ją na pustyni, nie Nijirim-zbieraczem. Z tym pierwszym Sunandi czuła

się swobodniej, więc na chwilę znowu stał się nim dla niej, choć już nim nie był. Sunandi przyjęła jego dłoń, a on pomógł jej wstać.

– Idź do Yanya-iyan, mówczyni – rzekł. – Powiedz tym głupcom, którzy mają nami rządzić z rozkazu Kisui, jak mają to zrobić. Hananja brzydzi się niezdarnymi przemianami. Gujaareh nie będzie się sprzeciwiać, jeśli potraktujecie nas z szacunkiem.

Sunandi skinęła głową, nadal zbyt poruszona, żeby przemówić. Nijiri wyprowadził ją z ogrodu aż do sali, w której posąg Hananji czuwał nad Jej ludem.

– Dziękuję – powiedziała Sunandi, patrząc na Boginię.

– Obowiązkiem zbieracza jest przynosić spokój – odparł Nijiri. Gdy znowu na niego spojrzała, u jego boku stał Rabbaneh. Po chwili z mroku wyłonił się trzeci mężczyzna o oczach zbieracza. Kiedyś, dawno temu, zadrżałaby na ich widok. Dziś tylko się uśmiechnęła.

– Dobrze wykonujcie swoje zadanie – powiedziała. – Lud was potrzebuje.

Nijiri tylko skinął głową, choć widziała ciepło w jego oczach. Potem odszedł, a dwaj zbieracze podążyli za nim. Sunandi patrzyła, jak idą przez salę ku podwyższeniu, gdzie dawcy natychmiast zaprzestali swojej pracy i odsunęli się na bok. Zbieracze uklękli u stóp Hananji i pochyliłi się nad swoimi dłońmi; potem wstali i opuścili salę. Sunandi wiedziała, że wyjdą z Hetawy przez Bramę Zbieraczy i wrócą wiele godzin później, zostawiając po sobie drogę usłaną trupami. Ale dzięki ich wysiłkom dusza Gujaarehu znowu odnajdzie spokój.

Sunandi skinęła głową z zadowoleniem, wyszła z Hetawy i ruszyła do swoich zadań.

Glosariusz

Akolici – chłopcy w wieku od dwunastu do szesnastu powodzi, którzy postanowili służyć Hananji, lecz jeszcze nie złożyli przysięgi wierności jednej z czterech ścieżek.

Aureola Zachodzącego Słońca – symbol władzy i boskości rodu Zachodu Słońca. Emblemat składający się z ułożonych na zmianę płyt z czerwonego i złotego bursztynu, tworzących promienie wokół umiejscowionego pośrodku złotego półokręgu, osadzonego na tyczce z czarnego nhefti.

Banbarowie – plemię pustynne, wrogowie Gujaarehu.

Bestia – zbieracz lub dawca, który nie przeszedł pranje i odmówił złożenia Ostatniej Daniny. Zepsucie.

Bogini – w Gujaarehu określenie Hananji. W Kisui słowo to może oznaczać dowolne bóstwo płci żeńskiej.

Charad-dinh – mały kraj na południowy wschód od Kisui, położony na skraju Wysokiego Zielonego Lasu.

Czterokrotna poczwórność – cztery razy cztery razy cztery razy cztery albo dwieście pięćdziesiąt sześć. Święta liczba.

Cztery – liczba pasów na tarczy Śniącej Luny. Święta liczba, podobnie jak jej wielokrotności.

Czuwająca Luna – młodsza siostra Śniącej Luny. Widoczna tylko przelotnie przed wschodem Słońca.

Daneinge – jedno z boskich dzieci Śniącej Luny i Słońca, bogini tańca.

Danina – obowiązkowa ofiara składana Hananji przez obywateli Gujaarehu.

Dawcy – jedna z czterech ścieżek Służby Hananji, odpowiedzialna za zdrowie w mieście. Posługują się narkomancją, czasem operacjami i ziołolecznictwem.

Donacja – comiesięczna ofiara snów, wymagana od wszystkich obywateli Gujaarehu.

Draperia – kisańska szata zawiązywana na piersi albo w pasie. Kobięce draperie zwykle mają długość do kostek, męskie mogą sięgać do kolan lub wyżej i mają draperię na ramieniu.

Draperia biodrowa – strój noszony głównie przez gujaareńskich mężczyzn. Składa się z dwóch kawałków płótna (sięgających do kolan lub kostek), połączonych na biodrach rzemykami lub metalowym łańcuszkiem.

Drewniany Ogród – przestrzeń medytacyjna w wewnętrznej części Hetawy.

Ehiru – hananjański zbieracz, czarna róża oazy. Niegdyś syn rodu Zachodu Słońca.

Głos Kisui – ambasador Kisui, który przemawia w imieniu Protektorów. Właściwym jego tytułem jest „Mówca”.

Gualoh – bromarteńskie określenie demona.

Gujaareh – miasto-państwo, którego stolica (również Gujaareh albo Miasto Snów, albo Miasto Hananji) znajduje się u ujścia Krwi Bogini nad Morzem Chwały.

Hananja – jedno z boskich dzieci Śniącej Luny i Słońca. Bogini snów, kojarzona także ze śmiercią i z życiem pozagrobowym.

Hekeh – włóknista roślina występująca w dolinie Krwi Bogini, hodowana w Gujaarehu i innych nadrzecznych krajach. Używana do wytwarzania ubrań, sznurów i wielu innych produktów.

Hetawa – centralna świątynia wiary hananjańskiej i centrum życia duchowego w Gujaarehu. Hetawa nadzoruje edukację, prawo i publiczną służbę zdrowia.

Hieroglify liczbowe – graficzne symbole używane w matematyce. Podobno mają własną magiczną moc.

Hona-Karekh – królestwo jawy.

Humory fizyczne – krew, żółć, ichor (osocze) i nasienie.

Imię duszy – imiona nadawane gujaareńskim dzieciom dla ochrony

w Ina-Karekh.

Ina-Karekh – królestwo snów. Żyjący mogą odwiedzać tę krainę podczas snu. Zmarli zamieszkują ją na wieczność.

Indethe – suańskie słowo oznaczające uwagę/honor/miłość.

Inim-teh – roślina hodowana w dolinie Krwi Bogini. Jej zmielone ziarna stanowią wonną przyprawę używaną m.in. do kiszenia i nadawania aromatu.

Inunru – wielka, szanowana postać w historii wiary hananjańskiej.

Jellewici – mały naród żyjący na Wschodnim Oceanie w pobliżu Kisui.

Jungissa – rzadki kamień, który uderzony, odpowiada wibracjami. Używają go wykształceni narkomanci do sprowadzania i kontrolowania snu. Wszystkie jungissy to nasienie Słońca, które spadło na ziemię z gwiazd.

Kamienny Ogród – przestrzeń medytacyjna w wewnętrznej części Hetawy.

Kasta – społeczna/zawodowa klasa w Gujaarehu i Kisui, przypisywana człowiekowi po urodzeniu. Można zmienić kastę, jedynie wstępując do służby publicznej (jak Hetawa lub wojsko).

Ketuyae – mała wioska na południu Terytoriów Gujaareńskich.

Kisua – miasto-państwo w środkowowschodnim regionie kontynentu, ojczyzna Gujaarehu.

Kite-iyán – drugi pałac księcia, dom jego żon i dzieci.

Klany bromarteńskie – północne plemiona zamieszkujące terytoria położone po drugiej stronie Morza Chwały, na którego przeciwległym brzegu leży Gujaareh.

Kłęczenie krzyżem – gest szacunku wykonywany tylko wobec tych, którzy są wyróżnieni łaską boską. Osoba wykonująca gest przykłada na jedno kolano, krzyżuje przedramiona (z dłońmi odwróconymi wierzchem do góry) przed twarzą. Mniej oficjalna wersja tego gestu (ramiona prostopadle do piersi, dłonie skierowane wnętrzem do dołu w połączeniu z ukłonem, którego głębokość zależy

od stopnia okazywanego szacunku) jest wykonywana w Gujaarehu jako pozdrowienie albo gest przeprosin.

Kołnierz – ozdoba noszona w Gujaarehu i czasem w Kisui. Składa się z obręczy otaczającej szyję i ze zwisających elementów ozdobnych, które kładą się na piersi i ramionach.

Kosiarz – legenda. Obrzydliwość.

Krainy Cienia – miejsce w Ina-Karekh stworzone przez koszmary wszystkich śniących. Ci, którzy umierają w cierpieniu, trafiają tam na całą wieczność.

Krew Bogini – rzeka, której źródło znajduje się w kisuańskich górach. Wpada do Morza Chwały w północnym Gujaarehu.

Król – w Gujaarehu ostatni zmarły książe (oby spoczywał wiecznie w Jej spokoju).

Książe/pan Zachodu Słońca/Inkarnacja Hananji – władca Gujaarehu w świecie jawy. Po śmierci zostaje wyniesiony na tron Ina-Karekh, gdzie włada u boku Hananji do nadejścia nowego króla (oby spoczywał wiecznie w Jej spokoju).

Łza luny – kwiat spotykany na brzegach Krwi Bogini, kwitnący tylko w świetle Śniącej Luny. Święty w wierze hananjańskiej.

Łzewidzenie – sen, który robi wrażenie wizji przyszłości, lecz jest zbyt zniekształcony, żeby można go było zinterpretować – lub po prostu jest nieprawdziwy.

Magia – moc uzdrawiania i snów.

Mądrość Hananji – zbiór powiedzeń, przepowiedni i innych podań, których musi się nauczyć pobożny hananjanin.

Merik – jedno z boskich dzieci Śniącej Luny i Słońca. Miazdży góry i zasypuje doliny.

Mędrzy Założyciele – założyciele Gujaarehu, w tym Inunru.

Miasto Hananji – inna nazwa gujaareńskiej stolicy.

Miasto Snów – popularna nazwa stolicy Gujaarehu, znanej także jako Miasto Hananji. Oficjalnie miasto nazywa się po prostu Gujaareh.

Mnedza – jedno z boskich dzieci Śniącej Luny i Słońca. Daje rozkosz kobietom.

Narkomancja – gujaareńska umiejętność sprowadzania snu, kontroli nad nim i posługiwania się sennymi humorami, potocznie zwana magią snu.

Nauczyciele – jedna z czterech ścieżek Służby Hananji, odpowiedzialna za edukację i zgłębianie wiedzy.

Nhefti – twarde drzewo o grubym pniu, rosnące w pobliżu gór w dolinie Krwi Bogini. Jego drewno ma kolor białego bursztynu i naturalny perłowy kolor po wypolerowaniu. Stosowane jedynie do wytwarzania przedmiotów sakralnych.

Niebnik – nocny ptak drapieżny, który poluje na terenie Pustego Tysiąca. Zobaczenie niebnika za dnia lub poza pustynią w porze deszczowej jest złym znakiem.

Nieskończony – wielki ocean na zachód od Morza Chwały.

Niewolnik – w Kisui jeniec, dłużnik, ubogi, niepożądany cudzoziemiec lub przestępca skazany na służbę w niewoli na określony czas. W Gujaarehu niewolnictwo jest nielegalne.

Nijiri – praktykant ścieżki zbieraczy, błękitny lotos. Jego mentorem jest Ehiru.

Niska kasta – kasta znajdująca się na dole gujaareńskiej drabiny społecznej: rolnicy i służący.

Noc Hamyan – najkrótsza noc roku, gdy sny stają się tak rzadkie, że Bogini Hananja głoduje. W Gujaareh obchodzona jako święto przesilenia.

Nordowie – zbiorcza nazwa plemion z północy Morza Chwały. Uprzejme określenie barbarzyńcy.

Nosiciel daniny – osoba, która decyzją Hetawy otrzyma błogosławieństwo Hananji, za którą oddaje daninę z sennych humorów.

Ostatnia Danina – ofiara sługi Hananji obejmująca oddanie Bogini reszty jego sennej krwi i koniec jego służby.

Pismo hieratyczne – uproszczona forma gujaareńskiego języka pisanego.

Pismo obrazkowe – graficzna postać języka gujaareńskiego, bazująca na języku pisanym sua. Używane w oficjalnych prośbach, poezji, historycznych adnotacjach i pismach religijnych.

Plemiona wschodnie – zbiorcza nazwa ludów zamieszkujących ziemie na wschód od Morza Chwały.

Południowcy – zbiorcza nazwa różnych plemion zamieszkujących tereny poza źródłem Krwi Bogini, z których wiele jest wasalami Kisui.

Powódź – okresowe, regularne wystąpienie z brzegów rzeki Krew Bogini, która zalewa dolinę, odnawiając żyzność ziemi. Ponadto metoda odmierzenia sezonowych zmian, na przykład wieku.

Praktykanci – młodzieńcy, którzy osiągnęli wiek dorosłości i rozpoczęli wyższe kształcenie w wybranym zawodzie.

Pranje – rytuał, któremu poddają się narkomanci, by przetestować panowanie nad sobą.

Prawo Hananji – zbiór zasad obowiązujących w Gujaarehu. Jego podstawową zasadą jest spokój.

Prawowidzenie – senna wizja przedstawiająca przyszłość lub przeszłość.

Protektorzy – rządząca Kisua rada starszych.

Próba prawdy – procedura mająca określić, czy i kiedy należy skorzystać z pomocy zbieracza. Zwykle przeprowadza ją Rada Ścieżek, choć każdy zbieracz ma prawo dokonać oceny w warunkach polowych.

Pusty Tysiąc – pustynia, która ciągnie się od granicy najbardziej wysuniętych na południe Terytoriów Gujaareńskich po najbardziej wysunięte na północ rejony Protektoratu Kisuańskiego.

Rabbaneh – hananjański zbieracz, czerwony mak.

Rada Ścieżek – obok zwierzchnika organizacja zarządzająca Hetawą. Znajdują się w niej starsi wartownicy, nauczyciele i dawcy,

jak również (bez prawa głosu) przedstawicielki Sióstr. Zbieracze kurtuazyjnie działają pod egidą tej organizacji, choć oficjalnie są samodzielni.

Ród Zachodu Słońca – gujaareńska rodzina królewska, podobno potomkowie Słońca.

Senna krew – jeden z czterech sennych humorów stanowiących podstawę gujaareńskiej magii. Pobierana z ostatecznego snu, który pojawia się w chwili śmierci, jest stosowana do zaprowadzania spokoju.

Senna żółć – jeden z czterech sennych humorów stanowiących podstawę gujaareńskiej magii. Pobierana z koszmarów, jest stosowana do ograniczania szkodliwych narośli i niszczenia niepotrzebnej tkanki ciała.

Senne humory – magiczne energie pobierane ze snów.

Senne nasienie – jeden z czterech sennych humorów stanowiących podstawę gujaareńskiej magii. Pobierane z erotycznych snów, jest stosowane do stymulowania wzrostu, który zwykle ma miejsce tylko w łonie (np. nowych kończyn).

Senny ichor – jeden z czterech sennych humorów stanowiących podstawę gujaareńskiej magii. Pobierany ze zwykłych „bezsensownych” snów, jest stosowany do leczenia uszkodzeń ciała.

Shadounowie – pustynne plemię, niegdyś wrogowie Gujaarehu, obecnie lennicy. Sprzymierzeni z Kisuanami.

Shunhowie – jedna z dwóch gałęzi gujaareńskiej szlachty, której przedstawiciele podobno pochodzą ze związków między śmiertelnikami a dziećmi Śniącej Luny. Shunhowie pielęgnują obyczaje i tradycje swojej ojczyzny (Kisui).

Siostry Hananji – zakon (niepodlegający Hetawie) składający się głównie z kobiet, które służą Hananji, zbierając senne nasienie.

Słudzy Hananji – kapłani zaprzysiężeni służbie Bogini.

Służący – w Gujaarehu członek najniższej kasty. Słudzy nie mogą gromadzić bogactw i mają prawo wybierać sobie panów.

Sonha – kiswańska szlachta, która podobno wywodzi się ze związków śmiertelników z dziećmi Śniącej Luny.

Sonta-i – hananjański zbieracz, nocny mrocznik.

Spódnica – strój noszony głównie przez gujaareńskich mężczyzn – sięgający kolan kawałek hekeh lub plecionej draperii płóciennej.

Sunandi Jeh Kalawe – dziewczę kiswańskiego sonhy, pełniące w Gujaarehu funkcję Głosu Protektoratu.

Śniąca Luna – matka wszystkich bogów i bogiń z wyjątkiem Słońca i Czuwającej Luny, pani nieba. Zwana także Śniącą.

Średnie kasty – kasty znajdujące się na środku gujaareńskiej drabiny społecznej. Należą do nich kupcy i rzemieślnicy.

Taffur – małe zwierzę z rodziny psowatych, spotykane w dolinie Krwi Bogini i na Pustym Tysiącu. Czasem w Gujaarehu i Kisui bywa traktowany jako domowy ulubieniec.

Terytoria – zbiorcza nazwa miast i plemion, które zaprzysięgły wierność Gujaarehowi. Często nazywane po prostu Gujaarehem.

Tesa – oaza na Pustym Tysiącu, wokół której powstał kwitnący ośrodek handlowy.

Timbalin – popularny gujaareński narkotyk. Umożliwia niekontrolowany sen.

Umblikeh – więź, która łączy duszę z ciałem i pozwala na podróż poza ciało w inne krainy. Po jej przecięciu następuje natychmiastowa śmierć.

Una-une – niedawno zmarły hananjański zbieracz. Mentor Ehiru.

Uzdrowianie – wszelkie niemagiczne sztuki lecznicze, w tym ziołolecznictwo i operacje.

Wartownicy – jedna z czterech ścieżek służby Hannji. Strzegą Hetawy i wszystkich dzieł Bogini.

Wiek dorosłości – w Gujaarehu i Kisui cztery razy cztery, czyli szesnaście powodzi. Osiągnąwszy taki wiek, młodzi obywatele otrzymują przywileje prawne i wszelkie inne i mogą potwierdzić swój wybór powołania.

Wiek starszeństwa – w Gujaarehu cztery razy cztery razy cztery, czyli sześćdziesiąt cztery powódzie. Wiek, w którym obywatel zostaje uznany za dość dojrzałego, by otrzymać godność przywódcy lub inną szanowaną pozycję. W Kisui obywatele zostają uznani starszymi w pięćdziesiątym drugim roku życia.

Wiek wyboru – w Gujaarehu i Kisui trzy razy cztery lub dwanaście powodzi. Wiek, w którym młodzi obywatele zostają uznani za dość dorosłych, by zacząć się kształcić w wybranym kierunku, pojąć współmałżonka albo podejmować inne ważne decyzje.

Wietrzny Ogród – przestrzeń medytacyjna w wewnętrznej części Hetawy.

Wodny Ogród – przestrzeń medytacyjna w wewnętrznej części Hetawy.

Wojsko – podobnie jak słudzy Hananji, gałąź gujaareńskiej służby publicznej i kasta, w której można się urodzić lub do której można też zostać dopuszczonym.

Wysoka kasta – gujaareńska rodzina królewska, shunhowie i zhinhowie; w Kisui do wysokich kast zaliczają się sonhowie i łowcy.

Yanya-iyán – główny pałac księcia w stolicy, siedziba gujaareńskiego rządu.

Zapinka – sprzączka używana do utrzymywania przepaski biodrowej na miejscu. Często ozdobna; mocuje się na niej sakiewki lub narzędzia.

Zawieszenie – oficjalna zwłoka zależąca od wyników dalszego dochodzenia w każdej prowadzonej przez Hetawę sprawie. Może ją wprowadzić każdy zaprzysiężony sługa Hananji, choć zawieszenie należy uzasadnić przed Radą Ścieżek lub zwierzchnikiem.

Zbieracze – przedstawiciele jednej z czterech ścieżek służby Hananji, odpowiedzialni za przestrzeganie Prawa Hananji.

Zhinhowie – jedna z dwóch gałęzi gujaareńskiej szlachty, której przedstawiciele podobno pochodzą ze związków między śmiertelnikami a dziećmi Śniącej Luny. Zhinhowie uważają, że siła

Gujaarehu leży w jego zdolności do przystosowania się i zmiany.

Zlecenie – oficjalna prośba o usługę zbieracza. Zlecenia zwykle przedstawiają krewni w sprawie osoby, która ma zostać zebrana.

Zwierzchnik – administracyjny zarządca Hetawy, który podejmuje decyzje w połączeniu z Radą Ścieżek i ze zbieraczami.

Podziękowania

Chcę tu wspomnieć z wdzięcznością głównie o źródłach wiadomości, a nie ludziach, ale tylko dlatego, że lista osób, którym powinnam podziękować, stanowiłaby kolejną książkę.

Podobnie zresztą, jak lista pomocnych tekstów źródłowych, ale pozwolę sobie wyróżnić kilka z nich ze szczególnych przyczyn. Pierwszym jest *Mythology: An Illustrated Encyclopedia* Richarda Cavendisha, album, którego autor postawił sobie za cel dokonanie niemożliwego: zbadanie wszystkich mitologii świata. Napotkał pewne problemy z uprzedzeniami kulturalnymi i zwykłe kłopoty, nieobce każdemu badaniu zakrojonemu na tak wielką skalę, ale pomógł mi pod jednym względem: po przeczytaniu tej pracy zaczęłam dostrzegać wspólny szkielet, na którym zbudowano większość ludzkich kosmogonii. Posłużyłam się tą wspólną strukturą, tak jak w trylogii *Dziedzictwa*, by stworzyć bogów Kisui i Gujaarehu.

Następnie: *O snach* Zygmunta Freuda i *Czerwona księga* Carla Gustava Junga. Tę drugą mogłam ujrzeć na własne oczy dzięki wspaniałej wystawie w nowojorskim Rubin Museum. Pierwsi psychoanalitycy popełnili wiele błędów w swoich badaniach natury ludzkiej, ale dzięki ich częściowo duchowym, częściowo intelektualnym próbom zrozumienia innych istot ludzkich zdołałam się zorientować, jak może się narodzić religia. Do pewnego stopnia założyciel Gujaarehu, Inunru, jest nimi inspirowany – no, rzecz jasna pominąwszy masowe zabójstwa i megalomanię.

Następnie egipska i nubijska kolekcja Brooklyn Museum. Kolekcja British Museum jest o wiele większa i bardziej efektowna, ale nie mieszkam w Londynie, a stołeczne muzeum jest zbyt zatłoczone i zanadto czujnie strzeżone, bym mogła godzinami przyglądać się eksponatom. Pospieszne zwiedzanie nie daje prawdziwego smaku

codziennego życia mieszkańców starożytnych miast: jak czesali włosy, jak myli zęby, jak docierali z domu do pracy, jak plotkowali o gościu, co mieszka parę domów dalej, krzywo na nich spojrzal i czy wiecie, że czci *tego* boga? W Brooklyn Museum nikt się nie przejmuje, jeśli siedzisz w jednym miejscu i gapisz się na coś godzinami, o ile tylko następnie nie wstajesz i nie zaczynasz strzelać.

Aha, pozwolę sobie jeszcze na szybkie podziękowanie ludziom – mojej pierwszej grupie pisarskiej, BRAWLers, którzy występowali pod nazwą Boston Area Writers’ Group, dopóki nie doszliśmy do wniosku, że potrzeba nam czegoś bardziej chwytliwego. Rozłożyliście tę książkę na części i poskładaliście na nowo z pożytkiem dla niej. Podobała wam się i cieszyliście się nią jako pierwsi. (Nie, Jennifer, nie uprawiali ze sobą seksu). Dziękuję wam.

Wydawnictwo Akurat

imprint MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: info@muza.com.pl

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: www.muza.com.pl

Konwersja do formatu EPUB: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz